

Autor bestsellerowej
Mantry czaszki

Eliot Pattison
Pan śmierci



Pattison Eliot

Inspektor Shan 06

Pan śmierci

Wysokie góry. Surowy klimat. Prości, lecz szczerze wierzący w Buddę ludzie. Tybetańczycy, których nie złamały chińskie służby bezpieczeństwa oraz przypadkowi ludzie, którzy poprzez swoją dociekliwość narażają się bezpiece. To codzienność Tybetu, prowincji okupowanej przez Chińczyków, wdrażających tam komunizm. Nie ma już Buddy, nowym bogiem są Chiny.

Shan, główny bohater opowieści, zajmujący się sprowadzaniem zwłok z wysokich partii gór, jest świadkiem morderstwa. Postanawia na własną rękę znaleźć wyjaśnienie tej zbrodni oraz innych dziwnych wydarzeń. Jego walka z podstępny i skomplikowanym aparatem chińskiej bezpieki wydaje się nieskuteczna, lecz determinacja i wiara w sprawiedliwość mogą zdziałać cuda. Shan musi także uwolnić syna, który naraziwszy się komunistom, trafił do "fabryki yeti", miejsca, gdzie ludzie przestają być ludźmi, a stają się zwierzętami.



Rozdział 1

Nikt nigdy nie umarł na Czomolungmie, powtarzali Szerpowie Shanowi Tao Yun, ilekroć posyłano go, by sprowadził zwłoki. Człowiek mógł zamarznąć, tak że jego palce łamały się jak suche gałązki, kilkusetmetrowy upadek mógł zgruchotać mu kości, jednak Bogini Matka Gór - zwana przez przybyszów z Zachodu Everestem - porywała jego duszę, utrzymując go przy życiu i trzymając w swojej mocy dla własnych celów. Nie był żywy w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale nie był też martwy w tradycyjnym sensie, ostrzegał pewien stary Szerpa, jak gdyby Shan powinien się w każdej chwili spodziewać, że zwłoki, które znosi z góry, zostaną wezwane z powrotem. Wielu nowych przyjaciół inspektora z obozów alpinistycznych twierdziło uparcie, że w wiejących ze szczytu wiatrach słyszą niekiedy głosy zmarłych przed laty kolegów. Poprawiając sznur mocujący owinięty w płótno ładunek na grzbiecie jucznego muła, Shan spojrzał na ośnieżony szczyt, na chwilę kładąc lekko dłoń na wypukłości ramienia zmarłego. Tym razem wioził przyjaciela. Gdyby usłyszał na wietrze głos Tenzina Nuru, rozpoznałby go.

Zrobił kilka kroków ścieżką, gdy postronek szarpnął go w tył. Stary muł, jego stały towarzysz tego rodzaju wypraw, nie ruszył się z miejsca. Shan czujnie omiótł wzrokiem smagany wiatrem górski pejzaż, w pełni ufając instynktom zwierzęcia. Tybetańczycy zawsze dawali mu tego samego muła, którego

jasne, rozumne oczy śledziły go z uwagą, gdy schodząc z góry ze zwłokami, recytował stare chińskie wiersze. Teraz przekrzywił łeb, tak że jego uszy były zwrócone w tył.

Dosłyszał tętent kopyt na luźnym żwirze na moment, nim zza małego wzniesienia przed nimi wyskoczył drobny koń, osiodłany, ale bez jeźdźca. Z poobijanego magnetofonu zawieszzonego na sznurku u łąku siodła dobiegała głośna muzyka rockandrollowa; stary karabin z zamkiem ryglowym włókł się po ziemi na pękniętym pasku. Shan zamarł na chwilę, po czym się rzucił, by złapać wodze i zatrzymać konia; podniósłszy karabin, wprawnym ruchem wyciągnął magazynek i cisnął go między skały. Pospiesznie rozejrzał się za boczną ścieżką, która umożliwiłaby mu ucieczkę, ale nie znalazłszy żadnej, nakrył ładunek na grzbiecie muła kurtką, uspokoił konia, gładząc go po szyi, i wyłączył muzykę.

Chwilę później przez wzniesienie przebiegł zdyszany mężczyzna w wyświechtanym szarym mundurze. Rozpoznawszy Shana, zaklął. Przystanął i poprawił mundur, skrepowany wziął od niego karabin, po czym obrócił broń i wymierzył ją w niego.

- W imieniu Chińskiej Republiki Ludowej aresztuję was - powiedział znużonym głosem.

Shan pogłaskał szyję konia.

- Pod jakim zarzutem tym razem, posterunkowy Jin? Trzydziestoparoletni Tybetańczyk, który przybrał chińskie imię, kiedy włożył chiński mundur, niepewnie zerknął na ładunek muła.

- Morderstwa? - podsunął z nadzieją w głosie. Jin Bodai nie pracował dla budzącego grozę Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, ale dla lokalnych władz, jako stróż porządku publicznego, którego główne obowiązki sprowadzały się do kontroli zezwoleń i wypisywania mandatów drogowych.

Shan przyglądał się cierpliwie, jak Jin, wetknąwszy kara-

bin pod pachę, odwiązuje sznur pakunku na grzbiecie muła, odsłaniając głowę Tenzina. Policjant uniósł głowę za włosy, pochylił się, by przyjrzeć się jej dokładniej, po czym opuścił ją i zdziwiony przeniósł wzrok na Shana.

- Każdy lekarz - oświadczył spokojnie inspektor - nawet ci w okręgu Tingri, powie wam, że ten człowiek zmarł co najmniej dwa dni temu. Kilkanaście osób może poświadczyć, że dwa dni temu byłem z nimi w mieście, w pracy w składzie.

Jin, zirytowany jak nigdy, znów machnął bronią w jego stronę.

- Tak czy owak - stwierdził - człowiek bez dokumentów, bez prawa pobytu, przyłapany ze zwłokami, to wystarczy, żebym mógł wreszcie uciec z tej cholernej góry.

- Zgubiliście amunicję, towarzyszu. - Niemal każdego tygodnia ci dwaj toczyli ze sobą pojedynki na języki, jednak niejednym razem Shan wybawiał Jina z opresji, opracowując dokumenty niezbędne w rozbudowanej biurokracji chińskich organów bezpieczeństwa.

Jin otworzył zamek karabinu, zobaczył pusty otwór po magazynku i zaklął znowu, tym razem tonem zawiedzionego dziecka.

- Stary rupieć, jak wszystko, co mi dają - zrzędził. Karabin, podobnie jak mundur i niemal całe wyposażenie jego małego komisariatu w Shogo, pochodził z demobilu Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

- Nielegalny przewóz zwłok mógłby się sprawdzić - przyznał Shan.
- Może także pochówek bez zezwolenia.

Policjant się rozpromienił.

- Aresztuję was za nielegalny przewóz zwłok.

- Ale nie tym razem - dokończył zmęczonym głosem Shan. Muł trącił go pyskiem, jakby przypominając mu o obowiązkach. - Nie tych zwłok.

Jin westchnął i opuścił lufę karabinu.

- Dlaczego nie? Shan wyciągnął z jednego z pakunków butelkę wody, nalał

trochę w złożone dłonie i dał mułowi pić.

- Dlatego, że ten Szerpa jest z Nepalu. Zgarnijcie nas, a będziecie musieli zawiadomić Urząd Bezpieczeństwa, który zacznie się dopytywać, w jaki sposób obcokrajowiec przedostał się w waszym rejonie przez granicę bez dokumentów. Martwy obcokrajowiec. Do tego dojdzie cała masa papierów dotyczących międzynarodowego przewozu zwłok. Spędzicie cały tydzień na papierkowej robocie, a nie będziecie mieli mnie do pomocy, skoro będę za kratkami.

Jin się skrzywił.

- Potem - ciągnął Shan - przez resztę sezonu będziecie wysłuchiwać skarg na to, jak źle wpływa na interesy, kiedy nagle policja zwała się na obozy zachodnich alpinistów.

Posterunkowy wypchnął policzek językiem.

- To i tak lepsze niż ganiecie po górach za tą cholerną szkapą.

Muł znów niecierpliwie szturchnął Shana. Jakby pamiętał, podobnie jak on sam, że czeka ich jeszcze długa droga, nim przekażą zwłoki wieśniakom z Tumkot, gdzie krewni Tenzina czekali na jego ciało.

- Poza tym nie zrobicie tego - dodał Shan z lekkim wstydem - bo jeśli przetrzymacie mnie choćby chwilę dłużej, nie wrócę na czas do pracy, a człowiek, dla którego pracuję, jest w tym okręgu najwyższym postawionym Tybetańczykiem w partii.

Policjant spochmurniał. Wyciągnął zmiętą paczkę papierosów i zapalił jednego, siadając na płaskiej skałce, po czym przyjrzał się podejrzliwie swemu rozmówcy.

- Po drugiej stronie gór jest nazwa na takich jak wy - zauważył, wypuszczając z ust słup dymu. - Niedotykalni. Ludzie trudniący się usuwaniem zwłok i nieczystości. Najniższa kasta 10 nizin społecznych. Jesteście Chińczykiem. Jesteście wykształceni. Dlaczego pozwalacie się tak wykorzystywać?

- Wolę uważać to za święte powiernictwo. - Shan wydobyl z sakwy dwa jabłka, nakarmił jednym konia, drugim swego muła. Przy tej okazji przyjrzał się uważnie sprzętowi przytroczonemu do siodła Jina, dopiero teraz dostrzegając z tyłu ciężki pas z amunicją obwiązany wokół peleryny przeciwdeszczowej, obok krótkofalówki, której Jin z

reguły nie włączał w terenie. - Na jaką właściwie wojnę wybraliście się tu na górę, towarzyszu posterunkowy?

Jin zmarszczył brwi.

- Wyjechałem z komisariatu, żeby sprawdzić doniesienie o kradzieży sprzętu alpinistycznego. Dwa dni temu z bazy pod Everestem zniknęły liny i uprząże wspinaczkowe.

- I co?

- Zatrzymał mnie jakiś porucznik bezpieczeństwa z całą ciężarówką ludzi. Powiedział, że ogłoszono stan pogotowia. Minister turystyki Wu jedzie dziś szosą do bazy. Tak więc porucznik zmienił moje rozkazy.

- Nie dali wam całej tej amunicji z powodu turystów.

Jin, zaciągając się głęboko papierosem, patrzył na Shana, bez wątplenia rozważając, jak dalece jest mu potrzebny do zmagania z biurokracją. Wzruszył ramionami.

- Ponieważ szosa miała zostać zamknięta dla ruchu, postanowili zrobić nalot na gompe Sarma, jeden z tych małych klasztorów w dolinie. Tylko jeden autobus, z oddziałem pałkarzy - wyjaśnił, używając popularnego określenia funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Shan się wzdrygnął. Zniszczywszy przed dziesiątkami lat niemal wszystkie klasztory tego regionu, Pekin pozwolił nielicznym ocalałym gompom funkcjonować pod ścisłym nadzorem Urzędu do spraw Wyznań. Jednym z wielu narzędzi, jakimi Urząd się posługiwał, by utrzymać tybetańskich mnichów

w ryzach, było zmuszanie ich do podpisania ślubów lojalności wobec Pekinu. Ci, którzy odmawiali, tracili prawo noszenia mnisich szat. Jeśli jednak gromadnie nie chcieli podpisać, było to uważane za akt zorganizowanego oporu wobec rządu. Dostawali jeszcze jedną szansę, po czym zgarniano ich i zsyłano do tybetańskich obozów pracy. Shan zamknął na chwilę oczy, czując napływ bolesnych wspomnień z lat, jakie sam spędził w jednym z tych obozów.

Po chwili obiegł wzrokiem stoki gór. Były puste. Kiedy poprzedniego dnia przechodził tędy, zmierzając do bazy pod Czomolungmą, widział rodziny z małymi stadami owiec i jaków. Po pięćdziesięciu latach życia z chińską armią wielu Tybetańczyków nabrało umiejętności wyczuwania żołnierzy z odległości wielu kilometrów.

- Nie rozumiem, dlaczego oni to robią - odezwał się swobodniejszym tonem Jin. - Który to już będzie w tym sezonie?

Shan odwrócił się i spostrzegł, że policjant patrzy na zwłoki na mule.

- To trzeci, którego zwożę na dół. - Choć ciężarówki i samochody terenowe były w stanie dotrzeć do bazy, Tumkot, wioska, która dostarczała najwięcej tragarzy, była bardzo przywiązana do tradycji. Mieszkająca tam wróżbitka, która często odgrywała rolę mnichów, oświadczyła mieszkańcom, że bóstwa nie życzą sobie, by wozili swych zmarłych chińskimi samochodami. Później, z powodów, których Shan wciąż nie pojmował, przepowiedziała, że to właśnie on będzie sprowadzał ciała. - Mówią, że matka gór jest w tym roku rozgniewana.

- Rozgniewana? - Jin uśmiechnął się kwaśno, wypuszczając z nozdrzy dwie smużki dymu. - Powiedziałbym, że stała się jędzą wściekłą na cały świat. - Wskazał gestem trupa. - Idioci. Chyba im życie niemiłe, że tam wchodzi. Udają bogów, wyobrażają sobie, że mają prawo stać na dachu świata.

Shan położył dłoń na plecach martwego mężczyzny. Nie

znał innych Szerpów, których zwłoki sprowadził z Everestu, i krótko tylko pracował z zawsze pogodnym Tenzinem, czuł jednak osobliwą sympatię do nich wszystkich. Starzy Tybetańczycy powiedzieliby, że ich dusze zaprzyjaźniły się z nim.

- Oni tylko dźwigają bagaże tych, którzy udają bogów -sprostował cicho - by móc wyżywić swoje rodziny. - Gdy muł szturchnął go znowu, jego wzrok powędrował wzdłuż ścieżki. - Jak szybko tu będą? - zapytał. Kawalek dalej ścieżka biegła niespełna pięćdziesiąt metrów od szosy. Nie mógł pozwolić sobie na to, by bezpieka zatrzymała go z niezidentyfikowanymi zwłokami.

Na wzmiankę o pałkarzach wyraz twarzy posterunkowego stwardniał. Z irytacją cisnął papierosa między skały, jak gdyby Shan popsuł mu przyjemność, po czym wstał.

- Aż za szybko - burknął.

- Nie puszczajcie muzyki, kiedy jedziecie konno - poradził Shan, gdy policjant niezdarnie próbował wsiąść na konia z karabinem na ramieniu. - To go płoszy. I nie siedzicie mu stale na grzbiecie. Tybetańczycy połowę drogi idą pieszo obok swych koni, rozmawiając z nimi.

Jin rzucił mu kpiący uśmiech i sięgnął do wyłącznika magnetofonu.

- Stąd jest daleko do domu - zauważył Shan.

Policjant zmarszczył brwi, jednak nie dotknął wyłącznika. Usiadł prosto, dźgnął konia piętami i odjechał sztywnym klusem.

Dwadzieścia minut później Shan, stojąc w cieniu głazu, z narastającym uciskiem w trzewiach obserwował chmurę pyłu, która sygnalizowała przejeżdżający autobus. On również nauczył się instynktownie wyczuwać obecnośćbezpieki. Przyłapał się na tym, że pochyła ciało do przodu, jak robią to drobne górskie zwierzątka, gotowe do ucieczki przed zbliżającym się drapieżnikiem. Zmuszając się, by nie odrywać wzroku od

chmury mijającej właśnie odległą o czterysta metrów skalną wieżę, zerknął w dół, uświadomiwszy sobie, że bezwiednie zacisnął dłoń na nadgarstku, gdzie wytatuowany był jego numer obozowy. Podniósł postronek muła i zaczął się wolno wycofywać, gdy nagle poczuł pod stopami dziwne drżenie, jak gdyby lekki wstrząs sejsmiczny. Chwilę później dobiegł go zgrzyt metalu, trzask pękającej opony, a następnie gniewne okrzyki, stłumiony wystrzał z pistoletu i gorączkowe gwizdki. Spojrzał na muła, który zaczął skubać kępkę trawy, po czym popędził ścieżką w stronę szosy.

Parę chwil później, przycupnięty za skałą, spoglądał w dół na obraz chaosu. Mały wojskowy autobus, mogący pomieścić może dwudziestu więźniów, stał w poprzek wąskiej drogi, wklinowany między pionowe skały po obu stronach. Przednia szyba była rozbita, prawe przednie koło płaskie, zderzak i błotnik ponad nim zgniecione od uderzenia w skalną kolumnę, która runęła, tarasując drogę. Inne głązy z domniemanej lawiny uderzyły w bok autobusu, wgniatając do środka dwa z zakratowanych okien. Młody funkcjonariusz bezpieczeństwa, prawdopodobnie kierowca autobusu, siedział oparty o skałę, ogłuszony, z głową zakrwawioną w miejscu, gdzie rozbił ją o przednią szybę. Oprócz niego Shan widział jeszcze tylko jednego pałkarza, który biegł między skały po drugiej stronie drogi, rozpaczliwie dmuchając w gwizdek. Uwięzieni w autobusie mnisi uciekali, z wyjątkiem jednego starego człowieka w czerwonej szacie, który pochylał się nad rannym kierowcą.

Shan zsunął się ze skalnego występu na szosę. Kierowca stracił przytomność, a lama oddał pas od swej szaty, by obwiązać nim krwawiącą głowę pałkarza. Lekko uniósł głowę na jego widok. Shan nie znał go, pamiętał jednak doskonale ze swych obozowych lat ów znużony uśmiech i spokojne, pozbawione lęku oblicze.

- Zrobiłeś dla niego, co mogłeś - powiedział nagłaco. -

Proszę, odejść. - Wiedział, co lama zamierza zrobić, i nappełniało go to przerażeniem. - Opuszczając ten autobus, uciekłeś. Nie będzie miało znaczenia, czy złapią cię dziesięć kroków, czy dziesięć kilometrów od niego. Ja się nim zajmę - dodał, klękając przy nieprzytomnym mężczyźnie. - Nie masz pojęcia, co oni ci zrobią. Idź do swoich przyjaciół, oni potrzebują cię bardziej - mówił, gdy lama sadowił się w pozycji medytacyjnej. - Pałkarze... - Lama uciszył go, unosząc dłoń w znajomym geście, zaproszeniu do mantry. Przez umysł Shana przemknęły wspomnienia mnichów z jego dawnego obozu pracy, bitych do nieprzytomności pałkami i rurami, starych Tybetańczyków kopanych po szczękach, póki nie wypadły im zęby, łamów patrzących spokojnym wzrokiem, gdy oprawcy przystawiali im pistolety do głowy. Lama lekko skinął głową, jakby wiedział to wszystko, po czym zaczął mamrotać cicho mantrę w intencji rannego pałkarza, inwokację do Buddy Uzdrawiciela.

- *Lha gyal lo* - powiedział zduszonym głosem Shan, odchodząc. Niech zwyciężą bogowie.

Wśród skał pięćdziesiąt metrów dalej mignęła bordowa plama. Pobiegł w jej stronę i znalazł trójkę ukrywających się, drżących ze strachu mnichów.

- Uciekajcie od szosy! - krzyknął, wskazując labirynt skał na stoku ponad nimi. Pałkarze mogli wrócić lada moment. Przyniosą ze sobą pałki i elektryczne bicz na bydło, którymi będą zadawać ogłuszające ciosy. Złapał za nadgarstek pierwszego mnicha, do którego dotarł, młodego Tybetańczyka z poszarpaną blizną na podbródku, ten jednak z błyskiem sprzeciwu w oczach wyszarpnął rękę. - Ci tutaj to strażnicy więzienni, nie zapuszczą się daleko od szosy - wyjaśnił Shan. - Ale wezwą helikoptery z komandosami ze straży granicznej. Idźcie do wyżej położonych dolin - nalegał. - Pozbądźcie się mnisich szat. Nie możecie wrócić do waszej gompy. Schrońcie się wśród pasterzy, ukryjcie w jaskiniach.

- Nie zrobiliśmy nic złego - zaprotestował młody mnich. - Rinpocze ma rację - dodał, używając słowa, jakim określano szanowanych nauczycieli, ruchem głowy wskazując siedzącego na skraju szosy starego lamę. - To zwykle nieporozumienie.

- To nie jest żadne nieporozumienie. Czekałaś lata w więzieniu bezpieki. - Pozostali mnisi zgarnęli luźne końce swych szat i ruszyli biegiem pod górę.

Młody mnich zrobił kilka niepewnych kroków w stronę lamy opiekującego się rannym pałkarzem.

- Nie mogę go opuścić.

- Nie będą trzymać was razem - powiedział Shan do jego pleców. - Idź teraz do niego, a jedyne, co osiągniesz, to gwarancja, że spędzisz następne pięć lat w chińskim więzieniu. Rozbiją twoje pudełko na amulet, spalą twoją mniszą szatę.

Mnich odwrócił się z udawką na twarzy.

- Słyszałem o Chińczyku, który sam był więźniem, a teraz pomaga naszym. Jak się nazywasz?

- Nie chcesz znać mojego imienia, a ja nie chcę znać twojego. Ruszaj - odparł z naciskiem Shan, wskazując w górę stoku.

- Ale rinpocze...

Shan obejrzał się w stronę lamy. Serce podeszło mu do gardła.

- Tacy starcy traktują uwięzienie jako długi pobyt w pustelni. Najlepsze, co możesz dla niego zrobić, to uciec, uratować się, żebyś mógł pozostać mnichem. Oszczędź mu bólu świadomości, że przez niego straciłeś wolność.

Mnich, patrząc na lamę, wyszeptał bezgłośnie modlitwę, dotknął swego pustego nadgarstka, gdzie nosił różaniec, nim zerwali go pałkarze, po czym ruszył biegiem w górę stoku.

Gdzieś dalej na szosie rozległy się metaliczne świsty, po nich zaś ostre rozkazy i długi, udręczony jęk. Shan, walcząc

z ogarniającą go paniką, rozejrzył się dookoła. Wśród potrzebnych skał na zboczu ponad sobą dostrzegł barwne łuki. Gruba czerwona lina wspinaczkowa, pętla z liny czarno-żółtej. Znalazł skradziony sprzęt alpinistyczny. Coś zazgrzytało mu pod stopą. Pochyliwszy się, podniósł stalowy karabinek, jakich używano wraz z linami. Znowu spojrzął w górę, na rumowisko, starając się odgadnąć, w jaki sposób wykorzystano liny, gdy z grzbietu ponad nim dobiegły trzy głośne trzaski. Wystrzały. Zerwał się do biegu.

Spodziewał się rannych mnichów. Spodziewał się wściekłych pałkarzy. Biegając, robił w myślach przegląd rzeczy, które miał na sobie, a z których mógłby zrobić bandaż. Gdy jednak wypadł na małą, płaską równinę na szczycie grzbietu, ujrzał nie mnichów, lecz wypadek drogowy. Wielki ciemnoszary sedan zjechał z wąskiej szosy. Dotarł do niego zdyszany i oparł się o błotnik przy otwartych drzwiach kierowcy, by złapać oddech, uświadamiając sobie, że samochód nie uderzył w nic, ale został zaparkowany na poboczu przy kępie niskich, poskręcanych jałowców. Rozglądając się za pałkarzami, obszedł ostrożnie wóz dookoła i zmarł.

Dwie kobiety oparte plecami o głązy w pierwszej chwili sprawiały wrażenie pograżonych w cichej rozmowie. Chinka w średnim wieku, w białej jedwabnej bluzce, patrzyła pytająco na młodszą kobietę o krótko ostrzyżonych, jasnych włosach, trzymając się za brzuch, jak gdyby miała niestrawność. Ale jej dłonie były pokryte krwią. Shan uklęknął i przesunął palcami po jej szyi, nadaremnie szukając pulsu. Nie żyła, choć jej ciało było jeszcze ciepłe.

Blondynka patrzyła martwym wzrokiem w stronę horyzontu. Potem spostrzegł jednak, że palce jednej dłoni poruszają się drżaco, jak gdyby dawała mu jakiś znak. Otrzymała dwa postrzały w klatkę piersiową. Krew plamiła jej czerwoną nylonową wiatrówkę i błękitną koszulę, wypływała pianą z ką-

cika ust. Serce ścisnęło mu się, gdy odwróciła się ku niemu z konsternacją i błaganiem w oczach. Usiadł obok niej i otoczył ją ramieniem, ocierając plamkę krwi z jej czoła.

- Proszę się nie ruszać - szepnął po chińsku, po czym powtórzył to samo po angielsku, głaszcząc ją po głowie. Uciekaj! - krzyczał mu gorączkowy głos pod czaszką. Musiał uciekać, musiał pomóc mnichom, ile zdoła. Ale nie mógł zostawić umierającej kobiety.

- Kto to zrobił? - wyszeptał.

Jej wargi rozchyliły się i zamknęły.

- Kruk - szepnęła po angielsku. Jej palce napotkały jego dłoń i zacisnęły się na niej, gdy spojrzała znów w niebo. Nie w niebo, uświadomił sobie Shan, nie na ptaka, ale na wysoką, groźną górę na południu. Patrzyła na Everest. Zerknęła na niego z przeproszającym, przypominającym grymas uśmiechem. - Czy to mnie... - zaczęła słabiutkim głosem, nim krew silniejszym strumieniem wypłynęła z jej ust, dławiąc słowa. Uniosła dłoń i dotknęła krwi na wargach, rozsmarowując ją po policzku, kiedy zakaszła.

- Przybędzie pomoc - powiedział ochryplym głosem. - Wszystko będzie dobrze. - Kiedy przyjdą pałkarze, poprosi ich, by wrócili do autobusu, gdzie jest apteczka i radio, przez które można będzie wezwać karetkę.

Znów uśmiechnęła się słabo, jak gdyby przyłapała go na żarcie, po czym oparła głowę o jego ramię niczym pragnąca odpocząć chwilę stara przyjaciółka. Z ogromnym wysiłkiem uniosła wolną rękę i dotknęła zawieszanej na szyi ozdobnej kasetki, wydobytej spod koszuli. Było to gau, tradycyjne tybetańskie pudełko na amulet. Popchnęła je w jego stronę, jak gdyby chcąc pokazać mu je, po czym jej dłoń osunęła się w dół. Gładził ją po ubrudzonych jasnych włosach, szepcząc dalsze słowa otuchy, podczas gdy dłoń trzymająca jego rękę słabła, a urywany, wymuszony oddech stopniowo ustawał.

Przyglądał się jakby z oddali własnej dłoni, wciąż głaszczącej jej głowę patrzącą martwymi oczyma na matkę gór, słyszał własny głos szepczący żalosne, bezużyteczne zapewnienia, gdy na powrót wsuwał gau pod jej koszulę. Zbyt późno dostrzegł obok siebie cień, zbyt późno zauważył u swego boku nogę w szarym mundurze. Elektryczny bicz dotknął jego ręki, karku, kręgosłupa, a on z jeszcze większego oddalenia przyglądał się, jak jego ciało, wstrząsane drgawkami, ciągnie na siebie martwą cudzoziemkę, jej krew zaś rozsmarowuje mu się po twarzy i klatce piersiowej. Potem coś uderzyło go w głowę i osunął się w niepamięć.

Rozdział 2

Jedynym zdrowym okiem Shan przyglądał się, jak dłoń martwego więźnia drga, płosząc muchy, które obsiadły jej otwartą ranę. Widywał to już wcześniej, ów odruch żaby laboratoryjnej, u świeżo zmarłych po torturze elektrowstrząsami. Żyłaste palce chwyciły powietrze, jak gdyby gorączkowo szukając tęczowej liny, po której dobrzy buddyści wciągani byli do nieba. Mimo kłującego bólu uniósł głowę z posłania na tyle, by prześledzić martwe ramię w poszukiwaniu jego właściciela. Nagle z jego gardła wyrwał się niski, szarpiący jęk. To była jego własna ręka.

Z olbrzymim wysiłkiem dźwignął się do pozycji siedzącej, oparty o malowaną ścianę z pustaków, nie zwracając uwagi na odrętwienie nóg, obmacując palcami niewidzące oko, by się upewnić, że jest po prostu zamknięte od opuchlizny. Ból, który eksplodował, kiedy uniósł głowę, nie przypominał żadnego, jakiego doznał od lat. Mimo zawrotów głowy usiłował rozejrzeć się po celi, spostrzegając kałuże świeżej krwi i wymiocin na betonowej podłodze pod brudną porcelanową umywalką. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, osuwając się po ścianie, nim znów stracił przytomność, był wyblakły plakat polityczny na ścianie przed celą, przedstawiający promiennie uśmiechniętych robotników i hasło **RADUJMY SIĘ Z PRACY LUDU**.

Gdy ocknął się ponownie, była noc, rozświetlona jedynie pojedynczą słabą żarówką wiszącą pośrodku korytarza nad

metalowym stołem, obok którego na stelażu stała tablica. Podpierając się o ścianę, wstał niepewnie i zrobił krok naprzód. Podłoga celi podjechała w górę i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Znów podniósł się z trudem i zrobił kolejny krok, wykorzystując lekcje swych tybetańskich nauczycieli, by znieść mękę, jaką sprawiał mu każdy ruch, póki nie opadł wreszcie na podłogę w przednim kącie celi. Chwyciwszy kratę w drzwiach, podciągnął się do światła, by się przyjrzeć dziełu swych oprawców. Skóra na lewym ramieniu była w kilku miejscach otarta do krwi. Wargi miał zakrwawione i opuchnięte, kilka górnych zębów chwiało się i krwawiło. Instynkty więźnia, uśpione, odkąd opuścił obóz, wzięły górę, dokonując przeglądu użytych narzędzi. Pałka na szczękę i barki. Na ramię - pałka owinięta gruboziarnistym papierem ściernym, zdzierająca płyty skóry przy każdym dotknięciu, ulubione narzędzie prowincjonalnych garnizonów. Stalowe noski butów na podudzia. Obcasy na górną część stóp. Zamknął oczy, by wziąć się w garść, po czym przesunął językiem po wnętrzu policzka. Nie wyczuł żadnego obcego posmaku w ustach, żadnej metalicznej nuty. Nie zaczęli jeszcze aplikować mu chemika-
liów.

Zaciskając zęby z bólu, podwinął nogi, przyjmując pozycję medytacyjną, i utkwiał wzrok w podłużnym okienku z szybą ze zbrojonego szkła, umieszczonym tuż pod sufitem w tylnej ścianie celi. Za oknem przesuwały się gwiazdy. Zamoczył palec w najbliższej kałuży krwi i narysował na ścianie okrąg, wewnątrz niego drugi, po czym zaczął wypełniać je wzorami. Gdy pracował nad mandalą, powoli odzyskując jasność umysłu, włos zaczął mu się jeżyć na karku. Obejrzał się i w otwartej celi na końcu mrocznego korytarza ujrzał żarzący się papieros. Ktoś siedział na pryczy, obserwując go.

Wykręcił tułów, znów się uchwycił kraty i z wysiłkiem, który przeszył bólem jego barki, obrócił się twarzą do koryta-

rza. Patrzył na poruszający się ognek papierosa obserwującego go człowieka, dopóki nie zalała go nowa fala bólu, rozpalając mu pod czaszką ogień, od którego zwinął się na podłodze. Na przemian to tracił, to odzyskiwał przytomność, w głowie kłębiły mu się wspomnienia i wizje, a udręczone ciało odmawiało posłuszeństwa, nie pozwalając odróżnić rzeczywistości od przywidzeń. Ciała zbiegłych mnichów leżały na stosie niczym drewno na opał, a pałkarz oblewał je benzyną. Jego ojciec, profesor, krótkimi, urywanymi sylabami recytował Szekspira, torturowany płonącymi patykami. On sam stał na szczycie Czomolungmy z Tenzinem i jasnowłosą kobietą, gdy nagle wiatr porwał ich i cisnął wszystkich troje w komin, w którym unosili się wśród zwłok martwych alpinistów.

Powoli do jego świadomości dotarło blade światło sączące się przez małe okienko. Minęły godziny. Znów leżał na podłodze, walając się we własnych nieczystościach. Jakiś człowiek chodził przed celą. Jego czarne oficerki połyskiwały, kiedy przecinał plamę słonecznego światła. Przystanął i rozmawiał z kimś. Chwilę później ktoś wylał na Shana kubek lodowatej wody.

Nie zareagował. Ktoś zaklął. Ktoś rzucił szeptem nowe rozkazy. Metalowe drzwi otworzyły się i zamknęły raz i drugi. Przez mgłę bólu Shan przyglądał się, jak pałkarz zaczyna wlewać do wiadra zawartość plastikowej butelki.

Na pierwszy ślad drażniącej woni zaczął gramolić się na nogi, zaciskając z bólu zęby i wyciągając się, by sięgnąć rękami krat. Wiedział z doświadczenia, że niektórzy pałkarze lubią oblewać więźniów amoniakiem.

- Obudziliście się wreszcie - odezwał się oficer powolnym, kulturalnym głosem z akcentem, od którego ciarki przeszły mu po plecach. Ten człowiek był szkolony w Pekinie, prawdopodobnie należał do jednej z anonimowych jednostek, które sprzątały brudy na zlecenie elit partyjnych. Ogarnęły go złe

przeczcucia. Dlaczego do rozprawy z nim przysłano kogoś takiego?

Ledwo widząc na oczy, uchwycił się prętów. Po nodze spływała mu strużka krwi. Każdy głębszy oddech wywoływał grymas bólu. Zamknął oczy, koncentrując się przez chwilę, po czym wbił wzrok w pałkarza.

- Muszę się napić herbaty - powiedział ochrypłym głosem. Choć oczy oficera wciąż skrywał cień, jego zimny uśmiech

był doskonale widoczny. Odwrócił się i rzucił szeptem krótki rozkaz, na co strażnik odszedł spieszenie w głąb korytarza.

Nikt nie odezwał się więcej, dopóki Shan nie został zaprowadzony do metalowego stołu pośrodku korytarza i przykuty do krzesła, przed którym stał kubek z herbatą. Uniósł kubek do nosa, pozwalając, by para przepędziła chmurę, która zaległa mu pod czaszką, po czym wypił jednym haustem niemal połowę parzącego płynu.

- Jestem major Cao - przedstawił się oficer, napełniając z termosu drugi kubek. - Będziemy pracować razem nad rozwiązaniem pewnych spraw.

- Tradycyjnie - stwierdził rwącym się głosem Shan, gdy oficer usadowił się na krześle naprzeciw niego - przesłuchanie rozpoczyna się przed torturami. Mogłoby się okazać... - szukał właściwego słowa - nieproduktywne okaleczenie więźnia bez sprawdzenia, czy jest skłonny do współpracy.

- Nie rozumiecie - odparł Cao. - To, co wam zrobili, to po prostu prezent pożegnalny. Każdy funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa w tym rejonie, każdy żołnierz z tamtego oddziału otrzymał z waszego powodu nowy przydział. W większości na placówki pustynne, gdzie na całe lata słuch o nich zaginie. Nie mogli się powstrzymać, by przed odejściem nie okazać, co do was czują.

Shan, zdjęty zgrozą, przyglądał się w milczeniu, jak oficer otwiera na stole wyświechtaną, poplamioną żółtą teczkę ze

znajomym kobylistym podpisem na okładce. Ten człowiek był mistrzem w swoim fachu. Nietrudno było ustalić tożsamość Shana po wytatuowanym na ręce numerze obozowym, sądził jednak, że jego akta zostały pogrzebane tak głęboko, że nikt nie zdoła do nich dotrzeć. Nagle, uświadomiwszy sobie coś, uniósł wzrok.

- Jaki mamy dziś dzień? - Na sprowadzenie tej teczki z odległego Lhadrung potrzeba byłoby co najmniej czterdziestu ośmiu godzin.

Cao zignorował go.

- Czyta się to jak jedną z tych oper pisanych na zlecenie partii - zauważył cierpko, wertując dokumenty. - Tragiczne błędy prowadzą godnego zaufania aktywistę na ścieżkę antyspołeczną, z każdym krokiem pogrążając go coraz głębiej w środowisko przestępcze, aż wreszcie, w ostatnim porywie odrazy do samego siebie, popełnia on zamach stanu. Jego podświadome pragnienie egzekucji w końcu dochodzi do głosu - mówił, zwrócony w stronę pustych cel niby do publiczności, po czym znów spojrzał na Shana. - Jeśli partia nie zdecyduje się zataić tej wiadomości, wasza egzekucja trafi na pierwsze strony gazet w całym kraju.

Shan złapał się za brzuch, starając się nie dopuścić do siebie zawartej w słowach Cao groźby; przebijał się w końcu przez szalejący w wąpiach chaos bólu i strachu.

- Więc ona była kimś ważnym? Ta postrzelona w brzuch?

- Jego wściekłość była tak ślepa, że zaćmiła mu pamięć - ciągnął pałkarz w stronę cel, nim znów zwrócił się do Shana. - Ścięliście kwiat społeczeństwa, zdekapitowaliście ukochany pomnik Pekinu. Waszą ofiarą, towarzyszu Shan, była minister turystyki.

Shan spojrzał w cienie, czując, jak jego ciało zalewa nowego rodzaju ból. Przed oczyma znów stanęły mu obrazy martwej Chinki i jasnowłosej kobiety, która skonała na jego rękach,

wypowiadając zagadkowe słowa brzmiące niczym skierowane do góry pytanie. W końcu wskazał gestem kubek i Cao napełnił go z kolejnym zimnym jak lód uśmiechem.

- Jaki mamy dziś dzień? - zapytał raz jeszcze głosem, w który wkradło się drżenie. - Czy wciąż jest czwartek?

Major Cao wyjął z szuflady stołu ołówek i czystą kartkę papieru, starannie narysował siedem połączonych ze sobą kratek, przekreślił pierwsze dwie i pchnął ją przez stół w stronę Shana.

- Oto cały kalendarz, jakiego będziecie potrzebować przez resztę życia - oświadczył.

Shana ogarnęła fala mdłości. Ponownie pochylił się nad parą z kubka i zamknął oczy.

- Tak poważna zbrodnia będzie wymagała prawdziwego śledztwa - powiedział, gdy znów uniósł wzrok, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie. - Pracy detektywistycznej.

- Znalezione was unurzane we krwi, trzymającego w objęciach jedną z ofiar. W kieszeni mieliście kartkę z nazwą hotelu, w którym zatrzymała się minister. - Shan z przerażeniem sięgnął do pustej teraz kieszeni. Zapomniał o tym świstku, a nie mógł dopuścić, by Cao się dowiedział, po co go nosił. - Jedynym innym dowodem, jakiego nam trzeba - ciągnął major, wskazując teczkę - jest żałosna historia waszego życia.

Shan po raz pierwszy spojrzął pałkarzowi w oczy.

- Nie - oświadczył spokojniejszym już głosem. - Gdyby tak było, nie posłaliby po was.

Cao westchnął, jakby zdążył się już zmęczyć pracą.

- Sto milionów. Tyle przynosi przemysł wspinaczkowy w ciągu roku. Pekin prosił, byśmy się upewnili, że to nie byli tybetańscy separatyści albo coś innego, co mogłoby zagrozić temu ważnemu sektorowi gospodarki. Nadmiar ostrożności, powiedziałbym.

- Więc nie chodzi o morderstwo, ale o wymianę zagraniczną.

Major spojrział na Shana z chłodnym zaciekawieniem, jak gdyby dostrzegł go dopiero teraz.

- Jak dobrze wam wiadomo, inspektorze Shan, wolimy, by nasi skazańcy byli przytomni, aby mogli okazać skruchę w ostatnich momentach życia. Można jednak wyliczać swe przewinienia, będąc przywiązany do krzesła. Czy zdajecie sobie sprawę, jak wiele kości i nerwów jest w stopach i kostkach?

Shan utkwiał w nim spokojne spojrzenie, rozważając jego słowa.

- Pekin was prosił. A więc nie jesteście z Pekinu. To oznacza Lhasę. Centralę prowincjonalną.

Oczy Cao zapłonęły. Shan trafił w czuły punkt.

- Kiedy byliście nieprzytomni, wykrzykiwaliście raz po raz pewne imię. Ko. Kim jest ten Ko? Czy powinniśmy szukać współnika zbrodni?

Żołądek Shana zacisnął się w supeł. Udał kolejny spazm bólu, by ukryć swą reakcję na to imię.

- Polityczna przypowieść może wystarczyć, by wyjaśnić sprawę ogółowi społeczeństwa, towarzyszu majorze. Koniec końców jednak, w poufnych dyskusjach na temat śmierci ministra stanu, Rada Państwa będzie oczekiwać dowodów. Ekspertyzy kryminalistycznej. Odnoszę wrażenie, że unikacie tej kwestii.

Cao wyciągnął zza termosu kolejny kubek i ścisnął go tak mocno, jakby chciał go zmiażdżyć.

- Znalazłem się tam przez czysty przypadek. Widziałem rany minister. Zginęła od strzału z bliska - ciągnął Shan. - Nie miałem na rękach śladów prochu. Czy zadaliście sobie chociaż trud, by to sprawdzić?

- Przyjechałem do was po waszym aresztowaniu. Za wstępne prace terenowe odpowiadali inni funkcjonariusze.

- Ci zagrzebani teraz w piaskach pustyni - wtrącił Shan.

- Myślę, że niektórych wysłano też na platformy wiertnicze na Morzu Południowochińskim. Współczesny odpowiednik Mongolii.

- Prawie jak Lhasa - zauważył Shan - dla ambitnego oficera Urzędu Bezpieczeństwa.

Jedna z żył na szyi Cao wystąpiła na wierzch, gdy major spojrzał na niego.

- W Tybecie kryją się jedne z największych zagrożeń dla bezpieczeństwa naszego kraju. Jest dla mnie zaszczytem móc służyć ojczyźnie, gdziekolwiek mnie pośle.

Były to, jak wiedział Shan, słowa i ton człowieka, który doznał rozczarowań w swej karierze.

- Przeszukaliście przynajmniej skały?

- Czego miałem tam szukać?

- Broni, z której oddano strzały. Morderca najwyraźniej wiedział, że Urząd Bezpieczeństwa zamknął szosę i interesuje się głównie tym autobusem z mnichami. Jak się wydaje, wiedział nawet, że w związku z tym uznano, iż minister nie potrzebuje swej zwykłej obstawy. Wiedział, że może się zbliżyć do niej, byle tylko trzymał się z dala od tego autobusu. Wiedział też, że nie może dopuścić, by przyłapano go z bronią.

- Do czego zmierzacie?

- Zmierzam do tego, jak niekompetentny okazał się Urząd Bezpieczeństwa. Pistolet jest gdzieś między skałami, przypuszczalnie nie więcej niż pięćdziesiąt czy sto metrów od miejsca zbrodni.

- Nim miną dwadzieścia cztery godziny, będziecie błagać, by móc wskazać nam to miejsce.

Shan z obojętną miną odwzajemnił spojrzenie Cao.

- Przesłuchania Urzędu Bezpieczeństwa nie są nauką ścisłą, majorze. Nim miną dwadzieścia cztery godziny, możecie mieć albo martwego więźnia, który nie pisnął słówka, albo

broń, którą posłużył się morderca, na tyle świeżą, że żywioły nie zdążyły pozbawić jej wartości dowodowej. Cao zamknął teczkę i nakrył ją pięścią.

- Kim wy, u diabła, jesteście, Shan?

- Jestem kwaśną pestką, którą Urząd Bezpieczeństwa zawsze wypłuwa - odparł z powagą Shan.

Cao wziął ze stołu inną teczkę.

- Czołowy miejscowy aktywista partyjny wniósł pewną petycję. Przypomina nam, że urząd prowadzi niedaleko stąd szpital specjalizujący się w dewiacjach przestępczych. Znany szpital, przynajmniej w kręgach Urzędu Bezpieczeństwa. Uzdrowisko, jak nazywamy go w Lhasie.

- Fabryka yeti - mruknął Shan. - Tybetańczycy nazywają go fabryką yeti.

- Zapewne dlatego, że uzdrowisko produkuje nadludzi.

- Dlatego, że kuracjusze czasem uciekają i znajduje się ich błąkających się bez celu po górach, w śniegu, zwykle nago, z inteligencją na poziomie wielkiej małpy.

Wąskie wargi Cao się nie poruszyły, ale w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

- Aktywista ten sugeruje, że jest naszym obowiązkiem wobec narodu uleczyć was, zanim was rozstrzelamy, żebyście mogli wyjaśnić mieszkańcom tego okręgu, dlaczego okryliście ich taką hańbą. Wezwałem go do siebie. Zapytałem go, jakie ma dowody waszej niepoczytalności. Odparł, że każda rozmowa z wami jest wystarczającym dowodem.

Tak więc rozpoczęły się prawdziwe tortury. Cao bez wątpienia był władny wysłać go do eksperymentalnej kliniki bezpieki. Shan, nim przed ponad pięciu laty wylądował w tybetańskim obozie pracy, spędził pewien czas w jednej z takich placówek. Każdy zdrowy na umyśle człowiek, który miał o nich pojęcie, wolałby raczej dostać kulę w łeb, niż trafić w takie miejsce.

Cao wstał i obszedł stół dookoła. Był starszy, niż Shan początkowo sądził, a grzbiet jednej dłoni przecinała mu blizna, jaką mogła pozostawić jedynie kula.

- Z pewnością, towarzyszu - oświadczył major - od dnia, w którym opuściliście Pekin w kajdankach, musieliście się spodziewać, że rząd w końcu zażąda waszego życia.

Shan wpatrywał się w swój pusty kubek.

- Pamiętam, jak jeden z moich starych wujków mówił mi, że dokonam żywota, pisząc wiersze w jakiejś górskiej samotni, wśród śpiewu ptaków.

Z gardła Cao wydobył się niski, gardłowy dźwięk. Mógł to być śmiech.

- Czytałem raz po raz waszą historię. Zwłaszcza o początkach waszej kariery, kiedy zyskaliście sławę, posyłając wysokich dygnitarzy do więzienia za korupcję. Rozmawiałem nawet z niektórymi z waszych byłych kolegów. Zaczynam was rozumieć. Waszą dewizą jest kompletność. Wszystkie wątki muszą zostać powiązane. Sprawiedliwość ma dla was niewiele wspólnego z sądem. Wasza sprawiedliwość musi być absolutna, musi być katartyczna. Musi przynosić odkupienie. To właśnie wam proponuję. Sprawcie, żebym nie musiał wzywać ekipy, która czeka na zewnątrz. Wykończcie to na czysto.

Cao zamilkł. Podszedł do tablicy, przez chwilę przerzucał z ręki do ręki kawałek kredy, po czym zaczął pisać pośpiesznie.

- Zawsze lubiłem japońską poezję - oświadczył. - Proste, absolutne słowa. - Odsunął się na bok, by Shan mógł przeczytać.

Wyznanie uwalnia serce, kula uwalnia duszę, napisał. I dalej: Krew bryzga na małe ptaszki.

- Zabiorę was w góry, Shan - powiedział niemal szeptem. - Znajdę miejsce, gdzie będą śpiewać ptaki.

Shan przeczytał kilka razy jego dziwne haiku, zanim się odezwał.

- Majorze - powiedział w końcu - odnoszę wrażenie, że jak na swój zawód jesteście zbyt wielkim erudytą.

Cao spiorunował go wzrokiem, po czym obrócił się na pięcie i zniknął w cieniach. Shan nie obejrzał się za nim, słuchał tylko, jak drzwi otwierają się i zamykają raz i drugi. Strażnicy powrócili, otworzyli mu kajdanki, odprowadzili go do sali przesłuchań w innym, bocznym korytarzu i przykuli do kolejnego metalowego krzesła. Parę chwil później do sali weszło trzech mężczyzn ubranych w białe fartuchy laboratoryjne. Najstarszy z nich niósł torbę lekarską. Wyciągał swe instrumenty powoli, pedantycznie układając je w rzędzie na stole. Mały stalowy młotek. Cztery próbki dentystyczne różnych rozmiarów. Dwie pary szczypiec. Kilka długich, bardzo cienkich stalowych igieł. Krótkie kawałki gumowej rurki. Kleszcze do wyrywania zębów.

Kiedy stali, patrząc na niego w osobliwym milczącym preludium, od jakiego zawsze zaczynały się takie sesje, Shan chwycił jedną z wielkich igieł. Trzej mężczyźni zeszywnieli, cofając się o krok, kiedy ujął ją niczym nóż i pochylił się naprzód na krześle, wymachując groźnie wyglądającym szpicem w ich stronę, póki łańcuch na jego nadgarstku się nie napiął, powstrzymując ruch.

- Nie chciałbym was rozczarować - oświadczył - ale nie jestem prawiczką. - Jednym szybkim ruchem wbił sobie igłę do połowy w lewy biceps.

Jeden z techników wydał stłumiony okrzyk i uniół dłoń do ust, jak gdyby miał zwymiotować; drugiemu krew odpłynęła z twarzy. Lekarz się uśmiechnął.

Shan wątpił, by ktokolwiek w całych dziejach świata zorganizował zadawanie bólu tak sprawnie, jak pekiński Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Pałkarze mieli podręczniki, wykre-

sy, całe sześciomiesięczne programy szkoleniowe poświęcone temu, co określali jako przesłuchania fizyczne. Jak wszystkie rozwinięte dziedziny nauki, także ta miała własny żargon. Shan, w rękach mistrza, poddany został procedurze zwanej przez pałkarzy badaniem przekrojowym, w którym wypróbowywano wszystkie podstawowe instrumenty, by ocenić, na które reaguje najsilniej. Jak nauczył się od łamów, z którymi był więziony, udał się w inne miejsce, oddzielił się od siebie samego. *Potraktuj to jako szalejącą na zewnątrz burzę, nad którą nie masz żadnej kontroli*, powiedział mu kiedyś pewien stary lama. *Pozostań w środku, gdzie burza nie może dosięgnąć.*

Leżał na podłodze celi, gdzie rzucili go, gdy było już po wszystkim, nieświadomy niczego poza narastającym i przycichającym falami bólem, coraz bardziej zaintrygowany dziwnym białym kamyczkiem, który ścisnął w dłoni, aż wreszcie przypomniał sobie. Pałkarze, wpadając we frustrację, gdy odpowiadał jedynie milczeniem, dokończyli sesję w pośpiechu, wiedząc, że nie mogą zacząć na serio pod nieobecność Cao, i zareagowali jedynie obrzydzeniem, kiedy podnieśli go z krzesła, a on zwymiotował na stół, co odrzuciło ich w tył, tak że nie dostrzegli, jak chowa w dłoni ząb, który mu wyrwali.

Wypluł krew, po czym, opanowując drżenie ręki, wcisnął ząb z powrotem do zębodołu, osadzając go mocnym pchnięciem. Lata spędzone w więzieniu nauczyły go, że ząb tak niedawno usunięty ma sporą szansę ponownie wrosnąć w szczękę. Rozprostowując palce lewej ręki, pomasaował miejsce, gdzie przekłuł sobie ramię. Pałkarze nie zorientowali się w sztuczce, jakiej nauczył go przed laty pewien stary więzień. Zachowując ostrożność, i przy odrobinie szczęścia, można nie tylko zbić oprawców z tropu, ale także wykonać prymitywną akupunkturę, blokującą nerwy lewej dłoni, ulubionego celu przesłuchujących, którzy wolą pozostawić prawą nienaruszoną do pisania wyznań.

Doczołgał się do pryczy pod ścianą w głębi i opadł na nią, tracąc przytomność. Gdy ocknął się ponownie, była już noc. Z wysiłkiem przyjął pozycję medytacyjną i wpatrzył się w ciemność. Okruchy jego życia na wolności znów mieszały się z koszmarnymi wizjami. Pogodne twarze dwóch starych Tybetańczyków, których kochał jak rodzinę i których, dla ich własnego bezpieczeństwa, pozostawił przed miesiącami w górach na wschód od Lhasy. Krzyki innych więźniów dochodzące z za zamkniętych drzwi sali przesłuchań. Raz po raz zapuszczał się w stronę jednej z sal w swym umyśle, której drzwi uchyliły się w trakcie przesłuchania, nie ważąc się zajrzeć do środka w obawie przed tym, co mógłby zobaczyć. Nagle jednak zalała go nowa fala bólu, drzwi otworzyły się na oścież i nie mógł już powstrzymać koszmaru, widząc oczyma wyobraźni swego syna Ko, więźnia Shana Ko, leżącego na łóżku w fabryce yeti, torturowanego przez ten sam zespół, który pracował nad nim.

Rano na stołku obok pryczy leżał świstek papieru. Było to zawiadomienie na drukowanym formularzu. Jeśli pisemne oświadczenie, sporządzone w obecności notariusza, nie postanowi inaczej, natychmiast po egzekucji organy więźnia zostaną pobrane dla celów medycznych. Nie więźnia, spostrzegł, ale Więźnia. Na formularzu widniało jego nazwisko.

Nie zwrócił uwagi na ekipę, gdy pojawiła się znowu, wpatrywał się tylko w symboliczny krąg, mandalę, którą namalował na ścianie własną krwią. Poprzedniego dnia miał jeszcze siłę odgrywać opór. Dziś to było wszystko, co mógł zrobić, by nie krzyczeć z bólu, kiedy zwlekali go z pryczy. Próbował wycofać się w głąb siebie, oddzielić od człapiącego korytarzem

więźnia, wściekając się na wewnętrzny głos, który wyliczał mu dziesiątki sposobów, jakimi sprytny więzień może się doprowadzić do śmierci podczas przesłuchania. Gdy lekarz otworzył torbę, jego ciało mimowolnie zareagowało napadem suchych, szarpiących torsji.

Popadł w dziwne odrętwienie, obojętny na krzątaninę wokół siebie, dopóki nie wyrwał go z tego stanu nowy, przeszywający ból w prawej ręce. Jego spojrzenie powędrowało ku tkwiącej w jego żyłę igle i odchodzącej od niej rurce od kroplówki. Jeden z techników wstrzykiwał coś do zaworu w rurce. Z wysiłkiem skupił wzrok na butelce przezroczystego płynu, którą mężczyzna zostawił na stole. Po smaku w ustach powinien rozpoznać natychmiast, czy jest to stosowane przez bezpiekę serum prawdy, czy też jedna z substancji, od których mięśnie paliły żywym ogniem. Gapił się tępo w butelkę, nie pojmując z początku kojącego ciepła, które rozchodziło się po jego kończynach. Nagle oprzytomniał kompletnie. Wodził wzrokiem po nieprzyjaznych twarzach lekarza i techników, szukając wyjaśnienia. Podawali mu środek przeciwbólowy i glukozę. W milczeniu opatrywali jego rany.

Dziesięć minut później ekipa odeszła, pozostawiając kroplówkę z glukozą wciąż podłączoną do jego ramienia, a na uprzątniętym stole parujący kubek herbaty. Shan ledwo zdążył upić pierwszy łyk, gdy z cieni wyszedł Cao.

- Jak słyszałem, tutejsze góry to setki kilometrów pustkowi - odezwał się kwaśno.

Głos Shana zabrzmiał jak ochryply skrzek.

- Tysiące - sprostował.

- Świetnie. Zniknijcie tam. - W słowach majora czaiła się zimna furia. - Jeśli jeszcze kiedykolwiek was zobaczę, postaram się o tasak i samolot i na waszych oczach porzrzucam was, kawałek po kawałku, po całych górach.

Shan w milczeniu sączył herbatę, zastanawiając się, jaką

pułapkę zastawia na niego Cao, aż wreszcie przypomniał sobie, jaki czas musiał minąć od ostatnich tortur.

- Znaleźliście pistolet - domyślił się.

Cao nie odpowiedział. Podszedł do niego, wyrwał mu z ramienia igłę od kroplówki i bez słowa wskazał mu drzwi.

Gdy brama zatrzasnęła się za nim, Shan stał, mrużąc oczy w jaskrawym porannym słońcu. Shogo dopiero budziło się do życia. Popękanym chodnikiem przechadzało się małe stadko owiec. Ulicą przemknęła grupa lśniących sportowych samochodów terenowych, wypełnionych turystami zmierzającymi w Himalaje po krótkiej wycieczce do centrum handlowego na dachu świata. Gdzieś ktoś palił kadzidło, ofiarę dla bogów na nowy dzień. Shan zrobił dwa chwiejne kroki, nim zauważył dobrze ubranego Tybetańczyka siedzącego przy stoliku przed herbaciarnią po drugiej stronie ulicy. Przystanął, by przepuścić dwie wojskowe ciężarówki wypakowane komandosami ze straży granicznej, które minęły go pędem w chmurze pyłu, po czym, kuśtykając, przeszedł przez jezdnię.

Tsipon, czołowy przedsiębiorca w Shogo, najwyższy rangą miejscowy członek partii, był jedynym mieszkańcem miasta, który kiedykolwiek nosił krawat. Ubrany w garnitur i białą koszulę wyglądał, jakby uczestniczył w zebraniu służbowym.

- Dziękuję, że próbowałeś umieścić mnie w szpitalu - powiedział Shan, opadając na krzesło obok niego.

- Jest sezon wspinaczkowy, do cholery. Nie mogę sobie pozwolić na stratę kolejnego pracownika. Ci durni pałkarze nie mają pojęcia o ekonomii.

Z herbaciarni wyszedł kolejny mężczyzna, niosąc trzy kubki czarnej herbaty, które postawił na stole, przesuając jeden w stronę Shana, nim usadowił się na trzecim krześle. Był wysoki i wysportowany, z ogorzałą cerą człowieka spędzającego długie dni w wysokich partiach gór. Za sprawą czarnych włosów można było na pierwszy rzut oka wziąć go za tybetańskiego kelnera, jednak jego twarz miała zachodnie rysy, a ubranie i buty kosztowały tyle co roczny dochód przeciętnego Tybetańczyka.

- Spójrz na niego - mruknął nowo przybyły po angielsku do Tsipona. - To wrak człowieka. Nici z naszej umowy.

Shan zerknął na Tsipona, który patrzył na niego wyczekująco. Najwyraźniej było to jednak zebranie służbowe.

Tsipon uśmiechnął się chytrze, po czym przywołał gestem stojącą w otwartych drzwiach kobietę. Pochyliła się nad nim, słuchając szeptanych poleceń, i odeszła szybkim krokiem.

- Jaki dziś dzień? - zapytał Shan po tybetańsku.

- Przykro mi. Sobota.

Shan zamknął oczy. Na chwilę ból wymknął mu się spod kontroli. Każda synapsa zdawała się krzyczeć w męczarniach.

- Region prowadzący do tras wspinaczkowych po nepalskiej stronie gór został zamknięty przez nepalską armię - powiedział Tsipon, przechodząc na angielski. - Problemy z rebeliantami usiłującymi opanować Katmandu. Żadnym obcokrajowcom nie wolno w tym sezonie wspiąć się po południowym zboczu. Obecny tu pan Yates ma już zapisane na ten sezon trzy grupy alpinistów, którzy się spodziewają, że w ciągu najbliższych sześciu tygodni zostaną zabrani na szczyt. Musi w związku z tym poprowadzić ich północną ścianą.

Gdy nieznajomy pił herbatę, Shan zauważył odbarwioną skórę na dwóch palcach jego dłoni, z których jednemu brak było ostatniego członu - pamiątka po odmrożeniu w wysokich górach.

- To niemożliwe - odparł. - Wiesz, że to niemożliwe. - Wprowadzenie wyprawy na stok oznaczało tygodnie planowania, załatwiania zezwoleń, wyboru lokalizacji obozów pośrednich, rozmieszczania zapasów.

Nieznajomy podsunął mu stosik serwetek, wskazując mokrą szkarłatną plamkę na blacie stołu. Spod bandaża na czole kapiała mu krew.

- Do diabła, Shan - warknął Tsipon, przechodząc na tybetański - ten Amerykanin ma forsy jak lodu. Jego firma wzięła już kasę za trzy wyprawy. Zdajesz sobie sprawę, ile to pieniędzy? Doliczy im dalsze dwadzieścia procent za przejazd do Chin, z czego ja mam dostać jedną czwartą.

Gdy Shan przyciskał serwetkę do czoła, kobieta powróciła, stawiając przed nim talerz parujących momo, tybetańskich pierożków. Jego wolna ręka, jak gdyby sama z siebie, chwyciła jeden i wepchnęła mu do ust.

- Potrzebuję Szerpów - ciągnął Tsipon - górskich tragarzy, mułów i koni. Trzeba rozplanować obozy, rozmieścić zapasy, założyć nowe poręczówki.

Shan spoglądał to na niego, to na Yatesa.

- Więc przejdź się po wioskach - odparł, pochłaniając kolejne momo. - Odpowiednia ilość forsy potrafi zdziałać cuda. - Ogarnięty nagłą żarłocznością przypomniał sobie, że przez ostatnie trzy dni zjadł jedynie garstkę zimnego ryżu.

- Nie tym razem - wyjaśnił Tsipon. - Jest pewna komplikacja. Szerpowie obwiniają mnie. Ja winię ciebie.

Shan zerknął na Amerykanina, który z zakłopotaną, skrępowaną miną sączył herbatę, wyraźnie nie rozumiejąc ich tybetańskich słów, ale wyczuwając napięcie między nimi.

- O co?

- Chodzi o tego Szerpę, którego wiozłeś. Tenzina. Był lubiany, pochodził z dużej rodziny mieszkającej po obu stronach granicy, słynał z tego, że swego czasu wszedł na szczyt jako nastolatek. Domagają się jego zwłok.

Momo w dłoni Shana zastygło w powietrzu.

- Przecież chyba ktoś znalazł muła. Nie mógł odejść daleko.

- Nie. Nic.

- Nie rozumiem.

- Wytlumaczę ci to jasno i wyraźnie - odparł Tsipon, wciąż po tybetańsku. - Ten dumny Amerykanin i jego partnerka oferują największą szansę, jaką miałem w życiu, największą, jaką kiedykolwiek miało to miasto. Zgodziłeś się pracować dla mnie, bo mogłem załatwić ci wstęp do tej fabryki yeti, żebyś mógł się zobaczyć ze swoim synem nicponiem.

Shan poderwał głowę, dziwnie spłoszony wzmianką o swoim synu, bardziej jeszcze przerażony, że ktoś mógłby podsłuchać i odgadnąć sekret, który sprowadził go w te strony. Podczas straszliwych godzin spędzonych w areszcie i wcześniej jeszcze, przez wiele ciemnych nocy, podtrzymywała go na duchu szalona nadzieja, marzenie, fantazja, że nie tylko odwiedzi swego syna w tajnym szpitalu bezpieczeństwa, ale także znajdzie jakiś sposób, by wydostać go stamtąd, jeśli nie na wolność, to choćby z powrotem do obozu pracy w Lhadrung, gdzie Shan i jego przyjaciele mogliby mu pomóc.

- Zgodziłem się zatrudnić cię z powodu twojego daru rozwiązywania problemów z tymi dinozaurami z gór.

Shan, ze wzrokiem utkwionym w momo, pokręcił głową.

- Miałeś mnie tam wprowadzić. Czekałem już dwa miesiące.

- W ten czwartek miałeś dołączyć wraz ze mną do oficjalnej delegacji partyjnej, która przyjechała tam na wizytację. Przepuściłeś okazję.

Przygnębienie, jakie ogarnęło Shana, było tak przemożne, że musiał się uchwycić stołu.

- Więc kiedy będzie następna? - zapytał głuchym głosem.

- Znajdź mi tego martwego Szerpę - odparł obojętnym tonem Tsipon - albo wybij sobie z głowy, że zobaczysz syna.

Shan wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. Nie wypuszczono go na wolność. Tsipon i pałkarze znaleźli po prostu nową formę tortur.

Stopniowo dotarło do niego, że Yates podsuwa mu następne serwetki. Krew kapiała mu na pierożki. Zdjęty mdłościami odsunął talerz i z wielkim wysiłkiem podniósł się z krzesła. Zachwiał się, zrobił jeden niepewny krok i nieprzytomny runął na ziemię.

Nie był świadomy, że go przenoszono. Jedyne, co docierało do niego, to krążący po jego ciele ból, a później nikłe światełka w ciemnościach i dalsze koszmarne wizje. Ból napływał falami, to silniejszy, to słabszy, nie pozwalając mu się skupić, spróbować wydobyć sens z wydarzeń, które się rozegrały od czasu, gdy zostawił ciało Tenzina na stoku góry. Twarze z jego pekińskiej przeszłości szczydziły z niego. Wizje torturowanego Ko przybrały na sile, przeplatane obrazami zdezorientowanych, pozbawionych życia twarzy: jasnowłosej kobiety na górze, pytającej, dlaczego musi umrzeć, Tenzina pytającego, dlaczego Shan porzucił go w godzinie największej potrzeby. Gdy ocknął się w ciemnościach, podtrzymywała go jedna jedyna myśl. Tsipon nie rozumiał. Shan mógł zobaczyć się z synem bez jego pomocy. Wystarczy, żeby udał się do nowego hotelu u stóp góry, a będzie mógł zapomnieć o Tsiponie, Cao i morderstwach. Zanim znów stracił przytomność, usłyszał własny głos wołający Ko, błagający go, żeby przeżył, by wytrzymał szpitalne tortury.

W końcu pozostała tylko bogini. Unosząc się w ciemnościach, patrzyła na niego z wyczerpującą się wyrozumiałością, z wyrzutem w oczach, przypominając mu, że w górach są zbiegli mnisi, przerażeni ludzie, którzy potrzebują jego pomocy.

Z każdym przebudzeniem coraz wyraźniej postrzegał swoje otoczenie. Przy jego posłaniu pojawiła się herbata i makaron, a kiedy je zjadł, w magiczny sposób odnawiały się, czekając na niego obok migoczącej świeczki za każdym razem, gdy odzy-

skiwał przytomność. Wreszcie, nagle kompletnie rozbudzony, usiadł na pościeli.

Odkrył, że mroczną izbę, w której się znajdował, tworzą grube, czarne filcowe koce rozwieszane na linach wspinaczkowych wokół jego pościeli. Po obu stronach prowizorycznego pomieszczenia stały odwrócone do góry nogami drewniane skrzynki. Na skrzynce po jego lewej stronie leżała sterta gazy, a na niej rolka plastra i torebka zasypana antybiotykiem. Na skrzynce po prawej ustawiono mały posążek tybetańskiej bogini opiekuńczej, Tary. Po bokach Tary w deskę wetknięte były dwa tłące się brązowe patyczki, między którymi leżał skrawek papieru z nabazgraną znajomą mantrą. Shan rozpoznał woń aloesu. Ktoś opatrywał go bandażami i proszkami. Ktoś inny kurował go leczniczym kadzidłem i inwokacją do Buddy Uzdrowiciela.

Wstał wolno, przeciągając się, po czym rozmasował zesztywniałe kończyny. Obmacał koce, aż w końcu znalazł przerwę między nimi i wyszedł chwiejnym krokiem w znajomy labirynt kamieni i starych belek. Opuszczona od dziesiątków lat stajnia, którą przed dwoma miesiącami zaadaptował na swoje mieszkanie, znajdowała się u wylotu szerokiego żlebu, który służył mieszkańcom Shogo za wysypisko śmieci. Choć miejscowi unikali tego miejsca, choć Tsipon proponował mu lokum na tyłach swego składu, Shan upodobał sobie ten budynek. Był stary i zniszczony, ale jemu z wiekiem coraz bardziej odpowiadały zniszczone starocie, zwłaszcza te tybetańskie. Widział sterczące z gruzów grube, ręcznie ciosane słupy i belki, równie solidne jak przed setkami lat, kiedy wzniesiono tę konstrukcję. A pod stertami gruzu w głębi pomieszczenia zobaczył coś jeszcze, co było prawdziwym powodem, dla którego urządził tutaj swój skromny dom. Pokuśtykał do prowizorycznego warsztatu, zrzucił okrywającą go zakurzoną płachtę i upewnił się, że niczego nie tknięto. Na deskach rozłożonych

było kilkanaście starożytnych ręcznie rytych klocek drukarskich, używanych do drukowania pech, tradycyjnych modlitewników tybetańskich. Każdą wolną chwilę w stajni spędzał na odnawianiu wydobytych z gruzowiska długich prostokątnych deszczulek, dopasowując i sklejjając odłamane fragmenty, zdrapując brud i wyschnięty nawóz wypełniający przestrzenie między rzeźbionymi literami i rytualnymi wizerunkami. Podniósł klocek, nad którym pracował ostatnio, i machinalnie zaczął zeskrobywać z niego warstwę brudu.

Stało się to conocnym rytuałem, który przybliżał go do jego starych przyjaciół, Genduna i Lokesha, do tego stopnia, że niekiedy czuł przy sobie ich obecność, co było lepszym lekarstwem niż jakakolwiek maść czy pigułka.

Zakończył pracę nad deszczulką z drewna różanego, stronicą z *Sutry serca* ozdobioną wyrzeźbionymi na brzegach ptakami, i włożył ją do ukrytego w cieniu worka; zamierzał zabrać najlepsze z nich do Lhadrung, gdzie będą bezpieczne u jego przyjaciół w sekretnej pustelni. Zabrał się do kolejnego klocka, oczyszczając go szczotką, którą sporządził z włosia z grzywy starego muła, kiedy zaczęła dręczyć go pewna myśl, coraz dokuczliwsza, aż w końcu odłożył szczotkę i zapatrzył się w ciemność. Nikt ani razu nie wspomniał o martwej cudzoziemce. Morderstwo ministra mogło być tematem numer jeden w Pekinie, ale zamordowanie obcokrajowca z Zachodu u stóp Everestu trafiłoby na pierwsze strony gazet na całym świecie.

Przed oczyma wciąż stawała mu otwarta, błagająca twarz jasnowłosej kobiety, która skonała na jego rękach, cudzoziemki, która, co niewiarygodne, towarzyszyła minister w podróży. *Czy to mnie?* - zapytała, jak gdyby nie była pewna, kogo zabito.

- Podobno jedna z gomp w górach wciąż używa tych rzeczy - odezwał się niespodziewanie skrzepowany głos za jego plecami.

Shan odwrócił się gwałtownie; w drzwiach stał wysoki Tybetańczyk w okularach przeciwsłonecznych, patrząc na klocki pech.

- To znaczy ma prasę drukarską, ostatnią w tym regionie. Ta nieoczekiwana wieść przepeliła go nagłą radością.

- Wiesz gdzie? - Oczywiście wyobraźni widział już, jak niesie do gompy zawiniątko z klockami, widział niemal, jak starzy lamowie cieszą się z jego daru.

- W górach. Musimy iść. Tsipon kazał mi przyprowadzić cię, kiedy tylko będziesz się mógł utrzymać na nogach. - Główny kierownik obsługi wypraw Tsipona był człowiekiem oszczędnym w słowach.

Shan podniósł się ze stołka.

- Dziękuję, Kypo, za... - wskazał gestem osłoniętą kocami przestrzeń - za moją salę szpitalną.

- Tsipon mówił, żeby umieścić cię w jednym z pomieszczeń w składzie albo w tym domku za składem. Powiedziałem, że wolałbyś być tutaj, ze swoimi... - Kypo zerknął na warsztat - ...rzeczami.

Shan nie ukrywał przed Kypo swej pracy nad klockami drukarskimi, ale Tybetańczyk nigdy nie zadawał pytań na ich temat ani nie przejawiał najmniejszego zainteresowania.

- Kazał mi dopilnować, żebyś miał ciemno i ciepło.

- To ty przynosiłeś jedzenie i resztę?

- Przynosiłem jedzenie i bandaże - odparł znacząco Kypo i wyszedł.

Parę chwil później Shan wszedł przez otwarte drzwi garażowe w bocznej ścianie największego budynku w mieście, na którym widniało logo Himalajskiego Przedsiębiorstwa Zaopatrzeniowego. Pracownicy nosili pudła, ładując ciężarówki zmierzające do bazy pod Czomolungmą. Tsipon, stojący z podkładką z klipsem w wejściu do magazynu o ścianach zastawionych regałami, skinął na niego, by podszedł bliżej.

Shan przyłapał się na tym, że rozgląda się po pomieszczeniu, gdzie tydzień wcześniej robił inwentaryzację. Półki uginały się wówczas od kartonów zawierających butle z tlenem, baterie do latarek, karabinki, uprząże, szpule grubych lin. Teraz połowa zapasów zniknęła.

Tsipon rzucił mu jabłko.

- Jeśli stracę przez ciebie ten kontrakt, Shan, między nami koniec - warknął. - A jeśli ja powiem do widzenia, możesz pożegnać się nie tylko ze swoim synem, ale i z Himalajami. - Życie Tsipona składało się wyłącznie z negocjacji. Musiał mieć pewność, że Shan wie, iż bez jego ochrony zostanie schwytany i aresztowany za nieposiadanie zezwolenia na pobyt.

- Powinieneś być mnie obudzić - odparł Shan. - Powiniennem być już w górach.

Tsipon pokręcił głową.

- Całe góry roiły się od żołnierzy szukających tych cholernych zbiegłych mnichów. Gdyby jakiś oficer z górskich służb specjalnych dorwał cię, bez papierów meldunkowych, jak myślisz, jak długo byś pociągnął? A biorąc pod uwagę, w jakiej byłeś formie, prawdopodobnie zaczęłaś się do jakiejś pieczary i zdechł, żeby zrobić mi na złość.

Shan ugryzł jabłko.

- Kto jeszcze przychodził do stajni? - zapytał. Wiedział, że Tsipon, jeden z najbardziej obytych w świecie Tybetańczyków, jakich znał, nie byłby w stanie zrobić ołtarzyka ani napisać mantry.

Tsipon zignorował to pytanie. Podszedł do regału, sięgnął do kartonowego pudła, wyrzucił z niego ubranie i kopnął je w stronę Shana.

- Obiecałem Amerykaninowi tuzin doświadczonych tragarzy w przyszłym tygodniu. Wczoraj byłem w Tumkot - powiedział, mając na myśli górską wioskę, która dostarczała najwięcej tragarzy i przewodników wykorzystywanych przez

zagraniczne wyprawy alpinistyczne. - zaproponowałem podwójną stawkę. Praktycznie wyrzucili mnie. Ich cholerna wróżbitka podburzyła całą wieś, oświadczając, że znaki mówią, że trzeba ugłaskać górę, że góra zażądała Tenzina i musi dostać go z powrotem. Domagają się ciała. Obiecałem im, że je sprowadzisz.

- Kiedy?

Tsipon wystawił na chwilę głowę za drzwi, by zbesztać Ty-betankę, która upuściła pojemnik z paliwem.

- Mamy może trzy dni, nie więcej - warknął, po czym wskazał Shanowi drzwi do przepastnego głównego pomieszczenia składu. Zamknawszy za sobą magazyn, usiadł na jednej ze skrzynek i zapalił papierosa.

- Czy cudzoziemcy już się pojawili?

- Widziałeś tego Yatesa.

- Mam na myśli urzędników. Z jakiejś ambasady, w sprawie tej drugiej zamordowanej kobiety.

Tsipon rzucił mu zdziwione spojrzenie. Wypuścił w stronę sufitu smugę dymu.

- Musieli naprawdę nieźle zdzielić cię w głowę. Nie zamordowano żadnej cudzoziemki.

Shan zaniemówił. Zamknął oczy, znów walcząc ze skłębionym wirem wspomnień z dnia morderstw.

- Jaki interes ubiłeś z majorem Cao? - zapytał w końcu. Tybetańczyk wypuścił z nozdrzy dwa strumienie dymu.

- Interes?

- Jak załatwiłeś sprawę z bezpieką? - naciskał Shan. - Nawet jeśli nie byłem jego głównym podejrzanym, byłem najlepszym świadkiem, jakiego miał do dyspozycji. Zatrzymałby mnie przynajmniej za nieposiadanie dokumentów.

- W tego rodzaju sprawie on musi odmalować bardzo kompletny obraz. Najwyraźniej nie chce mieć z tobą już więcej do czynienia, chociaż wie, że byłeś na skraju sceny, którą maluje.

Mam cię obserwować i donosić mu - przyznał Tsipon. - Może próbować cię śledzić, choć kiedy znajdziesz się w górach, przy twoich zdolnościach nie powinno to stanowić problemu.

- Dlaczego wciąż sądzi, że byłem w to zamieszany?

- Bo miałeś w kieszeni kartkę z numerem telefonu naszego nowego hotelu, gdzie zatrzymała się minister.

Shan usiadł na jednej ze skrzynek. Cao ani razu nie spytał o tę kartkę, ale nie znaczyło to, że o niej zapomniał.

- Mogę pojechać do Lhasy - rozmyślał na głos Tsipon -

i wrócić z całym autobusem pracowników. Każdego dnia coraz więcej Tybetańczyków trafia na bruk. Ten nowy pociąg do Lhasy przywozi stu chińskich imigrantów dziennie, a każdy z nich tylko czeka, by zabrać pracę jakiemuś Tybetańczykowi. - Utkwił w Shanie znaczące spojrzenie.

Była to groźba. Tsipon wolałby zatrudnić doświadczonych górali, mógł jednak zawsze zwerbować w którymś z miast dwa tuziny zdesperowanych Tybetańczyków, którzy rzuciliby się na szansę zarobku. Byliby to ludzie beznadziejnie nieprzygotowani na czyhające w wysokich górach zagrożenia. Część z nich, być może jedna czwarta lub więcej, zmarłaby. Tsipon nie tylko obarczyłby go winą, ale także kazałby mu sprowadzić ich zwłoki.

- Po co ci był ten świstek z numerem hotelu? - zapytał Tsipon. W jego głosie nagle pojawił się gniew.

- Być może - odparł Shan, nie wiedząc, dlaczego jego głos brzmi ochryple - uda mi się wydostać syna z fabryki yeti, sprowadzić go z powrotem do jego dawnego obozu w okręgu Lhadrung, między łamów i mnichów, gdzie będzie miał szansę przeżycia. Umrze, jeśli zostanie tam, gdzie jest.

- To nie tłumaczy świstka.

- Pewien znajomy z Lhadrung zatrzymał się tam na czas konferencji. To pułkownik zarządzający okręgiem Lhadrung, zwierzchnik obozu pracy, z którego zabrano Ko.

Na twarzy Tsipona pojawił się dziwny wyraz, mieszanka konsternacji i złośliwej uciechy.

- Jak on się nazywa?

- Tan. Pułkownik Tan. On jest moją jedyną prawdziwą szansą na ocalenie syna.

Tsipon wybuchnął śmiechem tak gwałtownym, że musiał złapać się za brzuch.

- Nie rozumiem.

- Tan to winowajca. On nie jest w hotelu, ale w więzieniu u Cao. To właśnie pułkownik Tan zamordował minister Wu.

Rozdział 3

Żaglowali kopczą dżonką ponad górami. Jomo, towarzyszący Shanowi mechanik ze składu Tsipona, wierzył w reinkarnację maszyn. Sędziwa, charcząca ciężarówka jiefang, którą właśnie uczył go prowadzić, przed setkami lat była, jak uparcie twierdził kościsty Tybetańczyk, dżonką w cesarskiej flocie wojennej. Połowa jej przednich biegów nie działała, w tylnym oknie brakowało szyby, a winylowa tapicerka miała tyle dziur, że musieli siedzieć na płóciennych workach. Shan nie pytał, jakich przewinień dopuścił się statek, by zasłużyć na takie odrodzenie.

Po drugiej stronie Shana Kypo z ponurą miną wyglądał przez okno. Tsipon wysłał Jomo, by pokazał Shanowi, jak prowadzić zdezelowaną niebieską ciężarówkę, ale Kypo, jak podejrzewał Shan, pojechał z nimi, żeby go pilnować.

- Żołnierze obleźli skały jak mrówki - powiedział Jomo, gdy Shan zapytał go o dzień, w którym popełniono zabójstwa. - Było ich więcej, niż widziano tu od lat. Straż graniczna, pałkarze, żandarmeria wojskowa. Wszyscy zaszyli się w dziurach, niektórzy tak głęboko, że pewnie do dziś nie wytknęli stamtąd nosa.

- Tam byli mnisi - przypomniał mu Shan - z klasztoru w jednej z bocznych dolin.

Jomo milczał tak długo, że Shan pomyślał, iż nie dosłyszał.

- To było tak jak kiedyś - odezwał się w końcu zduszonym głosem.
- Polowanie na czerwone szaty, jakby to była zwierzyna łowna. Żołnierze byli wściekli. Mieli karabiny z lunetami, takie, jakich używają, kiedy wypatrzą kogoś na wysokich przełęczach granicznych. Jednego mnicha przyniesiono martwego.

Shan przez długi czas nie mógł wykrztusić słowa.

- Czy któryś... czy znaleźli wszystkich pozostałych? - zapytał w końcu.

- Kto wie? Po pierwsze, rząd nawet nie przyznał oficjalnie, że zrobił nalot na gompe. Kiedyś - dodał Jomo po chwili, wskazując wysokie szczyty - tam, w górze, w ukrytych grotach, żyli pustelnicy.

Rozklekotana ciężarówka jęknęła i zadygotała, gdy Shan przejął kierownicę, by pokonać następne wzniesienie, biegi nie chciały zaskoczyć, silnik strzelał przy każdej zmianie. Zaczął w niej widzieć nie tyle ciężarówkę, ile wehikuł wiozący go do jakiegoś nowego, szczególnego rodzaju piekła. Nie mógł ocalić swego syna, nie ratując pułkownika Tana, człowieka, którego potępiał, zwierzchnika obozu pracy, w którym był więziony i w którym zmarło tak wielu starych łamów.

Miejsce przestępstwa odrodziło się jako wysypisko śmieci. Placyk przecinały w różnych kierunkach ślady opon i odciski butów. Ziemia zasłana była niedopałkami papierosów. Na poboczu leżały puste butelki po wodzie. Zniesione przez wiatr papierki po cukierkach i zgniecione paczki papierosów uwięzły pod kamieniami. Nie dało się rozpoznać, gdzie znajdowały się ciała, krew czy samochód.

Shan przykucnął na skraju placyku, próbując przypomnieć sobie tych kilka straszliwych minut, jakie tu spędził. Jego wzrok zatrzymał się na dwóch skałach, pod którymi leżały ko-

biety. Wstał, po czym uklęknął przy nich, przesiewając między palcami dziwnie piaszczystą ziemię. Raz jeszcze odtworzył w myślach scenę morderstwa. Obok samochodu znajdowała się plama krwi, a w ziemi wyżłobione były płytkie rowki, kończące się przy ich piętach. Kobiety zostały zawleczone od auta pod skały. Zabójca, nim uciekł, ułożył je i podparł, jak gdyby chciał, by było im wygodnie. Cudzoziemka, umierając, patrzyła tęsknie na Everest.

- Miałeś odzyskać zwłoki Tenzina - odezwał się Kypo za jego plecami. - Mogłem ci powiedzieć, że tutaj ich nie ma.

Shan, odwróciwszy się, napotkał wyzywające spojrzenie Tybetańczyka.

- W wiosce ludzie nie chcą ze mną rozmawiać - ciągnął Kypo. - Obwiniają mnie, bo pomogłem przekonać ich, że powinieneś być nosicielem zwłok. Twierdzą, że to było święte powiernictwo, a ty je złamałeś.

Jego słowa boleśnie dotknęły Shana. Była to prawda. Zawiódł krzepkich, uczciwych mieszkańców Tumkot, zawiódł samego Tenzina. Spośród wszystkich stojących przed nim zagadek tą, na której rozwikłanie nie starczy mu czasu, było dlaczego stara wioskowa wróżbitka po pierwszej śmiertelnej ofierze sezonu orzekła ni stąd, ni zowąd, że właśnie on ma zostać tego roku nosicielem zwłok.

- Skoro Tenzina nie udało się znaleźć - zauważył - to znaczy, że ludzie z wioski szukali go po moim aresztowaniu.

- W górze ścieżki, w dole ścieżki, wzdłuż każdej bocznej ścieżki w promieniu co najmniej trzech kilometrów.

- Nie na szosie.

- Nie na szosie - potwierdził Kypo. Ścieżki należały do Ty-betańczyków, szosa do władz. - Po paru godzinach na stokach pojawiło się zbyt wielu mundurowych, żeby szukać dalej.

- Ciało zginęło podczas zamętu, jaki tu panował - wyjaśnił cierpliwie Shan. - Z powodu tego, co się tu wydarzyło.

Szczupły, wysportowany Tybetańczyk, będący jako dwukrotny zdobywca Czomolungmy czymś na kształt lokalnego bohatera, skrzywił się.

- Zgrabili wszystko - oświadczył. Ponura mina za okularami przeciwsłonecznymi się nie zmieniła.

- Zgrabili?

- To jest droga, którą przyjeżdżają turyści. Widok krwi nie służy interesom. Nawieźli ziemi i zgrabili teren. - Kypó odwrócił się i raz jeszcze obszedł dookoła mały plac, po czym odszedł za wysoką skałę, która zasłaniała go z niższego odcinka szosy.

Shan patrzył z niedowierzaniem na świeżą ziemię pod swoimi nogami. Odkąd śledztwo przeistoczyło się w napisany na użytek partii melodramat, niczego nie można było być pewnym. Nawet tutaj chwycił tylko cienie. Pałkarze unicestwili miejsce zbrodni.

Pokręcił głową, po czym podszedł do skał, przy których znalazł kobiety, i piętą nakreślił dwie sylwetki, zarysy zwłok, tak jak je zapamiętał. Kiedy uniósł wzrok, mechanik stał pośrodku zgrabionej ziemi, wpatrując się trwożnie w narysowane kształty. Wyglądało to, jak gdyby Shan przywołał duchy zmarłych.

- Kto to zrobił, Jomo? - zapytał. - Kim był zabójca? Tybetańczyk spojrział tęsknie w stronę ciężarówki, jak gdyby myśląc o ucieczce.

- Nigdy nie sądziłem, że to ty - odparł.

Przez chwilę Shan przyglądał się mechanikowi, który był takim mistrzem w przywracaniu do życia starych silników, że zabiegały o niego wszystkie warsztaty w mieście.

- Co mówi twój ojciec? - pytanie to wywołało spodziewany grymas. Ojciec Jomo, wiecznie pijany szynkarz, często wyznawał publicznie, że nienawidzi swego syna, nadał mu nawet imię znaczące po tybetańsku „księżniczka”. Ale Jomo, już do-

brze po czterdziestce, zachował to imię i sumiennie opiekował się ojcem, miejscowym błaznem, często odwożąc go nocą do domu na taczce.

Mechanik spojrział przepaszającym wzrokiem. Jego ojciec, Gyalo, mieszkał w ruderze najbliższej stajni Shana i niejedną raz zabawiał się rzucając w jego drzwi pustych butelek po piwie.

- Niektórzy w szynku mówili, że należałoby wywlec cię z więzienia i potraktować tak, jak na to zasługujesz, bo zabójstwo minister zrukuje wszystkim sezon. Ojciec powiedział, że płacimy podatki, żeby Urząd Bezpieczeństwa miał na kule, i chce widzieć, że jego pieniądze nie idą na marne. - Jomo wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. - Był pijany.

Kilka razy Shan zastawał go o świcie przed swoimi drzwiami, zamiatającego odłamki szkła. Nagle uświadomił sobie, że jeśli to nie Tsipon ani nie Kypo zrobili ołtarzyk przy jego posłaniu, była jeszcze tylko jedna możliwość.

- Nie podziękowałem ci, Jomo, za modlitwy, kiedy leżałem chory, za wezwanie Buddy Uzdrawiciela.

Mechanik nerwowo uniósł wzrok, nie na niego, ale w stronę szosy, jakby się obawiał, że Kypo może to usłyszeć.

- W mieście nie ma dobrych lekarzy - wymamrotał.

- Co mówi się o zabójstwie na targowisku? - zapytał Shan. W takim miejscu, w takiej sytuacji, Urząd Bezpieczeństwa miał zapewne tajnych agentów udających przekupniów lub choćby kierowców ciężarówek, nie tylko by płacić za sekrety, ale aby rozsiewać plotki.

- Ktoś nie stąd. Prywatne porachunki. Minister była w Pekinie wielką bohaterką. Ktoś powiedział, że walczyła z korupcją w stolicy i zapłaciła za to życiem, gdy była o krok od jej ujawnienia.

Nic specjalnie oryginalnego, pomyślał Shan, ale wystarczające jako kanwa dla jednej z owych moralizujących powia-

stek, jakie zawsze towarzyszyły zamachom na ważne osobistości.

- To nie o zabójstwach rozprawiają ludzie - dodał konspiracyjnym tonem Jomo - ale o ukrywających się mnichach, którzy nie chcieli się płaszczyć przed Pekinem. Ludzie, którzy nie robili tego od lat, wywieszają nowe flagi modlitewne. - Urwał, krzywiąc się, jakby przerażony własnymi słowami, po czym wrócił do ciężarówki i z uwagą zaczął oglądać opony.

Shan usiadł na niskiej skale, skąd miał widok na zarysy zwłok oraz okolicę. Tamtego dnia przyszedł z dołu, od strony rozbitego autobusu za wzniesieniem na szosie, spoza wielkiej skały, która zasłaniała samochód. Zabójca dokonał dzieła, kiedy autobus stał unieruchomiony, ukryty przed wzrokiem pałkarzy w dole. Ukryty, jednak na tyle blisko, by wystrzały z pistoletu utonęły w strzelaninie funkcjonariuszy bezpieczeństwa. Mnisi odnieśli rany, bito ich; później jeden z nich zginął. Ta myśl zmroziła Shana do kości. Jeśli zabójstwa zostały zsynchronizowane z zasadzką na autobus, oznaczało to, że zabójca wykorzystał mnichów, igrał z ich życiem, by samemu popełnić zbrodnię. Jednak zasadzka w dole sprawiała wrażenie, jakby jej celem było umożliwienie mnichom ucieczki, nie tylko odwrócenie uwagi pałkarzy. Zdawało się niemożliwe, by ktoś, kto podjął takie ryzyko dla uwolnienia mnichów, mógł nafa-szerować kulami dwie bezbronne kobiety.

Obchodząc placyk, dostrzegł Kypo opartego o głaz na poboczu drogi; Tybetańczyk czyścił okulary przeciwsłoneczne, ze ściągniętą twarzą zerkając na Jomo. Jedną z zagadek firmy Tsipona było, dlaczego ci dwaj ludzie, zaufani współpracownicy szefa, nie lubią się nawzajem, niemal nie odzywają do siebie, zdają się robić wszystko, by unikać swojego towarzystwa. Przyznać trzeba, że nie mogliby się bardziej różnić: Jomo - nerwowy, kompetentny mechanik biegający jak fryga po garażu i składzie, Kypo - milczący, zamyślony, wiecz

nie ukrywający się za okularami przeciwsłonecznymi wspinacz i przewodnik, który, jak twierdził Tsipon, znał górne partie Himalajów jak nikt inny w Chinach. Shan wyczuwał jednak, że w grę wchodzi coś jeszcze, jakiś tkwiący między nimi klin, którego usunięciem żaden z nich nie był zainteresowany.

Kypo ruszył szosą w dół. Shan poszedł za nim, lecz przystanął, by się przyjrzeć rozrzuconym łuskom z karabinów pałkarzy oraz czterem wielkim tablicom: **NIEBEZPIECZEŃSTWO! ZAKAZ ZATRZYMYWANIA SIĘ!**, opartym o skały po wschodniej stronie drogi. Urząd Bezpieczeństwa mógł mieć opory przed otoczeniem miejsca przestępstwa taśmą z obawy przed tym, jaki wpływ mogłoby to mieć na turystów, znalazł jednak inny sposób, by dać jasno do zrozumienia, że jest to teren zakazany. Shan przystanął przy kikucie skały, pozostałości złamanej kolumny, która zablokowała drogę autobusowi, dostrzegając teraz po stronie przeciwnej do szosy ślady dłuta. Położywszy się na małej półce skalnej za kikutem, obmacał wyciągniętą ręką cienie u jego podstawy i wydobył stamtąd najpierw jeden gruby drewniany klin, a potem dwa dalsze. Wreszcie wspiął się na skalne rumowisko i podniósł koniec czerwonej liny, przywalonej potężnymi głazami. Była to gruba jak jego kciuk, solidna nylonowa lina, sprowadzona przez jedną z zagranicznych ekspedycji. Kernmantle, tak nazywano po angielsku te wiązki nylonowych włókien w plecionej zewnętrznej koszulce. Ta była zniszczona, zmiażdżona przez głazy.

Wysilał pamięć, bez powodzenia usiłując odtworzyć widziany tamtego dnia układ lin na skałach. Nagle dostrzegł kolejny fragment czerwonej liny, wciąż owinięty wokół złamanej skalnej kolumny, która zatrzymała autobus, zepchniętej teraz na skraj drogi. Liny użyto, by odchylić kolumnę do przodu, kiedy podkładano kliny. Ale to nie miało sensu. Do przewró-

cenia skały potrzeba byłoby sił kilku ludzi, ci zaś rzucaliby się w oczy każdemu, kto nadjeżdżał szosą.

Kypo siedział na skraju drogi, oglądając uważnie kawałek czerwonej liny, który odciął z rumowiska. Obaj wiedzieli, że to jedna z lin ujętych w spisie inwentarza, który sporządzali przed tygodniem.

- Co zrobić, by lawina ruszyła w chwili przejazdu autobusu? - zapytał Tybetańczyka Shan.

Kypo przez chwilę przyglądał się terenowi.

- Te skały nieustannie zmieniają położenie - odparł, jak gdyby góra sama zrzuciła je z siebie. - Nie trzeba by wiele perswazji. - Wskazał na stok ponad szosą. - Podkop kilka z największych głazów, aż zaczną się toczyć, po czym umocuj je. Podetnij podstawę kolumny, tak by pękła, kiedy uderzą w nią głazy.

Shan uświadomił sobie, że lina nie służyła do powalenia kolumny, ale do ustabilizowania luźnych skał na stoku.

- Jak ocenić, na ile głęboko podciąć podstawę kolumny? Kypo wzruszył ramionami.

- Szczęśliwy traf, jak sądzę - powiedział, zerkając na niego niepewnie.

Obaj wiedzieli, że poluzowanie skalnego słupa akurat na tyle, by w odpowiedniej chwili przewrócił go któryś z toczących się głazów, wymagało niezwyklej zręczności w posługiwaniu się dłutem i klinami.

- Ale moment spuszczenia lawiny nie był szczęśliwym trafem.

Kypo poprawił okulary, spoglądając to na szosę, to na stok.

- Jeśli umie się posługiwać linami i uprężami, można zrobić coś w rodzaju kołyski, wtoczyć do niej kamienie i obciążyć ją tak, by się wyturlały, gdy lina zostanie zwolniona. - Wskazał kolejną wielką skałę, która ocieniała zbocze. - Ja zrobiłbym to

stamtąd, żeby nie widziały mnie pojazdy nadjeżdżające z doliny. Siedziałbym ukryty w cieniu, zwolniłbym liny i uciekłbym do góry, między skały.

- Wyzwolić taką lawinę mogłaby jedna osoba, ale do jej przygotowania potrzeba by więcej.

Kypo znów wzruszył ramionami.

- Dwie, cztery, dziesięć, co za różnica? Gdy wichura burzy twój dom, nie obchodzi cię, ile chmur go pchało.

Była to wybitnie tybetańska perspektywa. Przemoc była jak burza, porywająca z sobą zarówno sprawców, jak i ich ofiary. Szukanie wyjaśnień nie miało sensu, należało po prostu zaszyć się w bezpiecznej kryjówce i przeczekać, aż się wyszumi.

- Ilu ludzi w obozie bazowym wiedziało o autobusie?

- Nikt. Bezpieka trzymała to w sekrecie. Dlaczego pytasz?

- Dlatego, że to wszystko zostało bardzo starannie zaplanowane.

Liny ukradziono i lawinę przygotowano dużo wcześniej. Parę dni temu z bazy zginęły liny, a jest tam mnóstwo ludzi, którzy umieją się nimi posługiwać. Jak myślisz, ile potrwa, zanim bezpieka zwróci uwagę na ten fakt?

Słowa te podziały na Kypo jak cios. Jego twarz pociemniała. Uderzył trzymanym w dłoni kawałkiem liny o skałę. Jego byt, jak i byt całej wioski, uzależniony był od bazy, a Urząd Bezpieczeństwa mógł zamknąć ją, gdyby pojawiło się podejrzenie, że ma ona związek z morderstwami.

Shan ruszył wzdłuż rzędu głazów, które stoczyły się z góry, by zagrodzić drogę autobusowi, zepchniętych teraz na skraj jezdni. W połowie długości przystanął. W pierwszej chwili sądził, że ledwo widoczny wzór jest igraszką światła. Potem uklęknął i przyjrzał się znakom, dostrzegając ich więcej, na każdym z potężnych kamieni. Od strony drogi ktoś lekko napisał kredą na głazach prastarą tybetańską mantrę, inwokację do demona opiekuńczego. Było to już po tym, jak głązy zepchnięto buldożerem na pobocze. Shan wstał i spojrzął na

tablice ostrzegawcze oraz łuski pocisków po drugiej stronie szosy. Wrogie drużyny, postawione naprzeciw siebie, wyrównały rachunki.

Zobaczył, że Kypo wraca szosą pod górę, i poszedł za nim. Znalazł go wpatrującego się z pozbawioną wyrazu twarzą w miejsce zbrodni, fomo, oparty o ciężarówkę, obserwował go niespokojnie.

- Niektórzy już uciekają na resztę sezonu - odezwał się Kypo, wpatrując się w narysowane przez Shana sylwetki martwych kobiet. - Trudno będzie o dobrych tragarzy, tych doświadczonych, którzy znają górę.

- Dlatego, że ludzie przywiązani do tradycji szanują bóstwo gór - domyślił się Shan.

Kypo skinął głową.

- Taki akt przemocy mógł rozgniewać górę na całe miesiące. W zeszłym tygodniu wszystkie zespoły musiały zawrócić ze szczytu z powodu nawałnicy.

- Nawałnice są zawsze.

- Nie takie jak te. Jedna z nich niosła lodowe igły, jak maleńkie noże. Dwóch Szerpów wróciło z zakrwawionymi twarzami, w pociętych na strzępy kurtkach. Ona jest wściekła jak jeszcze nigdy za ludzkiej pamięci - oświadczył Kypo, po czym przeszedł na drugą stronę ciężarówki i wsiadł do środka.

Shan ukłęknał znowu, przyglądając się zarysowi terenu. Tam, gdzie nie wysypano świeżej ziemi, pałkarze zagrabilili grunt do czysta, dostrzegł jednak nikły ślad nieporządku, maleńki wzgórek ze splekanym wierzchołkiem, jak gdyby góra wypychała coś, usuwając to z siebie. Pochylił się i przeciągnął palcami w luźnej ziemi. Wkrótce wydobył trzy brudne kawałki czarnego plastiku i metalu. Eksperymentował z nimi przez chwilę, zestawiając je na różne sposoby, aż wreszcie ułożył z nich sporą część telefonu komórkowego. Ktoś rozbił go przed zakopaniem w ziemi. Przyglądał mu się zdeorientowany. Je-

dynymi bezprzewodowymi telefonami, jakie działały w tej części świata, były duże telefony satelitarne. Komórka byłaby bezużyteczna. Dlaczego ktoś - morderca? - miałby uważać ją za tak niebezpieczną, że musiał ją zniszczyć?

Wstał i trzymając fragmenty złożone w rozpoznawalną całość, pokazał je Jomo.

- Czym był ten telefon w poprzednim wcieleniu? - zapytał z roztargnieniem.

Twarz Jomo spoważniała. Wziął szczątki urządzenia i przez chwilę obracał je na dłoni, po czym uniósł wzrok.

- Młynkiem modlitewnym - oświadczył.

Słowa te napęliły Shana dziwnym, nieoczekiwanym smutkiem. Nie odezwał się więcej, gdy wsiadali z powrotem do ciężarówki.

Himalaje były wielką planetarną kraksą. Tu, na wysokim grzbiecie kuli ziemskiej, na który spoglądał teraz Shan, płyty tektoniczne nieustannie zderzały się i ścierały, tu płyta euroazjatycka wdzierała się na subkontynent indyjski. Przechadzając się po wysokim wzgórku, podczas gdy Jomo przeglądał stoki przez lornetkę, Shan widział, jak po zboczu najbliższej góry zsuwa się potężny blok lodu i śniegu, porywając ze sobą głązy wielkości domu. Było to miejsce, w którym światy ulegały ciągłym przemianom, i dręczyło go poczucie, że znalazł się w jednym z uskoków sejsmicznych, które na zawsze odmieniają oblicze tych okolic.

Zostawiwszy Kypo w gompie Rongphu, klasztorze położonym najbliżej bazy pod Everestem, Shan kazał Jomo jechać wysokogórkimi drogami wolno, często przystając, by rozejrzeć się po zboczach.

- Tam! - wykrzyknął teraz Jomo, wskazując białą plamkę na sąsiednim stoku, i podał mu lornetkę. Shan przyjrzał się

znajomej białej terenówce, zaparkowanej na stromej ziemnej drodze przy domostwie jakiegoś pasterza, po czym skinął na Jomo, by wsiadł do ciężarówki. Zajechali przed walącą się chałupę akurat w momencie, gdy zza węgła wyszedł posterunkowy Jin.

Z miną, jak gdyby ugryzł coś kwaśnego, policjant minął Shana i obszedł ciężarówkę dookoła, nim się odezwał.

- Tego starego grata słyhać na kilometr. Przepłosisz owce z pastwiska.

- Tsipon nie miał nic innego do odstąpienia.

- Gówno prawda - odparł Jin, zerkając na Jomo, który wciąż siedział w kabinie, nerwowo ściskając kierownicę. - To jego sposób na uwiązanie ci dzwonnka na szyi. Wie, że nie może ci w pełni ufać.

Dorastający chłopak o umorusanej sadzą twarzą wyjrzał zza rogu chałupy, przyglądając im się z rozszerzonymi oczyma; wyraźnie czuł lęk przed Jinem. Policjant często dawał do zrozumienia, że ma dość władzy, by bez nakazu sądu przymknąć każdego Tybetańczyka na rok w ramach tak zwanego aresztu administracyjnego.

- Czy pułkownik Tan wciąż jest w miejskim więzieniu? -zapytał Shan.

- On się nigdzie nie wybiera. Ta cela będzie ostatnim pokojem, jaki ogląda w życiu.

- Muszę z nim porozmawiać.

Rechotliwy śmiech Jina wypłoszył z pobliskiego krzaka stadko wróbli. Shan wciąż patrzył na niego twardo. Policjant odwrócił wzrok. Rozglądając się po stokach, zapalił papierosa.

- Ci mnisi mogą już być sto kilometrów stąd. Urzędowi do spraw Wyznań wydaje się, że wystarczy, żebym zapukał do paru drzwi, a oni wybiegną, błagając mnie, żebym zakuł ich w kajdanki.

Shan zerknął na młodego pastuszka, zastanawiając się nad słowami Jina. Kobieta ze smugami od łez na pokrytej sadzą twarzy odciągała chłopca za budynek.

- Pracujesz dla Urzędu do spraw Wyznań? Nie dla Cao? Nie dla bezpieczeństwa?

- Mnisi podlegają jurysdykcji Urzędu do spraw Wyznań. Po zeszłorocznych protestach Urząd Bezpieczeństwa woli trzymać się z dala od mnichów i łamów, zwłaszcza na tych terenach, tak więc wypożycza ludzi Urzędowi do spraw Wyznań i ubiera ich w krawaty. A Urząd do spraw Wyznań bierze to sobie do serca. Pożar, potem ta zasadzka. Ktoś ich zdradził, ktoś wystawił ich na pośmiewisko.

- Jaki pożar?

- W mieście, dwa dni przed zamachem. Biuro Urzędu do spraw Wyznań spłonęło niemal do szczytu. Oficjalnie mówi się, że to był wypadek. Ale nieoficjalna wersja jest inna. W pogorzeliisku znaleziono posążek starego bóstwa opiekuńczego, który nie pochodził stamtąd. Leżał w popiołach, nietknięty przez ogień. Jak gdyby bóstwo po wszystkich tych latach postanowiło dokonać zemsty.

Umysł Shana pracował jak szalony. Od czasu ostatniej fali protestów w Tybecie reakcje rządu na wszystko, co mogło świadczyć o niepokojach politycznych, stały się nieprzewidywalne. Urząd Bezpieczeństwa bardziej niż kiedykolwiek unikał rozgłosu. Dołożyłby wszelkich starań, by zapewnić, że nikt nie będzie podejrzewał jawnej napaści na Urząd do spraw Wyznań.

- Co to było za bóstwo? - zapytał.

Jin skrzywił się, jak gdyby Shan próbował schwytać go w pułapkę. Zdradzanie się z taką wiedzą w niektórych kręgach uchodziło za dowód niebezpiecznych skłonności reakcyjnych.

- Matka opiekunka, Tara. Nie tak jak przy zabójstwach.

Shan zamilkł.

- Na miejscu zamachu było jakieś bóstwo?

Jin zmarszczył brwi. Wyraźnie nie zamierzał wyjawić aż tyle.

- Znalaziono je następnego dnia na wysokiej, płaskiej skale trzydzieści metrów dalej, patrząc na miejsce zbrodni. Głowa byka, w rękach lina i miecz - odparł.

- Mówisz o Jamie, Panu Śmierci.

Jak gdyby chcąc zmienić temat, policjant sięgnął do kieszeni i wyciągnął ciężki stalowy karabinek, model zatrzaskowy stosowany powszechnie przez alpinistów na wysokogórskich stokach.

- Oni myślą, że idąc tropem tego, dotrę do zdrajcy.

- Tropem karabinków?

- Ktoś rozdawał je pasterzom i rolnikom z wyżej położonych dolin, jak upominki albo pamiątki. Są chyba kradzione, jak te liny, których użyto w zasadzce. - Gdy mówił te słowa, ręczne radio w jego samochodzie odezwało się wśród trzasków, donosząc, że poszukiwania zbiegów w leżącym sześćdziesiąt kilometrów dalej starym mieście Tingri nie dały rezultatów. Jin zaklął pod nosem, sięgnął do odbiornika i wyłączył go. Nie znośił być odpowiedzialny przed kimkolwiek, gdy był poza biurem.

Kobieta z chłopcem ukazali się na stoku ponad chałupą; pędzili jak szaleni w stronę pastwisk.

- Oni też mieli karabinek? Jin wzruszył ramionami.

- Znasz tych górali. Nie chcą rozmawiać z żadnym mundurowym. Zagroziłem, że jeśli nie powiedzą mi, gdzie znajdę tych mnichów, wrócę jutro i powystrzelam ich owce.

- Ale nie zrobisz tego.

Policjant znów wzruszył ramionami.

- Lubię baraninę.

- Oni poświęcą ten dzień na przepędzenie stada. Jutro nie zastaniesz tu ani śladu owiec czy ludzi. Poza tym pasterze nie zbliżają się do bazy alpinistów. Na tej wysokości nie ma już trawy. Musisz szukać w mieście albo w samej bazie.

- Nie płacą mi za wymyślanie teorii. Od tego przyjeżdża ktoś z Lhasy. Prawdziwy młynkoburca. On weźmie się na początek do innych małych gomp, zakładając, że mnisi pomagają sobie nawzajem.

Shanowi zaschło w ustach. Młynkoburcami nazywano wysokich rangą zelotów z Urzędu do spraw Wyznań, słynących z miażdżenia butami starych młynków modlitewnych. Ekipa młynkoburców przeszła tędy przed miesiącem, usuwając z miejsc publicznych wszystkie posągi Buddy.

- Muszę widzieć się z Tanem - powtórzył z naciskiem.

- Mieliśmy tu kiedyś kapitana z Szanghaju, który trzymał stado tych dużych tybetańskich mastyfów, o których się mówi, że odradzają się w nich upadli mnisi. Jeździł po okolicy i strzelał do bezpańskich psów, a potem obdzierał je ze skóry i karmił nimi swoją sfore. Zaśmiewał się, patrząc na to, i mówił wszystkim, że to historia współczesnego Tybetu. Jedni pożerają drugich. Tym właśnie jesteś dla tych, którzy zarządzają teraz więzieniem. Świeżym mięsem. To już nie jest więzienie okręgowe. Dopóki to się nie skończy, należy do bezpieczeństwa.

- Oni muszą jeść. Ktoś musi im sprzątać toalety.

- I co z tego?

- To, że czarną robotę wciąż wykonuje dla nich twoje biuro.

Milczenie Jina było dla Shana wystarczającym potwierdzeniem.

- Po prostu wprowadź mnie z ekipą porządkową. Dzisiaj. Dziś wieczorem.

Jin przyjrzał się Shanowi nowym, taksującym wzrokiem.

- Jeśli nie znajdę szybko tych mnichów - powiedział nie-

pewnie - Urząd do spraw Wyznań każe mi na czworakach zaglądać pod każdą stertę jaczego łajna.

Shan zacisnął zęby, przez długą chwilę wpatrując się w górujący nad nimi ośnieżony szczyt.

- Podzielę się z tobą tym, czego się dowiem o zasadzce. Ty podzieliś się ze mną tym, co wiesz o zabójstwach. Ale nie pomogę ci znaleźć mnichów.

- To za mało. Właśnie dostaję szansę na sukces na tyle duży, żebym mógł wyrwać się z tego cholernego okręgu. - Tydzień wcześniej Jin zatrzymał Shana na drodze i poprosił go, by przejrzał jego podanie o przeniesienie do któregoś z miast na wschodzie. Niejeden raz wspominał marzycielsko o zamieszkaniu w Hongkongu czy nawet w Bangkoku.

- Mogę załatwić ci przeniesienie - oświadczył obojętnym tonem Shan. - Mogę zrobić to jeszcze dziś.

Twarz Jina się ściągnęła.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Byłem na pustyni w Xinjiang - odparł Shan, mając na myśli rozległą prowincję na północ od Tybetu, ulubione miejsce zsyłki dla pracowników rządowych, którzy popadli w niełaskę. - Wiatr stałe niesie tam piasek. Piach wchodzi do nosa, do ust, w ubrania, do ryżu. Latem bywa tak rozgrzany, że można w nim zagotować herbatę. Kiedyś widziałem, jak człowiekowi oczy wywróciły się białkami na wierzch i padł trupem z gorąca. Zimą ludzi, którzy w podróży postanowili przemocować w samochodzie, znajduje się zwykle zamarzniętych na śmierć. Po miesiącu spędzonym tam uznasz, że tutaj jest raj.

Jin bawił się pistoletem u pasa.

- Wrócę teraz do miasta - ciągnął Shan. - Odszukam majora Cao i zeznam mu na piśmie, że byłeś w pobliżu miejsca zbrodni, kiedy ci mnisi uciekli.

Wypatrywał reakcji, pewny swej oceny Jina.

- Nie wiesz tego.

- Słyszałeś wystrzały i poszedłeś sprawdzić, co się dzieje. Ale kiedy zobaczyłeś tych wszystkich pałkarzy, uciekłeś. Uzbrojony policjant na koniu mógłby zgarnąć tych mnichów i może mordercę również. Urząd do spraw Wyznań i bezpieczeństwa będą walczyć o prawo do przesłuchania cię, a potem wymierzenia kary. Wszyscy inni funkcjonariusze organów ścigania, o których wiadomo, że byli w tej okolicy, zostali już wysłani na pustynię albo jeszcze gorzej. Ile czasu ci zostało, nim będziesz wdychać piasek do płuc? Tydzień? Trzy dni? Nie sądzę, żeby pozostałym dali choćby czas na spakowanie się.

- Cao pożre cię żywcem, jeśli przyłapie cię na rozmowie ze swym więźniem.

- Mnie? Tacy jak on próbowali już nieraz. - Shan przyjrzał się niespokojnej twarzy Jina, po czym wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę ciężarówki, gdzie czekał Jomo. - Nie zapomnij o kremie z filtrem przeciwsłonecznym - rzucił na odchodnym. - Tam, dokąd jedziesz, będziesz go zużywać beczkami.

Godzinę później Jomo zatrzymał ciężarówkę przy krawężniku w centrum Shogo. Wstrząs wyrwał Shana z drzemki, w którą zapadł podczas długiej jazdy powrotnej z gór.

- Zaczekaj pięć minut - powiedział Tybetańczyk, wysiadając. - Potem odwiozę cię do stajni.

Shan z zakłopotaniem przyglądał się, jak mechanik znika w drzwiach znajomego piętrowego budynku, po czym wysiadł, by rozprostować nogi. Mijając plakaty reklamujące piwo Tsingao i karaoke, podszedł do rogu, skąd miał widok na kompleks przysadzistych szarych zabudowań, w którym mieściło się więzienie. Nim zawrócił i wszedł do szynku, próbował odgadnąć, gdzie znajduje się cela Tana.

Szynk Gyalo był po godzinach pracy najpopularniejszym

miejscem w mieście, uczęszczanym nie tylko przez miejscowych, ale także przez kierowców ciężarówek, którzy urządzali sobie w Shogo nocny postój w drodze do Nepalu. W skąpo oświetlonej sali unosiły się gęste kłęby dymu z papierosów, zaprawionego odorem niemytych ciał i surowej cebuli, którą bywalcy gryźli niczym jabłka między łykami palącej wódki z sorgo.

Klienci pokrzykiwali i gwizdali, podczas gdy chudy starzec w czerwonej szacie mnicha tańczył na ladzie baru, prowokująco wymachując szatą. Jomo przyszedł zobaczyć się z ojcem, stał jednak tylko w cieniu, wpatrując się ze wstydem w podłogę. Pijani klienci obrzucali jego ojca monetami. Strój, który miał na sobie, upstrzony nalepkami, pamiątkowymi odznakami i wojskowymi naszywkami, był autentyczną szatą buddyjskiego mnicha. Ojciec Jomo, miejski błazen i szynkarz, należał do klasztoru w Shogo, nim przed dziesiątkami lat zrównano go z ziemią.

Shan wzorem Jomo skrył się w cieniu, jednak odrobinę za późno.

- Demony! - wykrzyknął radośnie Gyalo, wskazując ich palcem. Jego głos brzmiał bełkotliwie od trunku. - Przybyły świeże demony! - Z zaskakującą szybkością podniósł pustą butelkę po piwie i rzucił nią w Shana. Trafiłaby go prosto w głowę, gdyby się nie uchylił.

Tłum oszalał, hałaśliwie wiwatując nowemu widowisku.

- Chodźmy stąd - mruknął Jomo, nie unosząc wzroku znad podłogi. Wyglądał, jak gdyby zbierało mu się na płacz. - Wróć, kiedy będzie trzeźwy.

Kiedy ruszyli w stronę wyjścia, Gyalo przeskoczył susami po dwóch stołach, lądując na masywnym drewnianym krześle ustawionym na ozdobnym ołtarzu ocalonym ze zburzonej przed laty świątyni. Na oparciu krzesła rozwieszony był T-shirt z nadrukiem przedstawiającym kobietę splecioną w miłosnym uścisku ze szkieletem w pirackim stroju. Ścianę po lewej zdo-

bił malowany Budda wyobrażony jako gwiazda rocka, ścianę po prawej Budda na motocyklu, z papierosem przyklejonym do warg. Pod nim stał znacznych rozmiarów brązowy posąg bóstwa w pozycji medytacyjnej, antyk, z rękoma upstrzonymi śladami po gaszonych papierosach. Jego podolek stanowił teraz popielniczkę.

Czyjeś ręce pochwyciły Shana i Jomo, ciągnąc ich w stronę ołtarza. Shan w pierwszej chwili próbował się wyrwać, wiedząc, co go czeka, jednak opór był daremny. Pozwolił, by siłą postawiono go na nogi obok Jomo, u stóp Gyalo.

- Więźniu obozu! - krzyknął Gyalo, unosząc kubek w salucie dla Shana. - Padamy ci z czcią do nóg! - Wypił, po czym zniżył głos do scenicznego szeptu, zwracając się do tłumu. - Nigdy nie mówi, za jaką to zbrodnię zesłano go do Tybetu. Masowe morderstwo? Przemyt narkotyków? Zgwałcenie siostry Przewodniczącego? - Shan nie opierał się, gdy stary Tybetańczyk, nie po raz pierwszy, uniósł jego rękę i podwinął mu rękaw, pokazując wszem i wobec jego tatuaż. - Naznaczony przez bogów! - wykrzyknął i wylał na tatuaż resztę zawartości swego kubka, jak gdyby w akcie namaszczenia.

Jomo zaklął pod adresem ojca, chwycił Shana za rękę i odciągnął go poza zasięg Gyalo. Ojciec uśmiechnął się do niego drwiąco, po czym wybuchnął głośnym, ryczącym, chrapliwym śmiechem, który szybko rozniósł się po całej sali.

- *Pum phat!* - wykrzyknął do ich pleców. Były to stare słowa, akcentujące zakończenie niektórych modlitw.

- Dlaczego pozwalasz mu na to? - zapytał Jomo, kiedy wyszli na zewnątrz.

- On próbuje tylko zwiększyć sobie sprzedaż.

- On próbuje się ciebie pozbyć. Zdaje sobie sprawę, że im więcej ludzi wie, że jesteś byłym więźniem, tym mniej jesteś bezpieczny.

Shan spojrział uważnie w twarz Jomo, na której na wzmian-

kę Gyalo o gwałcie odmalowała się udręka. Gdy tutejszy klasztor został zniszczony, jego ojciec był młodym lama, który złożył śluby czystości. Z jakiegoś powodu jego jednego poddano specjalnej karze służącej łamaniu mnichów i tworzeniu nowej rasy Tybetańczyków. Chińskiej żołnierce rozkazano zająć z nim w ciążę. Jomo nigdy nie poznał swej matki, wiedział tylko, że należała do chińskich najeźdźców i zmusiła Gyalo do zrzucenia mnisiej szaty, dając mu syna.

- Po co tam wszedłeś? - zapytał Shan, gdy Jomo po wielu próbach uruchomił wreszcie wiekową ciężarówkę.

- Dziś rano zostawił mi liścik. Napisał, że koniecznie musi się dowiedzieć wszystkiego o tych morderstwach.

Ekipa porządkowa obsługująca posterunek policji wykonywała swe obowiązki po porze kolacji, wchodząc w mrok tylnymi drzwiami pod okiem wartowników, których Jin postanowił skontrolować. Shan trzymał głowę spuszczoną, na pół ukrytą za zmywakiem do podłogi. Walcząc ze straszliwym, niemal paraliżującym strachem, szorował podłogę coraz bliżej metalowych drzwi broniących dostępu do korytarza z celami aresztantów, nogą posuwając wiadro do przodu. Ciężkie drzwi były zamknięte, kiedy do nich dotarł. Nagle zza jego pleców wyciągnęła się ręka z kluczem. Otworzywszy drzwi, posterunkowy Jin zagroził mu drogę i skinął na siwowłosą kobietę niosącą dwa puste plastikowe wiadra, która z rzeczową miną weszła do środka. Policjant stał na straży przy drzwiach, mierząc Shana wściekłym wzrokiem, gdy ten udawał, że czyści rząd ławek pod sąsiednią ścianą. Parę chwil później kobieta wróciła, z pozbawioną wyrazu twarzą, taszcząc wiadra pełne teraz zaplamionych szmat, odłamków drewna i innych śmieci z sal przesłuchań. Jin przytrzymał Shanowi drzwi, zaprowadził go do celi na końcu korytarza i otworzył ją.

- Jeśli on zrobi choćby krok na zewnątrz - syknął - zastrzelę was obu.

Cela, wciąż cuchnąca krwią, wymiocinami i amoniakiem, nie zmieniła się wiele, odkąd Shan ją opuścił. Przesiaknięty krwią siennik wymieniono, z podłogi zmyto plamy, na których miejsce pojawiły się już nowe, pod ścianą w głębi rzucono sterty szmat. Tylko jedną z tych brudnych stert był pułkownik Tan z Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, budzący postrach tyran okręgu Lhadrung.

Shan odwrócił się i rzucił Jinowi milczące, wyczekujące spojrzenie.

- Niech cię diabli - burknął policjant, po czym odwrócił się na pięcie i wrócił do drzwi na drugim końcu korytarza.

Tan, nieprzytomny lub śpiący, leżał pod ścianą. Jego ciałem co parę chwil wstrząsały drgawki - dobrze znany Shanowi skutek elektrowstrząsów. Shan wyczyścił, na ile się dało, stojący na umywalce brudny blaszany kubek, nappełnił go wodą z wiadra i pochylił się nad Tanem. Gdy dotknął ramienia pułkownika, ten szarpnął się z jękiem, jakby go uderzono. Jego tułów wolno osuwał się ku podłodze, zbyt słaby, by utrzymać się prosto.

Shan ostrożnie podparł nogą głowę Tana i skropił wodą jego rozbite, zakrwawione wargi. Po chwili pułkownik zareagował kolejnym jękiem. Poruszył powiekami, usiłując otworzyć oczy, w końcu jednak dał za wygraną i zemdłał. Shan polał mu głowę wodą. Następnie mokrą szmatką otarł mu krew z twarzy, owinął inną szmatą broczącą ranę na czole i obejrzał zakrwawione opuszki palców. Przyszło mu na myśl, czy nie pójść do sali przesłuchań po apteczkę, zreflektował się jednak, że pałkarze zadawaliby niepożądane pytania, gdyby odkryli swego więźnia w bandażach. Nagie stopy Tana były całe w sińcach. Bicie po podeszwach stóp było znakiem rozpoznawczym oprawców starej daty, techniką przesłuchań stosowaną

powszechnie przez gangi Czerwonej Gwardii, które o pokolenie wstecz terroryzowały kraj. Palce lewej dłoni pułkownika drgały; na jego przedramieniu Shan znalazł charakterystyczne ślady po dwóch elektrodach.

Przyłapał się na tym, że szepcze mantrę *mani*, modlitwę do Bodhisattwy Współczucia, jak robili to lamowie w obozie pracy, gdy lata temu przemywali jego rany z przesłuchań. Powieki Tana znów zatrzepotały i tym razem otworzyły się na dobre, choć jego oczy pozostały niewidzące. Shan przytknął mu kubek do warg i Tan zaczął pić.

Osuszywszy kubek, odetchnął głęboko, obrócił głowę w jego stronę i wzdrygnął się z przerażeniem. Zerwał się gwałtownie i zamachnął, wymierzając mu zaskakująco silny policzek.

- To wy! - warknął. Wykrzesał z siebie dość sił, by zamierzyć się na niego kopniakiem, młóćąc nogą powietrze, póki z bolesnym jękiem nie zwalił się znów pod ścianę. Zdawał się uważać jego obecność za nową formę tortury.

- Starzy lamowie nauczyli mnie pewnej sztuczki - powiedział Shan cichym, spokojnym głosem - na chwile, gdy ból staje się nie do zniesienia. Trzeba wstrzymać oddech tak długo, jak tylko się da, i liczyć. Potem wypuścić powietrze i zacząć od początku. Po prostu skupić się na oddychaniu i liczeniu.

- Nie macie prawa! - burknął Tan. Jego głos brzmiał ochryple, choć był pełen furii. Twarz ściągnęła mu się w zakłopotaniu. - Skąd wiedzieliście? Co wy tu robicie?

- Czyżbyście zapomnieli, że tu właśnie jest więzienny szpital, do którego przenieśliście mojego syna? Sądziłem, że zrobiliście to, żeby się mnie pozbyć, wiedząc, że pójde za nim.

Za czarnymi źrenicami Tana toczyła się zażarta bitwa. Zwierzę, w jakie zmienili go pałkarze, walczyło z czymś innym, z rozumną, świadomą istotą, zepchniętą teraz głęboko do wnętrza. Jego oczy zaszyły mgłą, potem pojaśniały, przez

chwilę znów patrzyły nieprzytomnie, aż wreszcie pojawił się w nich znajomy, twardy błysk.

- Zlecałem przeniesienie dziesiątków krnąbrnych więźniów. Nie można oczekiwać, że będę pamiętać każdego pasożyta, który przechodzi przez mój okręg.

Było to kłamstwo, o czym obaj wiedzieli, gdyż w Lhadrung Shan i Ko stanowili dla Tana źródło nieustannego utrapienia.

- Użyliście czasu teraźniejszego. Podziwiam wasz optymizm. - Shan wstał i znów napełnił kubek. Gdy wyciągnął go w stronę Tana, pułkownik odtrącił go gwałtownym ruchem ręki.

- Gdyby oni wiedzieli, kim jesteście, Shan, siedzielibyście w sąsiedniej celi. Wynoście się albo im powiem.

Shan bez słowa podniósł kubek, napełnił go ponownie i postawił go na stołku tuż poza jego zasięgiem.

- Byłem tam, pułkowniku, parę minut po ucieczce mordercy. Znaleźli mnie unurzanego w krwi jednej z ofiar. Przez kilka dni byłem ich ulubionym rozwiązaniem. Potem podpowiedziałem im, jak znaleźć pistolet.

Oczy Tana rozbłysły ogniem. Przez chwilę zdawało się, że zbiera siły, by rzucić się na niego. Był dziesięć lat starszy, ale znacznie lepiej zbudowany.

- Oni dopiero zaczęli nad wami pracować - ciągnął Shan. -Wiecie, jak to działa. Kiedy przerobią scenariusz, będą już wiedzieć, jakiej konkretnie śpiewki od was oczekują. Jutro albo pojutrze zobaczycie nowe twarze, nowe narzędzia tortur, pewnie też paru lekarzy z więziennej kliniki. To sprawa z gatunku tych, jakie nazywaliśmy półksiężycówkami.

Tan splunął krwią, po czym obmacał palcem zęby górnej szczęki.

- Półksiężycówkami?

- Sprawa o istotnych implikacjach politycznych. Przeciąganie jej byłoby zbyt niezręczne. Co gorsza, byłoby kłopotliwe

politycznie. Pekin będzie nalegał, by zamknięto ją w dwa tygodnie. A jeden już minął.

- Nie chcę waszej pieprzonej pomocy. Idźcie troszczyć się o waszych tybetańskich żebraków.

- Przewiduję proces bez publiczności. Potem zabiorą was w jakieś ustronne miejsce, może po prostu do piwnicy tego budynku, choć przypuszczam raczej, że będzie to jakieś odludne miejsce w górach. Staniecie przed małą grupką wysokich rangą członków partii, prawdopodobnie z jednym lub dwoma generałami. Funkcjonariusz wystarczająco młody, by być waszym wnukiem, będzie ubliżał wam przez chwilę, po czym wolno wyciągnie pistolet i wpakuje wam kulę między oczy. Nim miesiąc dobiegnie końca, w waszym biurze w Lhadrung pojawi się nowy pułkownik. Wszystkie wasze zdjęcia, te z manewrów, jako dowódcy brygad czołgowych i baterii rakiet, czyniącego honory podczas obchodów świąt państwowych w ratuszu, zostaną zdjęte ze ścian i spalone. O ile pamiętam, prowadziliście prywatną kronikę swej prześwieczonej kariery. Papier toaletowy jest towarem deficytowym. Wasze zapiski trafią prawdopodobnie do więziennych latryn. Ostatni dowód waszego istnienia na ziemi posłuży do wytarcia tyłka zagłodzonego tybetańskiego mnicha.

- Wyoście się! - warknął Tan. Po podbródku spłynęła mu cienka strużka krwi.

Shan uniósł wzrok w stronę umieszczonego wysoko w tylnej ścianie okienka, dopiero teraz dostrzegając na zbrojonym szkle szkarłatne plamki, po czym spojrzał na zakrwawione opuszki palców Tana. Pułkownik, co niewiarygodne, wspinał się, próbując wybić szybę.

- Kiedy skończą z torturami - ciągnął rzeczowym tonem Shan - to będzie znaczyło, że jest już po wszystkim. Dadzą wam dwa dni na wyleczenie ran, na doprowadzenie się do porządku. Kiedy przyjdzie fryzjer, możecie się już uważać za

martwego. Oni będą chcieli widzieć was wyprostowanego, umytego i ostrzyżonego, gotowego do ostatniego przeglądu, zanim wyeliminują was i wszystko, czego kiedykolwiek dotykaliście.

Oczy Tana przygasły. Jego spojrzenie powędrowało poza Shana i spoczęło na posterunkowym Jinie w głębi korytarza.

- Więc przekupiliście strażnika, żeby móc się puszyć? -mruknął. - Może zrobicie zdjęcie, żeby pokazać je swym tybetańskim przyjaciółom w Lhadrung?

- Przyszedłem, bo jesteście niewinni.

Tan znów skierował wzrok na Shana, choć kamienny wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

- Skąd możecie wiedzieć?

- Pułkowniku, gdybyście to wy zamordowali członkinię Rady Państwa, nie ucieklibyście, nie wyrzucilibyście pistoletu. Usiedlibyście tam i czekali, a funkcjonariusza, który przyszedłby was aresztować, zbesztalibyście, że ma brudne buty.

Z wyraźnym wysiłkiem Tan dźwignął się, podpierając się o ścianę, na tyle wysoko, by chwycić ze stołka kubek wody, po czym wypił go duszkiem. Jego dłoń znów zaczęła drgać. Chwycił ją drugą ręką, ściskając, aż zbielały mu kostki palców.

- Nie jestem jednym z waszych żalonych łamów. Nie chcę waszej litości. Nie życzę sobie pomocy od was i wam podobnych.

- Kiedy skradziono wam pistolet? W hotelu? Czy pytali was o kobietę z Zachodu? Pojawiła się jakaś zagraniczna ekipa dochodzeniowa?

Tan mocniej napał na ścianę, aż udało mu się wstać. Przez chwilę słał się na nogach, po czym się wyprostował, odzyskując sztywną żołnierską postawę. Zdarł szmatę, którą Shan obwiązał mu głowę, i cisnął ją w niego. Zrobił krok naprzód, uniósł z maltretowaną, zakrwawioną dłoń i potężnym ciosem uderzył Shana w pierś tak mocno, że pchnął go na pręty drzwi celi.

- Straż! - wykrzyknął w stronę Jina. - Ten szaleniec naruszył bezpieczeństwo! Zabierzcie go stąd! Stwarza zagrożenie dla waszego mordercy!

Jin, z triumfalnym błyskiem w oku, wyprowadził Shana z budynku, zostawiając go samego na rogu pod jedną z nielicznych latarni ulicznych w mieście. Shan usiadł na krawężniku, wpatrując się w świeżą plamę na swej koszuli. Krew Tana.

Stopniowo zdał sobie sprawę, że ktoś czai się na skraju kręgu światła. Był to nastoletni Tybetańczyk, ubrany w jedną z czerwonych koszulek, jakie Tsipon rozdawał swym tragarzom. Twarz chłopaka była ściągnięta strachem. Kiwnięcie na niego, by podszedł bliżej, kosztowało Shana cały zasób sił.

- Chodzi o Tenzina! - oświadczył przerażonym szeptem tragarz. - Kypó kazał mi cię odszukać. We wsi widziano ducha Tenzina, wykonującego dzieło Jamy, Pana Śmierci.

Rozdział 4

Pojawienie się jednego z wozów terenowych Tsipona w którejś z wysoko położonych wiosek było zwykle małym świętem. Shan często się przyglądał, jak dzieci obskakują przybyły z wizytą samochód, podczas gdy Kypo werbował tragarzy i przewodników; krzyczały z radości, gdy on lub Tsipon rozdawali cukierki i owoce, a wioskowe matrony z równym zachwytem przyjmowały prezenty w postaci artykułów gospodarstwa domowego. Ale gdy Shan zajechał starą ciężarówką na skraj wsi Tumkot, mógłby równie dobrze być funkcjonariuszem bezpieczeństwa. Na wzgórzach ponad wioską stado długowłosych owiec pędzono pospiesznie w labirynt skał u stóp wysokiej, zakręcającej na południe skarpy. Dzieci zaciągano do wnętrza chałup z kamienia i drewna, a kilka kobiet zatrzasnęło nawet okiennice, jak gdyby nadciągała jedna z gwałtownych himalajskich burz.

Tumkot nie było największą z górskich wiosek ani też nie leżało najbliżej Shogo. Tutejsi górale byli jednak najzręczniejsi we wspinaczce wysokogórskiej, tutejsi mieszkańcy byli najbardziej przywiązani do tradycji, tu tylko ludzie wciąż otwarcie mówili o życiu przed chińską inwazją. Niejeden raz, posłany przez Tsipona do wioski, Shan znajdował czas, by usiąść niezauważony w cieniu, czerpiąc radość z obserwowania wieśniaków przy ich prostych codziennych zajęciach, wesoło czerpiących wodę ze studni, śpiewających dawne pieśni przy

greplowaniu wełny czy taszczących na plecach fekalia w wielkich koszach *dogo* umocowanych taśmami na głowę.

Zaparkował starego jiefanga, z silnikiem pyrkającym jeszcze chwilę po wyłączeniu zapłonu, w cieniu stajni, po czym ruszył wolno ulicą położoną najwyżej, spoglądając w dół, na dachy domów, niemal całe zasłane grochem i rzepą, suszącymi się na zimowe zupy. Gdy dotarł na drugi koniec wioski, zszedł po kamiennych stopniach, wyżłobionych od stuleci użytkowania, na główną ulicę, aż wreszcie znalazł się na centralnym placu, pośrodku którego stała ręczna pompa wioskowej studni.

Mała dziewczynka mocowała się z pompą, by nabrać wody do podniszczonego drewnianego wiadra. Przy ruchach w górę długie, ciężkie ramię pompy podrywało ją niemal w powietrze. Wydała stłumiony okrzyk zaskoczenia, gdy Shan, stając tuż za nią, ujął ramię i zaczął pompować. Rzuciwszy nerwowe spojrzenie w głąb ulicy, uśmiechnęła się do niego nieśmiało i usiadła na granitowym stopniu obok wiadra.

- Tylko połowę - szepnęła. - Więcej nie uniosę. I nie wychodź poza plac. Mama mówi, że poza placem jest niebezpiecznie.

Shan rozpoznał dom, ku któremu zerknęła dziewczynka, nie dlatego, by znacząco różnił się wyglądem od innych przysadzistych, piętrowych budynków w sąsiedztwie, ale po barwnych zwojach lin wspinaczkowych, rozwieszonych na kołkach na frontowej ścianie.

- Ale my oboje - powiedział, napełniając wiadro - idziemy w to samo miejsce.

Wspólnie niosąc wiadro, opuścili plac.

- O jakim niebezpieczeństwie mówiła twoja mama? - zapytał, gdy mijali pierwszą z zamkniętych na głucho chałup.

Dziewczynka spojrzała na niego rozszerzonymi oczyma.

- Bogowie znikają - oświadczyła z powagą. - Ten gniewny

duch szuka zemsty. Przybyli posłańcy Pana Śmierci - dodała, wskazując podobny do masztu słup z poprzeczką podtrzymujący sznury flag modlitewnych, jeden z najwyższych obiektów w wiosce. Na drewnianej poprzeczce siedziały dwie wrony, tradycyjne emisariuszki Jamy.

Kiedy mijali następny dom, jakiś mężczyzna otworzył drzwi, ale na widok Shana zatrzasnął je znowu. Ponieważ Shan nosił naciągnięty nisko tybetański kapelusz z szerokim rondem, ich dwójkę można było wziąć za wujka z siostrzenicą, którzy wyszli wykonać popołudniowe prace poza domem. Jednak parę miesięcy wcześniej, przy pierwszej wizycie Shana w wiosce, Tsipon postanowił wyjawic o swym nowym pracowniku to, co Tybetańczycy nazwaliby zasadniczą prawdą, by, jak tłumaczył, uniknąć nieporozumień. Mieszkańcy Tumkot nie odrzucali Shana jako Chińczyka, po prostu obawiali się go jako nieposiadającego dokumentów więźnia obozu pracy, nielegalnego przybysza. Był jeszcze jednym z widm skazanych na błąkanie się po świętych górach.

Na radosny okrzyk dziewczynki w drzwiach ukazała się pachnąca kardamonem przystojna kobieta o jasnym spojrzeniu. Uśmiech na jej twarzy zniknął, gdy dostrzegła Shana. Odbierając wiadro, powiedziała coś cicho i szybko do córki, która wybiegła przez tylne drzwi do pasącej się na podwórku za domem białej kozy, po czym odwróciła się w stronę stromych schodków prowadzących do izb mieszkalnych na piętrze.

- Kypo! - zawołała z irytacją w głosie.

Chwilę później kierownik składu Tsipona pojawił się na schodkach, naciągając sweter na ramiona. Wyczekująco skinął Shanowi głową, szepnął coś do kobiety, po czym gestem zaprosił gościa na górę. Najwyraźniej nie miał cierpliwości, by zgodnie ze zwyczajem czekać, aż zostanie podana herbata, nim poruszy właściwy powód spotkania.

- Przyniesie herbatę - zaczął, jak gdyby dla uczynienia

zadość formalnościom, po czym, gdy tylko Shan usiadł wraz z nim przy malowanym na czerwono stole pod oknem od frontu, pochylił się w jego stronę. - Nie było czegoś takiego od czasu inwazji - powiedział z dziwną desperacją w głosie. - Młodszy mężczyźni są wściekli. Wczoraj w nocy niektórzy upili się i próbowali przekonać ludzi, żeby napaść na bazę zagranicznych alpinistów, zniszczyć ich sprzęt i zapasy i w ten sposób położyć kres wspinaczce w tym sezonie. Starsi wskazują na wrony i puste ołtarzyki i mówią, że po tylu wiekach Jama odwrócił się od naszej wioski. Od niepamiętnych czasów Jama był boskim opiekunem Tumkot. Ludzie mówią, że to dlatego udało nam się przetrwać bez większych ingerencji rządu.

- Puste ołtarzyki?

- Niemal każda rodzina w wiosce miała zawsze posążek Wujka Shinje - odparł Kypo, używając innego określenia Pana Śmierci. - One znikają. Zaczęły znikać w dniu, w którym zmarł Tenzin. Ludzie mówią, że to jego robota. Pewna staruszka powiedziała, że widziała go o północy, jak płynął ulicą, a nad jego głową unosiła się gwiazda.

Shan poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

- Nie rozumiem. Zamach nie miał nic wspólnego z wioską. - Choć wiedział, że wielu miejscowych coraz mniej przychylnie patrzy na cudzoziemców, którzy płacili chińskiemu rządowi grube pieniądze za prawo do wspinania się na ich świętą górę, zarazem alpinistom właśnie zawdzięczali środki do życia.

- Ludzie mówią, że Tenzin należy do bogini gór, że trzeba jej go zwrócić. - Kypo uniósł wzrok z błaganiem w oczach. - Musimy go odzyskać. Musimy spalić go na stosie za wioską. Oni chcą wypowiedzieć przy nim niezbędne słowa i zwrócić jego prochy matce gór. Potrzebujemy - dodał z nutą bólu w głosie - dowodu, że on wciąż jest martwy. - Spuścił wzrok, unikając spojrzenia żony, która przyniosła właśnie dwa kubki

maślanej herbaty, po czym czmychnęła, pobrzękując srebrnymi naszymi naszyjnikami.

Shan sączył herbatę, równie zaniepokojony cieniem lęku na twarzy krzepkiego Tybetańczyka jak jego dziwnymi słowami. Po schodkach z dołu wspiął się muskularny mężczyzna w kamizeli z owczej skóry, wioskowy kowal. Obrzuciwszy Shana niechętnym spojrzeniem, zdjął buty i zniknął w sypialni. Shan niemal zapomniał. Niektóre z górskich ludów wciąż praktykowały poliandrię. Skromna kobieta, która podała im herbatę, była żoną Kypo. Ale jej mężem był też jego kuzyn.

- Zwiozłem z gór jego zwłoki, Kypo.

- Jak długo mieszkasz w Tybecie, Shan?

- Niedługo będzie siedem lat.

- Więc powinieneś być lepiej zorientowany. Śmierć nie jest dla nas tak prostą sprawą. Ludzie mówią, że Czomolungma zabrała go, ale potem skradziono go jej. Teraz bóstwa walczą o niego. Wczoraj - dodał ściszym głosem Tybetańczyk - ludzie pytali o ciebie moją matkę.

Ręka Shana niosąca kubek zastygła w powietrzu na wzmiankę o tej surowej, energicznej kobiecie. Wieśniacy nie zwrócili się do niej dlatego, że była matką Kypo, ale ponieważ była wioskową wróżbitką, najlepszą namiastką mnicha, jaką mieli do dyspozycji.

- O mnie?

- Prosił ją, żeby jeszcze raz rzuciła w twojej sprawie kości *mo* - odparł Kypo, mając na myśli kościane kostki ze znakami tybetańskiego sylabariusza na ściankach, służące do przepowiadania przyszłości. - Chcieli wiedzieć, jak ukarać nosiciela zwłok za zaniedbanie obowiązku.

- I co powiedziały kości? Kypo pokręcił głową.

- Ona nie daje się zmusić do zagładania w losy. Mówi, że to budzi ich gniew. Więc ja sam przypomniałem im o tobie

i zmarłych - powiedział, rzucając Shanowi przepraszające spojrzenie.

- O mnie i o zmarłych?

- Przepraszam. Byłem kiedyś na szlaku, gdy schodziłeś w dół ze zwłokami. Nie wiedziałem, co robić. Ukryłem się. Recytowałeś stare wiersze.

- Powiedziałeś im, że cię wystraszyłem?

- Powiedziałem im, że umiesz rozmawiać ze zmarłymi -sprostował Kypo.

Kątem oka Shan dostrzegł jego żonę, stojącą na końcu korytarza.

- I co oni na to?

- Część poszła do domu. Pozostałym matka powiedziała, że sami do tego doprowadziliśmy, zapominając o dawnych zwyczajach. Kazała im iść do swych ołtarzyków i recytować mantry.

Shan pił herbatę, rozpaczliwie starając się zrozumieć, co dzieje się w wiosce.

- Czy była tu безпеka?

- Jak dotąd tylko jakiś oprych z Urzędu do spraw Wyznań, wczoraj pod wieczór. Ludzie zdążyli już przezwać go lisem, bo nosi czapkę z lisiego futra. - Twarz Kypo ściągnęła się. - Miał ze sobą czterech ludzi, nie licząc posterunkowego Jina. Szukali zbiegłych mnichów po wszystkich domach, dopilnowali, by każdy wiedział, że pójdzie do paki, jeśli kiwnie choć palcem, żeby im pomóc. Były problemy.

- Problemy?

- Mnichów oczywiście tu nie było, ale ten młynkoburca był przekonany, że coś przed nim ukrywamy. Próbował zastraszyć kilku starszych mieszkańców, posadził ich na krzesłach na placu jak podczas tamzingu. - Kypo westchnął. - Próbował przez parę godzin, po czym odjechał.

Shan zwalczył dreszcz. *Tamzing* był słowem z bolesnej

przeszłości, nazwą publicznych sesji krytyki, podczas których Czerwona Gwardia próbowała, w przenośni i dosłownie, wbić słuszne poglądy polityczne do głów nieprawomyślnych obywateli.

- Co mówi się w wiosce o pułapce zastawionej na ten autobus?

- Nic. Jedyne, co wiemy na pewno, to że zrobił to ktoś, kto nie ma pojęcia, do czego są zdolni pałkarze.

- Ci mnisi musieli pochodzić z okolicznych gospodarstw i wiosek - podsunął Shan. Jak za dawnych czasów, dodał niemal. Niegdyś każda tybetańska rodzina posyłała swego najstarszego syna do miejscowego klasztoru. - Tam chyba będą szukać w pierwszej kolejności.

- Dziwna rzecz - odparł Kypo. - Władze nie mają pojęcia, kim oni byli, nie znają ich nazwisk. Jedyne dokumenty, jakie mieli na ich temat pałkarze, były w tym autobusie. Zniknęły w zamieszaniu.

- Skąd o tym wiesz?

- W tych górach nie ma zbyt wielu wykwalifikowanych mechaników. Jomo bywa czasem wzywany do pomocy w rządowym warsztacie, dokąd odholowano autobus. Tsipon wysłał mnie, żebym odebrał go, kiedy skończy. Poprosiłem, żeby pozwolił mi obejrzeć wnętrze autobusu. Te więzienne autobusy mają przyśrubowaną pod deską rozdzielczą zamykaną na klucz skrytkę na akta przewożonych więźniów. Ta została otwarta siłą.

Shan poczuł nagły przyływ optymizmu. Skoro akta zniknęły, zbiegli mnisi mieli realną szansę na wolność.

- Dlaczego tam zagłędałeś?

- Jak sam mówiłeś - odparł Kypo z napięciem w głosie - ci mnisi mieli rodziny.

Shan, zaskoczony, spojrział na niego z przestraczem. Czy Kypo chciał powiedzieć, że zamierzał sam wykraść te doku-

menty? Gdyby przyłapano go na takim przestępstwie, niechybnie trafiłby na wiele lat za kratki.

- Jeśli śledztwo Cao nie przyniesie efektów, Kypo, będzie musiał zatuszować to politycznie niezawodnym wyjaśnieniem.

- Nie rozumiem.

- Powie, że zasadzka i zamach były ze sobą powiązane, że do skoordynowania ich potrzeba było wielu ludzi, że to, co wydarzyło się tamtego dnia, było aktem zorganizowanego buntu mieszkańców gór. Ogłosi stan wyjątkowy, wezwie setki żołnierzy...

Przerwał mu jęk przerażenia i trzask tłukących się naczyń. Żona Kypo, przysłuchująca się w cieniu, upuściła talerze, które trzymała w rękach. Shan nie dokończył zdania, nie wspomniał, że samo istnienie wsi takiej jak Tumkot stałoby ością w gardle każdemu wojskowemu dowódcy próbującemu poskromić ten region.

- I zdecydowałeś już, co powiesz, kiedy pałkarze w końcu zapytają cię o liny? - dodał.

Kypo spojrział na niego z udawaną konsternacją, po czym, jak gdyby dla ukrycia prawdziwej reakcji, zaczął trzeć oko. Był jedynym znanym Shanowi Tybetańczykiem, który nosił szkła kontaktowe.

- Na razie to tylko Urząd do spraw Wyznań, bo безпеka jest skupiona na zamachu. Ale nie będzie mogła długo ignorować tego zbiegu okoliczności.

- Zbiegu okoliczności?

- Między zasadzką na autobus i zamordowaniem minister Wu.

Kypo na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

- Cao już był w składzie, pytając o skradziony sprzęt. Shan przycisnął dłoń do ramienia. Biceps, do którego pałkarze podłączyli elektrody, zaczął drgać.

- O co pytał?

- O nic specjalnego. Wyjaśniłem, że jesteśmy firmą obsługującą wyprawy alpinistyczne, należąca do czołowego tybetańskiego członka lokalnego oddziału partii. Prowadzimy ścisłą kontrolę zapasów magazynowych. Lina była nasza, owszem, ale została zamówiona przez zagraniczną wyprawę, załadowana na ciężarówkę i dostarczona do bazy pod Everestem na parę dni przed zabójstwem.

- Przez jaką wyprawę?

- Amerykańską. Yates i ta kobieta, która z nim współpracuje.

Shan gwałtownie uniósł głowę.

- Co za kobieta?

- Właściwie jej nie znam. Nazywa się Ross, podobno jest słynną alpinistką. Yates określa ją jako swoją szefową od wspinaczki.

Shan w milczeniu pił herbatę, ponownie rozmyślając nad zagadką cudzoziemki, która zmarła na jego rękach. Nikt nie wspomniał o jej zniknięciu. Jeśli była partnerką Yatesa, dlaczego nie zgłosił jej zaginięcia?

- Gdzie ona jest teraz? Kypo wzruszył ramionami.

- Czasami sypia w chatce za składem, czasami w bazie. Ale zwykle wspina się gdzieś w górach. To niezmordowana alpinistka.

- Z pewnością Cao pytał, co robiliście w dniu zamachu? - zagadnął Shan.

Kypo wstał i podszedł do tylnego okna, wyglądając na podwórze, gdzie dziewczynka bawiła się z kozą. Machinalnie ugniał placek odbarwionej skóry na grzbiecie dłoni, ślad po odmrożeniu.

- Formalnie rzecz biorąc, większość naszej działalności opiera się na zezwoleniu ministerstwa turystyki, które zawiera

też z nami umowy na zlecenia specjalne. On już wiedział, że minister zarezerwowała nas wszystkich na ten dzień. Shan stanął obok niego, nim odezwał się znowu.

- O czym ty mówisz?

- Minister Wu nazywała to wystawą. Rozwiesiliśmy liny do pokazu zjazdów i innych technik. Życzyła sobie, jak to określała, pełnej mobilizacji, zaprezentowania jej ważnym gościom wszystkich dostępnych środków sprzyjających intensyfikacji użytkowania. Tak właśnie ludzie z Pekinu mówią o górze. Wskaźniki wykorzystania sprzętu. Zaopatrzenie obozów. Pojemność stoków. Po przybyciu wygłosiła w nowym hotelu Tsipona przemówienie dla zgromadzenia miejscowych biznesmenów. Zarzucała nam marnowanie bogactwa kraju, wzywała nas do cięższej pracy. Znasz tę gadkę. My, dzieci Tybetu, musimy mieć wzgląd na nasze ciotki i wujków z Pekinu. Potem rozdawała długopisy z czerwoną flagą.

- Gdzie urządziła tę prezentację?

- Parę kilometrów od hotelu, koło gompy Rongphu - odparł Kypo, mając na myśli zrekonstruowany klasztor będący ostatnim osiedlem przed bazą alpinistyczną. - Tam właśnie jechała, by skontrolować wszystko przed przybyciem ważnych gości. Spodziewała się ich po południu. Niemal wszyscy byliśmy na miejscu. Wiesz, jak to jest, kiedy przyjeżdżają grupy z Pekinu. Wykorzystują Rongphu jako przystanek autobusowy. Minister parę dni wcześniej wysłała tam i do bazy ekipę filmową, kręcącą materiały do filmu, który zamierzała pokazać w Pekinie. Na terenie klasztoru zaplanowany był wielki lunch na świeżym powietrzu. To minister osobiście zarządziła zamknięcie na ten dzień tego odcinka szosy, by móc się nacieszyć swoją górą.

- Kto mógł wiedzieć o tym zarządzeniu?

- Jedynie każdy wieśniak i pasterz w promieniu trzydziestu kilometrów.

- Ale nie z wyprzedzeniem.

- Oczywiście, że nie z wyprzedzeniem - przyznał Kypo. - To była tajemnica państwowa.

Przez okno Shan widział stok ponad wioską. Chłopcy z psami wracali na otwarte pastwiska, pędząc niewielkie stada owiec. Kobiety w ciemnych wełnianych sukniach pracowały na polach jęczmienia. Wyżej, ścieżką wiodącą ku wysokim szczytom, szła inna kobieta, prowadząc osła obładowanego gałęziami jałowca. Jego dym miał przyciągać bóstwa. Tak wielkie ilości dostarczano niegdyś regularnie do świątyń i gomp, jednak w regionie dawno temu ogołoconym ze świątyń taka ilość mogła mieć tylko jedno zastosowanie.

- Czy ktoś jeszcze umarł?

Jego uwagi nie uszedł grymas na twarzy Kypo. Tybetańczyk wskazał ręką kobietę z osłem, zbliżającą się właśnie do długiej rozpadliny w wysokiej skalnej ścianie ponad wioską.

- To wioskowa wróżbitka - powiedział zduszonym głosem.

- Chcesz powiedzieć, twoja matka - zauważył Shan, zastanawiając się, co oznacza mieszanina frustracji, gniewu i żalu w jego oczach.

- Ostatnim, który widział zwłoki Tenzina, był jej wujek. Tyle tylko - zakończył głuchym tonem Kypo - że nasz stary wujek, twój przyjaciel, został zamordowany.

Posuwając się wolnym truchtem, jakim mieszkańcy gór zwykli byli pokonywać większe odległości, Shan dotarł wkrótce do rozpadliny w skalnej ścianie, gdzie zniknęła matka Kypo. Zanim wszedł w cień, przystanął, by obejrzeć się na wioskę, wciąż usiłując wydobyć sens ze słów Tybetańczyka. Nigdy nie słyszał, by Kypo wspominał o wujku czy ciotecznym dziadku, nie przychodził mu na myśl żaden stary mieszkaniec wioski,

którego mógłby nazwać swoim przyjacielem, nie mógł pojąć, dlaczego zabójstwo członka wioskowej starszyny nie wywołało większego poruszenia.

Gdy po pięćdziesięciu metrach wynurzył się z długiego, mrocznego korytarza, stwierdził, że znalazł się w wietrznej dolince, pustej, jeśli nie Uczyć kilkudziesięciu owiec i samotnej kobiety rozładowującej osła u stóp urwiska na przeciwległym krańcu.

Shan poznał wróżbitkę, Amę Apte, parę tygodni wcześniej w domu Kypo, gdy przyszedł odebrać naprawiony przez niego i kowala sprzęt. Przyjął obcesowe, brzmiące niemal jak rozkaz zaproszenie, by się udał wraz z nią do jej domu, gdzie przepowie mu przyszłość, rzucając parą kościanych kostek Mo. Nie była najstarszą osobą w wiosce, cieszyła się jednak największym szacunkiem i mieszkańcy Tumkot wyrażali się o niej ze czcią. Jak wielu starych Tybetańczyków, żyła w kilku światach naraz. Wszyscy zmagali się z realiami współczesnego chińskiego Tybetu, ale robili co w ich mocy, by żyć w innym świecie, w tradycyjnym Tybecie sprzed chińskiej inwazji. Arna Apte zaś wędrowała po jeszcze jednym świecie, znacznie starszym, skrytym w mgłach wczesnego Tybetu, gdzie czarownicy, demony i bogowie byli równie żywi jak długowłose owce, obok których Shan właśnie przechodził.

Zatrzymał się w pewnej odległości od kobiety i usiadł w pozycji medytacyjnej obok wielkiego głazu, z ręką opuszczoną wzdłuż nogi w mudrze zwanej przez tybetańskich buddystów gestem dotykania ziemi. Przyglądał się jej pracy, niemal pewny, że za chwilę zostanie przepędzony. Wróżbitka nie miała cierpliwości do obcych. Poznał w Tybecie kilku wróżbitów i wieszczów; niemal wszyscy byli przewrażliwionymi, wewnętrznie udręczonymi ludźmi, którzy nawet w miastach wiedli samotniczy tryb życia.

Gdy Ama Apte dostrzegła go wreszcie, zastygła w bezruchu, po czym dotknęła gau, kasetki na amulet, którą nosiła

na szyi, i na powrót zajęła się rozładowywaniem jałowcowych gałęzi. Kiedy skończyła, klepnęła osła w bok, odsyłając go, by poszedł skubać trawę, sama zaś zeszła na dno doliny, by nazbierać suchych patyków wśród rosnących tu i ówdzie rachitycznych krzaków. Obserwując ją, Shan przypomniał sobie przepowiednię, jaką wygłosiła podczas ich pierwszego spotkania. Nie prosił o wróżbę, ona jednak nalegała, jakby miała sobie tylko wiadome powody. Rzut kośćmi dał w wyniku symbole *Pa Tsa*, co w tablicach używanych przez wróżbitów oznaczało Demona Nieszczęść. Wydawała się dziwnie zadowolona, a kiedy spytał o znaczenie wróżby, odparła, że zależy to od postawionego pytania. Gdyby na przykład martwiła go niemożność znalezienia wewnętrznej harmonii, wówczas kości mówiły, że nie uwolniłby się od niepokoju wewnętrznego, że w jej poszukiwaniu złamałby nawet własne śluby, że nigdy by jej nie odzyskał, nie odprawivszy ciężkiej i bolesnej pokuty. Dopiero później, nocą, leżąc na posłaniu, zdał sobie sprawę, że umknęła mu istota rzeczy. Powinien był się zainteresować, jak brzmiało pytanie, które zadała na jego temat.

Teraz, przyglądając się Amie Apte, czuł się równie nieswojo jak tamtego dnia. Nie była taka jak inne znane mu Tybetanki: silna, a zarazem sprawiająca wrażenie wrażliwej jak dziecko, ładna, lecz z twarzą zawsze pobrużdżoną troską. Miała oczy starego lamy, ale żwawość i energię młodej dziewczyny. Uświadomił sobie, że nie pierwszy raz zasięga w jego sprawie rady swych wróżebnych kości, gdyż to właśnie ona oświadczyła, że Shan ma być nosicielem ciał zmarłych za sprawą matki gór. Przyjął ten obowiązek, nie zadając pytań, wiedział bowiem, że dociekania oburzyłyby ją, jak gdyby targował się z wyrokami losu.

Nieśmiało dołączył do niej przy pracy, pomagając jej ułożyć stos z drewna i zielonych gałęzi. Po kwadransie podszedł do płaskiego głazu, nakrył go kurtką i rozłożył na nim kil-

ka orzechów oraz suszonych owoców z zawieszanej u pasa sakiewki. Wykonał gest ofiary, po czym opuścił głowę. Parę chwil później kobieta stanęła przy nim. W milczeniu wybrała siedem sztuk, tradycyjną liczbę ofiar dla bóstw, i zniknęła za wysoką skałą dziesięć metrów dalej. Po chwili wróciła i usiadła przy prowizorycznym stole naprzeciw Shana.

- Przez całe moje życie wujek Kundu był przy mnie - odezwała się nagle, wydając odgłos, który brzmiał jak szloch - nie licząc tego krótkiego okresu między wcieleniami. Tym razem już go nie znajdę, gdy zabrano go w taki sposób. Nie był przygotowany na to, co się stało. Zostanie gniewnym duchem, błakającym się samotnie, zagubionym, targanym to tu, to tam przez wiatry.

Według tradycyjnych tybetańskich wierzeń umierający, który został należycie przygotowany, który w momencie zgonu miał umysł pełen stosownych modlitw i nad którym wypowiedano je po śmierci, mógł dokonać szybkiego, spokojnego przejścia do nowego wcielenia. Dusze zamordowanych jednak mogły całymi latami wędrować bez celu, bez nadziei, nie pojmując nawet, co się z nimi dzieje.

- Możemy przyjść mu z pomocą - podsunął Shan. - Przemówić do jego duszy. Pogodzić go ze śmiercią.

Ama Apte zaczęła szeptać w stronę nieba starą pieśń, jaką śpiewali pielgrzymi. Shan podejrzewał już, że nie dosłyszała jego słów, dopóki raptownie nie odwróciła głowy w jego stronę.

-Jak?

- Zidentyfikować jego zabójcę. Wyjaśnić okoliczności jego śmierci. Pomagałem już kiedyś robić takie rzeczy. Prawda jest potężną siłą, na tym świecie i na tamtym.

- Jesteś Chińczykiem - zauważyła. Było to stwierdzenie faktu, nie zarzut.

- Przyszedłem na świat w Chinach, spędziłem tam ponad czterdzieści lat - przyznał Shan.

Przez twarz wróżbitki przemknął uśmiech. Utkwiła wzrok w odległych chmurach, jak gdyby szukając wyjaśnienia.

- Ale w Tybecie zacząłeś nowe życie, by odpokutować za pierwsze.
- Jak gdyby po namyśle spojrzała na jego rękę. - Ludzie mówią, że jesteś jednym z tych skazańców.

Shan podwinął rękaw, pokazując jej obozowy tatuaż.

- Moja reinkarnacja rozpoczęła się na koszt rządu.

Palce kobiety dotknęły jego ręki, pocierając cyfry w sposób, w jaki niekiedy pocierała znaki na swych wróżebnych kościach przed ich rzuceniem. Spoważniała, wpatrując się z natężeniem w cyfry, jak gdyby zawierały jakąś ukrytą wiadomość. W jej dłoni pojawiły się dwa kościane sześciaki, które rzuciła na rozłożoną kurtkę Shana. Wpatrywała się w nie bez słowa, po czym gwałtownym ruchem zgarnęła je, chwyciła go za rękę i zaprowadziła za skałę.

Shan nie był przygotowany na to, co zobaczył. Wodził wzrokiem w tę i z powrotem, przepatrując nierówny teren u podnóża urwiska i zbierając siły do stawienia czoła kolejnej tragedii. Były tam rachityczne zarośla, mała kupka drewna opałowego, szczekuszka, która na ich widok czmychnęła z piskiem. Oraz martwy muł.

Jakby dla rozwiania wszelkich wątpliwości Ama Apte usiadła przy zwłokach, położyła sobie łeb muła na kolanach i zaczęła go głaskać.

Zamordowano jej wujka, powiedział Kypo. Twojego przyjaciela.
Shan uklęknął niepewnie, przyglądając się zwłokom; dostrzegł na czole zwierzęcia wielką dziurę oraz nieregularną białą gwiazdkę, która powiedziała mu, że istotnie ma przed sobą przyjaciela. Był to muł, którego mieszkańcy wioski zawsze przyprowadzali mu do znoszenia zmarłych z góry. W chłodnym, zimnym powietrzu zwłoki rozkładały się bardzo wolno, a muł wciąż miał na sobie uprząż, do której Shan w dniu zamachu przytroczył ciało Tenzina.

Wpatrywał się tępo w zwierzę, zbity z tropu osobliwym odkryciem, po czym przeszedł wzdłuż truchła, podczas gdy Ama Apte szeptem odmawiała modlitwę. W końcu uklęknął znowu i pogłaskał nos muła, jak często robił na szlaku.

- Znałem go - powiedział, z trudem szukając słów, które nie obraziłyby ani człowieka, ani muła. - Miał najpewniejszy krok pod słońcem - dodał. - Był w szczególnych stosunkach z bóstwem gór.

Ama Apte z wdzięcznością skinęła głową. Po jej ogorzałym policzku spłynęła łza. Shan wrócił myślami do swej wizyty w jej domu w wiosce, niedaleko domostwa Kypo. Na parterze, zgodnie z tradycją służącym za obórkę, przy największej przegrodzie leżał siennik.

- Opowiedz mi o tym - poprosił po chwili.

- Kiedy nie wrócił tamtej nocy, poszłam szukać go w jego ulubionych miejscach, małych, osłoniętych przed wiatrem łączkach ze słodką trawą. Nie było go nigdzie. Następnego popołudnia w końcu znalazłam go tutaj, z pustym siodłem jucznym. Pierwszą rzeczą, jaka przyszła mi na myśl, było, że zaprowadzili go pod tę ścianę i rozstrzelali. - Zapatrzyła się w łeb martwego zwierzęcia. Mówiła teraz głosem małej dziewczynki. - Tak stało się z moją matką i ojcem, niedaleko stąd. Chińczycy po prostu wywlekli ich z domu, bo byli właścicielami ziemskimi. - Umilkła. - Nie wiem, co tu zaszło. Widzę przyszłość, nie przeszłość[^]. Słyszałam, że ty to potrafisz. Opowiedz nam o przeszłości. - Gdy w końcu uniosła wzrok, jej twarz przypominała jedną z owych upiornych, wydrążonych masek, jakie Tybetańczycy zakładali podczas religijnych obrzędów.

Dziwnie zakłopotany jej słowami Shan wstał. Przeszedł wzdłuż urwiska, przyglądając się jałowej okolicy, piętrzącej się nad nią ścianie, nienaruszonej ziemi pomiędzy ścieżką w dole a miejscem, gdzie leżało truchło.

- Spędziłem z nim większość jego ostatniego dnia - po-

wiedział. Miał nieodparte wrażenie, że uczestniczy w pogrzebie starego przyjaciela.

- Poprzednim razem mój wuj był mnichem, jednym z tych, którzy opiekowali się świątynią Jamy na górze nad wioską. Mówił mi często, że w następnym życiu zapłaci za to, że pozwolił ją zniszczyć - wspomniała Ama Apte. Jej słowa brzmiały cicho i eterycznie, niczym modlitwa lamy. - Kiedy przyszedł szukać nowego miejsca do życia, obiecałam, że nigdy nie pozwolę, by wywlekli go tak, jak moich rodziców, że będę go chronić, jeśli tylko zdejmie mnisią szatę i stanie się pasterzem, takim jak my. Zgodził się, bo wiedział, że ktoś musi czuwać nade mną i Kypo. Był z nami ponad dwadzieścia lat. Pół roku po jego śmierci ten młody muł pojawił się, kiedy doglądałam owiec. Dałam mu trochę jęczmienia w misce, ale nie tknął go. Patrzył tylko na mnie, jak gdyby chciał mi coś powiedzieć, po czym poszedł za mną do domu. Podałam mu więcej ziarna, w czterech różnych miskach. Była wśród nich drewniana, stara i popekana, której nie używał nikt poza wujkiem. Muł podszedł prosto do drewnianej miski i zjadł z niej wszystko. Wtedy zrozumiałam. Jako muł - dodała po chwili - był zawsze dobrym wujem.

To właśnie Ama Apte, uświadomił sobie Shan, musiała wyznaczyć tego muła do transportu zwłok. Zawsze czekał wraz z Kypo na skraju drogi, bez słowa wyjaśnień. Posyłała swego krzepkiego wuja, muła. Shan przypominał sobie, z jaką uwagą muł słuchał zawsze jego wierszy.

- Muszę obejrzeć jego ciało - oświadczył.

Gdy Tybetanka nie odpowiedziała, Shan wyciągnął z kieszeni notatnik. Wyrwawszy czystą kartkę, napisał po tybetańsku: *Byłeś pyłem, teraz jesteś duchem, byłeś ignorantem, teraz jesteś mędrcom.* Była to tradycyjna modlitwa żałobna. Ama Apte przyglądała mu się, gdy umieszczał kartkę pod kamieniem przy zwłokach, po czym gestem pozwoliła mu zająć się

zwierzęciem. Zdjął uprząż, wyprostował podgięte nogi muła i zaczął systematycznie wodzić dłońmi po jego ciele, zatrzymując się przy zgrubieniu tu, plamce zaschniętej krwi tam. Niemal kwadrans później wytarł ręce o kępę trawy i wstał.

- To nie było jedno z jego ulubionych miejsc - zaryzykował. - Bez wody, prawie bez trawy.

- Nie - przyznała Ama Apte. - Ale tu właśnie musimy go pochować. Jest za duży, by przenieść go gdzie indziej.

- Ale wyżej - ciągnął Shan, wskazując szczyt piętrzącego się nad nimi urwiska - jest miejsce, które lubił. - Umilkł na chwilę, rozglądając się po pobliskich skałach. Miał niejasne poczucie, że jest obserwowany.

Tybetanka przekrzywiła głowę.

- Miał swoje ulubione miejsca, gdzie była trawa i słońce. Jest pewna stara świątynia, dziś stracona dla świata, którą odwiedzaliśmy. Lubiał maszt flagowy. Jest ścieżka, która biegnie zakosami z doliny ku małej kępie jałowców i trawy. Chodził tam czasem ze mną, w obydwu wcieleniach.

Shan skinął głową.

- Postrzelono go na szczycie tej ściany, w to miejsce... - uniósł nieco przedni prawy bark zwierzęcia, ukazując przyciśniętą do skały ranę - tak że spadł z urwiska. Potem ktoś przyszedł tu, by strzelić mu w głowę z pistoletu przystawionego między oczy.

Po policzku Amy Apte spłynęła łza.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- W pobliżu nie ma żadnych śladów kopyt, nie licząc paru owczych. Ma kilka połamanych kości, efekt upadku. Jeśli dokładniej przyjrzesz się głowie, zobaczysz wokół rany sierść przypaloną od wystrzału z dużego pistoletu przyciśniętego do czaszki. Są odciski ciężkich, wojskowych butów, które zostawił ktoś posuwający się wzdłuż ściany urwiska.

- On nienawidził żołnierzy. Uciekłby przed nimi - odparła

nieobecny głosem Arna Apte. - Ale dlaczego? Po co zadali sobie tyle trudu? Czego mogli się z jego strony obawiać?

- Nie wiem. Zostawiłem go w dniu zamachu niedaleko szosy, z Tenzinem na grzbiecie, kilka godzin, nim go zastrzelono. - Shan odwrócił się i omiół wzrokiem nieckowatą dolinkę ograniczoną grzbieciem, który obiegał ją łukiem, łącząc się z potężnym masywem górującym nad Tumkot. Prowadząca w górę ścieżka biegła w stronę lodowca, o którym mówiono, że jest nie do przejścia. Ale po drugiej stronie góry znajdował się szlak do bazy pod Czomolungmą. - Zginał, ponieważ był świadkiem czegoś. - Spojrzał znów na siedzącą kobietę, uświadomiwszy sobie, że wypowiedział na głos nieprawdopodobną myśl, która właśnie przyszła mu do głowy.

Ale stara wróżbitka przytaknęła tylko, jak gdyby wyjaśnienie to było dla niej najzupełniej sensowne.

- Masz dość sił, by odkryć dla niego resztę, żeby mógł ruszyć dalej?
- zapytała.

- Co proszę?

- Resztę prawdy. Prawda o moim wujku będzie trudna i niebezpieczna. Będzie bronić się przed odkryciem.

Shan skinął głową. Prawda o martwym mule miała być także prawdą, która ochroni Tana, a zatem mogła okazać się prawdą, która ocali życie jego syna. Ktoś, jednego i tego samego dnia, zamordował minister Wu, cudzoziemkę i muła.

- Ale zeszłej nocy rzuciłam kości - dodała przeproszającym tonem Arna Apte. - I jeszcze raz tu, w tym miejscu. Za każdym razem mówiły to samo. Bardzo silna wróżba. Na drodze śmierci czeka dalsza śmierć.

Shan zamknął na chwilę oczy, po czym spojrzał na ośnieżone szczyty za dolinką. Wyciągnął rękę do kobiety, by pomóc jej wstać.

- Będziemy potrzebować więcej drewna - powiedział.

Rozdział 5

„Naprzód, wciąż naprzód! To jaśniejące światło Partii i Przewodniczącego Mao Zedonga dało nam niezmierną siłę i mądrość!” - głosił zakurzony transparent na ścianie za biurkiem Tsipona. Był to słynny w tym regionie cytat, płomienne oświadczenie złożone dla prasy przez pierwszą chińską ekipę, która zdobyła Czomolungmę, przedrukowywane we wszystkich przewodnikach turystycznych i dziełach o historii regionu. Na sąsiedniej ścianie wisiał nowy transparent, niemal równie wielki, obwieszczający otwarcie zajazdu „Pod Śnieżną Panterą”, najbardziej luksusowego hotelu w chińskich Himalajach.

Było godzinę po świcie, o wiele za wcześnie, by Tsipon wytknął nos ze swego wygodnego domu na stoku ponad miastem, ale przez okna wpadało już dość światła, by Shan widział dobrze bez zapalania zdradzieckiej żarówki. Skierował się prosto do stołu pod oknem, gdzie sekretarka Tsipona trzymała nieoficjalne archiwum miejscowego alpinizmu: zdjęcia pierwszych wspinaczy, roczne statystyki wypraw, publikacje Chińskiego Instytutu Górskiego i egzemplarze lokalnej gazety.

Po maltretowaniu, jakiemu poddano jego ciało i umysł, jego wspomnienia z miejsca zbrodni zatarły się do tego stopnia, że był niemal skłonny dać wiarę powszechnym zaprzeczeniom, jakoby była tam jakakolwiek cudzoziemka. Od tam-

tego strasznego dnia jej twarz prześladowała go w snach. W koszmarze, jaki nawiedził go ostatniej nocy, leżał rozbity i krwawiący na podłodze celi, gdy zjawiała się zbuczona krwią jasnowłosa kobieta, która wyniosła go stamtąd, mówiąc kojącym tonem, że góra wzywa go na ostatnią wspinaczkę, że nie powinien uważać tego za śmierć, jedynie za mroźną, wietrzną przeprawę do wznioślejszej egzystencji.

Uznał, że jej twarz, choć nieznaną mu, nie była zupełnie obca. Miał wrażenie, że w obozie bazowym widział Yatesa z jakąś kobietą, choć nie mógł być pewny, gdyż Urząd Bezpieczeństwa starał się jak mógł zniechęcić personel pomocniczy do nawiązywania kontaktów z cudzoziemcami. Kypó jednak potwierdził, że Amerykanin miał partnerkę, słynną alpinistkę nazwiskiem Ross.

Zamierzał znaleźć jej zdjęcie, wyrwać je i czym prędzej uciec z biura, ale zabrało mu to znacznie więcej czasu, niż się spodziewał, gdy nadaremnie wertował każdą gazetę z ostatnich trzech miesięcy. Zaczął jeszcze raz od początku, powtarzając sobie w myślach, by przepatrując liczne zdjęcia grupowe, szukać innej fryzury, innego stroju. Gdy w końcu ją znalazł, miała znacznie dłuższe włosy, ocieniające część twarzy pod typowo amerykańską czapką z daszkiem. Stała pośrodku pierwszego rzędu dwudziestoparosobowej grupy. Podpis pod zdjęciem określał ją po prostu jako amerykańską prelegentkę na uroczystym lunchu dla przedstawicieli miejscowego przemysłu alpinistycznego, z okazji rozpoczęcia sezonu; ogłaszała nową, finansowaną przez Amerykanów kampanię na rzecz ochrony środowiska, mającą na celu uprzątnięcie śmieci z najwyższych partii Everestu.

Wydarł stronicę z gazety, złożył ją i wsunął do kieszeni, po czym kontynuował poszukiwania. Podczas sezonu cudzoziemcy byli rzucającym się w oczy i popularnym tematem. Pięć minut później znów natknął się na nią na wyraźniejszym

zdjęciu; ukazywało wysportowaną kobietę o łagodnym, nieśmiałym uśmiechu, wymieniającą uścisk dłoni z przedstawicielem ministerstwa edukacji przed nową, jednoizbową szkołą ufundowaną przez amerykański klub alpinistyczny Przeglądał właśnie ten drugi artykuł, zamierzając go wyrwać, gdy nagle zapaliło się światło pod sufitem.

W drzwiach stał Tsipon, na jego twarzy malowała się wściekłość.

- Kim ona jest? - zapytał Shan, nim Tybetańczyk zdążył się odezwać. Trzymając zdjęcie przed sobą, ruszył w stronę drzwi.

Zdawało się, że na widok fotografii kobiety Tsipon doznał wstrząsu. Wpatrywał się w nią, powoli chłonąc z gniewu, gdy Shan powtórzył pytanie, po czym wyrwał mu ją z ręki.

- Megan Ross, tak jest tu napisane - przeczytał. - Obywatelka Stanów Zjednoczonych.

- Znałeś ją. Musiałeś ją znać.

Tsipon zerknął wyczekująco w stronę wejścia do budynku, po czym zmarszczył brwi.

- Znałem? Znam ją. To mąciicielka. Cudzoziemska agita-torka, nie mająca pojęcia o delikatnej równowadze polityki w naszym świecie. W zeszłym roku wniosła petycję z żądaniem, by Pekin wysyłał pobierane opłaty wspinaczkowe górskim wioskom, ni stąd, ni zowąd ogłaszając to na bankiecie towarzystwa wspinaczkowego na zamknięcie sezonu. Powiedziała, że każdego centa powinno się przeznaczyć na odbudowę zburzonych przez Pekin świątyń, by góra znów była zadowolona i przestała tak masowo odbierać ludziom życie. Powiedziałem jej, że jeśli chce, by ludzie słuchali, jak mówi o świątyniach, będzie musiała umrzeć i wrócić jako buddyjska mniszka.

- Ona naprawdę umarła, na moich rękach, obok minister Wu.

Tsipon przewrócił oczami.

- Czytałem o osobliwej formie urojeń paranoidalnych, w której człowiek wyobraża sobie, że znane postacie umierają w jego obecności. Znam tu w pobliżu szpital, gdzie uporano by się ze wszystkimi twoimi dolegliwościami. - Tybetańczyk spojrział znacząco, po czym, dostrzegając upartą minę Shana, wzruszył ramionami. - Nie myślisz chyba, że śmierć Amerykanki dałoby się zatuszować.

- Cao w jakiś sposób zdołał to zrobić. Znajdź kogoś, kto widział ją od tamtego dnia. Kogokolwiek.

- Ona jest skryta. Ma ludzi, którzy wyświadczają jej poufne przysługi. Nie lubi być w centrum uwagi.

- Odnoszę wrażenie, że znasz ją dobrze. Jeśli żyje, skontaktuj się z nią - naciskał Shan.

Tsipon ponownie wyjrzał za drzwi, nim zrobił kolejny krok do środka.

- Muszę być w dobrych stosunkach ze wszystkimi zagranicznymi alpinistami. Oni stanowią naszą siłą napędową. Megan Ross ma listę szczytów, na które chce się wspiąć. Listę życia, jak to nazywa. Wiedziałeś, że w naszym regionie jest ponad dwadzieścia szczytów mierzących przeszło sześć tysięcy metrów? Lhoce, Makalu, Czo Oju, Sziszapangma. I niemal wszystkie nie są oficjalnie dostępne dla obcokrajowców. Ona czasem znika na parę dni, a kiedy wraca, kolejna góra z jej listy jest już odhaczona.

Wyzwanie w jego oczach zwróciło uwagę Shana.

- Chcesz powiedzieć, że to ty jej pomagasz. Ty wyświadczasz jej poufne przysługi.

Tsipon wzruszył ramionami.

- To Amerykanka - powiedział, jak gdyby to starczało za całe wyjaśnienie. - Przyjeżdża tu od lat, teraz współpracuje z tym Yatesem, i ma wpływy we wszystkich agencjach organizujących wyprawy. Czasami potrzebuje sprzętu. Nic wielkie-

go. Liofilizowaną żywność. Jakiś sprzęt wspinaczkowy, który w większości zwraca. Przewodnika, który potrafi dotrzymać tajemnicy. Czasem nawet podwiezienia gdzieś ciężarówką w środku nocy. Płaci dolarami. Dolary bardzo się przydają. Niektórzy Szerpowie z Nepalu życzą sobie wynagrodzenia w dolarach.

- Skontaktuj się z nią. Tsipon zerknął na zegarek.

- Ona nie jest głupia. Nie mówi mi o każdej wyprawie. A nikt nie piśnie słówka, nawet jeżeli coś wie. To są nielegalne wspinaczki. Bez zezwoleń. Bez opłat. Niektóre są w pobliżu baz wojskowych.

Shanowi przyszła do głowy nowa myśl.

- Skąd ona mogła znać minister turystyki? - I dlaczego, zapytał sam siebie, miałyby zatrzymywać jej samochód na szosie?

- Ty naprawdę potrzebujesz lekarza. Ross była oburzona tym, jak minister traktowała górę. Mówiła, że Wu się zachowuje, jakby Czomolungma należała do niej. Wu była dla niej wrogiem.

I to właśnie, uświadomił sobie Shan, mogło być powodem, dla którego Ross spotkała się z nią na górze.

Tsipon podszedł do kalendarza na ścianie przy drzwiach i sięgnął po marker z pobliskiego regału na książki. Przekreślił ostatnie pięć dni.

- Potrzebuję zwłok tego Szerpy. Został ci jeszcze tylko jeden dzień. Powinieneś być w górach.

Shan nie ustępował.

- W jaki sposób cudzoziemka, taka jak Ross, mogła sforsować obstawę minister? - drażył.

- Szosa była zamknięta. Kiedy minister zaproponowała, że pojedzie bez obstawy, nikt się nie sprzeciwił. Chciała sama prowadzić, pokonać trasę pod górę jako turystka.

- Skąd o tym wiesz?

Tsipon uśmiechnął się chytrze.

- Bo wynajęła gratis jeden z samochodów z hotelowej wypożyczalni.

- A ty - dopowiedział Shan - zająłeś się ostatnio wynajmem samochodów.

Tsipon znów się uśmiechnął.

- W zajeździe jestem tylko współwłaścicielem. Ale agencja wynajmu samochodów jest wyłącznie moja. Kiedy usłyszałem, że chce prowadzić osobiście, ochoczo zaproponowałem nasz największy wóz. Na przedniej tablicy rejestracyjnej widniała reklama agencji. Wykorzystałem minister dla promocji.

Shan spojrział na kalendarz, zdjęty złymi przecuciami.

- Jak się ma więzień?

Tsipon raz jeszcze wyjrzał za drzwi, po czym zamilkł ze wzrokiem utkwionym w ziemię, jak gdyby podejmował trudną decyzję.

- Wczoraj sprowadzili kolejnych specjalistów, spoza miasta. Zeszłej nocy do więzienia wzywano karetkę. Zapomnij o swoim pułkowniku. Muszę mieć martwego Szerpę. A w tej chwili - dodał znacząco - muszę cię gdzieś zabrać.

Shan w milczeniu wyrównał stos gazet, rozważając rozliczne sposoby, na jakie Tsipon mógłby zastawiać na niego pułapkę, po czym ruszył za nim.

Na zewnątrz czekał czarny sedan z tablicami rejestracyjnymi rządowego samochodu z Lhasy. Obok wozu przechadzał się elegancki Chińczyk wystrojony w czarny płaszcz i czerwoną czapkę z lisów.

- Towarzyszu Shan - oświadczył Tsipon - nie mieliście chyba jeszcze okazji poznać naszego dostojnego gościa ze stolicy. Towarzysz dyrektor Xie z Urzędu do spraw Wyznań.

Shanowi zaschło w ustach. Niepewnie skinął głową.

- Jeden z naszych prześwietnych zrehabilitowanych emi-

grantów - zauważył wytwornym głosem Xie, podając mu dłoń na powitanie. Zabrzmiało to, jak gdyby Shan postanowił się przenieść do Tybetu dla zdrowia. - Słyszałem o waszej zręczności w kontaktach z tutejszą ludnością.

Gdy Shan cofnął się o krok, dłoń Tsipona zacisnęła się na jego ramieniu.

- W pracy przed świtem, jak zwykle - powiedział Tybetańczyk do Xie, ciągnąc Shana ze sobą w stronę samochodu. - Dwa najbystrzejsze umysły w Tybecie jednocześnie zaszczycają nasze małe miasteczko swą obecnością. Wielkie czyny nie dadzą zapewne długo na siebie czekać. - Wepchnął Shana na tylne siedzenie, podczas gdy Xie obszedł wóz dookoła i wsiadł z drugiej strony. Sedan ruszył, uwożąc Shana tkwiącego jak w pułapce między nimi dwoma.

Zajazd „Pod Śnieżną Panterą” był zwartym, piętrowym, murowano-drewnianym budynkiem, którego spadzisty dach, jak podejrzewał Shan, miał odpowiadać chińskim wyobrażeniom o schronisku alpejskim. Gdy sedan zatrzymał się przed wejściem, słońce wyrzało właśnie zza nisko wiszących chmur na wschodzie, rzucając jaskrawe złote światło na ośnieżoną Czomolungmę. Podczas gdy Tsipon chwalił się przed Xie swym nowym hotelem, z dumą wskazując jego zachodnie cechy konstrukcyjne oraz przyległą działkę, gdzie powstać miała przybudówka z basenem kąpielowym, Shan ruszył wolnym krokiem wzdłuż frontu budynku. Nim zawrócił, dotarłszy do końca, wyrzał za róg. Pod boczną ścianą hotelu stał stary jie-fang, na tyłach parkingu dwa samochody Urzędu Bezpieczeństwa.

Dyrektor Xie kazał kierowcy się sfotografować wraz z nowymi znajomymi na tle góry, nim pozwolił, by Tsipon wprowadził go do środka. Minawszy recepcję, weszli do prywatnego pokoju, gdzie czekał zastawiony do śniadania stół. Fotografie zdobiące ściany pokoju nie przedstawiały himalajskich

szczytów, lecz widoki Pekinu, na jednej ścianie zaś wisiał jedynie wielki, malowany aerografem portret Wielkiego Sternika. Bufet na kredensie stanowił kosmopolityczną mieszankę pierożków, gotowanego ryżu, marynowanych warzyw, zupy z czerwonej fasoli, grzanek, ciastek, herbaty i kawy. Gdy dyrektor Xie usiadł na krześle u szczytu stołu z filiżanką kawy oraz talerzem ciastek i warzyw, poważna, ubrana w ciemny kostium kobieta w średnim wieku zajęła miejsce na przeciwległym końcu.

- Towarzyszka Zheng z Pekinu - przedstawił ją dyrektor.

- Nieczęsto mamy okazję tak bezpośrednio służyć Pekinowi - odparł Tsipon, zerkając niepewnie na kobietę, nim znów odwrócił się do Xie. - Shan z przyjemnością opowie wam wszystko o okolicznych gompach.

Dłoń Shana zacisnęła się na filiżance z herbatą.

- Czułe punkty na naszym południowym podbrzuszu - podjął temat dyrektor Xie, podnosząc pałeczkami kawałek warzywa. -- Od dawna podejrzewaliśmy wznowienie działań przestępczych ze strony dalaj-kliki. - Choć rząd nigdy oficjalnie nie używał słowa „dalajlama”, to nowe, bardziej abstrakcyjne określenie utworowało sobie drogę do oświadczeń rządowych, zawsze w tym zestawieniu, tonem, jakim mówiono niegdyś o niesławnej bandzie czworga.

- Gompy są małe - odparł zduszonym głosem Shan. - Nieszkodliwe.

- Gdyby były nieszkodliwe, moje biuro nie byłoby potrzebne - pogodnie zaoponował Xie. - A dawniej - dodał, patrząc na towarzyszkę Zheng - były znacznie większe, dochodząc przez ucisk chłopów do wielkich bogactw.

Tsipon spróbował jednego z małych, twardych ciastek.

- Dyrektor Xie ma fascynującą teorię.

- Posiadały wysadzane klejnotami posagi, figury ze złota gromadzonego przez stulecia - wyjaśnił Xie - owoce znie-

wolenia mas. Czy wiadomo wam, towarzyszu Shan, że partia orzekła, iż wszystkie artefakty kultowe są własnością państwa?

- Oczywiście. - Shan poczuł na sobie spokojne, badawcze spojrzenie towarzyszki Zheng. Choć Tsipon przestał zwracać na nią uwagę, najwyraźniej uznając milczącą kobietę za zwykłą urzędniczkę, Shan nauczył się być czujny wobec anonimowych, dobrze ubranych biurokratów z Pekinu.

- Mamy chroniczne problemy z dokładnością naszych inwentarzy. Sądzę, że się przekonamy, iż ci mnisi przemycali należące do państwa zabytki przez granicę, by finansować elementy przestępcze, separatystów na wychodźstwie. Z jakiego innego powodu odmawialiby podpisania ślubów lojalności?

Shan uważał, by jego twarz nie zdradziła emocji, gdy przyglądał się biurokracie z Lhasy. Miał oto przed sobą jednego z garstki dygnitarzy, którym, zgodnie z doktryną rządu, podlegali tybetańscy buddyści, najwyższego zwierzchnika łamów, autentycznego młynkoburcę. Pod kierownictwem takich właśnie ludzi w ciągu minionego roku Tybet przemierzały ekipy zastępujące flagi modlitewne transparentami sławiącymi Mao.

Xie odsunął talerze i zaczął rozkładać mapę.

- Nie mogę się doczekać, towarzyszu Shan, współpracy z wami nad zatrzymaniem naszych uciekinierów. Bez wątpienia mają wspólników w innych klasztorach.

Shanowi na moment zaparło dech w piersiach. Spojrzał na Tsipona. Tybetańczyk nie miał w planach jego udziału w swym prywatnym śniadaniu. Sprowadził go tu, by ukarać go za wtargnięcie do swego biura, by po raz kolejny dowieść, iż bez względu na to, jak beznadziejny zdawałby się los Shana, on zawsze jest w stanie uczynić go jeszcze gorszym.

Tybetańczyk wstał i dolał Xie kawy.

- Wybaczcie, towarzyszu - oświadczył z ubolewaniem – je-

śli wywołałem w was wrażenie, że mogę w tej chwili obejść się bez Shana. Cały przemysł wspinaczkowy uzależniony jest od garstki wykwalifikowanych osób. Oczywiście parę doraźnych spostrzeżeń ze strony naszego łącznika z góralami byłoby nieocenione. Towarzyszu Shan, pokażcie na mapie lokalizację funkcjonujących gomp.

Shan mógłby uznać za zwykłą ironię, że Tybetańczyk zmusza Chińczyka do wskazania miejsc pobytu mnichów, którymi interesuje się Urząd do spraw Wyznań. Tsiponowi jednak nie chodziło o zastraszenie mnichów: chodziło mu o zastraszenie Shana. Mnóstwo ludzi, z nim samym włącznie, mogło podać Xie lokalizację gomp, wystarczyłaby do tego nawet krótka wizyta w miejskiej bibliotece. Ale Tsipon chciał wciągnąć Shana w plan Xie.

Shan z trudem przełknął ślinę, wyciągnął ołówek i zaczął rysować kółeczka na mapie.

- A gompa uciekinierów? - zapytał Xie. - Sarma, chyba tak się ona nazywa.

Shan zawahał się, czując na sobie twarde spojrzenie Tsipona, po czym zrobił na mapie jeszcze jeden znaczek, przy ziemnej drodze kilka kilometrów od szosy na Czomolungmę.

Pół godziny później, gdy Tsipon i dyrektor Xie odjechali wreszcie, Shan, przebrany w czysty kombinezon, niosąc na ramieniu płócienny worek z narzędziami pożyczony od Kypo, którego zastał w garażu, przeszedł się korytarzem na piętrze zajazdu. Jak się spodziewał, przed najlepszym narożnym pokojem siedział na krześle wartownik z bezpieczki, przyglądając mu się z bezmyślnym zaciekawieniem. Do drzwi przypięta była pinezka wywieszka informująca, że pokój został opieczetowany z nakazu Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Na podłodze przy krześle wartownika stała taca z brudnymi naczyniami. Ten człowiek nie miał przerw śniadaniowych. Shan nie miał szans go ominąć.

Na dworze, na skraju parkingu, znalazł drabinę używaną podczas malowania balkonów na piętrze.

- Ci wartownicy zastrzelą cię, jeśli znajdą cię w jej pokoju - ostrzegł go Kypo, stając za jego plecami.

- Chciałbym, żebyś przystawił drabinę do sąsiedniego balkonu, kiedy już po niej wejdziesz, i powiesił na niej wiadro z farbą. Dziesięć minut później przestaw ją z powrotem.

- Nie ma mowy. Wtedy będą wiedzieli, że miałeś współnika.

Shan spojrział na starą ciężarówkę zaparkowaną przy garażu z samochodami do wynajęcia.

- W takim razie wsiądź do jiefanga. Jeśli jakikolwiek mundurowy wyjdzie z za rogu od frontu, uruchom silnik. Usłyszę to.

Parę chwil później, przystawiwszy drabinę, znalazł się na balkonie. Modląc się do bóstw opiekuńczych, położył dłoń na rozsuwanych drzwiach. Przesunęły się cicho.

Wszedł do środka i przykucnął pod ścianą, podwijając pod siebie nogi. Obracając głowę, omiół wzrokiem pokój. Od lewej do prawej widział biurko, kosz na śmieci, dalej otwarte drzwi do łazienki, nocny stolik z lampką, niezasłane łóżko z narzutą ze wzorem pand igrających w chmurach, stojak, na którym leżała otwarta walizka z włoskim logo, i wreszcie małą szafkę z półotwartymi drzwiczkami. Złożył dłonie, z palcami wskazującymi skierowanymi ku górze jak wieża, koncentrując się, po czym powtórzył procedurę, tym razem obracając głowę znacznie wolniej. Hotelowy bloczek do pisania na biurku był używany; długopis leżał oparty o niebieski segregator obok popielniczki z przezroczystego szkła, w której znajdowały się dwa niedopałki papierosów, oba ze śladami ciemnej szminki. Na podłodze koło kosza na śmieci leżała kartka papieru, zmięta, a następnie rozprostowana, prawdopodobnie przez fotografa bezpieczeństwa. Dywanik w łazience był przekrzywiony,

ręczniki rzucone na podłogę. Lampka na stoliku nocnym miała narzuconą na abażur bluzkę, lub może koszulę nocną, z czerwonego jedwabiu. Na podłodze pod otwartą walizką leżała sterta ubrań.

Wstał i podszedł do biurka. Uniósł do nosa jeden z niedopałków. Mentolowy. Na przedniej okładce segregatora wytłoczony był napis „Ministerstwo Turystyki” ponad stylizowanym łańcuchem górskim. Wewnątrz znajdował się program konferencji i inne materiały pomocnicze. Pospieszenie przewertował strony. Mapki atrakcji turystycznych. Wykaz proponowanych nowych atrakcji, wśród nich Muzeum Yeti. Lista uczestników. Nazwisko minister figurowało na pierwszym miejscu, przed kilkoma krajowymi i tybetańskimi dygnitarzami oraz kilkunastoma zarządcami okręgowymi, wśród których był też pułkownik Tan z okręgu Lhadrung. Dalej znajdował się tekst przemówienia inauguracyjnego, które minister miała wygłosić w dniu swej śmierci, zatytułowanego „Dziesięciopunktowy plan przekształcenia chińskich Himalajów w ogólnoswiatową atrakcję turystyczną”.

Zawartość szafki przypominała półki sklepowe. Nowiutki aparat cyfrowy. Maleńkie białe pudełko z podłączonymi słuchawkami. Lornetka. Nowy sweter tybetańskiej produkcji. Kilka małych kasetek z biżuterią. Niektóre z opakowań wyglądały, jakby nigdy ich nie otwierano. Składanie danin wysokim dygnitarzom było jedną z nielicznych pradawnych tradycji, jakie Pekin postanowił tolerować.

„Samochód będzie czekał o 9.00”, mówiła zmięta kartka, notatka z recepcji. Pospieszenie przejrzał ubrania na podłodze, potem w walizce, znajdując obok wielu kosztownych zagranicznych bluzek i spódnic dzinsy i buty do biegania. Zerknął na owiniętą czerwonym jedwabiem lampkę przy łóżku. Minister była co najmniej w jego wieku, ale żyła młodo.

Szuflada nocnego stolika była lekko niedomknięta. Cią-

gnąc ją od spodu czubkiem palca, otworzył ją do końca. Na jedwabnej chusteczce do nosa leżało puste pudełko po papierosach, w które wetknięto ciasno zwinięty papier, którego koniec wystawał na zewnątrz. Nie pierwszy lepszy papier. Była to pergaminowa stronica z tybetańskiej pechy, jednej z tradycyjnych świętych ksiąg o niezszywanych kartkach. Z dreszczem wyciągnął i rozwinął ją. Zdawała się nie mieć jakiegoś szczególnego znaczenia, po prostu strona wyjęta z nauk wielkiego poety Milarepy, niegdysiejszego mieszkańca tych gór.

Wpatrywał się w pergamin, nic nie rozumiejąc; oglądał go z obu stron, ale nie znalazł na odwrocie nic z wyjątkiem plam ze starości. Mógł mieć ze sto lat, prawdopodobnie znacznie więcej. Zajrzał do pudełka, stwierdził, że jest puste, po czym powąchał je. Zawierało niegdyś mocne papierosy bez filtra, nie takie, jakie paliła minister. Ponownie zrolował kartkę, a wkładając ją z powrotem do pudełka, dostrzegł po wewnętrznej stronie klapki napisane odręcznie słowa. „Dziś wieczorem o ósmej”, mówiła notatka, nic więcej.

Szybko przejrzał resztę pokoju i łazienkę, gdzie znalazł inne elementy kosztownej garderoby minister, po czym wrócił do szuflady przy łóżku. Każdy w tym hotelu uznałby paczkę po papierosach i kartkę za śmieci, minister jednak umieściła je na jedwabnej chusteczce i trzymała obok łóżka. Zamknął szufladę, po czym otworzył ją raz jeszcze. Modlitwa zrolowana jak papieros wzbudziła w nim złe przeczucia.

Parę chwil później był znów na dworze. Odstawił drabinę na miejsce i ponownie rozejrzał się po parkingu, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje. Nie dostrzegłszy nikogo, ruszył w stronę największego z samochodów do wynajęcia, stojącego w głębi garażu z pustaków szarego sedana z żółtą nalepką ostrzegawczą Urzędu Bezpieczeństwa na przedniej szybie

i naklejonymi na krzyż pasami szarej taśmy, zabezpieczającymi drzwi od strony kierowcy. Nim zrobił krok bliżej, po-

szperał w torbie mechanika i wydobył rolkę podobnej taśmy. Wymachując nią, podszedł do Kypo. Tybetańczyk pobladł.

- Jeśli przyłapią nas na grzebaniu przy tym samochodzie, podłączą nas do prostownika i zostawią na noc.

- Dlatego właśnie będziesz stał w wejściu do garażu i zatrąbisz klaksonem któregoś z samochodów, jeśli zobaczysz jakiegokolwiek mundurowego idącego w tym kierunku. Gdyby zapytali cię, czemu trąbisz, powiesz, że sprawdzasz samochody z wypożyczalni. - Nim ruszył znów w stronę wozu, Shan zawahał się chwilę, zastanawiając się, dlaczego to Kypo, a nie Jomo, mechanik, pracował tego dnia przy samochodach.

Działał w pośpiechu, zrywając taśmę, otwierając drzwi, przyglądając się fotelowi, pasowi bezpieczeństwa, położeniu regulowanej kierownicy, nim w końcu usiadł za kółkiem. Tsipon mówił, że minister Wu prowadziła osobiście, rezygnując z eskorty. Shan sprawdził, czy dosięga nogami pedałów. Miał z tym problem. Samochód został odholowany do garażu, a mógł ufać, że pałkarze mieli dość rozsądku, by nie ruszać nic w środku. Ale widział tę kobietę, wiedział, że była niższa od niego. Ktoś inny, nie minister, prowadził ten samochód ostatni.

Otworzył drugie drzwi, by obejrzeć fotel pasażera, po czym palcami owiniętymi taśmą klejącą, lepką stroną na zewnątrz, przeciągnął lekko po tapicerce siedzenia i podgłówka. Zebrał jedynie kurz i kłaczki. Przystanął, zerkając na Kypo u wejścia, po czym otworzył tylne drzwi i powtórzył procedurę z nowym kawałkiem taśmy, natychmiast znajdując kilka czarnych włosów po jednej stronie tylnego siedzenia, potem kilka jasnych po drugiej. Wpatrywał się w nie, pierwszy namacalny dowód, że nie zmyślił sobie martwej Amerykanki. Mylił się jednak, zakładając, że zatrzymała minister w drodze, że czekała na nią przy szosie. Była razem z Wu w samochodzie. Odbywały tę podróż wspólnie.

Dalsze oględziny nie przyniosły nic poza dwoma niedopałkami papierosów w tylnej popielniczce, obydwoma ze śladami ciemnej szminki. Powąchał je. Znów mentol.

- Kto jeszcze był w tym samochodzie tuż przed tym, jak wzięła go minister? - zapytał, gdy Kypo pomagał mu na powrót okleić drzwi taśmą.

- Nikt. Tsipon kazał zarezerwować go dla niej, wyczyścić go, by był jak nowy przed jej przyjazdem. Włożyć do środka brzoskwinie.

- Brzoskwinie?

- Ona była z Pekinu. Przeczytał w jakiejś książce, że rodzina cesarska zawsze lubiła brzoskwinie. Tak więc zamówił dla niej koszyczek brzoskwiń z Xigaze.

- Czy to ty przekazałeś samochód minister?

- Nie. Tsipon nie dopuściłby do niej nikogo z nas. Traktował ją jak zstępujące na ziemię bóstwo. Prawdopodobnie zlecił to kierownikowi hotelu.

Shan oszczędził wolno samochód.

- Goście mogą doliczyć wypożyczenie wozu do rachunku hotelowego?

Kypo skinął głową.

- Skąd wiadomo, że są zameldowani w hotelu?

- Każdego ranka przychodzi lista z recepcji. Goście mają specjalne stawki.

- Co się dzieje z tymi listami?

- Hotel działa zaledwie od dwóch tygodni. O archiwizacji ludzie zaczną myśleć dopiero wtedy, gdy biurko będzie zavalone stertami papierzysk.

Dwie z list gości, których szukał Shan, były ukryte za instrukcją napraw, trzecia, poplamiona smarem i herbata, leżała obok sporego, przykrytego szmatą przedmiotu. Minister Wu była zameldowana w hotelu w dniu zabójstwa, a także dzień i dwa dni przedtem. Pułkownik Tan przybył dzień przed za-

machem. Nazwisko Megan Ross nie widniało na żadnej z list, natomiast Amerykanin Yates był gościem hotelu w noc przed morderstwami, kiedy odbywał się bankiet inauguracyjny konferencji. Shan przyjrzał się pojazdom w garażu.

- Ile jeszcze samochodów ma wypożyczalnia?

- Te trzy. Ale Tsipon załatwia więcej wozów. Inwestuje w turystykę na całego. W zeszłym tygodniu zastałem go na przeglądaniu broszur o mieszkaniach w Makau.

- Jakiego rodzaju wozy?

- W większości terenowe, dla wspinaczy i menedżerów bazowych. Kiedy mój dziadek prowadził alpinistów, szli kilometrami z plecakami, od szosy do gompy Rongphu, by posiedzieć wśród bogów przed wspinaczką. Nic dziwnego, że dziś tak wielu umiera.

Shan przyjrzał się Tybetańczykowi, zastanawiając się, czy miał na myśli to, że przed śmiercią chroniła długa, pozwalająca się zaaklimatyzować wędrówka, czy też cześć oddawana bogom, po czym spojrzął raz jeszcze na przykryty kawałkiem materiału przedmiot. Wcześniej uznał, że jest to naprawiana część samochodowa. Teraz jednak spostrzegł, że spod zatłuszczonej szmaty wystaje mała, bosa stopka.

Kypo, dostrzegłszy spojrzenie Shana, szybkim ruchem wyłączył światło przy biurku i zrobił krok w stronę czekającej na nich starej niebieskiej ciężarówki, dając do zrozumienia, że pora się zbierać. Shan puścił go przodem i wstał, jak gdyby zamierzał pójść za nim, po czym zrzucił szmatę.

Brazowy posążek Jamy, Pana Śmierci, około dwudziesto-centymetrowej wysokości, spoczywał na masywnej podstawie ozdobionej pierścieniem turkusów.

- Czy to jest sekret sukcesów Tsipona? Bóg w każdym samochodzie?

Kypo zaklął pod nosem i podbiegł do stołu, podnosząc szmatę, by z powrotem przykryć figurkę.

- To tylko nikomu niepotrzebna starość.
- To jeden ze skradzionych posążków.
- Nie skradzionych. One teraz wracają. - Kypo, jak wielu znanych Shanowi Tybetańczyków, często mówił o bóstwach, jakby były członkami rodziny.
- Chcesz powiedzieć, że złodziej odnosi je z powrotem?
- Mniej więcej. Pierwszy, który zginął, odnalazł się parę dni temu na progu domu starego tkacza na skraju wioski. Z tych pół tuzina, które wyniesiono z Tumkot, większość już wróciła. Znajdywały się na progu, w żłobie na siano, jeden w maselnicy, jeden na dole we młynie.
- Coś w rodzaju zabawy w chowanego - zauważył Shan. - Ale tego chyba nie odniesiono tutaj?
- Nie. Ale muszę go naprawić, zanim moja matka go zobaczy. Nazwałaby to wróżbą, że coś takiego przydarzyło się jednemu z bóstw z jej przydomowego ołtarzyka.
- Jednemu? Kypo skinał głową.
- Oprócz Jamy był tam znacznie starszy, cenniejszy posążek bogini Tary. Ale zabrano tylko Jamę. A wczoraj w nocy wrócił. Stał na murku za moim domem. Zmienił się, tak jak pozostałe - dodał z troską w głosie. - Jej ołtarz jest szczególny, przychodzą tam ludzie z całej wioski. Mogłaby powiedzieć im za pośrednictwem swych gości coś, co... - Urwał nagle, spoglądając niepewnie na Shana.
Co takiego mówił o posługiwaniu się astrologicznymi mocami przez matkę?
- Co to znaczy, że posążki się zmieniły?
- Kiedy stary człowiek, który mieszka przy drodze, odzyskał swój posążek, powiedział jej, że coś w środku zostało uwolnione, powiedział, że nikomu nie wolno obrażać w ten sposób Wuja Shinje - odparł Kypo. - Zdenerwowała się, gdy jej to pokazał. Zostałem ją w domu płaczącą - dodał z konsternacją.

nacją w głosie. - To najsilniejsza kobieta, jaką znam, a płakała z powodu czyjegoś bożka.

Shan podniósł posążek, ważąc go w dłoni. Jak w wypadku większości takich figurek, podstawa była wydrążona, z miejscem na karteczki z modlitwami i zaklęciami, które zgodnie z tradycją zapieczetowywano w środku przy poświęcaniu posążka. Odwrócił go do góry nogami. Pośrodku stanowiącej denko brązowej płytki widniał schludny, świeżo wywiercony centymetrowej średnicy otwór.

- One wszystkie wracają w takim stanie - szepnął udręczonym głosem Kypo. - Pomyślałem, że uda mi się naprawić go, nim matka go zobaczy. Tak jak u innych, święte kartki pozostały w środku, ale w każdym zrobiono taką samą dziurę. Ludzie mówią, że coś w środku wylegało się przez wszystkie te lata, a teraz się wykluło. Mówią, że Jama rozsyła robaki śmierci.

Dwunożny demon Shogo jednoczył się ze swymi bogami, siedząc na ołtarzu, który zbudował pod ścianą starej szopy wychodzącej na wysypisko śmieci. Gyało był tak pijany, że zdawało się, iż nie zauważył Shana, gdy ten usiadł przed nim. Były lama, usadowiony na swym ołtarzu obok świeczki, kołysał się w przód i w tył, patrząc niewidzącym wzrokiem w ciemność żlebu, do którego kilkadziesiąt lat wcześniej zepchnięto spychaczem pozostałości dawnej miejskiej gompy, niegdyś największej w całym okręgu.

Z początku Shan sądził, że cichy pomruk wydobywający się z jego ust może być mantrą, potem jednak Gyało beknał i Shan zdał sobie sprawę, że jest to popularna wśród pasterzy sprośna pijacka piosenka.

Wróciwszy do stajni, która służyła mu za mieszkanie, Shan odszukał w swym drugim, ukrytym warsztacie posążek Jamy,

który postawił teraz w kręgu światła rzucanym przez świecę na ołtarzu.

- Gdzie jest dom Pana Śmierci, dziadku?

Gyało drgnął, po czym zamilkł, wpatrując się w kałużę światła. Shan podejrzewał, że starzec uznał, iż odezwało się do niego bóstwo, które nagle pojawiło się przed nim. Z dziwną powagą napełnił z białego porcelanowego dzbanka jedną z ołtarzowych czarek i chlusnął jej zawartość w twarz małego boga. Miesiąc wcześniej Gyało powiesił w swym szynku starą tablicę, pochodzącą zapewne z jakiejś od dawna nieistniejącej szkoły klasztornej, przedstawiającą hierarchię stworzeń, z bodhisattwami, żyjącymi świętymi, u samej góry i czymś podobnym do robaka u dołu. Pod robakiem napisał swoje imię. Pobożni mnisi starali się przeskoczyć w ciągu jednego życia z postaci ludzkiej do świętości. Świętym celem Gyało, jak poważnie oświadczył tamtej nocy podczas pijatyki, było przeskoczyć w ciągu jednego życia na sam dół hierarchii.

Shan nachylił się do światła i powtórzył pytanie. Gyało uniósł wzrok, ostrożnie dolał sobie *baijiu*, cuchnącej wódki z sorgo, która była najpopularniejszym wysokoprocentowym alkoholem w Chinach, wypił połowę, po czym chlusnął resztę w twarz Shana. Shan, przyzwyczajony do takich chrztów, wytarł policzki i odezwał się spokojnym głosem.

- Nigdzie w Tybecie nie widziałem tylu posążków Jamy co tutaj. Musiała tu być jego świątynia.

- Armia ma za miastem bazę pocisków rakietowych. Podobno jest w stanie zniszczyć całe Indie w ciągu półgodziny. To jest nasza świątynia śmierci.

- Świątynia Jamy, Gyało. Schronienie Wuja Shinje.

- Kiedyś, po eksplozji na górze Tumkot, wykopałem dwadzieścia świeżych czaszek. Nauczyłem się jeść mięso trzy razy w tygodniu. Widziałem dziś kota zjadającego motyla. Wszystko w cieniu matki gór należy do Pana Śmierci. - Gyało odwró-

cił dzbanek do góry nogami, przelewając do czaraki ostatnie krople trunku. - Za wspaniałego przewodniczącego wspaniałej republiki - rzekł uroczyście, unosząc czarę. - Wy, Chińczycy, nauczyliście nas, o co naprawdę chodzi w życiu.

- Kiedy posążki Jamy zaczęły znikać, ludzie zaczęli umierać.

- Jacy ludzie?

- Chinka, Amerykanka, Nepalczyk.

Gyalo wzruszył ramionami, jak gdyby należało się tego spodziewać.

- Zamordowano też Tybetańczyka, koło Tumkot. Szynek wolno unióś głowę znad dzbanka i spojrział na Shana.

- Być może znałeś wuja Amy Apte. - Uwagi Shana nie uszło, że Gyalo wzdrygnął się na wzmiankę o wróżbitce. - Dostał kulę między oczy.

Gyalo nagle spowaźniał.

- Na dwóch czy na czterech nogach? - zapytał ochryłym szeptem.

- Na czterech.

Ta nowina go poruszyła, jak gdyby znał muła i czuł przed nim lęk.

- To jakiś zwyczaj w tej rodzinie - stwierdził lekceważąco. Shan dostrzegł jednak niespokojne spojrzenie, jakie rzucił przez ramię w stronę Tumkot. - Nie trzeba się nim przejmować. Umie zrzucać twarz. - Ale on sam się przejął. Spośród wszystkich ludzi, którzy stracili życie, spośród wszystkich plag, jakie spadły na miasto i na niego samego, jedyne, czym Gyalo kiedykolwiek się przejmował - jak Shan widział - był martwy muł.

- Nie - powiedział cicho Shan - Arna Apte i ja spaliliśmy jałowiec i rozmawialiśmy z nim. To głodny duch. Będzie cierpiał, nie mogąc odejść, dopóki nie pogodzi się ze swą śmiercią, a to oznacza zrozumienie pozostałych śmierci.

Przypomniął sobie, jak Jomo mówił, że Gyalo chciał wiedzieć wszystko o zamachu.

Szynkarz pochylił się naprzód, odsłaniając stalowy siekacz, tak blisko, że Shan czuł jego cuchnący oddech.

- Co ty wiesz o zmarłych?

- Większość moich przyjaciół - odparł Shan - i cała moja rodzina poza jedną osobą to zmarli.

Gyalo ryknął śmiechem tak gwałtownym, że zdawało się, iż eksplodował. Okruchy ryżu i plwociny prysnęły na koszulę Shana. Jego śmiech ucichł jednak równie szybko, jak się pojawił, i starzec znów z niepokojem wpatrywał się w cienie, przez chwilę zatrzymując wzrok na drzwiach szopy za swymi plecami. Shan raz tylko miał okazję zajrzeć za te drzwi. Dostrzegł wtedy w przelocie sterty starych narzędzi i zardzewiałych przedmiotów.

- Dlaczego żywy demon tego miasta miałby bać się ducha martwego muła? -- zapytał.

- Ty nie znasz duchów tak jak ja - odparł niemal szeptem Gyalo. - Lekceważąc go, lekceważysz Jamę.

- Zamierzam go powstrzymać - oświadczył Shan.

- Jamę? -Tak.

Na twarzy Gyalo znów zjawił się uśmiech. Jego pijacki rechot przypominał pianie starego koguta.

- Pan Śmierci nigdy nie przegrywa. Już nie mogę się doczekać jego zwycięstwa. Zaniosę twoje zwłoki do sąsiedniej doliny, gdzie żyją jeszcze jacyś starzy ragyapowie, i osobiście pomogę porąbać twoje ciało dla ptaków.

- Spośród wszystkich mieszkańców tego miasta jesteś jedynym, na kim mogę polegać, bo wiem, że twoja nienawiść jest autentyczna i jest ona czymś czystym między nami. Pewien stary lama nauczył mnie, że tylko czyste rzeczy są realne. Nie da się skazać ich kłamstwem.

Gyalo rzucił mu krzywy uśmiech.

- Tak przyjemnie jest cię nienawidzić, przyznaję to. Chiński demon przysłany, by mnie dręczyć. Idealny sąsiad.

- Ale tym razem masz problem, rinpocze - ciągnął Shan, używając tytułu, jakim zwracano się do czcigodnych nauczycieli. - Możesz nienawidzić bogów albo nienawidzić mnie. Ludzie mówią, że dawni bogowie wypuścili robaki śmierci. Zamierzam walczyć z bogami. To czyni nas sojusznikami.

Gyalo beknął.

- Jeśli mam do wyboru ciebie lub robaki, zdecydowanie wybieram robaki.

- Powiedz mi, gdzie była stara świątynia Jamy.

Blask, jaki pojawił się na twarzy Gyalo, Shan widywał już wcześniej, w oczach malowanych demonów na ścianach starych świątyń.

- Nigdy nie dostaniesz się poza maszt flagowy - stwierdził Tybetańczyk.

Shan zmarszczył czoło zbity z tropu. Arna Apte mówiła o maszcie flagowym, jednym z miejsc, jakie lubił odwiedzać jej muł.

- Więc pozwól, że spróbuję i doznam porażki - odparł, wciąż nie pojmując ostrzegawczego tonu słów Gyalo.

- Cena za tę konkretną informację została już ustalona -burknął szynkarz. - Dzbanek sorgo.

Shan patrzył na niego przez chwilę, próbując odgadnąć sens jego zagadkowych słów, po czym ukłoniwszy się lekko, wstał i odszedł pospiesznie w stronę centrum miasta.

Pół godziny później, opłaciwszy i odebrawszy informację Gyalo, zniknął w ciemnościach, przystając przy wejściu do walącej się starej wiejskiej chałupy, którą Gyalo nazywał domem. Niegdyś była to solidna budowla, utrzymywana w należytym stanie przez pokolenia, dopóki nie opuszczono jej po zniszczeniu gompy. Znajdowała się o rzut kamieniem od szopy

i ołtarza Gyalo, gdzie były lama śpiewał właśnie na całe gardło ruinom w dole jedną ze swych pijackich piosenek.

W rogu pomieszczenia kopciała *czomaj*, samotna lampka maślana. Podłoga zasłana była garnkami, ziemią i grudkami suszonego sera zbyt twardego nawet na to, by zainteresować dwa bezpańskie psy śpiące na brudnym posłaniu w kącie. Choć szynk był jednym z najlepiej prosperujących przedsiębiorstw w Shogo, Gyalo żył w ubóstwie, ponieważ interes należał do Tsipona, a pensja, jaką płacił staremu Tybetańczykowi, szła w większości na alkohol. Shan obejrzał się w stronę szopy, gdzie zostawił Gyalo, po czym chwycił stojącą przy drzwiach zdartą słomianą miotłę, wyprowadził psy na dwór i zaczął zamiatać. Krzątał się żwawo, napelniając maślaną lampkę przy posłaniu i składając wystrzępione koce. Niemal skończył, gdy w drzwiach odezwał się poirytowany głos.

- Nie wiem, po co to robisz - gderał Jomo. - On myśli, że to ja jestem tym widmem, które zjawia się tu i sprząta. Gdyby wiedział, że to ty, wypisałby klątwy na drzwiach, żeby cię odpędzić.

Shan oparł się na miotle.

- Życie w Tybecie nauczyło mnie, że pomaganie moim wrogom jest zwykle mniej bolesne niż pomaganie przyjaciołom.

- Kim w związku z tym jest dla ciebie ten pułkownik gnijący w więzieniu u Cao?

Shan nie odpowiedział. Znów zaczął zamiatać podłogę. Jomo zaklął pod nosem, po czym uniósł siennik, by Shan mógł zamieść pod nim.

- Kto ostatnio odwiedzał twojego ojca? - zapytał Shan po kilku minutach pracy w milczeniu.

- Wszyscy. On jest miejscową maskotką. Siedzi na tym swoim tronie, a oni chcą go dotknąć na szczęście, zostawiają papierosa albo batonik i dotykają go. Kiedyś próbowałem ich

powstrzymać, mówiłem im, że żaden z niego święty. Ale oni zachowują się tak, jakby to była jakaś forma kultu. On obrzuca ich wyzwiskami, a oni traktują to jak modlitwę. Głodują od tak dawna, że nawet nie wiedzą, czym jest pokarm.

- Teraz przyszedł ktoś inny - odparł Shan - i przyniósł dzbanek wódki baijiu.

- Połowa z tych, którzy przychodzą, przynosi mu picie. Ten stary kozioł mówi im czasem, że występuje jedynie za alkohol. Pijany święty poeta.

- Zwykle za *czang* - zauważył Shan, mając na myśli tybetańskie piwo z jęczmienia. - Miejscowych nie stać na cały dzbanek wódki.

Przez twarz Jomo przemknął dziwny smutek. Nim odpowiedział, zebrał w szmatę trochę śmieci i wyrzucił je przez otwarte okno.

- W Xigaze byłem w barze, gdzie trzymano tygrysa na łańcuchu. Przy granicy z Nepalem jest zajazd, gdzie mają oswojoną małpę, która umie nalewać do kieliszków. Mój ojciec jest atrakcją turystyczną. Zastanawiam się, czy nie zwrócić się do ministerstwa turystyki o dotację, żeby kupić mu klatkę.

- On ma w sobie tak wiele gniewu, Jomo, że wszystko inne się wypaliło.

Syn Gyalo puścił jego słowa mimo uszu.

- Przychodzą turyści, chińscy i zagraniczni, zwykle z jednym z tych rządowych przewodników, którzy służą im za tłumaczy. Dają mojemu ojcu prezenty i proszą go, by napisał modlitwę po tybetańsku. Podśłuchuję ich czasem. Mówią, że zabiorą tę modlitwę do domu i oprawią w ramki. Przeczytałem jedną. Mówiła: *Jestem odrodzonym demonem. Przyzywam dziesięć tysięcy skorpionów, żeby wlały ci w dupę.*

Nie po raz pierwszy Shan ujrzał Jomo bliskiego łez.

- Kiedy miał ostatniego gościa?

- Wczoraj był u niego ktoś, w pojedynkę. Widziałem jego

plecy, gdy odchodził. Było ciemno. Widziałem tylko tyle, że był wysoki, ubrany w czerwoną wełnianą czapkę i jedną z tych wiatrówek z napisem „North Base Camp”. Tybetańczyk albo Chińczyk, bo nie było tłumacza. Potem mój ojciec śpiewał jedną ze swych starych piosenek i pociągał z nowego dzbanka.

- Czy ten maszt flagowy w górach - zagadnął Shan - jest na tyle wysoki, by było go widać z daleka?

- Maszt flagowy?

- Ten nad Tumkot.

- Po tych wzgórzach chodzą tylko ludzie z Tumkot. Tam straszy. A maszty flagowe u górskich plemion mają nogi.

- Nogi?

- *Tarczok* - odparł Jomo, używając tybetańskiego określenia masztu. Dostrzegłszy konsternację Shana, uniósł dłoń za głowę i wystawił palec w górę. - *Tarczok* - powtórzył. - Podobno kiedyś w górach były ich dziesiątki.

Shan zamknął na chwilę oczy, łajając się w duchu. Zapomniał, co Kypo naprędce wyjaśniał mu, gdy przed paroma tygodniami spotkali koło wioski człowieka z włosami zwiniętymi w wysoki na niemal dziesięć centymetrów kok na czubku głowy. Był to relikwyt znacznie dawniejszych czasów, powszechniejszy wśród przygranicznych plemion w Nepalu. Koki oraz pustelników, którzy je nosili, nazywano tarczok, maszt flagowy.

- Przez tego tarczoka nikt nie zbliża się do góry nad Tumkot. Ludzie mówią, że on jest jak dzikie zwierzę żyjące wśród lodów, że cofa się do stanu pierwszych pustelników, zmieniając się w yeti.

Shan przekrzywił głowę niepewny, czy dobrze usłyszał.

- Pustelnik zmieniający się w yeti?

Jomo obejrzał się za siebie, jakby się bał, że ktoś mógłby go podsłuchać.

- Mieliśmy Tybet może przez tysiąc lat, to wszystko, na co

możliśmy liczyć. - Mówił, jak uświadomił sobie Shan, o okresie tybetańskiego państwa buddyjskiego. - Przed nami, na długo przed nami, te góry zamieszkiwały tylko yeti. Próbowaly dostosować się do reszty świata, ale w końcu dały sobie spokój z ludźmi i wszystkie zostały pustelnikami.

Rozdział 6

Dawni Tybetańczycy nazwaliby to miejsce siedliskiem mocy. Maleńka wisząca dolina otwarta na południe w stronę matki gór, ze źródłem i kępą jałowców, które pomagały skupić energię duchową. Dotarcie do niej wymagało zaledwie godzinnej wspinaczki na stok masywu, który obiegał łukiem Tumkot, ale ruiny starej świątyni sprawiały wrażenie, jak gdyby należały do innego świata. Nim zszedł do nich, Shan zatrzymał się na wąskiej ścieżce i opuściwszy plecak na ziemię, rozejrzał się dookoła. Daleko w dole widział zabudowania wioski. Uświadomił sobie, że dotarł do świątyni, o której wspomniała Arna Apte, mówiąc, że odwiedzała ją z wujkiem. Zwrócił uwagę, że fundamenty zburzonych budynków znajdowały się w pewnej odległości od opadającego na południu urwiska, pod nawisem skalnym, w związku z czym świątynia musiała być niewidoczna z dołu. Armia prawdopodobnie wysłała bombowiec, by ją zniszczyć, jednak nigdy nie zdołałaby zlokalizować jej bez miejscowej pomocy.

Nie pozostało z niej niemal nic prócz paru zwęglonych belek i stert kamieni. Ziemię zaścielały okruchy tynku, niektóre wciąż ze śladami wyblakłej farby. Samotna obszarpana flaga modlitewna łopotała na postrzępionym sznurze z jaczego włosia, zakotwiczonym w kamiennym kopcu. Shan dołożył do kopca kolejny kamień, po czym stanął w samym środku ruin, skąd zaczął zataczać coraz szersze kręgi, próbując wyobrazić

sobie stojącą tu niegdyś budowlę i odgadnąć, ilu mnichów w niej żyło. Gyalo mówił, że na górze Tumkot wykopał kiedyś dwadzieścia świeżych czaszek.

Pan Śmierci istotnie był tutaj, w każdym razie w częściach. Wszędzie wkoło wałały się potrzaskane fragmenty rzeźb z brązu i okruchy ceramiki, głowy i ręce boga śmierci, przemieszane z członkami demonów opiekuńczych. Shan wzdrygnął się, gdy - zbyt późno - dostrzegł pod swym opadającym butem maleńki gliniany tors jakiegoś boga i zmiażdżył go na drobne kawałki.

W głębokim cieniu, pod utworzoną przez stok góry ścianą w głębi nawisu, znalazł ołtarz. W małej osłoniętej niszy zachowały się ślady malowideł, tak wyblakłe, że ledwo dostrzegalne. Pochodziły prawdopodobnie sprzed kilkuset lat, z czasów, gdy pierwsi emisariusze buddyzmu zaczęli przekraczać Himalaje.

Nieregularne skalne płyty, niektóre osmalone od ognia, oparte o głązy po obu stronach niszy tworzyły prowizoryczne ściany. W głębi stara belka ułożona na prostopadłościen-nych kamiennych blokach pełniła rolę ołtarza, na którym stały ocalałe bóstwa, pośrodku Bodhisattwa Współczucia, po jego obu stronach zaś kilkanaście brązowych posążków Jamy i pomniejszych bogów, a także parę mniej eleganckich, gipsowych, niestarannie pomalowanych figurek w rodzaju tych, jakie sprzedawano turystom jako pamiątki. Ołtarz i niemal wszystkie brązy pokrywał pył, w którym, gdy je podnosił, odznaczały się czyste zarysy podstawek. Ostatni Jama nie był zbyt zakurzony z wierzchu, miał jednak kurz pod spodem. Trafił na ołtarz niedawno. Żaden z posążków nie miał jeszcze otworu w podstawie. Shan zatrzymał się nad niskim, dziwnie wyglądającym cieniem z tyłu i zapalił zabraną ze składu latarkę, żeby mu się przyjrzeć.

Kształt był tu tak nie na miejscu, że w pierwszej chwili się nie zorientował, na co patrzy. Gdy już go rozpoznał, wpatry-

wał się w niego z niema konsternacją. Był to zakurzony, pięciocentymetrowy krzyż z rozciągniętą na nim figurką brodatego mężczyzny. Podniósł go z drzeniem. Spodnia strona krzyża była czysta, ukazując zmatowiałe srebro; jego kształt odcisnął się w warstwie pyłu, który opadł ze skał w górze.

Szukał słowa, którego nauczył się przed tak wielu laty od ojca podczas sekretnych, nielegalnych lekcji za rządów Czerwonej Gwardii: krucyfiks. Wpatrywał się w niego ze zdumieniem, potem - z jeszcze większym zdumieniem - w głęboki odcisk, jaki pozostawił w kurzu na belce. Przeleżał tam wiele, wiele lat, będąc być może jednym z pierwszych przedmiotów złożonych na prowizorycznym ołtarzu, nigdy od tamtej pory nie ruszanym. Z nieoczekiwanym poczuciem winy odłożył krzyż w to samo miejsce, zatrzymując się tylko, by zetrzeć kurz z oczu Chrystusa.

Opuścił niszę i raz jeszcze ostrożnie obszedł ruiny dookoła, pamiętając o zdradliwym spadku na skraju urwiska, po czym podniósł plecak, który zostawił na płaskim głazie, i przyjrzał się górze przez lornetkę pożyczoną ze składu Tsipona. Świątynia znajdowała się na długim grzbiecie, który okalał Tumkot od południa, mógł więc spoglądać ponad otwierającą się przed nim przepaścią na sąsiednie stoki, choć nie był jeszcze na tyle wysoko, by widzieć pole lodowe pokrywające wierzchołek imponującego wypiętrzenia głównego masywu.

Rodzina kóz wspinała się gęsiego po odległej skalnej ścianie, mijając kępę kwitnących wrzosów. Wielki ptak drapieżny wylądował na grani nad trawiastym występem. Daleko w dole, u stóp góry, pasterze z psami pędzili stado owiec do ukrytej dolinki, w której wraz z Amą Apte oplakiwał martwego muła. Ponownie spojrzął w stronę szczytu grzbietu i zaczął systematycznie, z góry na dół, omiatać wzrokiem stok, coraz bardziej przekonany, że przez szczyt musi biec ukryty szlak, którym zszedł muł albo wraz z mordercą, albo śledzony przez niego.

Widział kępę trawy ponad miejscem, gdzie spadł, na półce w niespełna jednej trzeciej wysokości stromej skalnej ścianie. Bez względu na to, jak słodka była ta trawa, z pewnością wrażliwe stwory stworzenie nie wspięło się tam z doliny po długim, męczącym dniu, mijając wioskę, mijając kobietę, która otaczała je tak czułą troską.

Obserwował unoszącego się w powietrzu kruka, potem przez chwilę rodzinę kóz pocieszony, że mimo kłębiącego się w dole chaosu, w górach przyroda wciąż żyje własnym, niezmiennym rytmem. Nagle zamarł. Kępa wrzosów, którą mijają kozy, zniknęła. Pospiesznie omiótł wzrokiem stok za nimi, usiłując prześledzić ciemną kreskę, która wyznaczała ich szlak na niemal pionowej ścianie, po czym spostrzegł, że takich kresiek jest więcej; liczne ścieżki wiodą w górę albo ciągną się wzdłuż wypiętrzenia, biegnąc łukiem w stronę świątyni Jamy.

Kiedy odszukał w końcu barwną plamkę, zdawała się być niewiarygodnie daleko od miejsca, gdzie widział ją po raz pierwszy. Potem jednak uświadomił sobie, że plamka koloru białego. Przez pełną napięcia chwilę myślał, że być może obserwuje yeti, że stworzenie dostrzegło go, że idzie go zaatakować. Potem postać zatrzymała się, weszła na sterczącą ze ścian formację skalną i rozpostarła ramiona. Stała tam, nieruchoma we wznoszącym się prądzie powietrza, z czerwoną szatą łopoczącą wokół niej niczym zawieszony w bezruchu ptak, po czym obróciła się i skoczyła jak kot na następną sterczącą skałę, gdzie powtórzyła przedstawienie. Ten człowiek nie biegł do Shana. Biegł dla przyjemności.

Shan zerknął w stronę świątyni, wiedząc, że jeśli odejdzie, grozi mu, iż rozminie się ze złodziejem, po czym skierował lornetkę na ścieżki przed mnichem; domyślał się, że mężczyzna zamierza okrążyć grzbiet, biegnąc do końca ścieżek, skąd następnie zawróci w stronę masywu. Wybrał odległy o nie-

spełna kilometr wydatny występ skalny, przy którym ścieżki się schodziły, po czym również puścił się biegiem.

Gdy człowiek w czerwonej szacie dotarł do niego, Shan siedział na zewnętrznej krawędzi skalnej półki na skrzyżowaniu dwóch głównych kozich ścieżek, z nogami podwiniętymi pod siebie w pozycji medytacyjnej, spoglądając na leżącą w dole dolinę. Nie odwrócił się, nie drgnął nawet, jeśli nie liczyć ułożenia rąk w rytualny gest, mudrę dotykania ziemi, gdy rozpoczął cichą mantrę. Mężczyzna podszedł tak blisko, że Shan przeląkł się, czy nie zamierza zepchnąć go z urwiska, potem stanął nad nim z drugiej strony, trąc go niepewnie czubkiem zdartego buta z wysoką cholewką, a w końcu cofnął się i zaczął chodzić w tę i z powrotem za jego plecami.

Kiedy jego ruchy spowolniały, Shan odwrócił się i wyciągnął dwa przedmioty, podając mu je na otwartej dłoni. Z szorstkiej, ogorzałej twarzy spojrzwały na niego głębokie, wilgotne oczy, które złagodniały na widok jego darów: małego stożka kadzidła i pudełka zapalek. Mężczyzna bez słowa wziął je z jego dłoni, zapalił kadzidełko i postawił na czarnym spłachetku sadzy, który Shan zauważył, siadając. Już wcześniej palono tu kadzidło.

Gdy Tybetańczyk usiadł po przeciwnej stronie wonnego stożka, również wyciągnął coś: nie paciorki modlitewne, jak niemal spodziewał się Shan, ale *czilum*, jedną z tradycyjnych góralskich, bogato rzeźbionych drewnianych fajek. Zapalił ją, po czym zwrócił Shanowi zapaliki, dziękując mu skinieniem głowy.

Po kilku pyknięciach z fajki mężczyzna otworzył i zamknął usta, po czym wydał cichy gardłowy pomruk. Robiło tak wielu pustelników, z którymi Shan spotkał się w Tybecie. Często musieli sobie przypomnieć, jak rozmawiać z ludźmi.

- Ułożyłeś mudrę - odezwał się w końcu pustelnik chrypliwym głosem. Nie był to wyrzut, ale wyraz zaciekawie-

nia. - Recytowałeś mantrę mani. - Znów pyknął z fajki. - Sądysz, że ktoś cię słyszy?

Shan spojrział w stronę gór.

- Droga, jaką docieram do Buddy - odparł - jest drogą, jaką Budda dociera do mnie. - Słowa te wchodziły w skład pierwszej lekcji, jakiej udzielił mu jego przyjaciel, stary lama Gendun.

Pustelnik skinął głową, jak gdyby Shan pomyślnie przeszedł pierwszy sprawdzian, on sam zaś odwrócił się i ośmielił przyjrzeć uważnie tarczokowi, który osłaniając czilum dłońmi, cmokał raz po raz, by podsyć żar w rozrzedzonym powietrzu. Był krępy, krzepkim mężczyzną, być może dziesięć lat starszym od niego. Jego mnisia szata była połatana w kilku miejscach. Z ciężkich butów wystawały mu gołe kostki. Ciasno spleciony, podwójnie zwinięty kok związany był czerwonym sznurkiem.

- Kiedy odwiedzam świątynie pod Czomolungmą, spotykam tam czasem ludzi, którzy nie są Tybetańczykami - powiedział pustelnik. - Ale oni zawsze są lepiej ubrani od ciebie - dodał żartobliwie.

Shan nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Zadają mi wiele pytań. - Teraz, gdy tarczok odzyskał już głos, słowa płynęły wolno i melodyjnie. - Koniec końców jednak wszyscy pytają o to samo. Chcą wiedzieć, jak znaleźć spokój. - Znów zajął się fajką, wypuszczając dym przez usta. - Mówię im, że jedyny spokój, jaki można znaleźć w górach, to ten, jaki przynosi się z sobą.

Przez chwilę Shan chciał zapomnieć o wszystkim, kąpać się w mądrości starego pustelnika, który tak bardzo przypominał mu jego przyjaciół z Lhadrung. Ale potem pustelnik odezwał się znowu.

- Na tej górze jednak nie ma miejsca dla obcych. Obcy po prostu giną. Kiedy kadzidło wypali się do końca, musisz odejść.

Shanowi zaschło w gardle. Ten człowiek nie przemawiał już jak pustelnik, ale jak wartownik, jak demon opiekuńczy.

- Mam na imię Shan - powiedział. - Szukam pewnego ducha i kogoś, kto stwarza duchy.

- Ja jestem Dakpo. Przemawiam w imieniu góry. Gdy się przebudzi, strząśnie cię jak muchę.

- Nie jestem intruzem - zaprotestował Shan. - Jestem nosicielem zwłok, wyznaczonym przez wróżbitkę z Tumkot.

Brzmiało to jak cytat z baśni, skłoniło jednak pustelnika do namysłu. Pyknął z fajki, przyglądając mu się z uwagą.

- Widziałem cię przy szosie, jak grzebałeś swoje pierwsze zwłoki pod kamieniami.

Shan, zaskoczony, uniósł wzrok. Gdy po raz pierwszy odwiedzał bazę alpinistyczną, zatrzymał się po drodze, by usunąć z szosy martwego psa. Urządził mu pospieszny pogrzeb pod kopcem kamieni, szepcząc modlitwę, by odesłać jego duszę.

- Powiedziałem sobie: oto jest człowiek, który ceni śmierć.

Shan zawahał się, powstrzymując cisnące mu się na usta pytania. Dakpo nie znajdował się wtedy na szosie, a stok po przeciwnej stronie góry Tumkot był rzekomo niedostępny. Powtarzał w myślach jego słowa. Czyżby pustelnik właśnie wyjaśnił mu, dlaczego wybrano go na nosiciela zwłok?

Wskazał leżącą w dole dolinę.

- Tam, pod urwiskiem, wciąż jeszcze widać zgliszczą stosu pogrzebowego. Gdy paliliśmy z Amą Apte jej wuja, byliśmy tam tylko my dwoje, ale wyczuwałem w pobliżu czyjaś obecność. On był także twoim przyjacielem. Gdybym nie zgubił zwłok, nasz przyjaciel muł byłby wciąż przy życiu. To wielki dług, jaki na mnie ciąży, Dakpo. Wobec zwłok, wobec twojego starego przyjaciela, wobec góry. Muszę mieć prawo go spłacić.

Pustelnik zmarszczył brwi. Spojrzał smętnie w stronę le-

dwo dostrzegalnej plamy na odległej ścianie urwiska i znów pociągnął dym z fajki.

- Nazywał się Kundu. Znałem go przez całe życie - powiedział w końcu. - To rzadki zaszczyt, kiedy przyjaciel wraca tak jak on.

- Ale wrócił na czterech nogach.

Dakpo uśmiechnął się dziwnie smutno, po czym powiódł ręką po horyzoncie.

- Jak okiem sięgnąć, nikt z nas nie wróci na dwóch.

Było to najbardziej niezwykle stwierdzenie tej niezwykle rozmowy. Shan nie śmiał pytać, jaki straszliwy grzech popełnili mieszkańcy tego regionu, by wszyscy mieli odrodzić się jako niższe formy życia.

- Czy mieszkasz w pieczarze, rinpocze? - zapytał zamiast tego.

Pustelnik sposepniał. W milczeniu skinął głową.

- Nad urwiskiem, gdzie zabito muła? Ponownie przytaknął.

- Nie sądzę, żeby on się wspinał ścieżką do trawy. Myślę, że schodził w dół. Widziałeś go?

- On nie miał skąd schodzić - odparł Dakpo, ze zbytnim naciskiem w głosie. - Tam wyżej nic nie ma.

- Przypuszczam, że nie był sam - ciągnął Shan. - Razem z nim albo tuż za nim szedł jego zabójca.

- Wspinał się na górę do trawy. Spadł. Ktoś zastrzelił go z litości.

- Nie. Pierwszy postrzał dostał na górze.

- Nie wiesz tego.

- Wiem. Ta rana była na jego drugim boku, od strony skały. Ten, kto go zabił, nie mógłby zadać jej po tym, jak spadł.

Dakpo milczał.

- Od jak dawna mieszkasz w swej pieczarze, Dakpo?

- Odkąd sięgam pamięcią.

- Ale pochodzisz z wioski?

- To dawne dzieje.

- W takim razie musisz znać tajemnice, za które zginął wuj Amy Apte.

- O czym ty mówisz?

- Muł wracał do domu sekretną ścieżką. Tą samą ścieżką wymykał się prześladowcom zabójca minister. Ale nie znając tego sekretu, nie dojdę prawdy, nie zdołam wyzwolić duszy twojego przyjaciela. Na ścieżce są, jak przypuszczam, pomocne ślady, wskazówki, które mógłbym wykorzystać. Co jest tak ważne, że nie pozwala ci pomóc mu?

- Nie ma żadnej takiej ścieżki. A my mamy własne sposoby radzenia sobie ze śmiercią, Shan. Góra się o to zatroszczy. - Dakpo wstał, schował fajkę do woreczka u pasa i nie mówiąc nic więcej, odszedł.

Shan przez długi czas śledził go wzrokiem, patrząc, jak plamka czerwieni na tle potężnej skalnej ściany maleje i w końcu znika, po czym skierował się znów w stronę świątyni.

Pół godziny później usadowił się w cieniu małego nawisu, skąd mógł obserwować zarówno biegnącą z dołu ścieżkę, jak i osłonięty ołtarz, gdzie czekały cierpliwie bóstwa, i wschodnie, i te z Zachodu.

Na zachodnim niebie purpurowozłote palce rozcapierzyły się nad pokrytymi śniegiem szczytami. Shan odprężył się; przemknęło mu przez myśl, czy jego syn ogląda ten sam zachód słońca, dopatrując się w chmurach kształtów smoków i ryb, jak często robił to on sam ze swym ojcem. Jak zwykle jednak wkrótce wyrwał go z tych rojeń szept rzeczywistości. Był to specyficzny obłęd, w jaki popadł podczas obozowych lat, i dotąd nie znalazł na niego lekarstwa. Marzył o swoim synu Ko jako o szczęśliwym, niewinnym chłopcu, godzinami leżąc w ciemnościach na pryczy, wyobrażał sobie, jak czyta dawnych poetów, puszcza latawce, składa czapki z papieru,

nie mając pojęcia, że przez cały ten czas jego syn był przestępcą, przywódcą gangu, handlarzem narkotyków, narkomanem. I akurat gdy Ko zaczął się zmieniać, zdrowieć w rękach łamów - niegdysiejszych współwięźniów Shana, uznano go za chroniczny problem dyscyplinarny i przeniesiono do okrytego złą sławą więziennego szpitala bezpieczeństwa. Ko, jedyny człowiek na świecie, z którym łączyły Shana więzy krwi, znalazł się na powolnej, ale nieuchronnej drodze do śmierci. Wstrząsany bezgłośnym, dręczącym szlochem, jaki często wyrywał go z kamiennego snu, oczyma wyobraźni Shan ujrzał nagle swego syna otepiałego, wypalonego chemikaliami i elektrodami.

Opanował się, układając dłonie w uspokajającą mudrę, siłą woli wracając do terażniejszości, przypominając sobie, że sam również ma do przejścia drogę, która przy odrobinie szczęścia być może pozwoli mu odmienić los Ko. Jego wargi zaczęły się poruszać w bezgłośnej mantrze. Gwiazdy zamigotały nad matką gór, wokół której niczym szal modlitewny unosił się srebrzysty, oświetlony blaskiem księżycy pióropusz zdmuchniętego przez wiatr śniegu. Shan poczuł, jak jego ciało zalewa fala zmęczenia. Oparł się plecami o skałę.

Obudził się ze straszliwym uczuciem, że spada, tak sugestywnym, że uchwycił się najbliższego głazu. Serce waliło mu jak młotem. Ponad nim gwiazdy przesunęły się wyraźnie ku zachodowi. A w dole ktoś skradał się do bogów.

Wstał cicho. Ciemna postać oglądała prowizoryczny ołtarz, trzymając latarkę przy głowie. Nie, zorientował się, gdy podszedł bliżej. Latarka była umocowana na głowie, tak że obie ręce pozostawały wolne do szperania wśród posążków. Intruz działał pospiesznie, ważąc w dłoni każdą z figurek, potrząsając nią, wkładając jedną, drugą, potem trzecią do przewieszanej przez ramię torby. Latarka na głowie. Co widziała stara kobieta w wiosce? Ducha z gwiazdą nad głową. Shan wstał i ukradkiem zszedł w ruiny.

Poczuł pod butem ceramiczną skorupę o ułamek sekundy za późno, by uniknąć jej zmiżdżenia. Sześć metrów dalej na odgłos chrzęstu rabuś obrócił się gwałtownie, momentalnie wyłączając latarkę, i przykucnął, stając się jednym więcej niskim, ciemnym cieniem wśród skąpanych w księżycowej poświacie skał.

- Chcę tylko porozmawiać! - zawołał Shan po chińsku, potem po tybetańsku, robiąc kolejny krok naprzód. Spod skalnego nawisu wypadł kłęb cienia, zderzył się z nim i zwalając go z nóg, pomknął susami w dół ścieżki.

Shan błyskawicznie zerwał się na nogi i ruszył w gorączkowy pościg, potykając się na luźnym żwirze; biegł z ręką lekko wyciągniętą przed siebie, by wymacać zawczasu niewidoczne w ciemności skały, wreszcie rzucił się pędem, gdy dostrzegł złodzieja w plamie księżycowego światła trzydzieści metrów przed sobą.

Wyczuł pięść na moment przed otrzymaniem ciosu, akurat gdy wybiegał zza skalnego słupa. Trafiłaby go w oko, ale obrócił się tak, że wyrznęła go w ucho, jak gdyby ktoś zdzielił go w głowę drewnianym młotkiem. Padając, zamachnął się na oślep; chwycił obutą stopę, wytrącając napastnika z równowagi, ale dostał przy tym bolesnego kopniaka w żebra. Przetoczył się po ziemi, sądząc, że powalił mężczyznę, po czym uświadomił sobie, że zaciska ręce nie na nim, lecz na nylonowej torbie z posążkami.

Rozpoczęła się ryzykowna szarpanina. Shan wyczuł nagle, że znajdują się na skraju urwiska, z kilkusetmetrową otchłanią otwierającą się niespełna metr od nich. Sięgnął po latarkę i walił nią w kłykcie mężczyzny, póki ten nie wyrwał mu jej z rąk i nie cisnął precz. Torba zahaczyła o skałę i zaczęła się drzeć. Wiekowe figurki wysypały się i potoczyły po ziemi. Mężczyzna wydał stłumiony jęk i stracił zainteresowanie Shanem, desperacko rzucając się po nie; chwycił ostatnią w tym

samym momencie, gdy zacisnęły się na niej palce Shana. Był to jeden z bardzo starych Jamów z brązu, o oczach wysadzanych drogimi kamieniami, które lśniły w świetle księżyca. Shan pociągnął go w swoją stronę, rabuś szarpnął go do siebie. Bóstwo zdawało się przyglądać ich zmaganiom z niesmakiem.

Shan uchwycił się głazu i zaparł, odpychając w tył. Nieznajomy wypuścił Jamę, jednak siła szarpnięcia sprawiła, że posążek wysliznął się z ręki Shana. Gdy brąz zniknął w przepaści, z gardła złodzieja wyrwał się zduszony okrzyk. Potem ciężki but uderzył Shana w pierś, aż ten zatoczył się w tył i runął bezwładnie na ziemię, trzymając się za serce i łapiąc z wysiłkiem powietrze. Gdy znów mógł oddychać, dostrzegł ciemną postać przecinającą kolejną plamę księżycowego światła sto metrów niżej.

Podczołgał się na skraj urwiska i spojrzał w dół przygnębiony. Nie dość, że dał uciec rabusiowi, to jeszcze zabił boga.

Pozostał pochylony, dotykając głową ziemi, z początku dlatego, że taka pozycja łagodziła ból w klatce piersiowej, a potem z powodu wstydu. Gdy w końcu wstał, pokuśtykał nie w dół, ale w stronę ołtarza, i zebrał małą wiązkę zeschniętej trawy, którą zapalił, by przyjrzeć się dziełu złodzieja. Rabuś zaczął od końca przeciwnego do krucyfiks i został powstrzymany, nim dotarł do Buddy na środku ołtarza. Ale pięć brązowych posążków Jamy, tych największych, przepadło.

Gdy jego prowizoryczna pochodnia zamigotała i zgasła, spojrzał na gwiazdy i pogrążoną w mroku ścieżkę. Do świtu pozostało już tylko kilka godzin. Nazbierał drewna i rozpałił ognisko parę metrów przed ołtarzem, po czym poszedł po koc i plecak, z którego wyciągnął torbkę z jedzeniem. Nie bacząc na ściskający się z głodu żołądek, wyłożył całe jedzenie na ołtarz i podzielił je na siedem porcji, które rozmieścił w przedniej części ołtarza, dodając do każdej ofiary tłącą się wonną gałązkę jałowca. Odmówił modlitwy przebłagalne, po

czym umieścił kolejną tłącą się gałązkę przy krucyfiksie. Ten przedmiot był tu równie nie na miejscu jak ryba na drzewie, ale wydawał się najbardziej istotnym z jego dotychczasowych odkryć.

Mimo że Shan dotarł do domu Amy Apte zaledwie godzinę po wschodzie słońca, nie zastał jej. Usadowił się oparty o obramienie pozbawionego drzwi otworu wejściowego, odsuwając na bok miedziany dzbanek z mlekiem, postawiony przez kogoś obok sfatygowanej maselnicy, po czym poruszył się, by oderwać koszulę od zaschniętej na żebrach krwi. Jediną pewną rzeczą, jakiej dowiedział się o rabusiu, było, co nosił na nogach. W miejscu, gdzie nieznajomy kopnął go, na skórze widniały skaleczenia i sińce układające się w wyraźny wzór raków zakładanych na buty wspinaczkowe. Naciągnąwszy kapelusz nisko na twarz, przez kilka minut obserwował krzątających się wieśniaków; zerknął na kobiety, które siedziały w drzwiach kilku domów, ubijając masło, po czym zajrzał do pomieszczenia zajmującego parter domu wróżbitki. Siennik ze złożonym kocem wciąż leżał na polepie przy przegrodzie, jak gdyby czekała całą noc na swego muła. Przy posłaniu stały dwa wiadra, jedno z wodą, drugie ze świeżym ziarnem. Arna Apte odprawiała dla zmarłego muła tradycyjne rytuały pogrzebowe bardzo, podczas których zostawiano dla nieboszczyka jedzenie i picie.

Przy małej ławie pod jedynym oknem w głębi pomieszczenia, na kwadratowych kawałkach żółtej tkaniny, leżała szpulka czerwonej nici, a obok arkusze papieru czerpanego, na których zapisane były wróżby. Otworzył drzwiczki drewnianej szafki nad ławą. W środku zobaczył kolejne szpulki, a także staroświeckie pióra ze stalówkami i butelkę atramentu. Do wewnętrznej strony drzwiczek pożółkłą taśmą przyklejone było

zdjęcie młodego Dalajlamy na koniu, w towarzystwie uzbrojonej eskorty. O tylną ścianę szafki oparta była wystrzępiona księga z tablicami do wróżb Mo oraz kilka sfatygowanych par kości wróżebnych.

Jego wzrok powędrował znów ku zdjęciu. Choć ich posiadanie było zakazane, a Urząd do spraw Wyznań regularnie palił je, wizerunki Dalajlamy były przechowywane potajemnie przez wielu, być może nawet większość Tybetańczyków. Nigdy jednak nie widział takiego jak ten. Obejrzał go uważniej, obracając drzwiczki w stronę światła, przyglądając się młodzieńczemu obliczu reinkarnowanego władcy, żołnierzom w futrzanych czapach, ich starym brytyjskim karabinom Enfielda. Na wszystkich twarzach malowało się wyczerpanie i zmęczenie podróżą. W oddali na stoku widać było żołnierza obserwującego teren za nimi. Shan domyślił się, że zdjęcie powstało podczas ucieczki Dalajlamy za granicę, kiedy chińska armia próbowała zabić go, ostrzeliwując jego rezydencję w Lhasie.

Wrócił do wejścia i obserwował pracujące kobiety, po czym pochylił się, nalał mleka do maselnicy wróżbitki i zaczął poruszać ubijakiem. Był to codzienny rytuał odprawiany od wieków przez miliony Tybetańczyków, do dziś stanowiący istotną część życia koczowników i mieszkańców zapadłych wiosek.

Gdy w końcu Ama Apte zjawiała się, prowadząc kozę, nie usłyszał od niej ani utyskiwań, ani powitania, jedynie pomruk zadowolenia, gdy uniósłszy pokrywę maselnicy, zobaczyła, że poranny obowiązek jest niemal ukończony. Wrzuciwszy do środka garść soli z glinianego garnuszka przy drzwiach, zniknęła w domu sąsiadki, skąd wróciła parę chwil później, niosąc parujący czajnik, dwie blaszane czarki oraz wysoki, wąski ubijak służący do mieszania herbaty z masłem. Proszony czy nie, Shan był gościem, którego należało poczęstować maślaną herbatą.

Nie odezwała się słowem ani podczas przyrządzania herbaty, gdy ustawiała w izbie tuż przy wejściu dwa stołki do dojenia, ani kiedy w końcu podała mu parującą czarękę i usiadłszy, wygładziła swój barwny fartuch.

- Co się tu działo? - zapytał Shan. - To znaczy dawniej, kiedy świątynia Jamy jeszcze funkcjonowała. Czy byli tam kapłani z daleka?
- Nie znał żadnego tybetańskiego słowa na określenie misjonarzy.

- Ludzie mawiali, że to nasza wioska jest najdalszym ze wszystkich miejsc na świecie - odparła kobieta. - Byliśmy z tego dumni. Himalaje chroniły nas. Tym, co pamiętam przede wszystkim, był spokój. Mieszkańcy śpiewali piosenki przy studni. Mieliśmy wioskowe krosna, na których wszyscy tkali dywaniki sprzedawane przechodzącym tędy karawanom z Nepalu. Na placu zawsze byli mnisi, flagi modlitewne na każdym domu.

- Ze świątyni Jamy?

- Podobno zanim powstała ta świątynia, była tam inna, poświęcona bóstwom ziemi i górskim duchom. Wcześniej igrali tam bogowie.

- Miałem na myśli raczej ubiegłe stulecie.

- W tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym cudzoziemcy zaczęli wbijać gwoździe w naszą górę - oświadczyła Ama Apte w zamyśleniu. Mówiła o pierwszej wyprawie na podbój Everestu.

Shan sącył herbatę.

- Kypu wspomniał, że jego dziadek był przewodnikiem wypraw. Znałaś jakichś wczesnych wspinaczy?

- Nikt z nas nie nazywał tego wspinaczką. Mnisi od wieków chodzili w góry, nie po to, by zdobywać nowe szczyty, ale żeby odwiedzać bogów. Nazywaliśmy to składaniem hołdu albo mówiliśmy, że idziemy rozmawiać z boginią. Cudzoziemcy w większości wspinają się na nią, bo przypadkiem jest

parę metrów wyższa od innych gór. Gdyby ustawić na szczycie tyczkę, wdrapywaliby się też na nią.

Shan wyteżał mózg, by zrozumieć nie tyle to, co Ama Apte mówi, ile to, czego nie powiedziała. Kilkakrotnie odtwarzał jej słowa w myślach, aż nagle pojął, o co powinien pytać.

- Alpiniści, głównie szefowie wypraw, przychodzą czasem do wioski, żeby rozmawiać z Kypo. Udzielasz im błogosławieństw.

- Czy ja wyglądam na mnicha?

- Przepraszam. Wyliczasz dla nich sprzyjające dni i mówisz, jakie słowa powinni wypowiedzieć na szczycie. Widziałem u niektórych wspinaczy żółte, zaszyte czerwoną nicią woreczki z zaklęciami.

Gdy nie odpowiedziała, naciskał dalej.

- Czy Megan Ross trafiła do ciebie po raz pierwszy w zeszłym roku, czy może wcześniej?

Wróżbitka milczała jak grób.

- Czytałem, że współpracowała z Tybetańczykami i Szerpami, by uświadomić ogółowi, że ta góra jest święta - wyjaśnił. - Uczyła się od kogoś dawnych metod wspinaczki.

Ama Apte zaczęła głaskać grzbiet kozy.

- Czy nauczyła się pić twoją maślaną herbatę? - dążył, licząc na to, że skłoni ją przynajmniej do przyznania, że знаła Amerykankę.

- Nosila ze sobą buteleczkę esencji miętowej - odparła Ama Apte z nutą napięcia w głosie. - Mówila, że z paroma kroplami jest w stanie przelknąć najmocniejszą tybetańską herbatę.

- Ale chyba nie znała tybetańskiego?

- Mówila trochę po chińsku.

- Dlaczego chciała spotkać się z minister? Niemożliwe, żeby się spodziewała, że przekona Wu, by położyła kres wyprawom.

- Będziesz musiał sam ją o to zapytać. Shan przyjrzał się jej z uwagą.

- Megan Ross nie żyje.

Ama Apte spojrzała na niego, przekrzywiając głowę. W jej oczach nie było śladu smutku ani zaskoczenia.

- Ta dziewczyna płata figle. Chodzi tam, gdzie władze nie chcą jej wpuścić, więc rozsiewa plotki, by odwrócić ich zainteresowanie. Może ci się wydawać, że nie żyje. Byłaby zdolna udawać martwą, jeśli miałyby to pomóc jej chronić swe sekrety.

- Ona nie jest na jednej ze swych sekretnych wypraw. Znalazłem ją, Ama Apte. Leżała, z dwiema ranami postrzałowymi, obok zamordowanej minister. Umarła na moich rękach.

Reakcją wróżbitki nie był żal, lecz gniew.

- Nie - odparła z wściekłością w głosie.

- Byłem dobrym przyjacielem twojego wujka - przypomniał Shan. - Oboje modliliśmy się za niego. Kiedy się mówi o zmarłych, trzeba mówić prawdę.

- Ona nie umarła - stwierdziła z uporem Ama Apte. - Wiedziałabym o tym.

- Mówisz to jako jej przyjaciółka czy jako wróżbitka? - zapytał Shan.

Tybetanka odwróciła się z powrotem do kozy.

- Ona jest na jakimś wysokim szczycie i śmieje się, wystawiając twarz na wiatr. A Tenzin się nie odnajdzie, dopóki nie będzie gotów. Zmarli należący do góry wciąż wracają, jeśli zostawili jakieś niezakończony sprawy - oznajmiła zwierzęciu. - Tak było zawsze.

Rzeczywistość jest tylko powszechnym wyobrażeniem, powiedział mu kiedyś pewien lama. Wydawało się, iż nie ma znaczenia, że Shan był zbryzgany krwią martwej kobiety, gdyż w rzeczywistości, jaką postrzegali wszyscy, ona wciąż żyła. Shan nigdy dotąd nie miał do czynienia z morderstwem, któ-

rego ofiary, miast leżeć bez ruchu, pozostawały czynnymi uczestnikami wydarzeń, nawet gdy już przestały oddychać.

- Powiedz mi, jak ją poznałaś - poprosił cicho.

- To było wysoko w górach - odparła po długim milczeniu. - Dwa lata temu. Są tajemne miejsca, kapliczki, o których wiedzą tylko tutejsi, sanktuaria, w których każdej wiosny trzeba wypowiadać pewne słowa. Ukrywałam się, bo w pobliżu przechodziła grupa alpinistów. Oczekałam długi czas, zanim wyszłam, ale ona czekała na mnie przy kaplicy. Zapytała, dlaczego boję się wspinaczy.

- Takiego właśnie słowa użyła? Że się boisz?

- Odparłam, że nie boję się tego, kim są, ale tego, co robią. Powiedziałam jej, że ignorowanie sanktuariów sprawi, że coraz więcej wspinaczy będzie ginąć. Powiedziałam, że górne partie stoków pełne są martwych cudzoziemców, za których nikt się nie modli, nikt nie pomaga im przejść do następnego wcielenia. Pomogła mi uprzętnąć kaplicę, a kiedy zobaczyła, że flagi modlitewne są stare i postrzępione, chciała dać mi pieniądze na nowe. Wyjaśniłam, że to nie pieniądze nadają im wartość, że te skrawki materiału są święte, ponieważ wysłały miliony modlitw, po jednej z każdym łopotem. Oświeciło ją dopiero, kiedy pomogła mi naciągnąć sznur i rozprostować flagi. Połowa sznura była pusta.

- Dlatego, że cudzoziemcy zabierali sobie flagi na pamiątkę. Ama Apte skinęła głową.

- Pytała o mnie Kypo, nie wiedząc jeszcze, że jestem jego matką, i tydzień później odszukała mnie tu, żeby powiedzieć mi, że nakłoniła grupy wspinaczkowe, by usunęły tę konkretną ścieżkę ze swej marszruty. To właśnie wtedy zaczęła wypytywać mnie, jak Tybetańczycy wspinali się na góry za dawnych czasów.

- Wiedziałaś, że ona próbuje się spotkać z minister?

- W sezonie wspinaczkowym pojawia się tutaj co tydzień

lub dwa. Ostatnim razem powiedziała mi, że zamierza wziąć udział w konferencji w tym nowym hotelu. Mówiła, że potrzebna jest im, jak to nazwała, dawka rzeczywistości, jakby zamierzała zaaplikować im ją jak lekarstwo.

- Chcesz powiedzieć, że próbowała powstrzymać minister przed zrobieniem czegoś?

Wróżbitka postanowiła zmienić temat.

- Znalazłeś odpowiedź dla mojego muła? - zapytała ni stąd, ni zowąd. - Jeśli nie zostanie ułagodzony, sprawy mogą potoczyć się źle - dodała, jak gdyby zajęła się teraz przepowiadaniem przyszłości duchów.

- Żeby znaleźć zabójcę twojego wujka - wyjaśnił Shan - muszę wiedzieć więcej o twojej drodze do matki gór. Ilekroć trzeba było znieść zwłoki, Kypo zawsze czekał na mnie z mułem poniżej gompy Rongphu, na ścieżce biegnącej równoległe do drogi z bazy. Muł znał ten szlak instynktownie.

- Chodził nim ponad osiemdziesiąt lat, w obydwu wcieleniach.

- Ale ta ścieżka prowadzi w dół, w stronę szosy. Od strony wioski jest niedostępna, odcięta przez stromiznę góry Tumkot i lodowiec na szczycie. Jednak Kypo i muł najwyraźniej znali przejście górą.

- Bzdura. Chodzimy dookoła, szlakiem, który okrąża podstawę masywu.

- Przejście naokoło oznacza co najmniej dwadzieścia pięć kilometrów marszu. Górą byłoby nie więcej niż osiem.

- Dla nas dwadzieścia pięć kilometrów to poranny spacer.

- Ale przypuśćmy, że istnieje tajna ścieżka - podsunął Shan. - Twój muł znalazłby ją jako drogę do domu, doprowadziłby do niej każdego, komu chciałoby się go śledzić, gdyż zostawiłby świeże ślady, które uwidoczniłyby szlak. Jeśli morderca także korzystał z sekretnej ścieżki, żeby dokonać swego dzieła, zależałoby mu na śmierci muła.

- Tamtego dnia po zamachu na szosie kręciło się mnóstwo samochodów i ciężarówek. Wojskowych ciężarówek było tyle, że zabrakło miejsca dla karetki - dodała znacząco.

- Ale tam był ranny - zauważył Shan. - Kierowca autobusu.

Ama Apte spojrzała na niego rozczerowana. Shan wrócił myślami do zdjęcia młodego Dalajlamy z żołnierzami. Nie zostało wyrwane z książki czy z gazety. To była oryginalna fotografia. Ilekroć zdołał zdrzeć jedną warstwę sekretów tej kobiety, natrafiał na kolejną.

- Myślałam, że powiesz mi, w jaki sposób ten chiński pułkownik zabił mojego wujka, tak jak zabił minister.

- Przyszędłem, żeby odkryć prawdę.

- Dziwnie obchodzisz się z prawdą.

- Słucham?

- Zachowujesz się, jak gdyby zabójcą był ktoś z Tumkot.

- Twój wujek został zatrzelony niewiele ponad kilometr stąd. Może wystraszyła go strzelanina i wracał do domu.

- Mój wujek był przyzwyczajony do wystrzałów. Powiedziałyby mi albo Tenzinowi.

- Tenzinowi? - powtórzył Shan, ogarnięty złymi przeczuciami. - Tenzin już nie żył.

- Sądziłam, że będziesz lepiej rozumiał tutejszych zmarłych - odparła tonem, od którego przebiegł go dreszcz.

- Czy to dlatego jestem nosicielem zwłok? Dakpo widział, jak postąpiłem z psem, i we dwójkę uznaliście, że rozumiem zmarłych?

Ama Apte utkwiała w nim poważne spojrzenie.

- Dakpo rozmawiał ze mną, owszem. Ale najpierw musiałam się z tobą spotkać. Od razu zobaczyłam to w twoich oczach. Jesteś jednym z tych, przez których przemawiają zmarli. Nici twojego życia splatają się z umarłymi, których dotykasz.

Odpowiedź zajęła mu mnóstwo czasu.

- Ale Tenzin nie żył - powtórzył raz jeszcze.

- Mówiłam ci już. Góra potrzebowała go znowu, więc Tenzin wstał z martwych i odjechał na moim mule.

Wyzywającym spojrzeniem Ama Apte uciszyła jego ewentualną odpowiedź, po czym sięgnęła do rękawa sukni i wydobyła wróżebne kości. Nie zważając na jego obecność, zamknęła oczy, poruszając wargami w krótkiej mantrze przywołującej mądrość Mo, i rzuciła na polepę. Przyglądała im się przez chwilę, po czym zgarnęła je i odwróciła się do niego z przepaszającą miną.

- Z tego może wynikać jedynie smutek - oświadczyła. Wstała i wygładziła fartuch, dając do zrozumienia, że jej gościnność się skończyła. Shan odprowadził ją wzrokiem, gdy wspinała się po drabinie na pięterko. Ponownie zdradziła mu odpowiedź, ale nie powiedziała, jak brzmiało pytanie.

Rozdział 7

Szpital w Shogo stanowił w zasadzie punkt pierwszej pomocy, z którego korzystali przede wszystkim turyści dotknięci atakiem choroby wysokościowej lub wymagający nastawienia zwiczeń i drobnych złamań po odpadnięciu od skały. Była to mała, obskurna placówka mieszcząca się w popadającym w ruinę budynku byłych koszarów wojskowych na skraju miasta, której jedyną względnie nową ozdobą była lśniąca metalowa tabliczka na drzwiach, obwieszająca po chińsku, po angielsku, po niemiecku i po japońsku **ODDZIAŁ NAGŁYCH PRZYPADKÓW**, a także transparent z hasłem **BUDUJMY STABILIZACJĘ POLITYCZNA**, ulubionym sloganem partyjnych propagandzistów od czasu zamieszek z 2008 roku. Niemal po minucie obserwowania ulicy we wstecznym lusterku, Shan zaparkował starą niebieską ciężarówkę przy krawężniku, po czym wszedł po rozpadających się betonowych stopniach i niepewnie zrobił krok do środka.

W rejestracji pulchna kobieta siedziała na taborecie z głową opartą na złożonych ramionach, pogrążona w głębokim śnie. Obok niej na blacie stały stojaki z wyblakłymi broszurkami opisującymi w kilku językach objawy i sposób postępowania w chorobie wysokościowej. Za jej plecami znajdował się drewniany regał z przeszło dwudziestoma małymi aparatami tlenowymi, które, jak głosiła umieszczona nad nimi tabliczka, stanowiły własność okręgu Tingri. Za kontuarem stały

dwie leżanki ze złożonymi kocami dla tych, którzy musieli przyjmować tlen na leżąco. Dalej znajdowały się pomalowane łuszczącą się czerwoną farbą drewniane drzwi, a po obu ich stronach lśniące plakaty reklamowały usługi Chińskiego Biura Turystyki Zagranicznej. Shan podszedł do drzwi, zerknął na śpiącą kobietę, która akurat zachrapała głośno, i otworzył je pchnięciem.

Tylko jedno z sześciu łóżek w zakurzonej, słabo oświetlonej sali było zajęte. Z początku, widząc dziwne podrygi pacjenta, Shan sądził, że leżący z podciągniętymi kolanami młody Chińczyk doznał jakiegoś uszkodzenia nerwów. Gdy jednak podszedł bliżej, zobaczył w jego dłoniach małe czarne pudełko, usłyszał ciche pobzykiwanie towarzyszące gorączkowemu wciskaniu guzików. Przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, ogarniając wzrokiem obandażowaną głowę, krótką linię zadrapań na skroni, wreszcie wiszący na kołku obok łóżka mundur.

Dopiero gdy Shan przysunął sobie taboret i usiadł przy łóżku, pacjent zauważył jego obecność. Jego palce zastygły w pół ruchu. Krew odpłynęła mu z twarzy. Zabawka opadła na koc.

Shan wskazał bandaż na jego głowie.

- To nie wygląda na trwałe uszkodzenie.

Żołnierz przez dłuższą chwilę nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Ja nie... - wyjąkał wreszcie. - Nie byłem...

- Tamtego dnia było mnóstwo zamieszania - podsunął Shan.

Młody Chińczyk wyprostował się i oparł plecy o metelowy zagłówek i przyglądał mu się nerwowo. Widząc jego znoszone spodnie i sfatygowane buty turystyczne, wyraźnie się odprężył.

- Nie jestem oficerem, sierżancie - uspokoił go Shan. - Dobrze zgadłem? Jesteście sierżantem?

- Kapralem. Shan skinął głową.

- Wszyscy oficerowie z tamtego dnia zostali usunięci, kapralu, przypadli w głębi Chin. - Nalał żołnierzowi szklanek wody z dzbanka na szafce nocnej. - To dlatego nikt jeszcze nie zauważył waszej nieobecności. W tej chwili panuje wielki rozgardiasz. Nowi oficerowie zakładają zapewne, że was też przeniesiono. Nikogo z tych, którzy mogliby coś wiedzieć, już nie ma.

- Pisałem list do mojego porucznika, ale wrócił do mnie z adnotacją, że go nie zastano - odparł niepewnie kapral. -Przed dniem wypłaty będę znów w jednostce.

- Z całą pewnością - stwierdził Shan. - A póki co, kto mógłby zaprzeczyć, że potrzebne jest wam dłuższe zwolnienie lekarskie?

Żołnierz osuszył szklanek.

-Wciąż mam bóle głowy. Mam pokaleczoną skórę na czaszce. Opatrunki wymagają zmiany.

- Wasz pierwszy opatrunek był z szaty pewnego lamy. Pamiętacie?

Żołnierz wolno skinął głową.

- Stary głupiec. Mógł uciec, mógł oszczędzić sobie pięciu lat cierpienia. Ale usadowił się przy mnie niczym stary jak. Kiedy doszedłem do siebie i wstałem, on nawet nie zauważył tego, tylko wciąż nucił te swoje zaklęcia.

- A zanim wstaliście, widzieliście coś?

- Chwilami traciłem wzrok, potem znów go odzyskiwałem. Ludzie biegali. Strażnicy biegli szosą, strzelając z pistoletów. Coś wpadło i wypadło z autobusu.

- Chyba raczej ktoś?

- Yeti - odparł niepewnie żołnierz. Shan nachylił się bliżej.

- Widzieliście, jak yeti wskakuje do autobusu? Kapral wzruszył ramionami.

- W koszarach niektórzy starsi żołnierze mówią, że yeti obrzucają kamieniami nasze ciężarówki przejeżdżające przez góry. Kiedy coś ginie w koszarach, żartujemy, że zabrał to yeti. Cokolwiek to było, poruszało się szybko i nie bało się naszych karabinów. Ćmiło mi się w oczach. Widziałem coś ciemnego, wielkości człowieka. Przez chwilę zdawało mi się, że czuję zapach ziół i słyszę cichutkie dzwonięcie. - Znow wzduszył ramionami. - Podobno przy wstrząśnięciu mózgu miewa się dziwne złudzenia.

Ktoś, przypomniał sobie Shan, wykradł dokumenty z więziennego autobusu, ktoś na tyle mądry, by wiedzieć, że papiery te są dla władz podstawowym tropem prowadzącym do mnichów, ktoś na tyle odważny - lub lekkomyślny - by ryzykować zastrzelenie przez strażnika.

- A potem - zapytał - kiedy ten lama opatrzył już wasze rany, poszliście szosą pod górę? Nie szukaliście reszty swojego oddziału?

- Oni wszyscy tam właśnie już wtedy byli, przy zwłokach. Krzyczeli, rozmawiali przez radio, rozgorączkowani, śmiertelnie przerażeni. Zapomnieli o mnichach. Ledwo zauważyli, że przyszedłem, więc usiadłem pod skałą i się przyglądałem. Wciąż krwawiłem. Raz po raz traciłem i odzyskiwałem przytomność.

- Opowiedzcie o tych zwłokach. Żołnierz wzduszył ramionami.

- Dwa trupy. Zakrwawione z przodu, oparte o skały.

- Jesteście pewni, że były dwa?

- Oczywiście, że dwa. Widziałem je. Porucznik krzyczał przez radio, że jest dwoje zabitych. Kobiety.

Shan odetchnął z ulgą. Nareszcie znalazł kogoś, kto podzielał jego wizję rzeczywistości.

- Skąd to wiecie?

- Jedną z nich była minister. Widzieliśmy ją dzień wcze-

śniej na wiecu. Porucznik zaczął obszukiwać drugiego trupa, szukając dokumentów. Ktoś powiedział, że to jeden z tych gości z konferencji alpinistycznej.

Shan przypomniał sobie krótko ostrzyżone włosy Megan Ross, krew na jej grubo ciosanej, ogorzałej twarzy. To była zwykła ludzka reakcja, z którą sam często musiał walczyć w początkach swej kariery. Nikt nie lubił się wpatrywać w zakrwawione twarze zwłok.

-Ico?

- Porucznik rozpiął kurtkę, przeszukał kieszenie, nic nie znalazł, zaczął się gorączkować i rozerwał koszulę. Nagle krzyknął i odskoczył do tyłu, jakby ukąsił go wąż. Zwłoki miały piersi.

- Co było dalej?

- Pojawił się następny problem, jakiś facet leżący na ziemi przy drodze. Twardy sukinsyn, wciąż próbował stanąć na nogi. Potraktowali go elektrycznymi pałkami. Potem zemdlałem.

Dłoń Shana mimowolnie zacisnęła się na jego ramieniu, które nadal drgało od licznych elektrowstrząsów, jakie zaaplikowano mu wtedy i w następnych dniach. Nie pamiętał, by stawiał opór pałkarzom, ale nie miał wątpliwości, kim był sukinsyn, o którym mówił żołnierz.

- Pamiętam, że widziałem, jak porucznik otwiera bagażnik samochodu i wyciąga baniak z olejem. Użył go do obrysowania ciała.

Shan gwałtownie uniósł głowę.

- Do czego?

- Te głupki nie miały pojęcia o pracy śledczych. On znał się na rzeczy. Ja też oglądałem filmy kryminalne. Po pierwsze, powiedział żołnierzom, trzeba zaznaczyć, gdzie znaleziono ciała. Zwykle używa się kredy albo białej taśmy czy czegoś w tym rodzaju. Ale on nie miał pod ręką nic innego, co by się nadawało.

Shan poważnie pokiwał głową.

- Znakomicie. A potem zaczęliście szukać dowodów? Żołnierz zmarszczył brwi.

- Kim właściwie jesteście? Nie wiem, czy...

- Jestem kimś, kto jak dotąd nie ma szczególnego powodu, by donieść garnizonowi o miejscu waszego pobytu. Szkoda byłoby zakłócać wam dobrze zasłużone wakacje.

Kapral z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Wciąż na przemian traciłem i odzyskiwałem przytomność. Pamiętam, że zwróciłem uwagę, że ktoś zapiął koszulę i kurtkę młodszej ofiary, a na głowę naciągnął jej niebieską czapkę. Ktoś krzychał do porucznika, wskazując mężczyznę stojącego na wyższym odcinku szosy, na tym ostrym zakręcie sto metrów dalej. Facet wysiadł z samochodu i patrzył w dół. Kiedy znów odzyskałem przytomność, porucznik sprzeczał się z innym oficerem, wskazując zalanego krwią człowieka, który leżał na ziemi. Potem głowa eksplodowała mi bólem i znów straciłem świadomość, tym razem na długo. Kiedy się ocknąłem, byłem w samochodzie, który wiozł mnie tutaj. Porucznik zatrzymał go i kazał mu mnie zabrać, bo wszystkie dostępne pojazdy wojskowe zostały wykorzystane do sprowadzenia ekip, które miały szukać tych cholernych mnichów. Znów zemdlałem. Obudziłem się tutaj. Następnego dnia przyszedł wizytujący lekarz z Xigaze.

- A te zwłoki? Co o nich mówili? Kto je usunął?

Młody Chińczyk spojrzał w zamyśleniu na plamę na przeciwległej ścianie.

- Moje wspomnienia skaczą, jak w tych filmach, które co chwila pokazują obraz z innej kamery. Była tam wojskowa ciężarówka. Ludzie jedli brzoskwinie. Zwłoki minster i tej w niebieskiej czapce leżały na deskach, które ładowano do ciężarówki. W uzdrowisku w górach jest pomieszczenie do trzymania zwłok w lodzie. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam, jest

porucznik siedzący z głową w dłoniach i sprawiający wrażenie, jak gdyby świat mu się zawalił. Nowy oficer zasypał ślady krwi, mówiąc, że nie wolno dopuszczać w pobliże żadnych cudzoziemców. Potem podpalił olej, którym zaznaczone były zarysy ciał.

- Podpalił go?

Żołnierz wolno skinął głową. Zdawało się, że powieki ciężą mu, głowa zagłębiła się mocniej w poduszkę.

- On miał własne zakłęcie, tak jak ten stary mnich. Tyle że u niego brzmiało to: *Ta ma de, ta ma de, ta ma de*. - „Cholera”. - Pamiętam, że widziałem obrysy ciał w płomieniach. Wyglądało to, jakby palił duchy.

Shan patrzył, jak kapral zapada w sen, odtwarzając w myślach ich rozmowę. Jakiś świadek widział z daleka dwa trupy. Pałkarze wynieśli dwa trupy. Ale tego konkretnego dnia, o tej konkretnej godzinie, na stoku znajdowały się trzy martwe ciała.

Rząd Chińskiej Republiki Ludowej szczycił się swymi osiągnięciami w budowaniu mostów między odmiennymi ludami oraz w wynajdywaniu metod wprzęgnięcia dawnych tradycji w służbę nowoczesnego socjalizmu. Tu, w tym ukrytym w wysokich górach zakątku Tybetu, u bram Ludowego Instytutu Terapii Zaburzeń Przystępczych, niesławnej fabryki yeti bezpieki, Shan napotkał dowód tego cudu. Szóstka poważnych Tybetańczyków, czterech mężczyzn i dwie kobiety, nałożyła postrzępione, spłowiałe fartuchy laboratoryjne, na których plecach widniało wielkie czarne X. Pełniący wartę dwaj młodzi pałkarze obserwowali ich nerwowo, z dłońmi na karabinach, jak gdyby spodziewając się napaści. Ta szóstka to byli ragyapowie, rozcinacze zwłok, osobliwe, często budzące niechęć plemię tradycyjnie zajmujące się usuwaniem ciał zmar-

łych przez rozczłonkowanie ich na karmę dla sępów. Urząd Bezpieczeństwa ofiarował im nowe wcielenie na dwudziesty pierwszy wiek, odwrócił biegunowość ich egzystencji, postanowił dostarczać im fragmenty zwłok, by złożyli z nich całość. Temu akurat klanowi ragyapów zlecono usuwanie zakażonych odpadków i części ciał ze specjalnej kliniki bezpieki.

Nakładając jeden z fartuchów, Shan naciągnął nisko kapelusz i odwrócił twarz, nie śmiejąc obejrzeć się za siebie, w stronę drogi dojazdowej, na poły spodziewając się, że pojawi się Tsipon i wywlecze go z portierni.

- Wedle moich obliczeń został ci niecały dzień. Potrzebuję tych tragarzy - warknął Tybetańczyk, gdy Shan poprzedniego wieczoru odwiedził go w biurze.

- Wiem, gdzie jest ciało - oświadczył Shan, po czym wyjął z kieszeni postrzępioną kartkę, nabazgrał na niej coś i wręczył ją Tybetańczykowi.

Twarz Tsipona zszarzała, gdy ją przeczytał.

- Kompletnie oszalałeś. Słyszałem, że to częste u byłych więźniów.

- A ja słyszałem, że chcesz kupić mieszkanie w Makau. Bez tych amerykańskich dolarów nie będzie cię stać na schowek na miotły.

Tsipon zmarszczył brwi.

- Mój ptaszek Kypo za dużo śpiewa - burknął. Wstał, zapalił papierosa i wyjrzał przez okno. - Obiecałem ci, że załatwię ci wstęp do uzdrowiska. Jeśli spełnię twoją prośbę, to będzie właśnie to. Twoja jedna jedyna szansa na wejście. Mam dość naginania reguł dla ciebie. Możesz tam pójść teraz dla tego cholernego pułkownika albo w odwiedziny do syna później.

Shan spodziewał się, że taką właśnie transakcję zaproponuje Tsipon, ale teraz, słysząc te słowa, poczuł, jak wewnętrzny głos gorączkowo nakłania go, by ją odrzucił. Utkwił wzrok we własnych stopach.

- Oni wchodzą przed świtem, co drugi dzień.

- Skąd wiesz?

- Widziałem ich - odparł. Nie zamierzał wyjaśniać mu, że przynajmniej raz w tygodniu znajduje sposób, by wymknąć się na odludny grzbiet przy fabryce yeti i patrzeć, modląc się, by choć przez chwilę ukazała mu się sylwetka syna w oknie lub na placu ćwiczeń.

- Jeśli cię odkryją - oświadczył niepewnym tonem Tsi-pon - nawet nie oddzwonię, gdy Urząd Bezpieczeństwa będzie próbował się ze mną skontaktować.

- Jeśli mnie tam zaaresztują - odparował Shan - nie będą zawracać sobie głowy telefonami.

Ta myśl najwyraźniej dodała Tsiponowi otuchy. Machnął świstkiem w jego stronę.

- Ci ludzie, z którymi chcesz się wkręcić - rzucił z przewrotnym uśmiechem - to zwierzęta. Nawet pałkarze się ich boją.

Shan faktycznie liczył na to, że strażnicy będą czuć się nieswojo wobec rozcinaczy zwłok. Pałkarze, którzy wydali im fartuchy laboratoryjne, wydawali się zainteresowani nie tyle kontrolą pracowników, ile jak najszybszym pozbyciem się nędznie odzianych wyrzutków tybetańskiego społeczeństwa.

Parę chwil później byli już w środku. Wyciągnęli ze schowka stalowe wiadra i dwie wielkie balie na kółkach, po czym ruszyli w głąb słabo oświetlonego korytarza.

Tybetańczycy wykonywali swe rutynowe obowiązki z milczącą determinacją, przechodząc z jednej sali operacyjnej do drugiej, przesypując do jednej z balii zawartość kilku worków z zakrwawionymi ręcznikami, dorzucając do nich kłęby poplamionych szmat z pojemników z etykietką SKAŻONE, aż w końcu spojrzeli wyczekująco na Shana. Znał już wcześniej

kilku ragyapów. Byli to ludzie małowówni, nie czuli lęku przed niczym. Spotkał się z nimi przed świtem, by wyjaśnić, co zamierza zrobić, i przystał na ich zasady dotyczące dotykania choćby najdrobniejszego z ludzkich szczątków. Bez wiedzy pałkarzy ragyapowie, zamiast zgodnie z poleceniem palić skrawki ciał, wynosili je na uświęcone tereny i rzucali ptakom. Dotykanie zwłok nie stanowiło dla nich tabu; było ich świętym obowiązkiem.

Najstarszy z mężczyzn wysunął się na czoło grupy, prowadząc ich w głąb korytarza opisanego jako **KUCHNIE**. Kobieta w mundurze pielęgniarki dostrzegła ich i czmychnęła. Woźny z miotłą zaklął pod nosem, po czym dał nura do ciemnego pokoju. Wielu ludzi we współczesnym Tybecie odnosiło się do rozcinaaczy zwłok z pogardą, dla innych jednak byli oni specjalnymi emisariuszami Pana Śmierci.

Czwórka ragyapów obstawiła wszystkie drzwi wejściowe do kuchni, podczas gdy pozostali się przyglądali, jak Shan wchodzi do wielkiej chłodni na tyłach pomieszczenia. Skierował się ku masywnym regałom w głębi. Połcie wołowiny i wieprzowiny. Skrzynki świeżych warzyw obok sprawionych kurczaków. Jak marynarze w łodziach podwodnych, personel takich odludnych placówek był dobrze odżywiany i dobrze opłacany, by wynagrodzić niedogodności.

Przyjrzał się rurom doprowadzającym czynnik chłodniczy, zwracając uwagę, jak znikają w bocznej ścianie, po czym porozmawiał nagłym szeptem ze swymi towarzyszami. Wkrótce miał się pojawić personel kuchenny, by przygotować śniadanie. Minutę później stali w krótkim korytarzyku za kuchnią przed dwuskrzydłowymi drzwiami wahadłowymi, których strzegły nie zamki, ale jedna mała tabliczka z chińskim napisem **KOSTNICA**. Shan zostawił przy wejściu na korytarz dwóch mężczyzn, po czym skinał na pozostałych, by ruszyli za nim z pustą balią, pchnął skrzydła i podbiegł do ciężkich

metalowych drzwi na końcu pomieszczenia, identycznych z tymi w kuchni. Włączywszy światło przy wejściu, wszedł do środka.

W obszernej chłodni, na ciągnących się wzdłuż ścian długich metalowych półkach, leżały pod prześcieradłami cztery ciała. Shan zawahał się, wiedząc, że dwa z nich muszą należeć do więźniów, po czym dostrzegł wystające spod dwóch prześcieradeł pod tylną ścianą czerwone identyfikatory, ostrzeżenie przed majstrowaniem przy materiałach dowodowych Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Jedno z ciał wyraźnie należało do kobiety. Zdjął prześcieradło z twarzy drugiego.

Mimo że przyszedł tu, spodziewając się znaleźć Tenzina, na jego widok ścisnęło go w dołku. Krępy, śniady Nepalczyk był znacznie bardziej siny niż przed tygodniem, gdy Shan owijał go w płótno, wciąż jednak dało się w nim rozpoznać twardego Szerpę z bazy alpinistycznej.

Szeptem pozdrowił przyjaciela, po czym stał, patrząc na niego ze skrepowaniem; zastanawiał się, czy nie powinien powiedzieć czegoś jeszcze.

- Przepraszam - wymamrotał i wyciągnął rękę, by odwiązać czerwoną etykietkę, gdy czyjaś dłoń chwyciła go za łokieć.

Stary ragyapa z czcią pozdrowił szeptem zmarłego, po czym odciągnął Shana w tył. Shan miał już zaprotestować, gdy Tybetańczyk uniósł jego ręce, obracając je dłońmi ku górze. Dotknął ich czubkami palców, jak gdyby przekazywał mu coś bardzo kruchego, po czym wypowiedział jakieś słowa, zbyt szybko i cicho, by Shan mógł je zrozumieć. Wreszcie z powagą skinął głową i gestem dał mu znak, by kontynuował. Shan wskazał stojące pod półką kartonowe pudło, zawierające znajome ubranie, ale gdy jeden z Tybetańczyków podniósł je, sięgnął i wydobył z niego niebieską wełnianą czapkę, tę samą, którą, jak mówił kierowca, naciągnięto na głowę zmarłej Ame-

rykanki. Rzucił czapkę z powrotem do pudła, odwrócił się, by zdjąć prześcieradło, i zmarł. Tenzin został postrzelony.

Pochylił się nad dwoma niemal idealnie kolistymi otworami w jego klatce piersiowej, uważnie oglądając skórę wokół nich. Ich umiejscowienie z grubsza odpowiadało ranom Megan Ross, ale nie wypłynęła z nich nawet kropla krwi. Był to element przebrania, w jakie przystroili go pałkarze. Świadcowie z daleka widzieli dwa trupy; ci znajdujący się bliżej mogli widzieć dwie ofiary uśmiercone strzałami z broni palnej, z których jedna miała na głowie niebieską czapkę. Zamieniwszy ciało Tenzina z ciałem Megan Ross, pałkarze nie tylko nałożyli mu niebieską czapkę, ale także przestrelili dwukrotnie jego pierś. Nachylił się nad otworami raz jeszcze, mierząc czubkiem palca ich średnicę. Były wielkie, ogromne w porównaniu z tymi, jakie zostawiały dziewięćmilimetrowe kule większości chińskich pistoletów.

Uświadomił sobie, że za jego plecami panuje bezruch. Odwrócił się i ujrzał wpatrzony w siebie oczy ragyapów. Skinął na nich, by podeszli bliżej.

Ragyapowie w milczeniu i sprawnie zabrali się do dzieła; przenieśli ciało Tenzina na podłogę, zawinęli je w zabrane ze stosu przy drzwiach prześcieradło, a na koniec włożyli je do wielkiej balii na kółkach i przykryli kartonowym pudłem z ubraniami i zakrwawionymi śmieciami. Gdy zaczęli wytaczać balię na zewnątrz, Shan zatrzymał ich i otworzył pudło, by oderwać przyklejoną taśmą do jednej z kłapek kopertę z napisem **MATERIAŁ DOWODOWY**. Wewnątrz znajdował się formularz Urzędu Bezpieczeństwa stwierdzający, że zawartość została znaleziona przy Nieznanym Współsprawcy, oraz dwie ciężkie kule. Zamknął ją i zostawił na jednej z półek w głębi. Nieznany Współsprawca. Tenzin zrobił jako nieboszczyk niezgorszą karierę.

Spojrzał z zakłopotaniem na osłoniętych prześcieradłami

dwóch martwych więźniów, po czym zmusił się, by podejść do nich. Zbierając cały zapas sił, podniósł po kolei prześcieradła, by zobaczyć ich twarze. Upewniwszy się, że żaden z nich nie jest jego synem, cofnął się, oddychając głęboko. Nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymywał oddech.

Dotknął ramienia jednego z ragyapów i wspólnie przenieśli zwłoki najbliższego więźnia na półkę, gdzie wcześniej leżał Tenzin. Shan przywiązał do trupa czerwoną etykietkę, przykrył go prześcieradłem, po czym dał Tybetańczykom znak, by wyszli na korytarz. Gdy został sam, odgarnął prześcieradło przykrywające górną część ciała minister Wu. Rany od kul na jej brzuchu miały pomarszczone brzegi, skóra była przebarwiona, jednak otwory były znacznie mniejsze niż u Tenzina. Była kobietą wysportowaną, ale jak zauważył, przyglądając się jej dłoniom i drobnym zmarszczkom na twarzy, znacznie starszą, niż sądził. Na grzbiecie dłoni ktoś napisał tuszem jej nazwisko, jak gdyby w obawie, by się nie zapodziała. Na jej barku napisano coś jeszcze. Pochyliwszy się nad znakiem, dostrzegł, że to tatuaż. Młot i błyskawica, skrzyżowane jak X.

Ragyapowie czekali na niego w kuchni, spoglądając nerwowo na swoje wózki wyładowane czymś, co wyglądało na skrawki ludzkich ciał. Skinął im głową, po czym gestem skierował ich do wyjścia. Chwilę później w głębi odległego korytarza dał się słyszeć tupot biegnących stóp.

- Strażnicy! - krzyknął do Tybetańczyków, którzy spojrzeli na niego wyczekująco, nie z przestachem, ale jak solidni żołnierze czekający na rozkazy. Odwrócił się, myśląc gorączkowo. Światło. Odważył się włączyć światło w kuchni i korytarzyku za nią, gdyż pomieszczenia te nie były widoczne z wartowni przy wejściu do szpitala. Zapomniał jednak o patrolach obchodzących teren. Rozpaczliwie rozejrzał się dookoła, po czym rzucił na wózek torebkę pomarańczy i przykrył ją warstwą ręczników. - Pomyślą, że zakradliście się do kuchni, żeby

zwędzić jedzenie - wyjaśnił. - Niech znajdą tę torbę. Nie będą mieli ochoty grzebać głębiej w wózku. I z pewnością nie będą skłonni zwolnić was, biorąc pod uwagę, że nie miałby kto was zastąpić.

- Ale jeśli zajrzą do kostnicy, zanim stąd wyjdziemy... - odezwała się jedna z kobiet łamiącym się ze strachu głosem osoby obeznananej z metodami bezpieki.

- Idźcie! - rozkazał Shan. - Ja to załatwię. - Obserwował, jak oddalają się spieszenie. Wiedział, że kobieta ma rację. Gdyby strażnicy podejrzewali przestępstwo, mogliby przeszukać kostnicę, a gdyby odkryli brak zwłok, nakazaliby przez radio zatrzymanie ragyapów przy wartowni. Wrócił biegiem do kostnicy. Wszedł do niej po ciemku, odnajdując drogę dotykiem, wziął prześcieradło i wdrapał się na półkę, z której zabrali zwłoki więźnia, po czym wyginając się i wiercąc, próbował się nakryć prześcieradłem. Ledwo skończył, usłyszał zbliżające się gniewne głosy. Ciszę przecięły trzaski z krótkofalówek. Gdzieś rozległ się dzwonek sygnalizujący, jak podejrzewał, początek dniówki.

Zaczął dygotać. W głowie kłębiły mu się dziesiątki myśli. Był sam ze swymi lękami, bezbronny, nie mając już żadnej możliwości ucieczki. W miejscu takim jak to zostałby uznany za żyłą złota, on, człowiek bez nazwiska, z którego przed nikim nie trzeba by się tłumaczyć. Gdyby wykonać to jak należy, w odpowiedniej kolejności, można by, nim umrze, pobrać od niego przynajmniej cztery niezbędne dla życia organy, z których każdy osiągał niebotyczną cenę na chińskim czarnym rynku narządów. Zamknęliby po prostu drzwi i podkręcili termostat, by zamrozić go niemal na śmierć, by go obezwładnić. Opadły go szalone myśli. Odkryją, że ragyapowie należeli do jego spisku, i wyślą ich wszystkich do laboratoriów doświadczalnych. Zaryglują drzwi, odczekają, aż zamarznie na kość, i zrzucą go w przepaść, gdzie roztrzaska się na drobne

kawałki. Przez pomyłkę pogrzebią go żywcem razem z prawdziwymi trupami.

Zacisnął zęby, próbując się koncentrować; przypomniał sobie, jak lamowie uczyli go, że człowiek w należyтым stanie medytacji potrafi wytwarzać wewnętrzne ciepło. To było nic w porównaniu z tym, co zniósł poprzedniej zimy w wysokich partiach gór. Przywołał wspomnienia łamów, z którymi przesiadywał w zimnych, wykutych w żywej skale celach medytacyjnych, próbował wyobrazić sobie, że znów jest wśród nich i słucha ich kojących mantr.

Gdy strażnicy weszli do chłodni - czy było to pięć, czy pięćdziesiąt minut później? - byli szybcy, wściekli i rozgoryczeni. Shan słyszał co najmniej trzy różne głosy i wyczuł przez prześcieradło snopy światła z trzech różnych latarek. Ktoś przeklinał szarańcze, jak przezywano często Tybetańczyków z powodu ich monotonnych mantr. Ktoś inny zrzędził, że spóźnią się na śniadanie. Potem metalowe drzwi zamknęły się ze szczękiem.

Kolejna fala paniki ogarnęła Shana, gdy prześcieradło zaczęło się z niego zsuwać, a jego zdrtwiałe dłonie nie zdołały poruszyć się wystarczająco szybko, by je złapać. W ostatnim rozpaczliwym wysiłku obrócił całe ciało tak bardzo, że nie zdołał powstrzymać inercji. Ze skostniałym mózgiem, z przytępionymi reakcjami obserwował, jak jego ciało spada z półki, uderzając z donośnym, głuchym stukiem o podłogę.

Leżał tam odrętwiały, rozmyślając nad osobliwym brakiem łączności między swym mózgiem i ciałem. Ból, który zaczął odczuwać w kończynach, ustąpił. W tej chwili był odprężony, pogrążając się w dziwnym, sennym zamroczeniu. Zdumiało go, jak niewiarygodnie długiego czasu potrzebował, by zgiąć palce, kiedy świadomie wydał im takie polecenie, i przypomniał sobie podręcznik, który pożyczył mu Tsipon w dniu, w którym go zatrudnił, z rozdziałem o odmrożeniach. Po ob-

nizieniu ciepłoty ciała o zaledwie dwa stopnie organizm zaczyna odcinać dopływ krwi do kończyn, by chronić ważne dla życia narządy. Z jego gardła wydobyło się dziwne krakanie, najbardziej zbliżony do śmiechu dźwięk, na jaki mógł się zdobyć. W tej chwili najważniejszymi dla życia narządami były jego palce.

Skądś, jak gdyby od któregoś z trupów, dobiegł pomruk niezadowolenia i Shan dźwignął się na kolana, po czym wstał chwiejnie, nim uświadomił sobie, że to on sam wydał ten odgłos. Trzymając się półek dla zachowania równowagi, słaniając się na nogach, odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Parę chwil później, wydostawszy się z chłodni, padł w najciemniejszym kącie pustego przedsionka kostnicy i przyciągając kolana do klatki piersiowej, na przemian napinał i rozluźniał mięśnie. W miarę jak jego krążenie wracało do normy, coraz wyraźniej docierała do niego pewna ponura myśl. To, że nie włączyły się alarmy, że strażnicy nie wrócili do chłodni, oznaczało, że ragyapom udało się bezpiecznie opuścić klinikę. Mieszkańcy wioski odzyskają ciało Tenzina. Amerykańskie wyprawy dojdą do skutku. Megan Ross dowie się na swój sposób, że o niej nie zapomni, jednak stracony czas oznaczał, że dzień pracy rozpoczął się już na dobre. Wymknięcie się z budynku niepostrzeżenie będzie praktycznie niemożliwe.

Po dziesięciu minutach wstał, choć silny ból w stawach przyprawił go o mdłości. Stał przed wahadłowymi drzwiami. Po lewej stronie miał korytarz do kuchni, rojący się od pracowników wchodzących i wychodzących z przyległego bufetu. Po prawej znajdowała się główna część kompleksu, z tabliczkami wskazującymi drogę do **LABORATORIÓW** oraz **SAL STRZEŻONYCH 1-8**. Po lewej, jak wiedział, miał większe szanse natknąć się na strażników. Po prawej jak dotąd widział tylko sanitariuszy i pielęgniarzy. Rozprostował palce, spraw-

dzając, czy odzyskał już swobodę ruchów, po czym zaczął się rozbierać.

W każdym wcieleniu są aspekty, które nigdy nie umierają, które wciąż przywraca się do życia, czy chce się tego czy nie. To nie strach przed schwyтaniem tam, gdzie być go nie powinno, ogarnął teraz Shana, kiedy tak szedł korytarzem w obszarpanej szarej bieliźnie, ale zadawniony lęk, który wybuchał niekiedy w środku nocy z dławiącym skurczem serca, przepędzając sen na wiele godzin, wspomnienie tego, czego można się spodziewać - i czego doświadczył niegdyś - od takich lekarzy.

Patrzył w dal niewidzącym wzrokiem, nie reagując, gdy napotkany sanitariusz warknął na niego, idąc wciąż przed siebie, powłócząc nogami, gdy ktoś inny krzyknął, że znów jakiś pieprzony przymuł wywędrował z sali zabiegowej.

- Te! Małpizson! - odezwał się gniewny głos za jego plecami. - Z jakiego jesteś oddziału?

Shan, nie unosząc wzroku, zatrzymał się, wypuścił nieco śliny z ust i pozwolił, by skapnęła mu po podbródku na podłogę.

Mężczyzna zaklął ponownie, po czym chwycił go brutalnie za ramię i wciągnął do małej komórki służącej jako pokój pielęgniarzy. Otworzył zamykaną na klucz szafkę i wyjął z niej tackę z napełnionymi strzykawkami, którą postawił przy monitorze komputera, nim niecierpliwie chwycił rękę Shana i wpisał numer z jego tatuażu w jarzącym się okienku u góry ekranu.

Zostały mu do wprowadzenia już tylko dwie ostatnie cyfry, gdy Shan porwał strzykawkę i wbił mu ją w udo, wciskając do końca tłoczek. Sanitariusz zaczął wstawać, zaczął protestować, po krótkiej chwili jednak nogi i głos odmówiły mu posłuszeństwa. Dla pewności Shan wstrzyknął mu kolejną dawkę leku w biceps, a on bez zmysłów osunął się na krzesło.

Shan działał szybko. W pierwszej kolejności skasował wpisany na ekranie numer, potem ściągnął z mężczyzny niebieski mundur i nałożył go na siebie. Zabrał mu smycz z identyfikatorem i powiesił ją sobie na szyi, po czym pośpiesznie ukrył bezwładną postać pod biurkiem, wsunął do kieszeni jedną ze strzykawek i przejrzał leżące koło monitora papiery. Lista, której szukał, była przypięta pinezką do ściany obok. Szuka tylko nazwiska, powiedział sobie, i zaraz pójdzie, gdyż każda minuta zwłoki zwiększała prawdopodobieństwo, że zostanie schwytany. Jednak fala emocji, która zalała go, gdy znalazł to nazwisko, była tak nagła, tak silna, że niemal powaliła go na kolana. Shan Ko, przeczytał, Sala 5. Jego syn żył.

Pięć minut później stał przed drzwiami wskazanego pomieszczenia, zamkniętej sali z sześcioma łózkami. Rozejrzał się po pustym korytarzu, po czym spojrzał na swą trzęsącą się dłoń. Zamknął na chwilę oczy, by ukoić nerwy, po czym przesunął kartę przez szczelinę elektronicznego zamka i pchnięciem otworzył drzwi.

Sala cuchnęła uryną i wymiocinami. Pierwsi dwaj więźniowie, z ogolonymi i obandażowanymi głowami, leżeli pogrążeni w śpiączce na metalowych łózkach. Dwaj inni, starsi mężczyźni, gapili się tępo w ścianę, jeszcze jeden siedział pod ścianą między dwoma łózkami, rysując ołówkiem w bloku, otoczony wyrwanymi kartkami pokrytymi setkami precyzyjnie wykreślonych trójkątów. Ostatni pacjent przywiązany był do zardzewiałego metalowego fotela ustawionego przed niewielkim, brudnym oknem. Serce Shana zaczęło bić jak szalone, gdy podszedł bliżej i zajrzał pod skołtunioną, zmierzwioną czuprynę. Jego syn żył, jego syn był cały i zdrowy. I kompletnie nieświadomy obecności Shana ani czegokolwiek wokół siebie. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ośnieżony szczyt na horyzoncie.

Shan próbował zawołać go po imieniu, ale zdołał wydobyć

z gardła jedynie ochryply jęk. Położył mu dłoń na ramieniu. Ko nie zareagował, nawet nie mrugnął. Zaczął rozwiązywać więzy, krępujące go gumowe rurki, związane na supły na nadgarstkach i kostkach, ale zastanowiwszy się, poluzował je tylko. Gdy przyklęknął przed fotelem, zauważył świeży siniak biegnący wzdłuż szczęki Ko, ślad po uderzeniu pałką, oraz dwa złamane palce owinięte z grubsza taśmą przewodzącą, ujęte w łubki ze szpatułki językowej. Podwinął mu rękaw. Skóra w zgięciu prawego łokcia upstrzona była śladami po zastrzykach. Długa, paskudnie wyglądająca linia wzdłuż przedramienia wyznaczała przebieg zapadniętej żyły. Podbródek Ko pokrywała skorupa zaschniętej śliny i brudu. Shan wytarł go do czysta i pogłaskał syna po policzku.

- To ja, twój tato - wyszeptał, otarłszy łzę. - Przyszedłem. - Słowa były bezużyteczne, słowa były śmieszne. Przyłapał się na tym, że znów badawczo ogląda ciało Ko, znajdując dalsze sińce, stare i nowe; zmierzył mu puls, sprawdził paznokcie u rąk i nóg. Mogło być gorzej, powiedział sobie. Jeśli trzeba go było związać, oznaczało to, że Ko zachował jeszcze władzę w rękach i nogach, że wciąż tliła się w nim jakaś iskierka, która od czasu do czasu wybuchała ogniem. Znalazł w kącie plastikową skrzynkę i usiadł na niej obok syna; zamknął bezwładne palce Ko wokół własnej dłoni, wyglądając wraz z nim przez poplamioną szybę na ten sam odległy szczyt. Przemknęły mu przez głowę wspomnienia Ko jako roześmianego berbecia. Nie tak wyobrażał sobie jego przyszłość, gdy spacerował z synkiem po parku Bei Hai w Pekinie.

Usilnie pragnął pozostać tu i teraz, zapominając o całym świecie, ale niemilkący wewnętrzny głos wciąż krzyczał, że lada chwila rozlegnie się alarm, że nie zdoła już nic zrobić dla Ko, jeśli da się schwytać i skończy przywiązany do drugiego fotela. Słyszał, że jest wahadłowy autobus, zapewniający pracownikom kliniki transport do miasta. Musiał go odszukać

i wsiąść do niego, używając skradzionego identyfikatora, zanim odnajdą jego prawowitego właściciela.

Wstał i obejrzał puste łóżko przy fotelu Ko. Znalazł pod nim kolejną plastikową skrzynkę z rzeczami syna. Znoszony więzienny drelach. Grzebień. Plastikowa rączka z resztką włosów na jednym końcu, pozostałość szczoteczki do zębów. Ołówek. Więzienna edycja małej czerwonej książeczki z uświęconymi naukami Przewodniczącego, z której wydarto kilka stron. W kieszeni spodni odkrył kolejny ołówek, z końcówką pogrubioną warstwami taśmy klejącej i papieru. Rozpoznał ten przedmiot. Zatwardziali więźniowie za jego pomocą prowokowali wymioty po lekach.

Oplukał blaszany kubek przy małej metalowej umywalce w kącie, napełnił go wodą i przystawił do warg Ko. Chłopak początkowo nie zareagował, ale gdy Shan przechylił naczynie tak, by odrobina płynu zwilżyła mu wargi, Ko odruchowo przełknął i wypił pół kubka. Jego oczy zaczęły się przesuwac, wciąż nieprzytomne, jednak nie napotkały Shana.

- Spędziłem miły czas w górach - usłyszał Shan własny szept. - Jest tam miejsce, do którego cię zabiorę, z wodospadami i motylami. Zamieszkasze ze mną w mojej chatce na wzgórzach u stóp tej ośnieżonej góry, na którą patrzysz. Do okna przylatują tam ptaszki. - Z początku sam nie wiedział właściwie, dlaczego kłamie, potem uświadomił sobie, że powodem było po prostu to, że prawda nie przeszłaby mu przez usta.

- Na czerwonym wschodzie wstaje słońce - odezwał się nagle monotonnym głosem Ko. - Tam pojawia się nasz Mao Zedong. - Kołysał się w przód i w tył. Jego palce zaczęły drżeć. Powtórzył te słowa, podkładając do nich niewyraźną melodię. Śpiewał ulubiony hymn partyjny, *Wschód jest czerwony*,

Shan wzdrygnął się, po czym łagodnie przyłożył dwa palce do warg syna, by go uciszyć, i nachylił mu się do ucha.

- Do zagotowania żywej wody potrzebny jest żywy ogień

wyszeptał. - Wychyl się ze skały rybaka i zaczerpnij czysty, głęboki nurt. - Słowa starożytnego poety Su Dongpo przyszły nieproszone, ale nie przerwał recytacji, kiedy rozpoznał poemat sprzed tysiąca lat, jeden z ulubionych wierszy jego ojca:

Umieść wiosenny księżyc w wielkiej tykwie, przelej go do dzbana.

Spieniona woda, lekko wrząca, wzbija drobiny herbaty. Nalej ją i usłysz, jak szumi wiatr w sosnach.

Jego syn zamrugał i obrócił się w stronę dźwięku. Przez chwilę Shanowi zdawało się, że dostrzega w jego oczach błysk rozpoznania, potem jednak Ko odwrócił wzrok, patrząc z zakłopotaniem na jego dłoń, splecioną z własną. Shan powtórzył wiersz raz jeszcze, tym razem w całości. Ko przekrzywił głowę w stronę nieba. Na jego twarzy pojawił się nieobecny uśmiech.

Jeden z wielu starych łamów, których Shan poznał w obozie pracy, był, podobnie jak on, jednym z niewielu ludzi, którym udało się przetrwać pobyt w takiej klinice bezpieki. Kiedyś, w mroźną zimową noc, rozmawiali o tym, obserwując gwiazdy. Shan wyznał, że nie ma pojęcia, w jaki sposób przeżył, nie umie nawet znaleźć słów, by wyjaśnić, co wówczas czuł, poza tym, że kiedy stamtąd wyszedł, był zdumiony, że minęło jedynie sześćdziesiąt dni, a nie dziesięć lat.

- Ci wojskowi lekarze mają błędne wyobrażenie o tym, co robią - wyjaśnił lama. - Zdaje im się, że mogą zniszczyć człowieka, torturując jego ciało. To nie jest tak.

Shan zawsze wiedział, że takim ludziom nie ma sensu zadawać pytań. W milczeniu wskazał spadającą gwiazdę.

- Jest wiele poziomów piekła - ciągnął lama. - One istnieją nie po to, by poddać próbie twoje ciało czy umysł, ale twoją duszę. Uświadomiłem sobie, że ci lekarze nie są niczym in-

nym, jak kowalami w kuźni, którzy wkładają żelazo do pieca, a potem kują je młotami. Wszystko, co się liczy, ma miejsce w samym żelazie. Tracisz świadomość i odzyskujesz ją. Przez cały dzień i noc żyjesz wśród wizji i koszmarów sennych, w piecu, pod młotem. Tym, co sprowadza cię z powrotem, są chwile, w których budzisz się i znajdujesz mały okruszek rzeczywistości. To właśnie zakotwicza cię w rzeczywistym świecie, nie pozwalając ci odpłynąć całkowicie. Jeden z mnichów, którzy byli ze mną, miał piórko kolibra, inny drzazgę świętego drewna. Ja miałem mały turkusowy kamyczek, który dostałem od matki w dzieciństwie. Nieraz całymi dniami trzymałem go w ustach.

Gdy alarm rozległ się w końcu, nie była to syrena na korytarzu, ale kurczak od strony łóżek. Jeden ze śpiących mężczyzn obudził się i teraz piał jak kogut, wskazując Shana palcem.

Shan momentalnie przyskoczył do niego i wbił mu strzykawkę w udo, przepaszając go przy tym; wygładził mu koce, gdy ten opadł bezwładnie na poduszkę. Kiedy obejrzał się za siebie, jego syn znów wpatrywał się w horyzont. Shan przez chwilę głaskał go po policzku, po czym skierował się ku drzwiom, jednak zrobiwszy krok, zmienił zamiar. Wrócił szybko do okna i wytarł szybę rękawem, tak by Ko wyraźniej widział góry, po czym podniósł jedną z pokrytych trójkątami kartek. Wyjął ze skrzynki swego syna ołówek, pospiesznie napisał na odwrocie starożytny wiersz i nim wymknął się na korytarz, wsunął go w kieszeń koszuli syna. Jakaś część Ko usłyszała go, był tego pewny, i zostawiał mu właśnie okruszek rzeczywistości.

Rozdział 8

Po piątym odpadnięciu giniesz. Ostrzeżenie o zmęczeniu lin wspinaczkowych było pierwszą z licznych ostrzeżeń, jakie przekazano mu, gdy po raz pierwszy odwiedził bazę pod Everestem. Kypo bez słowa powitania rzucił kawałek liny, który Shan trzymał teraz w rękach. Po prostu stanął w jego drzwiach, gdy ten pił poranną herbatę, i z uraźoną miną cisnął mu linę przed nos. Jej jeden koniec był odcięty; drugi, rozciągnięty i postrzępiony, pękł pod wielkim obciążeniem. Grube liny rdzeniowe miały w górach ciężki żywot, ale gdy wytrzymały pięć odpadnięć, przechodziły na zasłużoną emeryturę i używano ich już tylko jako sznurków do rozwieszania prania w bazie.

- Byłem wczoraj w pierwszym obozie wysokościowym - wyjaśnił Kypo. - Zapytałem jednego z tragarzy, co tam robi ten śmieć. Powiedział, że nie chciał go wyrzucać, bo to była lina Tenzina, ta, której używał, kiedy zginął.

- Ale on by nigdy...

- Zgadza się - przerwał Kypo. Obaj wiedzieli, że doświadczony Szerpa sprawdziłby linę przed wspinaczką. - Tenzin zakładał tylko ściankę ćwiczebną, z której klienci mogliby korzystać podczas aklimatyzacji przed ostatecznym podejściem.

Shan spojrział na urwany, wystrzępiony koniec liny. Przypomniał sobie, jaką awanturę zrobił Tenzin tragarzowi, który

nadepnął na linę w obozie. Nieostrożny krok mógł wbić w linę maleńkie kamyczki, które z czasem przecięłyby włókna.

- Nie wiemy, gdzie dokładnie się to stało. Nie było mnie przy tym, jak ją odcięto.

- To prawda - przyznał Shan. - Myślałem, że wspinał się bez asekuracji i spadł.

Tenzin słyszał ze wspinania się bez asysty po pionowych ścianach.

- Wyglądało to, jakby po prostu zabierał jakiś sprzęt pod ścianę, szybka wspinaczka i powrót. - Kypo milczał przez chwilę, wyraźnie nie mogąc się pogodzić z myślą, że jego przyjaciel Tenzin, z którym wspólnie wspinał się na szczyt, zginął z powodu tak banalnego błędu. - Było mu pisane, że góra go wezwie - mruknął. Zabrzmiało to, jakby wcześniej rozmawiał z matką.

- Ta lina pochodziła z zapasów Amerykanów - zauważył Shan. - To jest ich obóz.

- Tsipon chciał, żebyśmy z Tenzinem poprowadzili Amerykanów na ostatnim etapie na sam szczyt. Powiedziałem mu, że zastanowię się nad tym.

Shan usłyszał nutę emocji w głosie Tybetańczyka.

- Nie ufasz Yatesowi?

- On coś kręci. Byłem w biurze Tsipona, kiedy przyszedł pierwszy raz, żeby rozmawiać o przeniesieniu swych wiosennych wypraw z Nepalu tutaj. Tsipon powiedział mu, żeby na drugi dzień poszedł razem z nim ubiegać się o zezwolenie, bo obcokrajowcy są przyjmowani bez kolejki. Yates wykręcił się, mówiąc, że musi jechać załatwić coś w Xigaze. Ale następnego dnia widziałem go na polu jęczmienia, zupełnie nie po drodze do Xigaze.

Shan spojrział na niego z ukosa, niepewny, czy dobrze usłyszał.

- Co on tam robił?

- Szwendął się w pojedynkę, depcząc plony jakiegoś biednego rolnika, i rozwałął stary kopiec na środku pola, sukinsyn.

- Więc skłamał?

- Skłamał, po czym zapłacił rolnikowi dwadzieścia dolarów, kiedy facet zobaczył, co on zrobił. Prosił go, żeby o tym nie rozpowiadał.

- Ale ty rozmawiałeś z tym rolnikiem - domyślił się Shan.

- W drodze powrotnej. Powiedział mi, że Yates wysiadł z samochodu i wciąż zerkał w niebo, jakby się spodziewał, że coś sfrunie na jego spotkanie.

- Musiał mieć telefon satelitarny i próbował uzyskać połączenie.

- Nie. Tu każdy wie, jak wyglądają te wielkie telefony, bo co drugi obcokrajowiec ma taki.

- A rolnik rozmawiał z tobą, chociaż wziął pieniądze za to, żeby milczał.

- W Tybecie, towarzyszu, dotrzymanie tajemnic oznacza nierozpowiadanie ich Chińczykom.

Ciszę, która zapadła po tych słowach, przerwał głośny klakson od strony drzwi. Poderwawszy głowy, zobaczyli Jomo w jego ukochanej starej niebieskiej ciężarówce, jego dżonce bojowej. Kypo cofnął się w cień.

Nim Shan dotarł do ciężarówki, żyłasty mechanik stał już przy krawężniku, patrząc na niego z przepaszającą miną.

- Tsipon mówi, że dyrektor Xie chce się z tobą widzieć. Mam cię do niego zabrać i pomóc ci.

Shan odsunął w głąb mroczną rzecz w swoim wnętrzu, która wychynęła na dźwięk nazwiska młynkoburcy.

- Pomóc mi? - Kiedy to mówił, z zaułka po drugiej stronie ulicy wyszło kilkoro Tybetańczyków, którzy zaczęli ładować się na platformę ciężarówki.

- Silnik jest nieprzewidywalny. On nie chce, żebyś utknął

po drodze - wyjaśnił płaczącym tonem Jomo, po czym wskazał pół tuzina Tybetańczyków sadowiących się na platformie. - Oni usłyszeli, że jedziemy w góry.

- Więc jedziemy w góry?

- Tam właśnie jest Xie - odparł Jomo.

Wsiadł do kabiny i stara ciężarówka, charcząc głośno i wyrzucając z siebie kłęb spalin, ruszyła z miejsca.

Nie było nic niezwykłego w tym, że ciężarówki podwoziły Tybetańczyków, z których nieliczni posiadali własne samochody, ale gdy Jomo się zatrzymał, by zabrać cztery zaleknione staruszki spod postoju dla ciężarówek w miejscu, gdzie droga na Czomolungmę odbijała od szosy, Shan odwrócił się do mechanika.

- Nie sądzisz, że powinienem wiedzieć przynajmniej tyle co oni?

- Oni wiedzą tylko, że w górach pojawili się ludzie z Urzędu do spraw Wyznań - odparł z napięciem w głosie Jomo, pochylając się naprzód, jak gdyby pokonanie wijących się krzywizn wymagało od niego największego skupienia.

- W takim razie powiedz mi inną rzecz - nie ustępował Shan. - Co zaszło między Amą Apte a twoim ojcem? Co każe mu trzymać się z dala od gór?

- To nie było za moich czasów - odparł szybko Jomo.

- Oni się unikają.

- Oni się nienawidzą. Jeśli ojciec widzi, jak rozmawiam z Kypo, wrzeszczy na mnie i rzuca we mnie tym, co ma pod ręką, jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Nazywa ją fałszywą prorokinią, mówi, że każdy jej czyn jest kłamstwem, że całe Tumkot wisi na nitce kłamstwa.

- Ale byłeś na pewno ciekaw, co to za kłamstwo.

- To nie było za moich czasów - powtórzył Jomo i nie odezwał się więcej.

Shan przyjrzał się Tybetańczykowi, dokonując zgrubnych

obliczeń. Czasy Jomo musiały, jak uznał, rozpocząć się pod koniec lat sześćdziesiątych.

Dyrektor Xie, w lisiej czapce naciągniętej głęboko na uszy dla ochrony przed zimnym wiatrem, czekał na nich na skrzyżowaniu u wylotu jednej z dolin utworzonych przez długie, wysokie grzbiety Himalajów.

- Wspaniale! - wykrzyknął do Shana. - Przywieźliście siłę roboczą! Co za dalekowzorność!

Shan niepewnie skinął głową, po czym ogarnięty złym przeczuciem, zaproszony gestem przez Xie, wsiadł na tylne siedzenie jego rządowego sedana.

Nie zorientował się, dokąd jada, dopóki nie znaleźli się w odległości kilometra od celu. Gompe Sarma, mały klasztor, widział wcześniej tylko raz, parę tygodni wcześniej, z górującego nad nią masywu, kiedy wędrował ścieżką pielgrzymkową. Kompleks wiekowych budynków z kamienia i drewna przycupnął u stóp wysokiej, gładkiej ściany skalnej. Osłonięty od zachodu przez wysokie jałowce i rododendrony, wydawał się spokojną oazą w bezwodnej, smaganej wiatrami dolinie.

- Zbliżamy się, towarzyszu - oświadczył Xie. - Oto teren naszego zwycięstwa - dodał tonem dowódcy polowego.

Młody asystent, siedzący na przednim siedzeniu, skwitował jego słowa energicznym skinieniem głowy.

Shan przeniósł wzrok z biurokraty na gompe. Jaki teren? Jakiego zwycięstwa? Xie odpowiedział na jego niewypowiedziane pytania stwierdzeniem, od którego ciarki przeszły mu po plecach.

- Cao nie znalazł nawet tego miejsca - powiedział z kon-spiratorskim błyskiem w oku. Rywalizował z Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego.

- Major Cao - odparł Shan - wydaje się nazbyt sztywny.

Xie roześmiał się. Wyprawa w teren sprawiała mu ogromną frajdę.

- To dinozaur. Udaje, że jest w stanie załatwić sprawę zamachu, nie odcinając korzenia, z którego wyrósł.

Zdezorientowanie Shana co do zamiarów Xie zniknęło, gdy samochód zatrzymał się przy gompie, słynącej na całą okolicę z prastarych malowideł ściennych. Twarze wysiadających z ciężarówki Tybetańczyków powiedziały mu wszystko. Niektórzy ocierali łzy z twarzy, inni ściskali zbielełymi palcami paciorki modlitewne lub gau. Jomo próbował czmychnąć, gdy tylko wysiadł z kabiny, ale Shan zastawił mu drogę. Mechanik powoli uniósł ku niemu naznaczoną poczuciem winy twarz. Często pracował w miejskim warsztacie. Musiał wiedzieć, kiedy wysłano wywrotkę, zaparkowaną teraz pod drzewami, musiał wiedzieć, że ciągnęła ona przyczepę z małym spychaczem. Sarma była gompą zbiegłych mnichów.

Jedna z Tybetanek wydała bolesny okrzyk, gdy spychacz z warkotem ruszył z miejsca, inna przycisnęła ręce do piersi, jakby otrzymała cios nożem. Przy zabudowaniach pojawili się mężczyźni w białych koszulach, pomocnicy Xie z Lhasy. Kiloro Tybetańczyków, których Jomo przywiózł z miasta, usadowiło się na wzgórku przy głównej bramie; podwinęli pod siebie nogi i wyjęli paciorki modlitewne.

Odgłos maszyny taranującej bramę i kruche stare drewno świątyni przed gompą niemal powalił Shana na kolana. Okruchy malowanego tynku fruwały w powietrzu. Drewniane belki pękały z trzaskiem, słyszalnym nawet poprzez metaliczny chrobot gaśienic, kiedy spychacz torował sobie drogę od ściany do ściany. Szeroko otwarte oko jakiegoś boga, które upadło na kabinę operatora maszyny, zdawało się spoglądać zaszokowane, potem przerażone, nim zsunęło się i zniknęło pod gaśienicami. Brzeg starego ołtarza uwiązał pod końcówką lemiesza, który włókł go, dopóki drewno nie poszło w drzazgi.

Nagle spychacz wynurzył się z budynku, w którego przeciwległych ścianach widniały teraz potężne dziury. Obrócił się na jednej gaśienicy i uderzył w jeden ze stojących narożników. Budynek zachwiał się, zakołysał gwałtownie, po czym runął. Dwóch asystentów Xie zaczęło klaskać. Jomo opadł na maskę ciężarówki, kryjąc głowę w ramionach.

Shan walczył z pokusą, by rzucić się w stronę maszyny i wyrwać kluczyk ze stacyjki, stanąć przed lemieszem. Ale nic, co by zrobił, nie odmieniłoby losu spokojnej małej gompy, która przez tyle wieków znosiła konflikty i burze, dawała schronienie tylu modłom, po to tylko, by starł ją z powierzchni ziemi kaprys biurokraty. Z czasem, poprzez odrętwienie, dotarło do niego, że połowa Tybetańczyków zniknęła. Przypomniał sobie, że pnący się pod górę szlak pielgrzymkowy zaczyna się w cieniu drzew, za malowaną skalną ścianą na tylnym dziedzińcu. Powoli, dyskretnie, ruszył wzdłuż kompleksu i dostrzegł na zacienionej ścieżce jakiś ruch. Na tyłach były składy, ostatnie miejsce, do którego miał dotrzeć spychacz. Część Tybetańczyków poszła ratować tyle skarbów, ile się da.

Podszedł do Xie i wskazał stojący w najbardziej oddalonym od składów narożniku kompleksu budynek z namalowanym na ścianie wizerunkiem groźnego demona.

- To *gonkhang* - wyjaśnił, tłumiąc poczucie winy. - Kaplica demona opiekuńczego powinna być następna.

Przyglądał się w milczeniu, jak Xie z entuzjazmem kieruje spychacz na przysadzisty budynek, widział, jak demon osypuje się, jak drewniana, tynkowana ściana wali się w gruzy, a dziwna drewniana rama z drewnianymi śrubami drży pod uderzeniem lemiesza. Warkot maszyny zagłuszył szloch, jaki wyrwał mu się z gardła. Kolana ugięły się pod nim tak, że musiał oprzeć się o wóz Xie. To nie była kaplica demona opiekuńczego, ale *barkhang*, tradycyjna drukarnia. W okolicy zachowała się jedna stara prasa drukarska, powiedział mu Kypo,

jedyne miejsce, gdzie mogły jeszcze znaleźć zastosowanie pieczołowicie ryte w różnym drewnie sutry. Shan zamknął oczy, gdy dziesiątki starożytnych klocków drukarskich, z których każdy stanowił unikatowy skarb, posypały się z półek i zostały zmiażdżone przez gaśienice spychacza.

Lisia czapka Xie kiwała się entuzjastycznie w górę i w dół, gdy dyrektor przyglądał się zniszczeniom. Zawoławszy jednego ze swych asystentów, gestem zaprosił Shana, by przeszedł wraz z nim za limuzynę, ku wywrotce, przed którą ustawiono rzędem kilka wyniesionych z wnętrza gompas skrzyń.

- Jesteście ekspertem - powiedział Xie, otwierając pierwszą z nich.

- Nie rozumiem.

- Sekty. Odłamy. Odrębne hierarchie duchowieństwa. Będziemy musieli zinwentaryzować wszystko, co tu jest, dla naszych magazynów. Ale najpierw chcę, żebyście powiedzieli mi, co te rzeczy mówią o powiązaniach między mnichami z tego kompleksu a innymi okolicznymi gompami.

Tak więc Xie wiedział co nieco o Tybetańczykach, których był zwierzchnikiem. Tybetański buddyzm miał kilka sekt i należące do poszczególnych odłamów gompas wspierały się wzajemnie. Dyrektor otworzył drugą skrzynię, wypełnioną utensyliami obrzędowymi.

- Mamy ludzi, którzy wiedzą, jak nazywa się każdy z tych przedmiotów - oświadczył z dumą.

Shan przeszedł wolno wzdłuż skrzyni, podnosząc przybory, które rozpoznawał.

- *Purba* - powiedział, ujmując rytualny sztylet. - *Dorje, drilbu, kangling, damaru* - ciągnął, wskazując kolejno berło, dzwonek, kościaną trąbkę, bęben z czaszki. Uniósłszy wzrok, napotkał niecierpliwe spojrzenie Xie. - Ta gompa była jedyna w swoim rodzaju - skłamał. - Nie ma powiązań z innymi w tej okolicy, tylko z paroma w Nepalu i w Indiach. - Spojrzał znów

na skrzynię. Xie otworzył już wszystkie. Większość zapełniona była jedynie do połowy. Powolna wywrotka ze swym ciężkim ładunkiem musiała przyjechać już poprzedniego dnia. Tybe-tańczycy z okolicznych wzgórz odgadli, co się święci. Zdążyli ocalić sporą część skarbów.

- Mimo wszystko - zauważył Xie - zagubiona owca przyłącza się do pierwszego lepszego stada, jakie napotka.

- Ale pozostałe - odparł Shan dziwnie ochryplym głosem - podpisały przysięgę lojalności. - Nalot przeprowadzono tylko w tej jednej gompie.

- To prawda.

- Zatem wasza misja została uwieńczona sukcesem. Rozprawiliście się raz na zawsze z tymi, którzy stawiali opór. - Wskazał gestem skrzynię. - Wzbogaciliście skarb państwa o zabytki warte kilka tysięcy.

- Jednak - stwierdził Xie - ten region wydaje się tak... - szukał odpowiedniego słowa - jałowy.

Shan znów poczuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

Jeden z asystentów podbiegł z małą krótkofalówką i podał ją szefowi, który na czas rozmowy oddalił się poza zasięg słuchu. Oddał ją z powrotem asystentowi, po czym rzucił Shanowi znaczący uśmiech.

- Cudzoziemcy. Zawsze powodują komplikacje.

- Macie na myśli tego Amerykanina, Yatesa?

- Jego? Nie. On podobno jest teraz w górach, szukając miejsc pod obozy wysokościowe. - Słyszac tę wieść, Shan zerknął w stronę majaczącego na horyzoncie szczytu. To z powodu Amerykanina trzymał się z dala od bazy pod Everestem. - Nie możemy przeszukać obozu bazowego tak, jak byśmy chcieli. Obcokrajowcy widzą wszystko wyrwane z kontekstu, nie rozumu ją naszych wewnętrznych spraw.

- Chcecie powiedzieć, że mogliby źle zrozumieć fakt, że rząd częstuje mnicha kulką.

W oczach Xie pojawiła się podejrzliwość.

- Towarzyszu, moje biuro jest odpowiedzialne za całą rodzinę tybetańskich buddystów. Rozstrzeliwanie mnichów nie leży w naszym interesie. Rząd pragnie zrobić z nich patriotów, nie męczenników.

- Co chcecie powiedzieć?

- Ten zbiegły mnich nie został zabity przez Urząd Bezpieczeństwa. Funkcjonariusze znaleźli go martwego na szlaku.

Purba wyśliznęła się Shanowi z dłoni, wpadając z powrotem do skrzyni. Wpatrywał się w Xie z niedowierzaniem.

- Cao wie o tym?

- Oczywiście. Właśnie dlatego mnie tu sprowadzono. Shan zastanowił się nad jego słowami.

- Chcecie powiedzieć, że dajecie Cao przykrywkę. - Obecność Xie zapewniała, że wszyscy zakładali, iż mnicha zabito za nieposłuszeństwo wobec Urzędu do spraw Wyznań. W przeciwnym razie Cao musiałby wyjaśnić kolejne morderstwo, co skomplikowałoby jego sprawę przeciwko Tanowi.

- Wszyscy jesteśmy żołnierzami w służbie ojczyzny - odparł Xie, po czym odwrócił się, gdy kolejny asystent podał mu radio.

Shan odszedł w stronę Jomo. Zamienił z Tybetańczykiem kilka słów i wsiadł do kabiny niebieskiej ciężarówki.

Wejście do obozu bazowego poniżej Przełęczy Północnej pod Everestem przypominało wkroczenie do strefy działań wojennych. Umocowane kamieniami i linami plandeki, każda oznaczona nazwą agencji alpinistycznej, skrywały sterty sprzętu przygotowanego do walki z górą. W skalistym krajobrazie rozsiane były skupiska namiotów - obok wymyślnych, nylonowych konstrukcji w jaskrawych barwach sfatygowane, brezentowe, należące do słabiej sponsorowanych wypraw.

Tragarze - amunicyjni dorocznej wiosennej wojny - przemykali przygarbieni pod ciężkim brzemieniem, lawirując między gromadkami alpinistów. Cudzoziemców dawało się na pierwszy rzut oka podzielić na świeżych rekrutów oraz weteranów. Wycieńczeni weterani, powracający z ubogich w tlen, mroźnych górnych partii stoków, wyglądali, jak gdyby spędzili tygodnie pod ostrzałem artyleryjskim. Niekiedy towarzyszyły im nosze, niesione pospiesznie do oczekujących samochodów. Kypo dopilnował, by Shan poznał statystyki, nim przed paroma tygodniami odwiedził pierwszy obóz wysokościowy. Niemal dwa procent wszystkich wspinających się na Everest traci życie. Spośród tych, którzy przekroczyli sześćdziesiątkę, ginie co dwudziesty. Znoszenie w dół tych, którzy zmarli w wyższych partiach stoków, było zbyt niebezpieczne, tak więc zostawiali tam jako makabryczne, dziwacznie upozowane pomniki, mumifikowane z wolna przez suchy, zimny wiatr. Inni, którzy mieli więcej szczęścia, wracali okaleczeni na całe życie. Dwa tygodnie wcześniej Shan widział wijącego się z bólu na noszach mężczyznę z odmrożoną połową twarzy.

Wrażenia pola bitwy dopełniały liczne flagi powiewające przy zgrupowaniach zagranicznych namiotów. Na niskim, żwirowym wzniesieniu rozdzielającym dwie zryte koleinami drogi siedziała na składanym krzeselku znajoma postać w mundurze, jak gdyby gotowa zawiadywać ruchem. Tyle że posterunkowy Jin spał twardo.

Shan, nie zwracając sobie głowy rozglądaniem się za pasiastą czerwono-biało-niebieską flagą, dla niepoznaki wziął na ramię skrzynkę i skierował się w stronę najbardziej ludnego obozowiska.

Śmiałym krokiem wszedł do największego namiotu w bazie, obszernej konstrukcji w kształcie piramidy, mieszczącej skład zapasów. Upewniwszy się, że jest sam, postawił skrzynkę i rozejrzał się po pomieszczeniu. Po prawej stronie znajdowa-

li się wysoka drewniana skrzynia na narzędzia, wokół której ustawiono składane krzesła - prowizoryczny stół. W najbliższe stołu drewniane słupki namiotu wbito małe gwoździe, na których wisały smycze z kompasami, gwizdki na łańcuszku, kilka otwartych kłódek i mała siatkowa torebka landrynek. W głębi, po lewej, piętrzyła się wielka, zajmująca niemal jedną czwartą całej powierzchni, kwadratowa sterta kartonowych pudeł. Naprzeciwko znajdowała się mała wnęka, oddzielona od reszty namiotu filcowymi kocami zawieszonymi na linach wspinaczkowych. Shan obejrzał się za siebie, po czym wśliznął się za zasłonę z kocy.

Żwir i piasek podłoża przykryto tu grubą brezentową płachtą. Składane krzesło stało między metalowym łóżkiem polowym a składanym stolikiem zarzuconym papierami. Przejrzał je szybko. Spisy alpinistów, harmonogramy przyszłych wypraw, prognozy pogody dla szczytu Everestu oraz Zatoki Bengalskiej, korespondencja między Yatesem a ministerstwem turystyki w sprawie opłat wspinaczkowych, wykazy sprzętu.

Podszedł do łóżka, przeszukał pościel, po czym wyciągnął spod łóżka ciężką, zabezpieczoną wielką kłódką skrzynkę. Na wieku napisano wielkimi czarnymi literami *Nath. Yates*. Za nią znajdowały się trzy pary butów, plastikowe pudełko z karabinkami i nylonowa uprząż wspinaczkowa. Na odwróconej do góry nogami drewnianej skrzynce przy drugim końcu łóżka leżało kilka osobistych drobiazgów. Plastikowa kosmetyczka. Fiolka diamoksu, tabletek przeciwko chorobie wysokościowej. Mały koszyk zawierający dziesiątki monet o niskich nominałach z kilku krajów oraz talię wyświechtanych kart do gry. Przerzucił stertę ubrań rzuconych na tkany dywanik, ponownie rozejrzał się dookoła, po czym przyłapał się na tym, że wpatruje się w zamkniętą na kłódkę skrzynię. Kłódka była niemal identyczna z tymi, które widział w przed-

sionku. W drewnianej skrzynce na narzędzia powinien znajdować się ciężki przecinak do nitów, jakich używano czasem do cięcia najgrubszych lin wspinaczkowych. Wrócił do przedsionka, po czym słysząc dobiegające z zewnątrz głosy, odchylił przednią klapę namiotu, by się rozejrzeć po obozie. Ścieżką schodziły cztery znużone postacie w ciepłych kurtkach: trzech Tybetańczyków oraz Nathan Yates. Shan widział, jak brodaty mężczyzna przy namiocie, nad którym powiewała niemiecka flaga, pozdrowił Amerykanina i gestem przywołał go do siebie. Odczekał wystarczająco długo, by upewnić się, że Yates faktycznie idzie w stronę Niemca, po czym pobiegł do wciąż drzemiącego na krześle posterunkowego Jina.

Gdy dotknął jego ramienia, Jin wyprostował się gwałtownie.

- Znasz Amerykanina Yatesa? - zapytał Shan.

- Stawia mi piwo, ile razy jest w mieście. - Jin przyjrzał mu się niepewnie. - Więc wróciłeś do pracy?

- Co masz na myśli?

- W sprawie morderstw nic już nie zwojujesz. Zmusiłeś go do działania. Cao zadzwonił do mojego biura, by załatwić przeniesienie pułkownika Tana do więzienia poza tym okręgiem. Mówi, że nie chce, by ktokolwiek miał z nim styczność, kiedy on będzie kompletował akta.

Shan zacisnął zęby. Utraciwszy kontakt z Tanem, miałby niewielkie szanse zarówno na to, by dotrzeć do prawdy, jak i pomóc Ko.

- Idę tam - powiedział, wskazując namiot magazynowy Amerykanów. - Jeśli Yates wejdzie, a ja nie wyjdę po pięciu minutach, musisz wejść do środka, z pistoletem gotowym do strzału.

Jin spojrział na niego z nadzieją w oczach.

- Rzuci się na ciebie?

- Pięć minut - powtórzył Shan, po czym wrócił pędem do

namiotu. Z ulgą odkrył w skrzynce na narzędzia przecinak do nitów i miał właśnie zabrać go do sypialni Yatesa, gdy zauważył na dnie skrzynki dwa nieznane mu przedmioty: długi, giętką czarną rurkę oraz czarne owalne pudełko wielkości dłoni. Pudełko miało na jednym końcu okular. Przystawił je do oka, ale nic nie zobaczył, potem jednak spostrzegł komorę baterii. Odszukał mały wyłącznik, przesunął go i z końca okularu wylał się silny snop światła. Otwór emitujący światło był gwintowany. Przyjrzał się rurce i stwierdził, że ma gwintowaną końcówkę, a cała wypełniona jest przezroczystym plastikiem. Wkręcił ją w pudełko, spoglądając w okular, po czym znów włączył światło i przystawił okular do oka. W polu widzenia pojawił się nagle leżący za końcówką rurki kamyk, jaskrawo oświetlony przez światłowód. Podekscytowany odkryciem eksperymentował, wyginając rurkę, oglądając kamyki, piętę swego buta, tył własnej głowy, wewnątrz stojącej na stole pustej butelki po piwie.

Zabrał ze sobą przecinak i przyrząd optyczny i skierował się do sypialni, ale przystanął na chwilę, by się raz jeszcze przyjrzeć potężnej stercie kartonów. Postukał w kilka z nich. Niektóre w najwyższym rzędzie sprawiały wrażenie pustych.

Chwilę później przeciął kłódkę przy skrzyni Amerykanina i rzucił ją za łóżko, po czym pochylił się, by przejrzeć zawartość. Kilka par termicznych skarpet i bielizny w oryginalnych opakowaniach. Dwa duże pudełka zapalek. Mała, wymyślna kuchenka z kilkoma pojemnikami paliwa. Koperta zawierająca kilka pozwijanych ze starości czarno-białych zdjęć przedstawiających wysportowanego mężczyznę w mundurze, pozującego przy wielkim samolocie z czterema śmigłami, potem na koniu, wreszcie z grupą kilkunastu żołnierzy przed koszarami.

Zamknął skrzynię, założył zapasową kłódkę i ponownie rozejrzał się dookoła przekonany, że coś przeoczył. Zajrzał

pod odwróconą skrzynkę, uniósł łóżko, uważnie obejrzał jego aluminiowy szkielet. Nogi z metalowych rurek zakończone były gumowymi kołpakami. Podważył dwa z nich bez skutku, ale po zdjęciu trzeciego ze środka wysunęła się zrolowana kartka papieru. Nie było na niej nic poza sześcioma rzędami cyfr. Mogły to być międzynarodowe numery telefonów. Albo numery rachunków bankowych. Shan wyciągnął z kieszeni świstek papieru i pospiesznie przepisał cyfry. Wsunął z powrotem zwiniętą kartkę w nogę łóżka i miał już wychodzić, gdy w cieniu za jednym z grubych słupków namiotowych zauważył wiszący na gwoźdźniku przedmiot. Było to srebrne gau, tybetańskie pudełko na amulet. Wziął je do ręki z czcią i zdumieniem, gdyż z miejsca się zorientował, że jest to znakomita robota, począwszy od misternego mosiężnego zawiasu, który pozwalał otworzyć je, by włożyć do środka modlitwy, po wygrawerowane u góry i u dołu rzędy świętych symboli. Podziwiał je, czując wzruszenie, jak zawsze wobec liczących setki lat buddyjskich przedmiotów.

- Kiedy wiele lat temu pierwszy raz przyjechałem do Chin - odezwał się nabrzmiały złością głos za jego plecami - miałem długopis, który zostawiłem w pokoju hotelowym w Szanghaju. Dwa dni później w Pekinie człowiek z mojej eskorty oddał mi go. Kiedyś upiłem go i zapytałem go o to. Wyjaśnił mi, że połowa pracowników rządowych faktycznie pracuje dla władz, druga połowa zaś obserwuje pierwszą i wszystkich cudzoziemców, którzy wjeżdżają do kraju.

Shan, wciąż trzymając w dłoni gau, usiadł powoli na łóżku. Yates ściągnął z głowy wełnianą czapkę.

- A pan należy do jakiej kategorii szpiegów? Minerale, roślina czy zwierzę?

- Nie rozumiem.

- Szpieguje pan dla partii, dla jakiegoś przedsiębiorstwa czy po prostu dla policji?

Shan wyciągnął rękę z pudełkiem.

- Ma pan w ogóle pojęcie, jakie to jest rzadkie, jakie to stare? To też pan ukradł?

- Nie jestem złodziejem.

- Proszę pokazać palce.

Yates, zbity z tropu, zaczął unosić dłoń, po czym zerknął na nią i ukrył ją za plecami. Wcześniej jednak Shan zdążył zauważyć na niej zadrapania i otarcia.

- Shan, sukinsynu! - wybuchnął Amerykanin. - To pan był tam na górze zeszłej nocy.

Shan upuścił mu gau na dłoń.

- Niektórzy ze starszych Tybetańczyków mówią, że jeśli wewnątrz takiego amuletu umieści się odpowiednie modli-Iwy, człowiek, który go trzyma, jest niezdolny do kłamstwa.

- Wypytywałem o pana - warknął Yates. - Jest pan jednym z łych więźniów, z tych nie mających nic do stracenia wyrzutków z obozu pracy. Tsipon powinien był mnie uprzedzić.

Shan podniósł dziwny przyrząd optyczny, wymierzając go w Amerykanina niczym broń.

- Mam na pana haka. Kradzież zabytków to ciężki zarzut. Posterunkowy będzie niezmiernie uradowany, kiedy podam mu pana na tacy. Mieć dług wdzięczności u przedstawiciela policji to coś, o czym marzy każdy wyrzutek społeczny.

Yates odchylił czarną rurę w dół, odsuwając ją od swej piersi.

- Nigdy nie widziałem czegoś takiego - powiedział Shan.

- To się nazywa fiberoskop - wyjaśnił ponurym tonem Amerykanin. Shan nie opierał się, gdy Yates wyjął mu instrument z rąk. - Istnieje grupa wspinaczy opętanych pasją szukania śladów wypraw sprzed dziesiątków lat. Ginęło wtedy wielu ludzi, znikali bez wieści. Niektórzy sądzą, że zostawiali listy w szczelinach skalnych, by uchronić je przed zdmuchnięciem. Ten przyrząd pozwala mi zaglądać w głąb szczelin. - Yates

odkręcił rurkę od korpusu instrumentu i położył elementy na łóżku.
- Posterunkowy będzie bardziej skłonny uwierzyć mnie, kiedy powiem, że przyłapałem pana na kradzieży moich rzeczy. Co znaczy słowo niepoprawnego przestępcy wobec słowa poważanego amerykańskiego przedsiębiorcy? W tym kraju obca waluta z miejsca przynosi szacunek.

- Czy to pan zabił te kobiety, Yates?

Amerikanin wyglądał, jakby nagle ogarnęło go ogromne znużenie. Usiadł na łóżku.

- Kobiety? Ma pan na myśli minister Wu.

- Mam na myśli minister Wu i Megan Ross. Yates patrzył na niego obojętnym wzrokiem.

- Minister Wu zginęła z ręki jakiegoś niepoczytalnego oficera. Megan Ross jest na wyprawie, wróci za kilka dni.

Większość ludzi boi się duchów, ponieważ są martwe, ale Shan odczuwał lęk przed duchem tej kobiety, ponieważ on wciąż wstawał z martwych.

- Wszyscy twierdzą uparcie, że Megan Ross żyje, ale nikt nie umie powiedzieć, gdzie ona jest. Pomagał jej pan się wymknąć? Zabrał ją pan na jedną z jej sekretnych gór?

- Za takie rzeczy grozi deportacja. Ona mówi, że nie chce narażać nikogo na takie ryzyko. Dla poważnego alpinisty zakaz wstępu w chińskie Himalaje byłby prawdziwą tragedią osobistą.

- Niemal równie wielką, jak zostać zamordowanym w Himalajach. Czy ona była pańską rywalką? Czy dlatego musiała umrzeć? Nie chciał się pan dzielić z nią udziałami w swym himalajskim przedsięwzięciu?

- Mówiłem już panu. Ona jest na wyprawie wspinaczkowej. I nie jest rywalką, tylko partnerką. Podpisaliśmy umowę, że będzie współpracować ze mną przy tegorocznych wyprawach, planując trasy i księgując wydatki na rzecz Chin. To słynna postać w środowisku alpinistycznym. Zna Chiny lepiej niż ja.

Shan przesadnie wzruszył ramionami i wskazał amulet w dłoni Yatesa.

- Myślę, że udowodniliśmy, że gau nie działa na obcokrajowców. Albo może po tylu wiekach straciło swoją moc.

- Pański szef będzie bardzo niezadowolony, kiedy się dowie, że nie zamierzam robić z nim interesów.

- Ale znaleźliśmy te zaginione zwłoki. Tragarze z wioski są już w drodze.

- Miałem na myśli raczej to, czy chcę pracować z panem.

- Powinien się pan raczej zastanowić - odparł Shan - czy oni zechcą pracować z kimś, kto ich okrada, a potem znieważa.

- O czym pan mówi?

- Wykradanie bogów jest wystarczająco złe. Ale oddawanie ich uszkodzonych to poniżające.

Iskry tłące się w oczach Amerykanina groziły przerodzeniem się w płomień.

- Proszę wyjść! - warknął, wskazując kierunek palcem.

- Znalazłem przyrząd, którego używa pan, by zaglądać do wnętrza posążków. Potrzeba mi jeszcze tylko wiertarki o dużej mocy. Gdzie jest pański warsztat? - Shan umilkł, przypomniawszy sobie nagle konstrukcję z kartonowych pudeł w przedsiönku. Wstał i ruszył tyłem, gotów w każdej chwili uchylić się przed ciosem pięści Amerykanina. - Wiem, jak rząd załatwia te sprawy, panie Yates. Niech pan przyzna się na piśmie do kradzieży i morderstw. Przetrzymam pańskie zeznanie przez jeden dzień. To dość czasu, by zdążył pan dotrzeć do Nepalu.

Amerykanin stał jakby sparaliżowany wściekłością, gdy Shan przemknął między kocami. Podbiegł do konstrukcji z kartonów i zaczął odsuwać zewnętrzne pudła; wkrótce odsłonił się wąski korytarzyk pomiędzy stertami.

- Nie! - usłyszał za plecami przerażony jęk. Yates skoczył

na niego z wyciągniętymi rękoma, chwytając go w tej samej chwili, gdy Shan kątem oka dostrzegł ruch przy wejściu.

- Shan! - Posterunkowy Jin wszedł do namiotu. - Gdzie jesteś, sukinsynu?

Shan przepychał się naprzód, aż dotarł do małej, ciemnej komórki otoczonej stosami pudeł, akurat gdy Yates chwycił go za ramię, rozpaczliwie próbując go odciągnąć.

- Shan! - krzyknął znów Jin, kierując się w stronę pudeł. Trzech Tybetańczyków w obszarpanych, brudnych mni-

sich szatach spojrzało na Shana przerażonym wzrokiem. Yates ukrywał zbiegłych mnichów.

Rozdział 9

Shan obrócił się na pięcie i wyrzwał barkiem w Yatesa, wypychając go z przejścia, młóćąc rękoma na prawo i lewo, by zawalić wejście do ukrytego pomieszczenia, nim pchnął zdezorientowanego Amerykanina w stronę policjanta. Yates potknął się i runął jak długi u stóp Jina.

- Ten cudzoziemiec - oświadczył Shan, zerkając ukradkiem w stronę kartonów, by się upewnić, że dobrze skrywają pustą przestrzeń w głębi - jest przemytnikiem. - Stał nad Yatesem, jak gdyby chcąc uniemożliwić mu ucieczkę. - Odkryłem, że sprowadził do naszego kraju kilka skrzyń żywności, które zadeklarował jako sprzęt wspinaczkowy, który miał zostać wywieziony po sezonie. Uchylenie się od opłat celnych jest przestępstwem przeciwko Chińskiej Republice Ludowej.

Jin, nieco wystraszony, zerkał niepewnie to na niego, to na Yatesa. Wreszcie stanął na wysokości zadania, gdy Shan zaczął zdejmować pełne pudła z przodu sterty i składać je u jego stóp. Karton czekolady w proszku. Karton batonów energetycznych. Karton płatków owsianych.

- To ciężkie przestępstwo - potwierdził Jin nowym, władczym tonem, unosząc lekko palcem klapkę jednego z kartonów. - W naszym kraju przemyt karany jest więzieniem. Jeśli będzie pan miał szczęście, panie Yates, skończy się to dla pana tylko grzywną i zakazem powrotu do Chin.

- Możemy poczekać, aż wrócimy do miasta, by skontaktować się z ministerstwem turystyki - stwierdził z powagą Shan.

- Turystyki? - zapytał niepewnie Jin.

- Pociągnie to za sobą odwołanie co najmniej trzech wypraw wspinaczkowych - wyjaśnił Shan. - Ale wiem, towarzyszu posterunkowy, że nie powstrzyma was to przed zrobieniem tego, co słuszne. Oczywiście trzeba też będzie zawiadomić Urząd Bezpieczeństwa.

Twarz Jina się zachmurzyła.

- Znam doskonale tryb postępowania - uciał krótko. Wyrzwał nerwowo przez klapy namiotu na główną drogę obozu, gdzie stał jego samochód. Shan ściągnął ze sterty kolejne pudło. Suszone owoce. Posterunkowy zrobił krok na zewnątrz, rozejrzał się dookoła i wrócił z wypiętą pierśią. - Być może będę w stanie załatwić to w trybie administracyjnym - powiedział życzliwszym tonem. - Jednak kontrabanda ulegnie konfiskacie - oświadczył. - Rozumie pan, że to mój obowiązek, panie Yates.

Yates opadł na jedno ze składanych krzeseł, sprawiając wrażenie szczerze skruszonego.

- Jak mam wyżywić moich klientów? - zapytał, wchodząc nareszcie w swoją rolę.

- Trzeba było pomyśleć o tym, kiedy pierwszy raz postanowił pan oszukać Chińską Republikę Ludową - odparł drwiąco Jin.

Yates przygarbił się i zwiesił głowę.

Jin defilował zwyczajnie obok Shana, gdy ten taszczył kartony do jego samochodu, i rzuciwszy mu konspiratorski uśmiech, usiadł za kierownicą.

Shan śledził wzrokiem odjeżdżającą jałową doliną w stronę gomy Rongphu terenówkę, gdy odwrócił się w stronę namiotu, zobaczył w wejściu Yatesa krzyczącego na Tybetankę

w czarnej sukni, która oddalała się szybkim krokiem od czerwonego namiotu stojącego trzydzieści metrów dalej.

- Hej! Ty! - wrzasnął Yates, robiąc kilka kroków w stronę kobiety, gdy podniosła na ramię jeden z używanych przez tragarzy koszy, po czym przystanął i zerknął za siebie na mały namiot. - To namiot Megan - wyjaśnił, gdy Shan podszedł bliżej, po czym zostawił go, by rzucić się w pościg za postacią w czarnej sukni.

Kobieta nie odwróciła się, ale, jakby czując, że jest ścigana, spuściła głowę i pospieszyła w stronę labiryntu namiotów w centrum prowizorycznej międzynarodowej wioski. Yates puścił się pędem przez niski kopiec żwiru i stanąwszy u wylotu ścieżki, którą uciekała, czekał ze skrzyżowanymi ramionami, gotów stawić jej czoło.

Gdy przystanąła trzy metry od Amerykanina i uniosła dziwnie zawziętą twarz, Shan niemal zawołał Amę Apte po imieniu, jednak słowa zamarły mu na ustach, kiedy ujrzał osobliwą falę emocji malującą się na obliczu wróżbitki. Jej twarz na chwilę straciła wszelki wyraz, po czym wykrzywiła się w zakłopotaniu, może nawet strachu, nim w końcu ukazał się na niej lekki uśmiech zatroskania. Amerykanin zawahał się, jak gdyby onieśmielony tą burzą emocji, i nie powiedział nic więcej, kiedy złożyła dłonie w tradycyjnym geście pożegnania, po czym z zaskakującą szybkością rzuciła się w prawo, przez kolejną hałdę żwiru, i wmieszała w tłum tragarzy.

- Co to za jedna, do diabła? - zapytał Yates, gdy wrócił do Shana. - Była w namiocie Megan.

- Nie zna pan Amy Apte?

- Tej wróżbitki? Nigdy jej nie spotkałem. - Obejrzał się w stronę namiotu Megan Ross, jakby się zastanawiał, czy nie pójść go sprawdzić, po czym wzruszył ramionami. - Megan przyjaźni się z nią - dodał i gestem skierował Shana z powrotem do namiotu.

Shan wrócił wraz z Amerykaninem do wejścia do kryjówki, którą Yates zdążył już odbudować. Zbiegli mnisi zerkali na niego lękliwie, kiedy uklęknął przed nimi i przyglądał się im po kolei, szukając obrażeń. Zbielałymi palcami ściskali kurczowo swoje gau, a każde z nich, jak zauważył, było ozdobną srebrną kasetką z misternym wzorem kwiatów lotosu. Rozpoznał młodego mnicha z blizną na podbródku, który nie chciał odejść od autobusu ze starym lamą.

- Nie zrobię wam krzywdy - odezwał się po tybetańsku. - Ukrycie się wśród obcokrajowców było bardzo sprytne - dodał. - Szerpowie wam pomogli?

Jedyną odpowiedzią mnichów było spojrzenie w stronę Yatesa.

- Nie oczekuję od Szerpów innego ryzyka niż to, na jakie narażają się powyżej sześciu tysięcy metrów, żonglując butlami z tlenem dla moich ledwo zapiących klientów - oświadczył bezbarwnym głosem Amerykanin.

Shan spoglądał to na mnichów, to na niego.

- Mój Boże - szepnął ze zdumieniem - pan mówi po tybetańsku.

- Wykrada mi pan jeden sekret po drugim - odparł Yates z cieniem urazy w głosie.

Shan mógł zliczyć na palcach jednej ręki znanych mu przybyszów z Zachodu, którzy zadali sobie trud nauczenia się tybetańskiego. Odtworzył w pamięci swe wcześniejsze spotkania z Amerykaninem.

- Tsipon nie wie - wywnioskował. Przypomniał sobie rozmowę, w której Tsipon przeszedł na tybetański, by szkalować Amerykanina.

- On i ja porozumiewamy się świetnie po chińsku. Nie ma potrzeby komplikować naszych stosunków.

Shanowi nasunęły się na myśl dziesiątki pytań, ale kątem oka dostrzegł jakiś ruch i się odwrócił. Mnisi składali i wiąza-

li śpiwory, na których siedzieli, jakby szykowali się do drogi, zerkając przy tym nerwowo na dziwnego Chińczyka. Uniósł otwartą dłoń.

- Nie musicie odchodzić. Chciałbym tylko zadać wam parę pytań o to, co się działo po waszej ucieczce tamtego dnia pod górę.

Najmłodszy mnich przerwał pracę i przybliżył jedyną świeczkę do twarzy Shana.

- To ty! - wykrzyknął, po czym odwrócił się i zaczął pospiesznie szeptać do swych towarzyszy.

- Znacie się? - zapytał podejrzliwie Yates.

- On tam był - wyjaśnił młody mnich. - Tuż po tym, jak kamienie uderzyły w autobus. Powiedział, że musimy uciekać. Wskazał bezpieczną drogę. Gdyby nie on, znów wpadlibyśmy w ręce tych żołnierzy.

Shan dostrzegł zakłopotanie na twarzy Amerykanina, kiedy nachylał się ku mnichom, biorąc świeczkę i przysuwając ją do każdego z nich po kolei. Byli posiniaczeni i podrapani, ich szaty wisiały w strzępach. Na ich twarzach zaczęła osiadać głucha rozpacz. Był to wyraz znany mu aż nazbyt dobrze. Ci trzej Tybetańczycy prawdopodobnie spędzili całe życie w swej odległej, cichej gompie. Niewykluczone, że nim odprowadzono ich pod lufami karabinów do więziennego autobusu, nigdy wcześniej nie widzieli broni, nigdy nie siedzieli w samochodzie, a jedynymi obcymi, z jakimi kiedykolwiek mieli styczność, byli zjawiający się od czasu do czasu biurokraci z Urzędu do spraw Wyznań, próbujący uczynić z nich potulne dzieci Pekinu.

A teraz znaleźli się tutaj, ukrywani przez Amerykanina, w otoczeniu kartonów nieznanymi im dóbr w obozie zachodnich alpinistów opatulonych w pstrokate nylony i puch, rozmawiających hałaśliwie w kilku językach. Pozbawieni paciorków modlitewnych, wyrwani ze spokojnej, rozmodlonej

egzystencji, jaką wiedli w swym górskim ustroniu, rzuceni w obcy świat.

Shan pochylił się, bez słowa podniósł z ziemi duży, płaski kamień, po czym odwrócił się do Yatesa i wyciągnął wystający mu z kieszonki koszuły flamaster. Pospiesznie napisał coś na kamieniu i podał go młodemu mnichowi.

- Kamień mani! - wykrzyknął Yates.

Shan napisał na kamieniu mantrę, modlitwę do Bodhisat-twy Współczucia, na którą można się było natknąć w całym Tybecie na kamieniach wszelkich rozmiarów pozostawianych w świątyniach, układanych w biegnące wzdłuż ścieżek pielgrzymich wały. Pytając uniósł flamaster, a gdy Yates skinął głową, wręczył go młodemu mnichowi, który entuzjastycznie zaczął zbierać z ziemi następne kamyki.

- Miałem tamtego dnia muła, który niósł ludzkie zwłoki - oświadczył Shan, kiedy mnich zrobił dwa dalsze kamienie mani. - Widzieliście go?

Mnich skinął głową.

- Na ścieżce, którą przecięliśmy ponad szosą, był jakiś muł. Szedł pod górę, skubiąc po drodze trawę.

- Czy wciąż miał na grzbiecie ładunek?

- Był objuczony - odparł mnich. Wypisując kolejny kamień, zmarszczył brwi. - Później, po godzinie wspinaczki, spojrzałem w dół i zobaczyłem go malutkiego jak zabawka daleko w dole. Za nim szedł maleńki konik, którego gonił maleńki ludzik. Ale kiedy ten człowiek dotarł do muła, zatrzymał się.

- Co było potem? - zapytał Shan.

- Wspinaliśmy się dalej, szybciej niż do tej pory. Paru żołnierzy zaczęło strzelać w kierunku skał, jakby urządzili sobie na nas polowanie. - Jeden z dwóch starszych mnichów nachylił się w stronę nowicjusza, szepcząc coś. - Musimy odszukać naszych przyjaciół, pozostałych członków naszej gompy - oświadczył młodzieniec.

Shan i Yates spojrzeli po sobie z zakłopotaniem.

- W tym autobusie było was dziesięciu - powiedział Shan. - Sześciu pozostałych zostało schwytanych. Jednego zabito.

Mnichom wymknął się cichy jęk rozpaczy. Znow zaciśnęli dłonie na swych gau.

- A stary lama, na poboczu szosy? - zapytał łamiącym się głosem najmłodszy mnich.

- Zabrali go. Do tej pory jest już pewnie w jakimś więzieniu, daleko stąd.

Nowicjusz osunął się na ścianę z pudeł. Najstarszy mnich położył mu dłoń na ramieniu.

- Kiedy sytuacja się uspokoi, wrócimy do naszej gompy i zaczniemy od nowa - powiedział pocieszającym tonem, po czym wyjaśnił Shanowi i Yatesowi: - Należymy do linii opiekunów, którzy utrzymują tamtejsze świątynie od ponad czterystu lat. Księgi pochodzące z gompy Sarma od wieków używane są w całym Tybecie.

Shan otworzył usta, ale zabrakło mu słów.

- Wasza gompa - oświadczył w końcu ochryłym głosem - opuściła ten świat. - Nie mógł się zmusić, by spojrzeć w oczy trzem mnichom.

- Opuściła? - zapytał najstarszy.

- Władze wróciły z maszynami - to wszystko, co zdołał powiedzieć Shan.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, była ciszą obrzędów pogrzebowych. Yates zaklął. Najmłodszemu mnichowi znow wyrwał się z gardła bolesny krzyk. Ścisnął jeden ze swych nowych kamieni mani, aż zbieleły mu kostki palców. Drżącymi dłońmi jeden ze starszych mnichów utworzył mudrę, wezwanie do bogini opiekuńczej.

Yates, z oczyma wypełnionymi bólem, wpatrywał się w ziemię. Shan widział po jego minie, że podobnie jak on sam, czuł się współwinny zniszczenia gompy.

- Ten stary Budda - odezwał się w końcu najstarszy mnich. - Czy on przeżył?

Shan przypomniał sobie malowidło na skalnej ścianie na tyłach gomy.

- Ostatnim razem, kiedy go widziałem, był nietknięty. Mnich z wdzięcznością skinął głową.

- Teraz nic nie będzie zasłaniać mu widoku na matkę gór - stwierdził pogodnym tonem.

Amerykanin spojrział na Shana ze smutną, błagalną miną.

- Potrzebuję guzików - zwrócił się do niego Shan po angielsku.

- Guzików?

- Trzystu dwudziestu czterech guzików. I trochę nici, tych do reperacji brezentowych namiotów.

Yates wstał, nieufnie kręcąc głową, ale gestem zapraszając go, żeby ruszył przodem. Przeszukali wspólnie dużą skrzynię z narzędziami, potem kilka mniejszych plastikowych pudeł z przeróżnymi drobiazgam. Kiedy znaleźli mocną nić, ale ani jednego guzika, Shan zapytał o podkładki, jednak w skrzyni z narzędziami znalazły się ich tylko dwa tuziny. Przyjrzał się stercie kartonów, po czym wskazał jeden niemal na samej górze.

- Chce pan dropsy? - zapytał z niedowierzaniem Amerykanin.

- I blaszany talerz - odparł Shan.

Wracając do ukrytego pomieszczenia, z idącym o krok za nim Yatesem, Shan niósł szpulkę mocnej nici i dwadzieścia rolek dropsów z dziurką. Rozerwał trzy rolki, wysypując ich zawartość na talerz. Najstarszy mnich, pojmując w mig, uśmiechnął się szeroko i zaczął przywiązywać czerwony cukierek do jednego końca nici.

- To małe - wyjaśnił Yatesowi Shan. - Oni muszą mieć paciorki modlitewne. Sto osiem na sznurku. W moim obozie

pracy - dodał - starzy Tybetańczycy robili je czasem z obciętych paznokci.

Zostawiwszy mnichów, pracujących nad swymi prowizorycznymi malami, Yates w milczeniu zaprowadził Shana z powrotem do swej kwatery polowej. Zaparzył im obu po kubku czarnej herbaty i dopiero wtedy odezwał się:

- Czego pan u diabła chce, Shan?

- Za te morderstwa zatrzymano niewinnego człowieka. Zamierzam odkryć prawdę.

- Ten cały Tan jest pułkownikiem, zarządcą jakiegoś więziennego okręgu, jednym z tych, którzy krążą po kraju, burząc klasztory. W jego obozach pracy zmarły podobno dziesiątki mnichów. Jak można nazwać takiego człowieka niewinnym?

- Zamierzam odkryć prawdę - powtórzył Shan.

- I chce pan, żebym pomógł uwolnić takiego potwora? Nie uwierzę. Podobno sam był pan kiedyś więźniem.

- Byłem jego więźniem.

- Mój Boże! Więc dlaczego chce pan jego uwolnienia?

Być może sprawiło to kojące ciepło herbaty, a może po prostu wyczerpanie osłabiło jego czujność. Słowa same popłynęły z jego ust.

- Mój syn jest w szpitalu psychiatrycznym bezpieczki trzydzieści kilometrów stąd. Jego jedyną szansą na przeżycie jest to, że wydostanę go stamtąd, sprawię, żeby przeniesiono go *i*. powrotem do obozu, z którego go zabrano. To ten sam, w którym ja siedziałem. Tam będę mógł dopilnować, by się nim zaopiekowano. A zwierzchnikiem tego obozu jest pułkownik Tan.

- Chryste! - Yates wpatrywał się w swój kubek. - Chiny! - jęknął, kręcąc głową, jakby to wyjaśniało wszystko. Przez chwilę wpatrywał się badawczo w twarz Shana, upił głęboki łyk, po czym spojrzał znów w stronę kryjówki między kartonami. - Tych mnichów trzeba uratować - oświadczył.

- Tych mnichów trzeba uratować - powtórzył Shan. Postanowił nie wypytywać Yatesa, w jaki sposób mnisi trafili do jego namiotu.

- Świetnie. Ja nie powiem pałkarzom, że pomógł pan mnichom w ucieczce, pan nie powie, że ja im pomagałem. Proszę więc dopić herbatę i iść sobie. Psuje mi pan nastrój. Dogadaliśmy się i to wystarczy.

- Nie, nie dogadaliśmy się. Ludzie z doliny będą wściekli na pana, na wszystkich amerykańskich alpinistów, kiedy powiem im, że to pan kradł ich Jamów. Pan Śmierci jest dla nich wystarczająco surowy, nawet kiedy nie znieważa się go umyślnie.

- Nie sądzę, żeby im pan powiedział. Widziałem, jak zajął się pan tymi mnichami tutaj. Nie jest pan tego rodzaju człowiekiem.

- Nie słuchał mnie pan. Mój syn umrze, jeśli nie wydostanę Tana z więzienia. Myśli pan, że będę miał skrupuły, żeby przysporzyć kłopotów jakiemuś Amerykaninowi?

- Zachowuje się pan, jak gdyby w morderstwa zamieszany był ktoś z bazy, może nawet ja. To nieprawda. Tu nie znajdzie pan rozwiązania zagadki zamachu.

- To nie zamach zamierzam wyjaśnić w tej chwili. Teraz interesuje mnie zasadzka na autobus. Pytanie, w jaki sposób trafił tam ten sprzęt, w jaki sposób ktoś wprawny w posługiwaniu się linami przygotował to wszystko.

Amerykanin nie odpowiedział. Dopił resztę herbaty i wstał.

- Tak czy inaczej, to nie ma związku z morderstwami.

- Nie ma znaczenia, że pan o tym wie. Władze sądzą, że taki związek istnieje.

- O czym pan, do diabła, mówi?

- Na miejscu zamachu znaleziono figurkę Jamy.

Yates na chwilę wstrzymał oddech. Na jego czole pojawiły się zmarszczki niepokoju.

- Nie mam nic wspólnego z morderstwami.

- Dyrektor Xie zaczął tropić mnichów i tych, którzy mogli im pomóc. W siedzibie Urzędu do spraw Wyznań w Shogo wybuchł pożar, a w pogorzelisku ktoś podrzucił figurkę Tary. Nawet on potrafi dostrzec tak wyraźny wzorzec. Wkrótce odkryje, że kradziono stare posążki Jamy, potem przekona sam siebie, że morderstw i kradzieży Jamów dokonał ten sam człowiek. Kiedy Cao się dowie, obaj pójda tropem skradzionych Jamów, przesłuchując niewinnych mieszkańców Tumkot, zapewne też zdejmując odciski palców z tych posążków, które zostały zwrócone. Nim minie kilka dni, oświadczą, że złodziej Jamów był współnikiem Tana w zamachu.

- Ja zbieram tylko posążki Jamy.

- Ten subtelny szczegół najprawdopodobniej umknie Xie, a bezpiecznie z całą pewnością.

Yates pobladł.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś próbuje sprawić, by wyglądało na to, że to ja, żeby mnie zrobić?

- Nie wiem. Może chcą rzucić podejrzenie na Tybetańczyków. Ale kiedy pochwycą trop skradzionych Jamów... - Shan nie dokończył zdania. - Cudzoziemcy zamieszani w przestępstwa nie zawsze zostają deportowani. Niektórzy znikają w obozach, choć nigdy nie słyszałem o żadnym, który przeżyłby dłużej niż rok czy dwa. Na pana miejscu wsiadłbym do samochodu i nie zatrzymywał się, dopóki nie przekroczyłbym granicy z Nepalem.

Yates obejrzał się w stronę kryjówki z mnichami.

- Trzeba uratować tych mnichów - powiedział raz jeszcze głuchym głosem.

Cao i Xie nie muszą czekać na odciski palców. Do tej pory zdążyli już pewnie odkryć, że ekipa filmowa z ministerstwa przybyła tu na dwa dni przed wizytą minister, by kręcić materiały pomocnicze. Cao wyłowi każdą klatkę, na której po-

jawią się pańskie czerwono-czarne liny, i każdą osobę, która ich dotykała.

- Mamy mnóstwo lin. Stale przenosimy je z miejsca na miejsce, bo trzeba je raz po raz wymierzać, sprawdzać, obcinać przetarte fragmenty. Więc co z tego, że zobaczą mnie z tymi linami na filmie?

- Nie zrozumiał mnie pan. Dla pałkarzy obcokrajowiec jest przeszkodą, czymś, co po prostu muszą jakoś obejść. Będą szukali każdego Tybetańczyka, który dotknął tej liny. Wezwą posterunkowego Jina, Tsipona i prawdopodobnie innych liczących się obywateli, by przypisali nazwiska do twarzy. Wypuścili już patrole myszkujące po publicznych miejscach miasta. - Wzruszył ramionami. - Tybetańscy tragarze wezwani przez Cao będą mieć świadomość, że ten człowiek jest władny przymknąć ich na rok na podstawie wyłącznie własnego podpisu. Będą mówić, przypomną sobie, że wyjeżdżał pan z linami w samochodzie, mogą nawet dać się skłonić do zeznania, że widzieli pana na skałach, jak przygotowywał pan tę zasadzkę na autobus.

- Niech pana diabli! - mruknął Yates, siadając ciężko na łóżku. - To nie było tak... - Ukrył głowę w dłoniach, opierając łokcie na kolanach.

Shan zapalił kuchenkę i zaczął przygotowywać dwa następne kubki herbaty.

Był to idealny splot wydarzeń, powiedziała Yatesowi Megan Ross. Otwarcie hotelu, konferencja, wizyta minister w asyście reporterów i kamerzystów. Ross, jak wyjaśnił Yates, wielokrotnie prosiła minister o spotkanie w Pekinie, ale zawsze spotykała się z odmową.

- Powiedziała mi, że jako właściciel nowej agencji trekkin-gowej przenoszącej działalność na chińską stronę Everestu, dowodzącej zwycięstwa polityki minister, będę miał szczególny wpływ, że jeśli obiecuję Wu sprowadzenie trzech lub czterech

dodatkowych amerykańskich wypraw rocznie, ministerstwo przystanie na proponowaną przez Megan Kartę Himalajską. Tak więc chciała, żebym był tam i czekał.

- Czekał?

- Jest pewien zakręt na skraju urwiska, z widokiem na położone w dole pastwiska i pola gryki oraz góry w tle. Przepiękny krajobraz, niezmienny od wieków, doskonały przykład tego, co stara się chronić projekt Megan. Uznała, że właśnie w tym miejscu powinniśmy zatrzymać samochód minister. Mieliśmy czekać tam i udawać, że złapaliśmy gumę, blokując przejazd. Minister musiałaby się zatrzymać. Porozmawialibyśmy, dowiedziałyby się, kim jesteśmy i jak cenną okazję mamy do zaoferowania.

- Megan miała być tam razem z panem?

- Taki był plan. Ale Megan rzadko trzymała się planów.

- Jednak musiała chyba brać pod uwagę, że minister będzie miała eskortę. O tym, że szosa zostanie zamknięta, Urząd bezpieczeństwa poinformował dopiero rano.

- Megan wiedziała. Nie przyznała się skąd. Powiedziała, że wszystkie pojazdy jadące z dołu będą zatrzymywane, ale nikt nie pomyślał o obcokrajowcach, którzy mogą już być na górnym odcinku szosy, a ci nieliczni z nas, którzy znajdowali się w okolicy, byli zaproszeni na wielki piknik minister pod samą bazą.

- Tak więc przygotował pan lawinę, by zablokować szosę po przejeździe samochodu minister.

- Nie. Ja tylko pomogłem jej znaleźć odpowiednie miejsce, zakręt z luźnymi skałami na stoku powyżej. To wszystko. Megan stwierdziła, że reszta jest zbyt ryzykowna, żebym się w to mieszał. Zbyt wielu ludzi jest uzależnionych ode mnie jako szefa agencji alpinistycznej.

- Nigdy nie zastanawiał się pan, gdzie ona była tamtego dnia?

- Nie. Poprzedniego wieczoru zadzwoniła z miasta, pytając, czy mogłaby skorzystać z zarezerwowanego dla naszej firmy pokoju w nowym hotelu, i powiedziała, że zobaczymy się następnego dnia.

- Ale nie zadzwoniła więcej, nie pojawiła się w umówionym miejscu.

Yates wzruszył ramionami.

- Megan jest impulsywna. Jest zapóźniona ze swą listą życia. Ocenia, że ma przed sobą jeszcze dziesięć lat porządnej wspinaczki, a na jej liście zostało trzydzieści szczytów. Gdyby nadarzyła jej się okazja dotarcia na którąś z wymarzonych gór, rzuciłaby się na nią i wiedziałaby, że to zrozumie. Zawsze trzyma w pogotowiu plecak ze sprzętem wspinaczkowym. Zostawiłem ją w mieście, w chatce Tsipona, gdzie trzyma te rzeczy.

- Więc jak się dostała do hotelu?

- Nie przyjechała do hotelu. Pojechała na wyprawę. Wróci lada dzień.

- Ona nie wróci, Yates. Została zabita razem z minister. Yates rzucił Shanowi cierpkie spojrzenie.

- Co pan kombinuje? Ona żyje. Dlaczego wygaduje pan takie rzeczy?

- Umarła na moich rękach.

- Zabawia się pan ze mną w paskudną grę, Shan. Ona nie umarła. Tamtego popołudnia jeden z tragarzy przekazał mi wiadomość. Pojawiła się szansa na jedną z jej gór. Powiedziała, że wróci za kilka dni.

Shan z ożywieniem pochylił się naprzód.

- Jaki tragarz? Napisała to własnoręcznie?

- Nic nie napisała. Facet powiedział mi to i poszedł. Nie znam zbyt wielu tragarzy z imienia. - Yates wzruszył ramionami. - Megan przyjeżdża tu od lat. Zna większość z nich. -Utkwił w Shanie wyzywające spojrzenie. - To nie była ona.

Widziałem, jak ładują dwa ciała do wojskowej ciężarówki. Żadne nie należało do niej.

- Co pan powiedział?

- Słyszał pan. Czekałem wyżej. Ale po jakimś czasie wsiadłem do samochodu i pojechałem na dół. Tam, gdzie szosa zakręca o sto osiemdziesiąt stopni, wysiadłem. Byłem paręset metrów od sedana minister, wystarczająco blisko, by zobaczyć dwa ciała. Nie miałem lornetki, ale widziałem wystarczająco dobrze. To byli Chińczycy albo Tybetańczycy. Żadnej jasnowłosej Amerykanki.

- Nałożyli jej wełnianą czapkę. Z daleka nie mógł pan widzieć jej włosów. Potem podmienili jej ciało na ciało martwego Szerpy.

- Wyjdzie pan na głupca, kiedy ona wejdzie, żeby się poczęstować herbata.

- Co jeszcze pan widział?

- Dość żołnierzy, by wszcząć małą wojnę. Kręcili się po zboczach. Wojskową ciężarówkę, która wywiozła ciała. To wszystko. Później zobaczyłem, że ona nawet nie skorzystała z moich sugestii co do uruchomienia lawiny.

- Chce pan powiedzieć, że wrócił pan tam później?

- Pałkarze uprzątnęli wszystko. Zostawili parę znaczników i trochę taśmy. To jedyna droga do obozu bazowego. Nie mogli zamknąć jej na długo. Zatrzymałem się i zacząłem wspinać na górę po liny. Sierżant bezpieczeństwa próbował mnie zatrzymać, więc wyjaśniłem mu, że to moje liny, skradzione z mojego składu. Pozwolił mi iść pod eskortą, pod warunkiem że zostawię wszystko tak, jak było. Nie musiałem niczego dotykać, żeby się zorientować, że nie zastosowała konfiguracji, którą jej narysowałem.

- To znaczy?

- Według mojego szkicu na szosie należało położyć kłodę, która miała pełnić rolę wyzwalacza lawiny. Ciężki pojazd ude-

rza kłodę, do której przywiązana jest lina, i uruchamia lawinę. Ona zmieniła to, uprościła. Tyle że w jej wersji ktoś musiał wyzwolić lawinę ręcznie.

Shan zastanowił się nad wyjaśnieniem Yatesa.

- Przez pierwszy tydzień, może trochę dłużej - odezwał się w końcu - Cao zastanawiał się, czy nie zignorować lawiny, udawać, że autobus miał po prostu wypadek, gdyż dodanie aktu sabotażu przeciwko Urzędowi Bezpieczeństwa mogłoby zanadto skomplikować sprawę. To człowiek przyzwyczajony do szybkich, łatwych zdobyczy. Teraz jednak uznał, że to może być sprawa, na jaką czekał, sprawa, której echo będzie słyszalne w samym Politbiurze. Gdyby mu się udało, przed upływem miesiąca awansowałby na pułkownika, fetowany w Pekinie jako bohater narodowy. Medal, bankiet z udziałem najwyższych rangą członków partii, być może nowa praca w charakterze tajnego oficera śledczego dla dygnitarzy partyjnych. Postanowił więc podbić stawkę. A to oznacza, że ten, kto urządził tę zasadzkę, zrobiłby lepiej, przenosząc się na inną planetę.

- Było coś jeszcze, czego na początku nie znaleźli. Na skale w pobliżu miejsca, z którego zeszła lawina, leżał stary sierp.

- Sierp?

- Do żęcia zboża. Wspiałem się tam, skąd zsunęły się głazy. Był wciśnięty w szczelinę w skale, jakby ktoś zostawił go tam umyślnie. Na ostrzu wygrawerowane były jakieś słowa i rysunek wyglądający na schematycznie przedstawiony łańcuch górski. Zamierzałem go ukryć, kiedy ten sierżant podszedł. Chciał sprawdzić, co robię, i zobaczył go. Zabrał go do swojego samochodu.

Shan widział takie ostrze, a nawet cały ich stos, w szopie, gdzie stary Gyalo trzymał swoje drobiazgi.

- Później, w bazie, zapytałem o to jednego ze starszych tragarzy. Przeraziło go to nie na żarty, nie sam sierp, ale napis, który mu opisałem. Powiedział, że nie należy mówić o takich

rzeczach, że powinniśmy się wszyscy modlić, by Chińczycy nie dowiedzieli się, co to takiego.

- Co tam było napisane?

- Nie znam tybetańskiego pisma. Zapytałem go, co to jego zdaniem znaczy, sądząc z mojego opisu. Wiedział, widziałem to, ale nie chciał powiedzieć.

- Wciąż mówi mi pan o innych - zauważył po chwili Shan. - Nie usłyszałem jeszcze prawdy o panu. Wciąż nie wiem, dlaczego miałbym nie ostrzegać Tybetańczyków, że Amerykanin ograbia ich świątynie.

Yates wstał, przeszedł się w tę i z powrotem, przystanął i zerknąwszy na Shana, znów zaczął krążyć po namiocie.

- Mój ojciec - powiedział w końcu - zmarł gdzieś tutaj, kiedy miałem trzy lata. Był naukowcem, zajmował się antropologią religii, poszukiwał dowodów różnych fal migracji buddystów z Indii przez Himalaje.

- Rozbijając posążki bóstw?

- Pobierając próbki metalu, z jakiego były wykonane. W ten sposób można określić wiek posążka, ale też ustalić, skąd pochodził metal. Dokładny skład stopów jest jak odcisk palca.

To nie brzmiało jak prawda, wyczuł Shan, ale był to krok w kierunku prawdy.

- A teraz pan kontynuuje jego prace?

- Właśnie. Chcę dokończyć jego badania. Może opublikować coś, pod jego i moim nazwiskiem. Nigdy go tak naprawdę nie znałem. Dzięki tej pracy stał mi się bliższy.

Shan dotknął leżącego na łóżku przyrządu.

- I używa pan tego fiberoskopu?

- Oczywiście. Czasami pozwala on określić grubość metalu i wewnętrzną strukturę odlewu, która również bywa niepowtarzalna jak odcisk palca.

- Mógł pan poprosić o wypożyczenie posążków, może na-

wet zwrócić się o pomoc do któregoś z chińskich uniwersytetów.

- Jak długo mieszka pan w Tybecie, Shan? Amerykanin współpracujący z Tybetańczykami przy projekcie badawczym, który ma dowieść, że tybetańska kultura przybyła spoza gór, a nie z Chin? Zostałbym deportowany w mgnieniu oka, a jeszcze gorszy los czekałby każdego Tybetańczyka, który mi pomagał.

To przynajmniej, jak wiedział Shan, było niezaprzeczalną prawdą. Jednak Yates wciąż nie zappełnił największej luki w swej historii: dlaczego, jeśli badał metal posążków bóstw, zabierał tylko figurki Pana Śmierci?

Shan wstał. Robiło się późno. Czekala go jeszcze długa jazda do Shogo. Yates odprowadził go do kałuży światła słonecznego przy wejściu. Jego zatroskana twarz stanowiła wystarczający dowód, że w końcu pojał, co chciał mu przekazać Shan. On i Megan Ross uruchomili łańcuch wydarzeń, które stworzyły zagrożenie dla każdego Tybetańczyka żyjącego w cieniu tych gór.

- Kiedy Megan wróci - powiedział - będzie wiedziała, jak naprawić sytuację. Będzie wiedziała, dokąd zabrać mnichów.

- Ona nie wróci - odparł Shan.

- Bzdura. Mówiłem już panu. Widziałem ciała. Żadne nie należało do niej.

- Umarła na moich rękach - powtórzył Shan.

Yates pokręcił głową, po czym odwrócił się do niego plecami.

- „Kruk”, powiedziała najpierw, a potem: „Czy to mnie?” - rzucił za nim Shan.

Amerykanin znieruchomiał na moment, ale nie obejrzał się, zanim zniknął w ciemności.

Rozdział 10

Zatrzymał ciężarówkę na tym samym rozjeździe, na którym rano oczekiwał go Xie, wypatrując w mroku śladów obecności pachółków dyrektora. Okoliczni mieszkańcy ściągęliby do ruin natychmiast po odjeździe Xie i jego ludzi. Były tam do zabrania kamienie mani. Nawet rozbite młynki modlitewne wciąż uchodziły za święte. Tybetańczycy wiedzieli, że władze wracają zwykle do takich miejsc z koparkami, by usunąć każdy kamień, oczyścić teren do gołej ziemi i posypać solą tak, by nie wyrosło tam nawet źdźbło trawy. Ale to wszystko działałoby się za dnia, a w Tybecie, wszędzie z wyjątkiem miast, noc należała do Tybetańczyków. Odczekał pięć minut, rozglądając się za obserwatorami, po czym skręcił na drogę w głąb doliny.

Pokryte patyną wieków przysadziste zabudowania gompy zniknęły. Pozostały z nich jedynie trzy grube kamienne ściany, z zakopconymi malowidłami wystawionymi teraz na pastwę żywiołów. Wszystko inne zostało zrównane z ziemią, obrócone w bezładną stertę kamieni, tynku i drewna. Krzesła i stoły leżały w drzazgach, potrzaskane nie tylko przez sychacz, ale lakże, jak się zdawało, ciężkimi młotami. Uwięzione między skałami strzępy starych malowanych thanek trzepotały na wietrze. Nie było ani śladu Tybetańczyków. Nagle Shan stanął jak wryty, pojmując, dlaczego nikt niczego nie ratuje. W cieniu drzew na drugim końcu gompy dostrzegł niską, ciemną sylwetkę dyrektorskiego sedana.

Chodził po gruzowisku jak nieprzytomny, oszołomiony rozmiarem zniszczeń. Jak przez mgłę zaczęło docierać do niego rytmiczne, metaliczne dudnienie, odgłos ciężko pracującego silnika to zwiększającego, to znów zmniejszającego obroty. Minał skupisko bielonych wapnem kamieni znaczących miejsce, gdzie stał stary czorten, poświęcając chwilę na daremne poszukiwanie brązowej lub drewnianej skrzynki z relikwiami, która musiała być ukryta w jego wnętrzu, po czym ruszył w stronę dźwięku, mijając trzy stojące ściany, które okazały się zbyt grube, by dało się je powalić, aż dotarł do pionowej skały stanowiącej tylną granicę kompleksu.

Mały spychacz zwrócony był w stronę namalowanego na skalnej ścianie Buddy. Kierowcy nie było, silnik był włączony, ale coś w skrzyni biegów zacięło się tak, że posuwał się o kilkanaście centymetrów do przodu, uderzał w skałę, zwiększał obroty i odbijał w tył, po czym powtarzał cały cykl od początku. Tknięty złymi przecuciami Shan rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kierowcy, po czym podszedł do maszyny, zamierzając wyłączyć silnik. Po dwóch krokach stanął jak wryty. Dźwignie sterownicze zostały unieruchomione, powiązane starymi khatami, białymi szalami modlitewnymi. Gdy sięgał do stacyjki, jego wzrok przyciągnęła barwna plama na lemieszu. Patrzył na strzęp czerwonego futra z niejasnym wrażeniem, że gdzieś już je widział, nie dostrzegając krwi i fragmentów kosztownego płaszcza, dopóki nie znalazł się kilkanaście centymetrów od nich. Zachwiał się i oparł o skalną ścianę, walcząc z napadem mdłości. Pomiedzy skałą a ciężkim metalowym lemieszem utkwili inne, krwawe szczątki, trup dyrektora Xie z Urzędu do spraw Wyznań.

Nie wiedział, jak długo stał pod ścianą, ogarnięty zgrozą, jednak w końcu odwrócił się i wyłączył zapłon, przekręcając kluczyk kłykciami, by nie zostawić odcisków palców. Przykrył to, co zostało z głowy Xie, strzępem thanki. „Promien-

ne światło czystej rzeczywistości", mówiła wypisana na nim modlitwa, początek rytuałów pogrzebowych bardo. Słowa te przyhamowały go. Xie był wprawdzie młynkoburcą, przybył do tego okręgu, by kosztem Tybetańczyków pchnąć naprzód swoją karierę, ale nikt nie zasługuje na taki los.

- Dostrzeż promienne światło, którym jest twoja śmierć - wyszeptał kolejną rytualną frazę - wiedz, że twoja świadomość nie rodzi się ani nie umiera.

W półmroku przeszukał teren, próbując zrozumieć, jak doszło do tego, że Xie pozwolił zabójcy zaskoczyć się w pojedynkę, niemal pewny, że znajdzie zwłoki przynajmniej jednego z jego asystentów. Nie było jednak żadnych innych ciał. Gdy zrobiło się ciemno, wygrzebał ze swej ciężarówki ręczną latarkę i przeszukał samochód Xie, nie znalazł tam jednak nic poza pudłem rytualnych utensyliów, które zaniósł na ukrytą ścieżkę na tyłach gomy. Następnie zaczął metodycznie obchodzić ubitą ziemię. Przecinały ją biegnące w różnych kierunkach ślady opon i butów ponad dwudziestu osób i kilku pojazdów. Przeszedł parę kroków ścieżką pielgrzymkową, którą, jak wiedział, chodziło tego dnia wielu Tybetańczyków. Jeśli widzieli cokolwiek, do tej pory zdążyli już się głęboko zaszyć wśród wzgórz.

Nie usłyszał nadjeżdżającego pojazdu i nie zdążył się ukryć. Wóz wjechał na teren gomy ze zgaszonymi światłami, pokonując ostatnie trzydzieści metrów z wyłączonym silnikiem. Shan wyłączył latarkę i cofnął się w głębszy cień jednej ze stojących ścian.

- *Lao Shan?* - odezwał się w ciemnościach nerwowy głos, z szacunkiem wołając go po chińsku.

Na drodze rozbłysły latarki. Ruszył w ich stronę i zobaczył małą furgonetkę wypakowaną Tybetańczykami, w większości tragarzami z bazy. Na tyłach znajdowały się łopaty i taczka.

Ani ostrzeżenia Shana, ani widok makabrycznych szcząt-

ków przed spychaczem nie zdołały odwieść ich od zamiaru ratowania, co tylko się da. Byli to ludzie zahartowani przez góry, oswojeni ze śmiercią, a ich nabożny szacunek dla przedmiotów, które mogły być pogrzebane w gruzach, był silniejszy niż wszelkie obawy. W ten właśnie sposób chronili swą wiarę.

- Prędko - ustąpił w końcu Shan - przestawmy samochody tak, żeby oświetlić reflektorami gruzy. Jeśli macie plandeki, przykryjcie malowidła. Te ściany mogą mimo wszystko przetrwać. - Porzuciwszy wszelką nadzieję na odszukanie śladów zabójcy Xie, pracował z nimi przez godzinę, odkrywając mnóstwo przyborów obrzędowych, nieuszkodzonych szat, a nawet parę kostiumów używanych podczas świąt religijnych. Część z nich powiązano w większe tobołki i ułożono na paletach, które kilku mężczyzn poniosło oświetloną księżycem ścieżką. Pozostałe załadowano do samochodów.

Przeglądali gruzowisko, zbierając każdy kamień z wypisaną modlitwą, kiedy wyznaczony do obserwowania drogi człowiek zagwizdał. Pogasili światła i z narastającym lękiem przyglądali się pojedynczemu reflektorowi, zbliżającemu się do nich krętą drogą. Tybetańczyk na poobijanym motocyklu ledwo zdążył zsiąść, gdy przekazano mu wieść o zamordowaniu Xie.

- Demony śmierci mają tej nocy używanie - odparł głuchym głosem. - W górach. W mieście. To będzie nasz koniec.

- W mieście? - zapytał Shan.

- Pałkarze zaatakowali Gyalo. Kiedy skończyli, wrzucili go do żlebu z pozostałymi duchami.

Niemal godzinę później Shan zsiadł z tylnego siedzenia motocykla przecnicę od obejścia Gyalo. Okiennice wszystkich domów na ulicy były pozamykane, wszystkie furtki i drzwi solidnie zaryglowane. Shogo przygotowywało się na burzę.

Burza ta zwała się już na starą chałupę pijanego lamy.

Połowa sprzętów domowych leżała rozrzucona po podwórzu. Sam dom został zaatakowany. Coś ciężkiego, być może młot, uderzało w tynkowane ściany, ramy okien, drzwi. Kruchy tynk popękał i poodpadał, gdzieś dyndając na końskim włosiu, które domieszano do niego w innym stuleciu. Z okien nie zostało nic poza drzazgami i odłamkami szkła. Drzwi kiwały się na dolnym zawiasie. Wewnątrz domu dwie drewniane skrzynie, w których Gyalo trzymał ubrania, obróciły się w kupę potrzaskanych malowanych desek, a ich zawartość wałała się po kamiennej posadzce. W powietrzu unosił się drażniący zapach wódki z sorgo, płynący z rozbitego o ścianę dzbanka.

Shan wycofał się wolno, wypatrując jakiegokolwiek ruchu na ulicy, po czym skierował się ku szopie na skraju wysypiska śmieci. Był już tuż przy walącej się konstrukcji, kiedy dźwięk ludzkich głosów zmusił go do uskoczenia w ciemność za nią. Przesuwał się ostrożnie wzdłuż ścian aż do miejsca, z którego mógł widzieć mówiących.

Kypo i Jomo stali na skraju niskiego urwiska, gdzie śmieciarki wysypywały ładunki; spoglądali w dół, rozmawiając pełnym zatroskania szeptem. Ze żlebu unosiła się cuchnąca woń rozkładu. Nim do nich podszedł, zerknął do szopy. Wnętrze było zupełnie puste. Gromadzone potajemnie przez Gyalo przedmioty zniknęły.

Dwaj mężczyźni powitali go milczącym skinieniem głowy i cała trójka stała bez słowa, wpatrując się w cień w dole.

Milczenie przerwał w końcu Jomo.

- Ojciec mawiał, że tak właśnie tępi się plagi insektów - odezwał się żalonym tonem. - Najpierw rozkopuje się centrum kolonii. Tam niszczy się je tysiącami, burzy się każdą komorę, w której żyją. Trwa to długo, bo wciąż trafia się na kolonie ukryte w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Ale w końcu zostaje już tylko parę niedobitków, a gdy się je znaj-

dzie, trzeba trzepnąć je z całej siły, tak by zostały tylko mokre plamy na podłodze.

- Musimy go wydobyć - przerwał mu Shan. - Nie możemy jedynie...

- Pobili go, zanim zrzucili go z urwiska - ciągnął beznadziejnie smutnym głosem Jomo. - Ale trudno stwierdzić, ile złamań i skaleczeń jest skutkiem bicia, a ile upadku na kamienie. - Zerknął z ponurą miną na Shana. - Był pijany, i to chyba go uratowało, rozluźniło mu mięśnie, nie pozwoliło mu stawiać oporu, sprawiło, że nie próbował się ruszać, bo to spotęgowałyby jego obrażenia.

- Więc on żyje? - zapytał ochrypłym szeptem Shan. -Gdzie?

- Jeszcze żyje - odparł Jomo. - Nie ma go w mieście. Jest gdzieś, gdzie nikomu nie przyszłoby do głowy go szukać - dodał, zerkając na Kypo.

Shan obejrzał się w stronę szopy. Dopiero teraz zauważył przy krawędzi żlebu trzy wypchane szmaciane worki. Gdy ruszył w ich stronę, Jomo zrobił ruch, jakby miał zamiar zagrozić mu drogę, ale Kypo powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Pierwszy z worków zawierał młynki modlitewne, z których wszystkie były uszkodzone, niektóre zgniecione niemal na płasko, jak wyrzucone na śmietnik blaszane puszki. Drugi mieścił utensylia obrzędowe, w większości pogięte i zdeformowane. W trzecim znajdowały się stare sierpy do jęczmienia o zakrzywionych ostrzach pokrytych rdzą i powgniatanych. Shan potarł jedno z nich czubkami palców, po czym uniósł je do światła księżyca. Zauważył ledwo widoczny prymitywny rysunek gór, pod nim zaś tybetański tekst, zbyt nikły, by dało się go odczytać.

- Co to za symbol? - zapytał. - Dlaczego budzi we wszystkich taki lęk?

- Jakie to ma teraz znaczenie? - burknął Jomo. Był coraz bardziej nerwowy, raz po raz zerkając niespokojnie w stronę ulicy. - Jeśli pałkarze wrócą, będą jeszcze bardziej wściekli, kiedy to znajdą.

- Ma znaczenie, bo być może właśnie z ich powodu go napadnięto. - Shan powtórzył mu szybko, czego się dowiedział o sierpie koło zasadzki na autobus.

- To nieistotne - odparł syn Gyalo, podnosząc worek z sierpami. - Najważniejsze, że to się już nie powtórzy. - Zrobił zamach, by cisnąć go głęboko w ciemność.

Shan dotknął jego ramienia.

- Nie. Znam lepsze miejsce.

- Nie ma lepszego miejsca - stwierdził z goryczą w głosie Tybetańczyk.

- Pomyśl o swoim ojcu. On chciał, żeby się zachowały.

- Więc mam ci zaufać? - warknął Jomo. - To twoi ziomkowie tak go urządzili.

Shan nie odpowiedział. Zarzucił sobie jeden z worków na ramię i skręcił na dróżkę do stajni.

Dwaj Tybetańczycy mieli początkowo opory przed wejściem do starej stajni u wylotu żlebu. Ruszyli ścieżką w milczeniu, każdy z nich z ciężkim workiem na ramieniu, ale Kypo

i Jomo postawili swoje przy drzwiach, gdy Shan wszedł do środka, by zapalić lampkę. Choć obaj bywali tam już wcześniej, nigdy nie było to nocą.

- Podobno to miejsce jest nawiedzone - powiedział niepewnie Kypo. - Nigdy nie wydobyto wszystkich zwłok ze starej gompy.

- Jedno mogę powiedzieć ci na pewno, Kypo - odparł Shan, wciągając worki do środka. - Wszyscy zmarli są po naszej stronie.

Kypo wymamrotał coś, co brzmiało jak modlitwa, i podniósł jeden z worków. Jomo poszedł w jego ślady. Shan wziął

lampkę i poprowadził ich obok przegrody z siennikiem, przez zapuszczoną stajnię, do przyległego składziku o dachu utrzymującym się jedynie na paru belkach i polepie zasłanej dachówkami, które spadły z góry. Podał lampkę zakłopotanemu Tybetańczykowi, po czym uklęknął i zaczął wodzić palcami w warstwie luźnej ziemi na podłodze, dopóki nie znalazł tego, czego szukał - zaszytego ziemią skraju płóciennej płachty. Uchwycił ją za dwa rogi i odchylił wolnym ruchem. Odśłoniła się kłapa z połączonych solidnymi żelaznymi taśmami desek, w które wpuszczony był umieszczony przy brzegu żelazny pierścień.

Z gardła Jomo wyrwał się stłumiony okrzyk zaskoczenia. Kypo bez słowa pochylił się i pomógł Shanowi unieść kłapę.

- Gompa istniała tu od wieków - wyjaśnił Shan - było więc mnóstwo czasu na budowę tuneli, sekretnych dróg ucieczki i tajemnych przejść do ukrytych sanktuariów. - Zniósł lampkę po stromych kamiennych stopniach, postawił ją na zbudowanym pod ścianą stole roboczym, po czym sięgnął w górę, by przyjąć worki, które Tybetańczycy opuszczali do podziemnej sali.

- Jejku! - wykrzyknął Kypo, kiedy zszedł po schodach. Demony namalowane przed wiekami na przeciwległej ścianie, pomimo warstwy sadzy, były wciąż wystarczająco żywe, by wyrzeć zamierzony efekt.

- Zdawało im się, że zwalili całą gompę do żlebu - ciągnął Shan, zapalając kolejną lampkę. - To była tylko stara stajnia, a spychacze nie mogły zjechać po stromym stoku, żeby ją zburzyć. Kiedy stacjonowało tu wojsko, stajnia służyła jako spichlerz, a gdy żołnierze odeszli, została porzucona. Nie wiedziałbym w ogóle o tym pomieszczeniu, gdybym pewnej nocy nie upuścił na podłogę kawałka drewna i nie usłyszał głuchego odgłosu, kiedy stuknął o kłapę.

Przybliżył lampkę do ściany, ukazując dziką głowę z rogami i sterczącymi kłami.

Jak w wielu starych gompach, pierwsze sale znajdowały się pod ziemią, wykute w ścianie żlebu. To był gonk-lung, kaplica demonów opiekuńczych. Często budowano je w ukrytych miejscach, korzystając z nich tylko podczas spei jalnych rytuałów albo żeby poddać próbie hartu ducha nowicjuszy.

Gdy się odwrócił, syn Gyalo stał z drugim workiem w ręce, patrząc na warsztat, na którym leżały mniej lub bardziej uszkodzone zabytki.

Wykopujesz je - powiedział cierpko. - Żaden Tybetańczyk w obrębie stu kilometrów nie ma odwagi wchodzić do żlebu, więc po prostu schodzisz i bierzesz, co ci się podoba. - Podniósł figurkę bóstwa siedzącego na grzbiecie tygrysa. - Słyszałem, że one mają wielką cenę na międzynarodowym rynku. - Zarzucił sobie worek na ramię, jak gdyby zamierzał wynieść go z powrotem. - Musisz uważać nas za strasznych głupców, znoszących ci towar, żebyś mógł się wzbogacić. Wy, Chińczycy, zawsze chcecie nas po prostu wykorzystać! - Zrobił krok w stronę schodów, po czym przystanął, patrząc na Kypo, który gładził głowę Buddy, nad którym Shan pracował, kiedy nie czyścił klocków drukarskich w stajni na górze.

- Te rzeczy nie należą do zachodnich kolekcjonerów, tak samo jak nie należą do rządu - oświadczył Shan. - One należą do wiernych. - Podniósł z podłogi jeden z worków i wepchnął go na jedną z półek wykutych w żywej skale w głębi pomieszczenia.

Kypo przyglądał mu się z pozbawioną wyrazu twarzą, po czym położył dłoń na worku, który trzymał na ramieniu |omo.

Jesteś głupcem, że mu ufasz - prychnął syn Gyalo, ale nie opierał się, kiedy Kypo zabrał mu worek.

Za to, co robi, mógłby zostać aresztowany - zauważył

Kypo. - Konserwację i rozprowadzanie takich zabytków nadzoruje Urząd do spraw Wyznań.

- Co z tego? - odpalił Jomo. - On już i tak jest przestępcą, wyrzutkiem społeczeństwa.

Kypo upchnął drugi worek obok pierwszego, po czym odwrócił się do syna Gyalo z grymasem zniecierpliwienia na twarzy.

- To z tego, że właśnie zdradził nam swój sekret. Naraził się na ryzyko aresztowania, żeby ocalić te starocie.

Protesty Jomo zaczęły cichnąć, kiedy przyjrzał się pracy, jaką wykonywał Shan. Gdy skończyli chować worki, Kypo stanął przed pokrytym warstwą brudu malowidłem przedstawiającym groźne bóstwo z końską głową.

- Mogliśmy znaleźć inną kryjówkę - powiedział. - Dlaczego pokazałeś nam tę?

- Dlatego, że to najlepsza kryjówka, jaką znam. Nie chcę, by była zapomniana przez kolejne pięćdziesiąt lat.

- Brzmi to tak, jakbyś zamierzał odejść.

Shan także patrzył przez chwilę na bóstwo, zanim odpowiedział.

- Ja zawsze odchodzę - odparł. Już dawno temu uświadomił sobie, że jest to jedyny sposób, w jaki może przeżyć, nie zatrzymując się nigdzie zbyt długo, żyjąc na obrzeżach, poza zasięgiem wzroku rządu.

Kypo sięgnął do jednego z worków i wyciągnął zardzewiały sierp.

- To jest symbol z czasów wojny - wyjaśnił, wskazując znaki na ostrzu. - Ruch oporu był kiepsko uzbrojony. Gdy było trzeba, używano narzędzi rolniczych. Armia tybetańskich bojowników miała swoją nazwę: „Cztery Rzeki, Sześć Gór”. Żołnierze chętnie wydrapywali tę nazwę na swojej broni. Niektóre jednostki miały nowoczesną broń, ale mimo to nosiły te sierpy jako symbol, jak zaszczytne odznaki. - Spojrzał na bóstwo na

ścianie. - To zwykły sierp. Narzędzi nie ma zbyt wiele. Użyli po prostu tego ostrza do przecięcia liny. To, że znaleziono je w zasadzce, nic nie oznacza - powiedział do koniogłowego boga, jakby próbując go przekonać.

A jednak coś oznaczało, Shan to wiedział, i dlatego tragarz był przerażony, gdy Yates opisał mu sierp. Znak na ostrzu był symbolem bojowników ruchu oporu sprzed kilku dziesięcioleci, a zasadzka na autobus Urzędu Bezpieczeństwa była aktem oporu.

Pół godziny później, gdy Shan szedł ulicą przed obejściem Gyalo, rozmyślając nad słuszością swych narastających podejrzeń, że napad na szynkarza nie był dziełem bezpieki, podjechał do niego znajomy czerwony samochód. Nathan Yates, z twarzą naznaczoną bólem, wysiadł i zastąpił mu drogę.

- To był wiersz - oświadczył głuchym głosem. - Ona nosiła w plecaku tomik poezji buddyjskiej i czytała go przy świecy na stoku góry, bo to buddyjska góra. Czasem przepisywała te wiersze i wkładała je pod kamienie. To był jeden z jej ulubionych, przedśmiertny utwór pewnego japońskiego poety. -Uniósłszy wzrok w stronę gwiazd, zniżył głos do szeptu. - Czy to mnie wzywa kruk - wyrecytował - ze świata cieni w ten mroźny poranek?

- Miała dobrą śmierć - powiedział cicho Shan, uświadamiając sobie, że pogodzenie się Yatesa z jej odejściem na nowo rozbudziło w nim smutek.

Ale Amerykanin nie cierpiał w milczeniu. Shan oparł się o samochód i słuchał, jak opowiada cichym głosem o wspinaczce z Megan Ross, o zdobytych wspólnie górach, o wzniosłym nastroju, jaki ogarniał ją, kiedy - jak to mówiła, docierając na szczyt - sięgała nieba.

- Tragarze przynieśli wiadomość o morderstwie w gom-pie - oświadczył w końcu Yates, już głośniej. Gestem zaprosił go, by wsiadł na przednie siedzenie samochodu.

- Nie jestem w stanie panu pomóc uprzedził go Shan, zerkając w stronę górskiej szosy. Modlił się, by Tybetańczycy, których zostawił w Sarmie, poszli za jego radą i nie zwlekali dłużej niż pół godziny z odejściem ze swymi znaleźskami i odstawieniem ciężarówki do firmy Tsipona.

- Jeśli nie znajdę pracowników do obsługi wypraw, cofną mi pozwolenia.

Shan przystanął, szukając związku między słowami Amerykanina.

- Tragarze, którzy wrócili, kiedy znalazły się zwłoki Tenzi-na, znów odchodzą do domów. Nikt nie chce ze mną rozmawiać. Gdyby chodziło po prostu o pieniądze, mógłbym pójść do Tsipona. Ci ludzie wiedzą, że kiedy Urząd Bezpieczeństwa dowie się o dyrektorze Xie, stoki zaroją się od pałkarzy.

- Mimo wszystko powinien pan pójść do Tsipona. - Shan zaczął się zbierać do odejścia.

- Nie z tą sprawą. Jeden z Szerpów, którzy zostali, mówi, że wszyscy gromadzą się na wioskowym placu, prosząc wróżbitkę, żeby odczytała znaki. Widziałem, jak Kypo pędzi w stronę wioski. Znoszą wszystko, co nadaje się do wykorzystania jako broń. Twierdzą, że to, co robi Tenzin, dowodzi, jak rozgniewana jest góra.

Shanowi przebiegł dreszcz po plecach.

- Tenzin nie żyje.

- Jeden z wieśniaków przed odejściem wszedł do mojego namiotu. Napędził mi porządnego stracha. Powiedział, że Tenzin wciąż próbuje wstać z martwych, żeby służyć górze, a ktoś raz po raz go zabija.

Ośnieżone szczyty wyglądały jak srebrne wyspy pod gwiazdami gęstymi jak pyłek kwiatów. Yates jechał wolno niebezpieczną, krętą drogą, raz po raz hamując gwałtownie, gdy nocne górskie zwierzątka przebiegały im drogę. Po jednym z takich przystanków Shan zaczął ponaglać Amerykanina, by ruszył dalej, gdy spostrzegł, że Yates niespokojnym wzrokiem wpatruje się w leżącą na stoku ponad nimi wioskę. Tumkot było dziwnie rozświetlone, posyłając w nocne niebo własne migoczące gwiazdy. Na placu płonęło potężne ognisko.

- A jeśli to stos pogrzebowy Tenzina? - zapytał Yates. - Nie będziemy tam mile widziani.

- Nie zbudowaliby stosu na wioskowym placu - odparł Shan, mimo to jednak kazał mu wyłączyć reflektory. Ostatni kilometr pokonał, idąc przed samochodem i oświetlając drogę latarką Amerykanina.

Zostawili wóz sto metrów od wioski i resztę drogi przebyli na piechotę. Shan poprowadził Yatesa przez mroczne zaułki i schodki. Dwukrotnie musieli przywrzeć płasko do ściany, by ich nie dostrzeżono, raz kiedy główną ulicą przemaszerowało dwóch mężczyzn z widłami i później, gdy jakaś kobieta minęła ich pędem, niosąc białą płachtę i wiadro parującej wody.

Na podwórku za domem Kypo czekały na nich dwa duchy, jarzące się w blasku księżyca. Ani długowłosa biała koza, ani dziewczynka ubrana w jedną z białych koszulek rozdawanych w obozach alpinistycznych nie wydały dźwięku, śledziły ich tylko wylęknionym wzrokiem, kiedy wchodzili tylnymi drzwiami.

W środku, obok zajmujących parter przegród dla zwierząt, przy prowizorycznym stole, na którym spoczywały przykryte kocem zwłoki, stał Kypo.

- Oszaleliście? - warknął, kiedy wynurzyli się z cienia. - Macie pojęcie, co dzieje się na placu?

- Urząd Bezpieczeństwa nie wie jeszcze o śmierci Xie - przypomniał mu Shan.

- Tu nie chodzi o Xie, tu chodzi o poprzednie morderstwa. Cao uznał, że potrzeba mu więcej świadków. W miejskim garażu szykuje się do drogi konwój, z mapami okolic Tumkot.

Shan nie pytał, w jaki sposób Kypo poznał tak dobrze strzeżony sekret. Obaj znali kogoś, kto zbierał sekrety w garażach miasta. Kypo i Jomo najwyraźniej puścili w niepamięć stojącą między nimi przez tak długi czas urazę.

- Rano zablokują drogi, rozkażą wszystkim mężczyznom, kobietom i dzieciom zebrać się na placu. Każdy, kogo przyłapią bez dokumentów, zostanie aresztowany. Ale to nie dlatego tragarze odmawiają pracy - dodał Kypo, wskazując ciało. - To jest powód. Mówią, że jego dusza jest rozbijana na miazgę. Ilekroć bogini próbuje go zabrać, zostaje zabity ponownie.

Shan podszedł bliżej do stołu. Płonące na obu końcach kadzidło tradycyjnie służyło przywabianiu duchów. Kypo użył go jednak więcej niż zwykle, by zagłuszyć woń rozkładu. Choć ciało przeleżało większość czasu w chłodni, minął ponad tydzień, odkąd Shan sprowadził je z Czomolungmy.

- Nie biorę odpowiedzialności za to, co oni mogą zrobić, gdy zobaczą, że dotykasz tych zwłok - ostrzegł Kypo. - Zostały oczyszczone.

Z ciemności wynurzył się cień. Żona Kypo, ze ściągniętą lękami twarzą, stanęła obok męża.

- Co masz na myśli, mówiąc, że zostaje zabity ponownie? -zapytał Shan.

Odpowiedzi udzieliła mu żona Kypo. W jej oczach zapłonął przelotnie ostrzegawczy błysk, gdy zrobił kolejny krok w stronę ciała.

- Kości, serce, głowa - powiedziała nabrzmiałym przestroga głosem.

W drzwiach od ulicy widoczna jedynie jako ciemna sylwetka, pojawiła się kolejna postać. Zwalisty kowal, drugi mąż

w rodzinie, zaklął i zniechęca zamachnął się na Shana. Kypo uniesionym ramieniem zablokował jego pięść.

- Zabrałem go w tę drogę - oświadczył spokojnym głosem Shan - zanim połowa ludzi w Tumkot dowiedziała się w ogóle o jego śmierci.

Kowal odepchnął Kypo i zrobił w jego stronę kolejny krok, sięgając ręką do młotka u pasa.

- To on sprowadza z powrotem naszych zmarłych! - zawołał Kypo. - Zna słowa, które trzeba wypowiedzieć. Nosi gau. Był więźniem majora Cao - dodał, starając się jak najlepiej wytłumaczyć Shana.

Ramię olbrzyma znów się uniosło, tym razem wolniej. Shan się nie poruszył, gdy mężczyzna rozchylił mu kołnierz

i wydobyl zawieszona na szyi pudełko na amulet. Twarz kowala zmarszczyła się z zakłopotania. Nie protestował, kiedy żona odciągnęła go z powrotem.

- Wyjaśniłem już, że złamania kości są skutkiem upadku, że rany w jego piersi zostały zrobione przez pałkarzy - odezwał się Shan do Kypo. - To tłumaczy stan jego zwłok.

Ale jak powiedziała żona Kypo? Kości, serce, głowa.

Tybetańczyk wpatrywał się w niego bez słowa, jakby chciał mu powiedzieć, że niczego nie rozumiał.

Shan, kompletnie zbity z tropu, odchylił koc, by odsłonić tors.

- Ciało przekazano mi na szlaku nad drogą do bazy pod Czomolungmą. Pomogłem owinać je w płachtę i przywiązać do muła.

Do pomieszczenia weszły dwie Tybetanki, niosąc ofiary *torma*, małe, uformowane z masła figurki bóstw. Kiedy zajęły miejsca przy zwłokach, dołączył do nich nastoletni chłopiec o gniewnym spojrzeniu, trzymający przed sobą kij, jak gdyby chciał zastraszyć nim dwóch intruzów.

- Megan! - wykrzyknął nagle Yates. Pospiesznie zrzucił

plecak, wydobył z niego przenośny komputer i postawił go na niskiej ścianie jednej z przegród. Chwilę później ekran rozjarzył się, a on zaczął przewijać listę plików.

Shan spojrział na gromadzących się za Kypo Tybetańczyków. Było ich teraz ponad dziesięciu i wszyscy obserwowali go podejrzliwie. Niektórzy z nich trzymali w rękach przedmioty, które mogły posłużyć jako broń.

Yates, nie zważając na powiększający się, nieprzyjazny tłum, stuknął w klawisze laptopa.

- Megan ma... miała specjalną metodę odsiewania wspinaczy, którzy jej zdaniem nie daliby rady wejść na szczyt. Trzymała na swoim dysku plik ze zdjęciami. Podczas każdej wyprawy, w której brała udział, pilnowała, żeby każdy obejrzał je przed opuszczeniem bazy.

- Nie rozumiem - przyznał Shan.

Amerikanin z poważną miną skinął na niego, by podszedł do ekranu.

- Trupy - wyjaśnił po angielsku. - Ona kolekcjonowała trupy. - Zaczął przewijać serię makabrycznych zdjęć. - Zgodnie z tym, Tenzin był dwudziestą piątą ofiarą gór, którą sfotografowała.

Shan wzdrygnął się, rozpoznając Szerpę. On sam raz tylko wspinał się do obozów wysokościowych, był jednak wystarczająco wysoko, by ujrzeć trzy z owych makabrycznych, przymarzniętych do góry postaci, pokrywanych z wolna przez śnieg i lód. Spojrział na Yatesa zmieszany. Obraz na ekranie przedstawiał po prostu Tenzina leżącego nieruchomo u stóp skalnej ściany, z której spadł.

- Patrzyłem na to tego dnia, kiedy zabrał pan jego zwłoki - wyjaśnił Yates. - Miałem wrażenie, że coś jest nie tak, ale nie umiałem określić, o co chodzi.

Shan w milczeniu wpatrywał się w zdjęcie, nim znalazł odpowiedź. Owładnięty złym przecuciem wskazał stopy Tenzina.

Amerykanin się załamał.

- Do diabła, nie - jęknął zbolalym głosem. - Nie Tenzin. Istotnie było tak, jak gdyby Szerpa właśnie umarł po raz kolejny.

- O co chodzi? - zapytał Kypo za jego plecami.

- Buty - wyjaśnił Shan.

- Są na odwrót - powiedział Yates. - Ma prawy but na lewej nodze, a lewy na prawej.

- Ale co to oznacza? - zapytał Tybetańczyk.

- To oznacza, że został zamordowany - odparł Shan. - Powiniennem był to zauważyć - dodał z bólem w głosie. - Gdybym to widział, mógłbym... - Nie dokończył zdania. Co mógłby zrobić? Sam czuł się jak jeszcze jedna ofiara biegnąca przed czołem śmiertelnej lawiny, która ruszyła w dniu, w którym zginęła minister. Nie, ofuknął sam siebie, odwracając się znów w stronę zwłok. Ci wieśniacy zasługiwali na prawdę. Teraz wiedział już, że lawinę zapoczątkowała śmierć Tenzina, nie śmierć minister. - To oznacza - oświadczył - że Tenzina zabiła nie góra, lecz ręka człowieka. - Czy są tutaj jacyś jego krewni? - zapytał po chwili.

- Jest jego siostra ze swoim synem - odparł Kypo, wskazując kobietę po czterdziestce i nastoletniego chłopca z kijem w ręce. - Jego matka została w Nepalu.

- Muszą przewrócić go na brzuch - powiedział Shan.

- Został już obmyty - zaprotestowała siostra. - Oczyszczony przed przejściem do kolejnego wcielenia.

- A jakież to będzie przejście - zapytał Shan - jeśli nie możemy wyprawić go w drogę z prawdą? Muszę go obrócić. Myjąc go, zauważyliście coś, zauważyliście dowód trzeciego zabójstwa.

Kobieta spojrzała w zakłopotane twarze swoich towarzyszy, po czym skinęła na Kypo, nie na Shana, by pomógł obrócić zwłoki.

Kości, serce, głowa. Z początku wszyscy sądzili, że zginął w wyniku upadku, w którym doznał tak wielu złamań. Potem wpakowano mu dwie kule w serce. Trzecie zabójstwo Tenzina Shan odkrył, oglądając uważnie tył jego głowy.

Morderstwo zawsze wydawało mu się abstrakcyjne, dopóki nie zobaczył śladu śmiertelnego ciosu. W jego duszy, gdy patrzył na ranę u nasady karku Szerpy, zaczęła się rozrastać mroczna pustka, jednak złe przeczucia wkrótce wyparł wstyd. Powinien był wiedzieć. Zawiódł Tenzina i w ten sposób dał mordercy, a potem pałkarzom, swobodę manewru do uprawiania swych gier z mieszkańcami wzgórz.

Po chwili szepnął coś do ucha Kypo, po czym, gdy ten odszedł, czekał, nie zwracając uwagi na narastające zdenerwowanie Tybetańczyków, dopóki minutę później Kypo nie wrócił ze swego składziku, niosąc trzydziestocentymetrowej długości, zaostzony u dołu stalowy sztyft.

Shan wziął sztyft i pokazał go wszystkim, po czym rozgarnął gęste włosy u nasady szyi Tenzina.

- On nocował w świeżo założonym obozie wysokościowym. Jest tam dość ziemi i żwiru, by używać kołków namiotowych, takich jak ten. Ktoś podszedł i wbił mu go w nasadę karku. Momentalnie było po wszystkim, bez krwi, bez bólu. Potem zabójca wywłókł go ze śpiwora, ubrał go, w pośpiechu wkładając mu buty na odwrót, i zrzucił go z urwiska. - Zerknął na Kypo. - Używając przetartej liny, co do której było pewne, że się zerwie, by dopełnić obrazu odpadnięcia ofiary od skały. - Wydawało się tak oczywiste, że śmierć Tenzina była skutkiem upadku, że nikomu nie przyszło do głowy zadawać jakichkolwiek pytań. Shan spojrział raz jeszcze na niewielki otwór u nasady szyi Tenzina i dostrzegł drobinki ziemi na brzegu rany. Zabójca prawdopodobnie wyrwał kołek z ziemi, po czym wetknął go z powrotem, dokonawszy swego dzieła.

Wieśniacy zareagowali tak, jak gdyby Shan na ich oczach własnoręcznie wbił kołek w rdzeń kręgowy Tenzina.

- Górale nie mordują się nawzajem - warknął kowal. - To wy, obcy, go zabiliście!

- Ja go nie zabiłem - odparł Shan. - On też go nie zabił - dodał, wskazując Yatesa.

Jeden z mężczyzn zrobił krok naprzód, unosząc do ciosu rękę z siekierą. Yates umknął w cień. To tyle, jeśli chodzi o sojuszników, pomyślał Shan. Cofnął się, unikając cięcia, jednak inny z mieszkańców wioski, z twarzą pociemniałą z gniewu, zaszedł go z boku, ściskając w dłoni krótką pałkę.

Nagle Amerykanin wrócił, niosąc motykę na długim trzonku. Zaczął wywijać nią, oczyszczając kilkudziesięciocentymetrowy krąg wokół Shana.

- Możemy położyć temu kres tu i teraz! - warknął kowal. - Niech sprawiedliwości stanie się zadość! Trzech zmieści się na stosie równie dobrze jak jeden! - Ruszył naprzód.

Dwaj mężczyźni, ten z pałką i ten z siekierą, poszli w jego ślady.

Nagle u boku Shana zjawiała się Ama Apte, wyciągając przed siebie rękę, w której trzymała naszyjnik z wisiorkiem - czaszką z kości słoniowej. Zatoczyła nią łuk, wodząc wzrokiem po wszystkich obecnych, dopóki nie cofnęli się o krok, po czym zadyndała czaszką przed twarzą kowala.

- Wystarczy, Ama Apte - powiedział mężczyzna silnym głosem, w którym jednak była teraz nuta błagania, nie gniewu.

- Zostawcie ich i stos Tenzina w spokoju. Góra nie skończyła jeszcze - odezwała się rozkazującym tonem wróżbitka, po czym weszła pomiędzy Shana a Yatesa, który opuścił motykę. Uniosła rękę Shana. - Ten człowiek jest związany ze zmarłymi, którym góra odebrała życie - oświadczyła. Drugą dłonią chwyciła nadgarstek Yatesa, który drgnął zaskoczony, i pokazała Tybetańczykom jego okaleczony palec. - A on także

został naznaczony przez górę - ciągnęła. - Ona ma względem nich plany. Kości wróżebne potwierdziły to dzisiejszej nocy. -Nie opuszczała rąk, trzymając ich w mocnym uścisku. Pachniała aloesem, stosowanym przez wielu Tybetańczyków jako lekarstwo. Na napiętku dłoni, którą trzymała Shana, widać było plamkę zaschniętej krwi. Gdy się poruszyła, jej srebrne naszyjniki zabrzęczały lekko i Shan przypomniał sobie słowa rannego kierowcy więziennego autobusu. Kiedy do pojazdu weszło yeti - by, jak właśnie zrozumiał, wykraść akta więźniów - kierowca słyszał cichutkie dzwonięcie.

Sprzeciw wróżbitki nie powstrzymał gniewnych mężczyzn na przedzie, jednak na pozostałych jej słowa podziałały niczym magiczne zaklęcie. Ich wściekłość się ulotniła. Niektórzy pokiwali głowami i zniknęli w ciemnościach nocy. Kypo wśliznął się między matkę a kowalę, wpatrując się w niego z wyzwaniem w oczach, dopóki osiłek, wymamrotawszy coś, nie odstał w tył i nie wyszedł ze swymi kompanami na ulicę.

Gdy pomieszczenie opustoszało, Shan odwrócił się do siostry martwego Szerpy.

- Pomożemy ci obmyć go ponownie - powiedział przeproszającym tonem.

Kypo wyszedł i zaraz wrócił, przynosząc nowe laseczki kadzidła, a jego żona miski z wodą. Siostra Tenzina przyjęła ich pomoc w przygotowaniach, ale nie pozwoliła im już więcej dotykać zwłok. Przyglądając się ich zabiegom z ciemnych przegród dla zwierząt, Shan zapytał Yatesa o ostatnią noc życia Tenzina.

- Trzech Szerpów wyruszyło w górę szukać miejsc pod obozy pośrednie - wyjaśnił Amerykanin, po czym Shan usłyszał znajomo brzmiący opis harówki związanej z zakładaniem nowego zespołu obozów pomocniczych powyżej bazy, sprawdzaniem wytrzymałości nawisów lodowych, rozpinaniem lin poręczowych na najtrudniejszych ścianach, szukaniem dogod-

nych miejsc na punkty postojowe osłonięte przed nieustannie wiejącym w górnych partiach stoków przenikliwym wiatrem. Wszyscy trzej zgodnie z planem mieli trzymać się razem, jednak niespodziewana śnieżycą rozdzieliła ich podczas zejścia po rozbiciu namiotu w najwyższym obozie pośrednim. Tenzin kontynuował zejście, podczas gdy pozostali dali za wygraną i wrócili na noc do górnego namiotu. Następnego ranka Tenzin, niezmordowany jak zawsze, powiedział przez radiotelefon, że zabiera się do urządzania ćwiczebnej ścianki wspinaczkowej dla klientów aklimatyzujących się w obozie. Kiedy pozostali Szerpowie w końcu zeszli, nie mogli go znaleźć i skontaktowali się przez radio z Megan, swoją szefową. Rozpoczęły się poszukiwania z góry i z dołu. Dwie godziny później Megan wypatrzyła jego ciało przez lornetkę. - Tamtej nocy w bazie było przeszło sto osób - wyjaśnił Yates - a ponieważ niebo się wypogodziło i księżyc świecił jasno, każdy mógł się wspiąć do obozu, gdzie spał Tenzin.

- Najważniejsze pytanie - myślał głośno Shan - brzmi nie: kto mógł się tam wspiąć, ale dlaczego Szerpa, który dopiero co przybył z Nepalu na czas sezonu, zagrażał komuś tak bardzo, że trzeba było go zabić.

Ognisko na placu dogasało już, gdy wraz z Yatesem wymknął się na zewnątrz, prowadząc Amerykanina do domu Amy Apte. Byli już na skraju placu, gdy drogę zagroził im Kypo.

- Kiedy poznał pan moją matkę? - zapytał nerwowo Amerykanina.

- Aż do tej pory jej nie znałem - odparł Yates, rzucając Sha-nowi porozumiewawcze spojrzenie, które mówiło, że nie zapomniał dziwnego spotkania w obozie bazowym. Shan spostrzegł, że Amerykanin wpatruje się w okaleczony palec, który Arna Apte pokazała zebranym. - To nic nie znaczy - dodał pośpiesznie. - Zauważyła mój palec i postanowiła posłużyć się nim dla uspokojenia tłumu.

Gdy jego dwaj towarzysze niepewnie mierzyli się wzrokiem, na niebie ponad południowym horyzontem rozbłysło czerwone światło i zniknęło za jednym ze szczytów. Górskie służby specjalne niekiedy używały podczas patroli czujników podczerwieni, a poza okolicami Everestu znane były z tego, że strzelają do wszystkiego, co się rusza w obrębie półtora kilometra od granicy, bez względu na to, czy jest to człowiek, czy zwierzę. Shan, śmiertelnie zmęczony, w roztargnieniu śledził lot racy, idąc za Kypo przez centralny plac w stronę domu jego matki. Połowa mieszkańców wioski wciąż kręciła się po placu, słuchając przemowy mężczyzny opowiadającego, jak to Urząd do spraw Wyznań zniszczył zapasy jęczmienia jakiegoś chłopca, ponieważ podejrzewał go o pomaganie zbiegłym mnichom, i straszącego, że pałkarze zrobią to samo im wszystkim, kiedy przyjdą.

Kolejne czerwone światło pojawiło się na mgnienie oka między dwoma grzbietami na północy. Shan, nagle rozbudzony i przerażony do żywego, chwycił Kypo za ramię.

- Każ im się rozejść! - powiedział nagłaco. - Zgaś ogień i każ im wracać do domów!

- O czym ty mówisz?

- Pałkarze przyjdą dziś w nocy, nie jutro! Chcą zastać mieszkańców wioski w stanie wrzenia, chcą oporu, żeby móc usprawiedliwić aresztowanie wszystkich.

Kypo przysunął latarkę do jego twarzy, wpatrując się w nią badawczo, jak gdyby licząc, że dostrzeże na niej ślad oszustwa, po czym jedynie pokręcił z przygnębieniem głową.

- To zaszło za daleko. Niektórzy popili sobie. Oni chcą walki z pałkarzami.

- Więc twoja matka...

- Moja matka wystawiła się już dziś na wystarczające niebezpieczeństwo - uciął Kypo.

Shan miał wrażenie, że klatkę piersiową ścisną mu imadło. Wiedział, do czego jest zdolny Urząd Bezpieczeństwa, ale był

prawdopodobnie jednym z nielicznych ludzi w wiosce, którzy doświadczyli tego na własnej skórze. Z rozpaczą wpatrywał się w ogień, oczyma wyobraźni widząc już, jak zniszczenie lumkot staje się jeszcze jedną z tragicznych opowieści przekazywanych sobie z ust do ust przy ogniskach, jeszcze jedną historią Tybetańczyków znękanych przez czasy, w których przyszło im żyć.

- W takim razie zabierz stąd Gyalo.

- O czym ty mówisz? - zaprotestował Kypo. - Nie wiem...

- Nie ma już czasu na udawanie. On jest w domu twojej matki. Zabierz go, zapakuj do samochodu Yatesa i wywieź do podziemnego pomieszczenia w mojej stajni. I znajdź mi czterech trzeźwych ludzi, którym można zaufać.

Major Cao nie odezwał się słowem, kiedy Shan otworzył drzwi i usiadł za kierownicą jego samochodu terenowego, który stał poniżej wioski, nie zareagował, gdy cztery ciemne postacie rozstawiły się wokół pojazdu. Był przyzwyczajony do postaci w cieniu i nawet przez chwilę nie przyszłoby mu do głowy, że ktokolwiek poza innymi pałkarzami mógłby mieć taką śmiałość.

Shan położył dłonie na kierownicy, tak by były widoczne.

- Odwołacie dzisiejszy nalot - oświadczył.

Cao gwałtownie uniósł głowę, sięgnął dłonią do kabury, po czym zamarł, zauważywszy otaczające samochód postacie.

- Jesteście już trupem, Shan - syknął.

Waszym problemem, towarzyszu majorze, jest to, że nie rozumiecie, jak przebiegają śledztwa dotyczące pekińskich dygnitarzy. Ja prowadziłem je przez dwadzieścia lat. Wszystko jest w ruchu, wszystko jest elementem gry, nawet śledczy. Zwłaszcza śledczy. Nim się obejrzyicie, zwrócą się przeciwko wam. Nie będzie miało znaczenia, jak wielu antyspołecznych

Tybetańczyków uda się wam zaaresztować. Czy zastanawialiście się, dlaczego do tak ważnego śledztwa wysłano właśnie was, oficera z Lhasy, a nie kogoś z Pekinu? Jesteście zabezpieczeniem na wypadek niepowodzenia. Jeśli sprawy potoczą się źle, zrobią z was spiskowca. Parę drobnych zmian w waszych materiałach ze śledztwa i nagle stajecie się współsprawcą zbrodni.

- Zacznę z wami od kości stóp - warknął Cao. - Zachowam was przy życiu przez miesiąc lub dwa. Ale po pierwszej godzinie już nigdy nie będziecie chodzić.

- Czy myślicie, że towarzyska Zheng przyjechała tu, żeby pooddychać górskim powietrzem? Czy kiedykolwiek przyszło wam do głowy zapytać, jaka jest jej rola?

- Obserwatorka.

- Nie. Ona jest z ministerstwa sprawiedliwości. Nie znam jej, ale znam ten typ. Mógłbym się założyć, że ma uprawnienia prokuratora. A to sprawia, że w tej chwili jest dla was najbardziej niebezpieczną osobą w tym okręgu.

- Absurd. Ona tylko uczestniczy w zebraniach i robi notatki.

- Poprosi was o dokumentację. To właśnie będzie pierwszy sygnał, że zaczynają wątpić w wasze zdolności, że zaczynają obmyślać własną wersję tej zbrodni.

Światła księżycowego było akurat tyle, by Shan mógł dostrzec grymas na twarzy Cao.

- Autobus Urzędu Bezpieczeństwa wpada w zasadzkę, a minister ginie w zamachu o rzut kamieniem dalej. Ona wie, że między tymi wydarzeniami musi istnieć związek, i każda godzina, jaką tracicie, udając, że jest inaczej, przybliża was do niełaski. - Zdawało się, że Cao wstrzymał na chwilę oddech. Domysł Shana co do towarzyski Zheng był słuszny. - Zostało wam najwyżej kilka dni. Potem powstaną nowe raporty, w których pojawi się wasze nazwisko.

- Cierpicie na urojenia. Pracuję w urzędzie od piętnastu lat. Coś takiego nigdy się nie zdarzy.

- Macie wszelkie dowody, jakich wam trzeba, żeby uwierzyć, że może się to zdarzyć.

Cao obrócił głowę w jego stronę.

- Ja jestem tym dowodem. Przeczytajcie jeszcze raz moje akta.

Cao milczał przez długą chwilę.

- Wedle całej posiadanej przeze mnie wiedzy byliście współnikami Tana w tym zamachu - powiedział w końcu.

- Kolejny element, którego nie docenicie, to obecność obcokrajowców. - Gdy Shan mówił te słowa, prawa strona pojazdu zaczęła się zapadać. Zgodnie z jego poleceniem, ludzie Kypo spuszczali powietrze z opon. Był to niezwykle subtelny akt oporu, wystarczył jednak, by Cao stracił pewność siebie. Nie miał sposobu dowiedzieć się, jak wiele mrocznych postaci czało się w ciemnościach wokół jego samochodu.

- Nie macie gdzie się ukryć, Shan - warknął. - Jeśli zaatakujecie funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa, zapłacicie za to własnym życiem.

- Proszę wziąć pod uwagę pewne subtelności, towarzyszu majorze - spokojnie odparł Shan. - Na tym etapie waszej kariery to one decydują o wszystkim. To jest tylko nieoficjalna rozmowa. Nazwijmy to doradztwem zawodowym. To, co zrobicie tej nocy, trafi na nagłówki zachodnich gazet. Cała okolica pełna jest alpinistów i turystów z Ameryki i Europy, z których większość ma aparaty fotograficzne. Nim minie lurzejszy ranek, będą udzielali przez telefony satelitarne wywiadów reporterom w swych ojczystych krajach. Praktycznie w cieniu Everestu brutalny ciemiezca napada na osadę spokojnych Tybetańczyków jedynie po to, by jakiś biurokrata z Urzędu Bezpieczeństwa mógł odwrócić uwagę zwierzchników od swego spartolonego śledztwa. Możecie być teraz

w bardzo trudnej sytuacji, ale wciąż jeszcze macie szansę wyjść z tego zwycięsko. Jednak pierwszy telefon z ambasady do ministra bezpieczeństwa publicznego położy kres waszej karierze raz na zawsze. Znajdą wam latrynę na granicy z Wietnamem, którą będziecie szorować przez najbliższe dziesięć lat.

- Zakończyłem już śledztwo. Mam mordercę. Proces odbędzie się w przyszłym tygodniu.

- Nie. Obaj wiemy, że gdybyście skończyli, nie byłoby was dziś tutaj. Jeszcze nigdy nie mieliście do czynienia z więźniem, który nie chce mówić. Musicie uzyskać dowody z jakiegoś innego źródła. Musicie pobrudzić sobie ręce. To dlatego tu jesteście, by zbadać rynek nowych świadków.

- Zgarniemy was po prostu z całą resztą - prychnął Cao. -Zaginiecie w zamieszaniu. Z człowieka bez dokumentów nie trzeba się rozliczać. Nikt może w mgnieniu oka stać się niczym.

Shan z przesadnym westchnieniem sięgnął do klamki od drzwi.

- Zostawiam was z waszymi mądrościami. Mówiłem wam już chyba, że jesteście zbyt wielkim erudytą do tej pracy. Za dużo mądrzenia się, za mało rozeznania. Nie pojęliście najbardziej elementarej prawdy o waszych chlebodawcach. Im wyżej mierzycie, tym niższy musi być mianownik, na którym opieracie swoje działania. Boję się o was, majorze. Możecie nie przetrwać tak długo jak ja.

- Przyrzekam, że przetrwam wystarczająco długo, żeby was zniszczyć.

- Więc czeka was trudna decyzja. Możecie albo zniszczyć mnie, albo odkryć prawdę o tym, co zaszło tamtego dnia na szosie do bazy pod Everestem.

Shan zaczął już otwierać drzwi, gdy Cao odezwał się znowu.

- Nie przyjechałem tu dziś tylko po to, by szukać chuliga-

nów. Jest też sprawa zwłok, które w tajemniczy sposób zniknęły z doświadczonego szpitala. Wtargnięcie na teren ściśle tajnego obiektu to atak na państwo. Kradzież dowodów zbrodni głównej. Teraz ta napaść na mnie. To wystarczy, by skazać was kilkakrotnie na karę śmierci.

- Mógłbym zrozumieć zgubienie tu ręki, tam nogi, ale kompletne ciało? - odparł spokojnie Shan. - To mi wygląda na poważne zaniedbanie.

- Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, kiedy się dowiedziałem, że to wy sprowadzaliście te zwłoki z Everestu do tej właśnie wioski. Nauczyłem się badać moich wrogów, zanim rozerwę ich na strzępy. Jesteście, podobnie jak ja, człowiekiem fanatycznie oddanym swoim obowiązkom.

Shan wystawił jedną nogę za drzwi, w milczeniu rozglądając się po otaczających cieniach, przez ulotną, rozpaczliwą chwilę mówiąc sobie, że w ciemnościach czekają ludzie, którzy na jedno jego słowo z radością uwolniliby świat od Cao.

- Padacie ofiarą własnych technik, towarzyszu majorze. Powinniście porozmawiać z lekarzem, który wykonywał sekcję tego Szerpy. Zapomnijcie o raporcie, który przysłano wam do akt. Wytłumaczcie mu, że potrzebujecie prawdy. Gdybyście zadali sobie trud spojrzenia na ciało, nawet wy zauważylibyście, że te dwie rany postrzałowe zadano mu już po śmierci, kulami znacznie większego kalibru. Ale on faktycznie został zamordowany, zabity we śnie na stoku ponad bazą. Kierownicy zagranicznych wypraw mają zdjęcia, mają dowody, które o tym świadczą. Kiedy opublikują zdjęcia jednego z najlepszych Szerpów zamordowanego na Evereście i opowiedzą, jak władze ukryły ciało, na środowisko alpinistów podziała to jak wybuch bomby atomowej. Przez całe lata nikt nie zapłaci grosza za wspinanie się po chińskiej stronie góry. Ile milionów zysku przewidywała minister w swym nowym modelu gospodarczym? Pięćdziesiąt? Sto? Zasłyniecie jako człowiek, przez

którego to wszystko przepadło. Człowiek, który okrył Chiny hańbą na arenie międzynarodowej. Wasza gwiazda nie zblednie. Zostanie zgaszona z dnia na dzień.

To były kategorie, które Cao rozumiał. Nie znalazł odpowiedzi.

Shan przyglądał się jego tonącej w cieniu twarzy, pobrużdżonej teraz troską.

- Zaproponuję wam, towarzyszu majorze, układ, który może was jeszcze uratować.

- Nie macie mi nic do zaoferowania - warknął Cao.

- Jedźcie dziś w nocy do gompie Sarma. Odkryjecie tam następną ofiarę morderstwa.

- O czym wy mówicie?

- Dyrektor Xie nie żyje.

- Niemożliwe! Widziałem go parę godzin temu.

- Przypuszczam, że macie telefon satelitarny, tak samo jak Xie. Zadzwońcie do niego.

Cao spiorunował go wzrokiem, jednak po długiej chwili otworzył skrytkę, wyjął telefon i wystukał numer. Shan słyszał, jak dzwoni, pięć razy, dziesięć razy. W końcu Cao wyłączył go i siedział, gapiąc się na niego.

- Znalazłem jego ciało o zachodzie słońca - ciągnął Shan. -Z pewnością nikt jeszcze tego nie zgłosił. Zabezpieczcie teren. Zadzwońcie do Lhasy. Powiedzcie im, że waszym zdaniem należy utrzymać to w tajemnicy, by uniknąć plotek o niepokojach społecznych. Powiedzcie im to, zanim oni zdążą powiedzieć to wam. Powiedzcie, że potrzebujecie czasu, by załatwić sprawę po cichu, dla dobra państwa. Powiedzcie im, że usiłujecie wyjaśnić, dlaczego Xie był w gompie sam. Potem zastanówcie się, co powiedzieć towarzysze Zheng, kiedy o to zapyta. Lhasa zadzwoni do Pekinu. Pekin zadzwoni do niej. Gdy zobaczycie się z nią następnym razem, lepiej uderzcie czołem o podłogę.

Gniew na twarzy Cao z wolna zastąpiło zaniepokojenie.

- Jesteście pewni, że Xie nie żyje?
 - Nie żyje na sto procent, jak sami się przekonacie.
 - Dlaczego proponujecie układ? Właśnie daliście mi wszystko.
 - Znajdźcie zwłoki na tyłach ruin gompy. Zadzwońcie do swojej centrali. Sprowadźcie karetkę z fabryki yeti, żeby po cichu zabrać to, co zostało z jego ciała. W zamian proszę was tylko, żebyście odwołali rozkaz przeniesienia pułkownika Tana.
 - Dlaczego miałbym to zrobić?
 - Żeby oszczędzić sobie kłopotliwej konieczności uwalniania go z więzienia, kiedy odkryty zostanie prawdziwy zabójca. Żeby zapłacić za przysługę, którą wam wyświadczam.
 - Powiedzieliście mi już wszystko, co muszę wiedzieć. Shan spojrział na wyłaniający się między dwoma szczytami księżyc.
 - W takim razie ocalę waszą karierę. Zatrzymajcie Tana w mieście, a ja dostarczę wam prawdziwego mordercę. Antena zamontowana na tym samochodzie została uszkodzona - dodał, wysiadając. - Wśród skał ukryci są ludzie. Jeśli wysiądziecie z wozu przed upływem godziny, nie odpowiadam za skutki.
- Gdy Cao zapalił papierosa, Shan dostrzegł, że jego dłoń drży.
- Kiedy będzie już po wszystkim, Shan - warknął major - będziecie klęczeć przede mną, błagając, żebym was zastrzelił.

Rozdział 11

Gyalo przeszedł na inny poziom egzystencji. Lżył bogów, recytował jednym tchem nazwy poszczególnych poziomów piekła, jakby zdawał egzamin przed jakimś pradawnym guru.

- Przez całą drogę tutaj - powiedział zboląłym głosem Kypo, siadając na stołku w podziemnej kaplicy - wykrzykiwał wersety z sutr i próbował się wydostać z samochodu. Musiałem go przytrzymać.

Nie było nic dziwnego w tym, że pijanego lamę porzucono na pewną śmierć. Jedną rękę miał złamaną, w głowę kopano go tak długo, aż jedna jej strona zaczęła wyglądać jak papkowaty, zgniły owoc. Dwa palce były unieruchomione łubkami. Jedno oko miał opuchnięte tak, że nie dawało się otworzyć. Z ust w miejscu, gdzie wybito mu ząb, spływała strużka krwi. Ktokolwiek zaatakował go i wrzucił do dołu, sądził, że pozbywa się trupa.

- Odesłałem Yatesa - wyjaśnił Kypo. - Był bardzo zdenerwowany. Powiedział, że ma coś do zrobienia w bazie, ale zachowywał się, jakby czuł się winny tego, co się stało.

Shan przyjrzał się złamanej ręce. Była fachowo złożona i ujęta w łubki.

- Amerykanin to zrobił?

- Moja matka. Kiedy przynieśliśmy go do niej, w pierwszej chwili powiedziała tylko: „Niech stary sukinsyn zdycha”, i odwróciła się tyłem. Ale później wróciła z apteczką i zaję-

ła się nim. Kazała powiedzieć mu, że bogowie zatroszczą się o niego nawet wbrew jego woli. Kiedy się obudził, zaczął krzyczeć tak, jak słyszysz.

- Wykrzykiwał to samo co teraz? - zapytał Shan.

- Przeważnie. - Kypo zastanowił się chwilę. - Nucił jak przerażone dziecko modlitwy mnichów, zaklęcia przeciwko demonom. Sprawiało to wrażenie, jakby bardziej bał się nas niż tych, którzy go napadli. Wyciągnął do mnie ręce i powiedział: „Daj mi umrzeć”. A ona go uderzyła.

Shan uniósł wzrok, niepewny, czy się nie przesłyszał.

- Twoja matka uderzyła Gyalo? Kypo skinął głową.

- Krótkim drągiem. Ogłuszyła go. Powiedziała, że nie może ryzykować, iż sąsiedzi usłyszą, że on musi być cicho, żeby mogła złożyć mu rękę. Ale miałem wrażenie, że jest zadowolona, że ma pretekst, żeby go uderzyć. - Spojrzał badawczo w twarz Shana, jakby liczył na wyjaśnienie.

- Skąd ona go знаła? Myślałem, że nigdy nie bywała w mieście.

Kypo wzruszył ramionami.

- A Gyalo nigdy nie opuszczał miasta. Przez chwilę, zanim go ogłuszyła, próbował się czołgać do drzwi. - Znów wzruszył ramionami. - Od lat ma nie po kolei w głowie. To już stary dziadek. Alkoholik.

- Znam wielu Tybetańczyków znacznie starszych od niego.

- Na tyle stary, że pamięta jeszcze inny Tybet, chciałem powiedzieć.

Shan zastanowił się nad tymi słowami. Miał wrażenie, że niczym niesiony wiatrem liść musnął go właśnie strzęp prawdy. Niegdyś wszystkie jego śledztwa były linearne, jeden fakt łączył się z następnym w logiczny ciąg wiodący prostą drogą do prawdy. W Tybecie jednak wszystkie jego zagadki przypominały gigantyczne thanki, tradycyjne malowidła religijne za-

pełnione nakładającymi się wizerunkami bóstw, udręczonych ludzi, demonów opiekuńczych, a nawet alternatywnych światów, połączonych nie tyle przez wydarzenia, ile przez oczekiwania i nadzieje, przez związki zadziergnięte w innych, wcześniejszych buddyjskich wcieleniach.

- Czy twoja matka zawsze była wróżbitką? - zapytał.

- Oczywiście. To jej fach.

- Czyjej ojciec był wróżbitą? Albo matka?

Kypo zmarszczył brwi, pochylając się nad byłym lamą. Nie odpowiedział.

W milczeniu umyli Gyalo, po czym ubrali go w czyste rzeczy ze skapej garderoby Shana. Kypo wyciągnął mały stożek kadzidła i zapalił go przy posłaniu starca, a Shan zapalił więcej lampek maślanych.

- On może mimo wszystko umrzeć - zauważył ponurym tonem. - Myślę, że on chce umrzeć. Co miasto pocznie bez niego? Ludzie nazywają go maskotką. Ale on jest czymś innym, czymś, czego nikt z nas nie rozumie.

- Myślę, że on jest raczej czymś w rodzaju nauczyciela - odparł Shan. - Takiego, który odgrywa pewne role, by uzmysłwić nam coś. Tyle tylko, że dawno temu zapomniał, jak znów stać się sobą.

Gyalo poruszył się i zakaszłał, gdy Shan przystawił mu do warg kubek wody. Nie zwracając uwagi na naczynie, chwycił go za rękę i przyjrzał się jej badawczo, jak gdyby chciał się upewnić, że nie jest duchem. W jego oczach nie było nic poza goryczą, kiedy uniósł wzrok i rozpoznał go.

- Teraz wiem już, że jestem w piekle - wymamrotał, po czym odpłynął w sen.

Shan usiadł na kocu w kącie mrocznego pomieszczenia. Chciał zrekonstruować w myślach swą układankę, uzupełniając ją o nowo poznane elementy. Jednak wyczerpanie, z którym się zmagał, w końcu wzięło górę. Kiedy godzinę później

otworzył na chwilę oczy, Kypo nie było. Gdy otworzył je ponownie, Jomo, z dzbankiem gorącej herbaty, poił swego ojca. Znacznie później, kiedy rozbudził się już zupełnie, Jomo nie było, a na niskim stołku między Shanem a Gyalo leżało kilka świeżych pierożków momo.

Były lama siedział wyprostowany, patrząc zdrowym okiem na wyblakłe malowidła na ścianach. Jego twarz miała dziwnie nieobecny wyraz, bez śladu bólu, bez śladu jego zwykłego zamroczenia alkoholowego. Wpatrywał się w wizerunek demona, przedstawiony w centrum przeciwległej ściany. Był to obrońca Mahakala, wyobrażony w swej niebieskiej, czterorękiej formie, trzymający czarę z czaszki i miecz, przystrojony girlandą z ludzkich głów.

- Znałem kiedyś miejsce podobne do tego - odezwał się zdartym głosem stary Tybetańczyk - ale zostało zniszczone.

- Tunele prowadzące do świątyni zostały zasypane gruzem - wyjaśnił Shan. - Ale było wyjście przez stajnię, prawdopodobnie zapomniane na długo przed zniszczeniem gompy. Oczyszczałem je wystarczająco, żeby móc wejść.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- To przez te bóstwa. Sprawiały wrażenie pogrzebanych żywcem. Musiałem je wyzwolić.

- Przerazały cię - burknął Gyalo. - Rzuciły na ciebie czar.

- Rzuciły na mnie czar - przyznał bez oporów Shan.

Wilgotny, chrapliwy rechot, który wydobył się z gardła Gyalo, przeszedł w jęk i Tybetańczyk chwycił się za bok, zginając się wpół z bólu. Bandaż na ramieniu, które nie było złamane, przesiąkł krwią, ale Shan nie miał świeżego, by go zmienić.

- Kto ci to zrobił, Gyalo?

- Muszę się napić. Czegoś mocniejszego.

- Z tej garstki ludzi, którzy wiedzą, że tu jesteś, nikt nie przyniesie ci alkoholu.

- W takim razie równie dobrze mogę umrzeć.

- Kto to zrobił? - powtórzył Shan.

Kiedy Gyalo przemówił w końcu, zwrócił się do demona na ścianie, jak gdyby wolał rozmawiać z dawnym bogiem.

- Dwóch nieznanym w ciemnych bluzach sportowych, z kapturami na głowach. - Jego głos był suchy jak pieprz. - Osilki, potężni jak jaki. Nie przedstawili się. W cieniu stał ktoś jeszcze, jakby przyglądał się widowisku.

- Czego chcieli?

- Najpierw przywitali się i wręczyli mi butelkę, jak gdyby przyszli po błogosławieństwo. Kiedy się napiłem, zaczęli mówić więcej.

- Co mówili?

- Pytali. Kto rozmawiał ze mną o świątyni Jamy, która była w górach. Komu dałem sierp z napisem na ostrzu. - Jego ciałem wstrząsnął spazm bólu i znów splunął krwią. Zaczął dygotać.

Shan zdjął z kołka przy wejściu wyświechtaną czubę z owczej skóry i przykrył nią starca.

- Więc powiedziałaś im o Amerykaninie i o mnie. Gyalo spojrzał na demona.

- Nie od razu.

Shan z zaskoczeniem uniósł wzrok. Pijany lama nie naraził się chyba na pobicie, próbując chronić jego i Yatesa.

- W szafce - powiedział ni stąd, ni zowąd Tybetańczyk, wskazując małą wnękę w zakurzonej kamiennej ścianie.

- Tam nie ma żadnej szafki - odparł zbity z tropu Shan. W niewielkim, prostopadłościennym zagłębieniu mogły się niegdyś znajdować półki, ale nie pozostał po nich żaden ślad.

Gyalo z ogromnym wysiłkiem uniósł palec i uparcie wskazywał nim wnękę. Shan wstał, zabierając ze sobą lampkę, by pokazać mu, że wnęka jest pusta. Lecz gdy Tybetańczyk chrząknął i jeszcze raz dźgnął palcem, zaczął opukiwać po-

wierzchnię ściany, aż w końcu, po lewej stronie na wysokości barków, usłyszał głuchy pogłos. Wbił palce w pokryty warstwą kurzu kamień, drapiąc, dopóki nie natrafił na krawędź płyty i pociągnął ją. Drzwiczki otworzyły się, wzbijając obłoczek kurzu. Sięgnął do środka i wyjął stamtąd wyrzeźbioną z drewna piętnastocentymetrowej wysokości malowaną figurkę. Był to Mahakala, obrońca wiernych, w swej groźnej formie o niebieskiej skórze, taki sam jak ten z malowidła na ścianie. Shan zdmuchnął kurz z figurki i postawił ją na stołku obok Gyalo.

Ujrawszy posążek, Tybetańczyk odprężył się i przez chwilę Shanowi wydawało się, że widzi lamę sprzed pięćdziesięciu lat. Potem jednak Gyalo zaczął się ślaniać i znów zemdłał, wydusiwszy z siebie jedynie kilka słów.

- Spójrz na tego starego głupca - powiedział, mając na myśli małe bóstwo - co on wie?

Shan przez długi czas przyglądał się żalotnemu lamie, obracając w myślach elementy łamigłówek. W końcu zebrał kilka stęchłych worków, by zrobić z nich poduszkę, i otulił śpiącego Tybetańczyka kocem.

Tym razem nie szukał pomocy u posterunkowego, nim udał się pod tylną bramę więzienia. Ekipa sprzątająca zjawiała się punktualnie. Nikt nie odezwał się słowem, gdy ponownie przyłączył się do nich. Niewidzialni pracownicy, którzy zapewniali funkcjonowanie Tybetu, byli często niewidzialni także dla siebie nawzajem.

Cao odwołał rozkaz wywiezienia swego więźnia z okręgu. Tan leżał na pryczy, przykryty brudnym kocem, z drugim kocem zrolowanym pod głową zamiast poduszki. Jego twarz skrywał cień, Shan zauważył jednak, że pułkownik wstrzymał na chwilę oddech, gdy stanął przed drzwiami celi.

Muszę wiedzieć, jak poznaliście towarzyszkę minister

powiedział. - Muszę wiedzieć, dlaczego chcieliście się z nią widzieć.

Tan wstał, podszedł do umywalki po kubek i wbijając w Sha-na nieruchome spojrzenie, nasikał do niego. Gdy skończył, powłócząc nogą, pokuśtykał do drzwi celi.

- Cieszy mnie, że wasz organizm wciąż funkcjonuje poprawnie - stwierdził Shan, odstępując parę kroków w tył.

- Zabierajcie się w jasną cholere! - warknął Tan. Jego twarz znalazła się teraz w pełnym świetle i Shan mógł dostrzec, jak obwisła; widział na niej sińce i skaleczenia. Choć oczy pułkownika nadal płonęły zimnym ogniem, nie było w nich już ani odrobiny arogancji, jedynie nienawiść.

- Sądziłem, że zabójca w jakiś sposób ukradł wam pistolet. Potem jednak odkryłem, że minister w noc przed śmiercią przyjmowała kogoś w swoim pokoju. Usiłowałem znaleźć jakąś teorię wyjaśniającą, jak zabójca zdobył waszą broń. Nie oddalibyście jej bez walki, a gdyby ją skradziono, postawilibyście cały Urząd Bezpieczeństwa na równe nogi. Nauczyłem się podejrzliwości wobec skomplikowanych wyjaśnień. Przekonałem się, że prawdziwe jest najczęściej to najprostsze. To wy byliście jej gościem i to ona zabrała wam pistolet. Byliście zbyt zażenowani, by zgłosić, że pozwoliliście odebrać go sobie wysokiemu urzędnikowi państwowemu, i do tego kobiecie.

Tan, najwyraźniej uznając, że nie dosięgnie Shana, wyciągnął rękę z kubkiem przez kraty i wychlusnął mocz łukiem przed drzwiami celi, jak gdyby rzucał urok dla odegnania złego ducha. Dłoń jednak zaczęła mu drgać tak, że zawartość kubka obryzgała mu rękę. Wypuścił go i ścisnął dłoń pod pachą.

Shan w milczeniu przyniósł myjkę i wiadro, które zostawił na końcu korytarza, wytarł kałużę, po czym znalazł w jednej z pustych cel inny kubek i rzucił go na prycę Tana. Potem wyciągnął z kieszeni torebkę i podał mu ją przez kraty. Tan odtrą-

cił ją pacnięciem, które wyrwało mu ją z ręki, tak że zawartość wysypała się pułkownikowi pod nogi. Cztery momo, resztkę pierożków, które Jomo zostawił w podziemnej kaplicy.

W odruchu doświadczonego więźnia Tan pochylił się i pospiesznie pozbierał momo. Wpakował sobie jedno do ust i przełykał je właśnie, gdy przypominał sobie o obecności Shana. Z cieniem wstydu w oczach uniósł wzrok, po czym pokuśtykał do pryczy i pochłonał resztę.

- Opowiedzcie mi o pistolecie - naciskał Shan. - Jeśli uda mi się udowodnić, że to ona go miała, sprawa Cao przeciwko wam legnie w gruzach, bo ta broń stanowi jedyne powiązanie z wami. Obok zwłok Wu, zamiast Amerykanki zabitej w tym samym zamachu podłożono ciało pewnego Szerpy. Jego rany pochodzą od innej broni. Nie waszej. Dużej, wielkiego kalibru. Nie takiej, jakiej używa Urząd Bezpieczeństwa albo wojsko.

Gdy Tan nie odpowiedział, Shan ponownie odszedł od celi. Wszedł do pierwszej z sal przesłuchań przy tym samym korytarzu i zaczął przeglądać szuflady stojącej tam metalowej szafki. Gdy wrócił, wsunął przez kraty brązową plastikową buteleczkę. Pułkownik poderwał głowę.

- To środki przeciwbólowe - wyjaśnił Shan. - Pomogą wam przetrwać parę dni więcej.

Tan wyciągnął otwartą dłoń. Shan rzucił mu fiolkę przez kraty. Pułkownik wpatrywał się w nią, po czym ścisnął ją mocno, aż zbieleły mu kostki palców.

- Na miejscu zbrodni nie było żadnej martwej Amerykanki - oświadczył słabym głosem. - Wykradzenie ze szpitala tych drugich zwłok było jedynie pozorowaną akcją, by wprowadzić w błąd głównego śledczego.

- Skąd możecie... - zaczął Shan, ze zdziwieniem marszcząc brwi. Potem zrozumiał. Tan recytował oficjalną wersję wydarzeń.

Pułkownik w odpowiedzi uśmiechnął się gorzko.

- Mnich zeznał, że widział, jak Amerykanka uciekała po tym, jak pomogła mi w popełnieniu przestępstwa. Zabity Szerpa, dając dowód patriotyzmu, usiłował zapobiec morderstwu i został zastrzelony.

- Jaki mnich? - zapytał Shan, ogarnięty nową zgrozą.

- Tamten - odparł Tan, wskazując głową w głąb zaciemnionego korytarza z celami. - Dziś rano w salach przesłuchań pracowano pełną parą.

Nim Shan uświadomił sobie, co robi, był już w połowie korytarza. Przystanął, po czym ruszył w stronę ledwo słyszalnego odgłosu oddechów, dobiegającego z jednej ze środkowych cel. Podszedł niepewnie do kraty i dostrzegł drobną postać śpiącą na pryczy w głębi celi. Na ścianie, około pół metra nad podłogą, wyskrobany był rząd rysunków, nieudolnych, ale mimo wszystko rozpoznawalnych. Kwiat lotosu. Muszla. Więzień rysował *tashi targyel*, siedem świętych symboli. Shan poczuł, jak serce wędruje mu do gardła. Wiedział, zanim jeszcze wypatrzył na podłodze strzępy bordowej szaty i brudną więzienną bluzę. Cao sprowadził jednego z pojmanych mnichów.

Gdy Shan wrócił do celi pułkownika, na twarzy Tana malował się dziwny triumf.

- Nie pojmuję waszej obsesji na punkcie przedstawiania faktów, Shan - powiedział. - Kiedy artysta tworzy arcydzieło, nie możecie tak po prostu podbiec i ukraść mu farb. To nie uchodzi.

- Cao nie jest artystą. Co właściwie zrobił?

- Zniknął na pół dnia. Po powrocie powiedział, że znalazł świadka, którego potrzebował, żeby mnie zniszczyć. Maglował tego mnicha przez kilka godzin gdzieś na zapleczu. Gdy nadszedł czas na punkt kulminacyjny, przeniósł spektakl na korytarz, do tego stołu na środku, żebym mógł wszystko słyszeć. Tybetańczyk przyznał się do utrudniania postępowania sądowego przez zatajenie, że był świadkiem przestępstwa. Cao

obiecał mu tylko miesiąc więzienia i coś dla jakiegoś innego mnieba, lamy, który zostanie zwolniony, pod warunkiem że zrzuci mnisią szatę. Tak więc podpisał oświadczenie, że widział mnie z pistoletem w ręce. W przeciwnym razie lama miał dostać dziesięć lat ciężkich robót.

Shan poczuł, jak jego kruche nadzieje obracają się wniwecz. Cao posłużył się starym lamą z Sarmy, tym, który został schwytany, gdyż zamiast uciec, zajął się rannym kierowcą.

Cao kazał mu wykrzyczeć zeznanie, jak na dawnych sesjach krytyki, żeby mieć pewność, że je usłyszę.

Shan, czując nagle, jak kolana uginają się pod nim, uchwycił się oburącz prętów.

Tan otworzył fiolkę, wysypał na dłoń kilka tabletek i połknął je.

Wydaje mi się - ciągnął - że Cao myślał o bardziej rozbudowanej historii, bardziej zajmującej dla słuchaczy w centrali. Wygląda jednak na to, że teraz zmienił kurs. To ma być prosty proces. Raport z sekcji zwłok mówi, że ofiary zginęły od kul wystrzelonych z mojego pistoletu, świadek mówi, że widział, jak pociągałem za spust. On ma jaja, ten mały Tybetańczyk. Kiedy zacząłem się śmiać, zamachnęli się na mnie pałką, i on przyskoczył, żeby ją zablokować, i przyjął cios na czaszkę. Przez chwilę Tan zawahał się i Shan dostrzegł w jego oczach cień zakłopotania, nim odzyskały swój zwykły drwiący wyraz. - Głupiec.

On przeproszał za to, co zrobił. Tan zmarszczył brwi. Nie znalazł odpowiedzi.

Jest jeszcze jedna ofiara śmiertelna. Dyrektor Xie z Urzędu do spraw Wyznań. Jak taki raport wyjaśni to zabójstwo? Tan wzruszył ramionami.

Strażnicy wspomnieli mi o tym. Bez wątpienia zostanie In zarejestrowane jako nieszczęśliwy wypadek.

Musicie zagrać na zwłokę - powiedział błagalnym gło-

sem Shan. - Powiedzcie mu, że istniał spisek, zasugerujcie, że minister Wu była skorumpowana, że w grę wchodziła afera łapownicza sięgająca najwyższych kręgów rządowych. Będzie musiał to przemyśleć, zastanowić się, czy nie wmieszać w to jeszcze kogoś z Pekinu. To da nam kilka dni. Powiedzcie mi, gdzie byliście. Może uda mi się przedstawić dowód, że byliście tamtego dnia gdzie indziej.

Tan patrzył na niego bez wyrazu. Po chwili na jego ustach pojawił się słaby uśmiech, skrzywiony z powodu opuchniętych warg.

- Nie zrozumieliście, co powiedziałem? - zapytał Shan. - Jeszcze jeden dzień i wydobędzie z was wyznanie. To jest cel, do którego dąży.

Tan odwrócił się twarzą do ściany.

- My, Chińczycy, nie mamy religii - powiedział Shan do jego pleców. - Ale mamy spowiedź. Dla gorliwego członka partii jest to moment konsekracji. Kiedy kula przebije waszą czaszkę, jakaś rozpieszczona siostrzenica partyjnego kacyka, oglądając to, uświadomi sobie nagle, że partia jest jej bogiem. I do tego, pułkowniku Tan, sprowadzi się sens waszego życia.

Tan odwrócił się znów w jego stronę. Na jego wargach malował się zimny uśmiech, który Shan widywał tak często jako więzień obozu pracy w Lhadrung.

Zrozumienie uderzyło go jak grom z jasnego nieba. Zatoczył się w tył i opadł na pobliską ławkę.

- Wy chcecie umrzeć! - jęknął, kryjąc twarz w dłoniach. -Chcecie dostać kulkę w łeb.

Uniósł wzrok raz, drugi, trzeci, za każdym razem gotów wygłosić nowy argument, za każdym razem napotykał skrzywiony, pogardliwy uśmiech Tana. W końcu pułkownik położył się na pryczy, odwracając się do niego plecami.

Otępiały z rozpaczy Shan ze wzrokiem wbitym w ziemię zamknął drzwi i ruszył w stronę tylnego wyjścia. Nie zauwa-

zyl, że tybetańska ekipa porządkowa zniknęła, dopóki omal nie zderzył się z wartownikiem bezpieczeństwa, który zagroził mu drogę z karabinem automatycznym przewieszonym lufą do przodu. Jeden z pokoi biurowych był oświetlony. Przed nim w powietrzu unosił się kłęb dymu papierosowego.

Shan pozwolił się zaprowadzić do gabinetu. Twarz człowieka za biurkiem ukrywał cień metalowego klosza biurowej lampy z wysięgnikiem, ale trwożna mina strażnika powiedziała mu wszystko, co musiał wiedzieć. Usiadł na krześle przed biurkiem, gdy major Cao pochylił się naprzód i wyłączył stojący na blacie aparat. Shanowi zaschło w ustach, gdy rozpoznał In urządzenie. Cao podsłuchiwał jego rozmowę z Tanem.

Chcę pozostałych mnichów - oświadczył jadowitym tonem major. - Wszystkich.

Słyszałem, że mnóstwo tybetańskich mnichów jest w Indiach. - Shan ze wszystkich sił starał się, by jego głos brzmiał spokojnie. Znajdował się teraz w świetle Cao, z karabinem automatycznym wycelowanym w plecy.

Wiecie, gdzie oni są albo jak ich znaleźć. Sprowadzicie ich. Dopilnujcie, by dostarczyli mi dalszych zeznań przeciwko Tanowi. - Cao wyszedł zza biurka i oparł się o nie z przodu, niespełna metr od Shana, zapalając kolejnego papierosa. - Wczoraj w nocy wygraliście - powiedział. - Odwołałem nalot. Nie aresztowałem tych wieśniaków. Mieliście rację. To, co robiłem, to przestarzałe metody. Tepe narzędzie tam, gdzie potrzebny jest skalpel chirurga.

Pozwolił, by jego słowa zawisły w powietrzu. Żołądek Shana zaczął się zaciskać w supeł.

Major podniósł małą srebrną bransoletkę z turkusami.

Dyrektor Xie stoczył godną walkę ze swymi zabójcami, nim pozbawiono go przytomności. Wciąż ścisnął to w ręce, gdy ci tchórze zawlekli go przed spychacz. Ustalono, że bransoletka ta należała do Megan Ross. Mieliście jednak rację.

Amerykanka była obecna przy zabójstwie Wu. Była współniczką Tana. Teraz ona i mnisi grasują po górach jako szajka przestępców. Sprowadzicie ich do mnie.

Obejrzał się przez ramię. Dopiero teraz Shan spostrzegł siedzącą na krześle w mrocznym kącie pokoju drobną postać. Towarzyszka Zheng.

- Znacie tę Ross - stwierdził Cao.

Shan gapił się na niego tępym wzrokiem. Arna Apte mówiła prawdę. Amerykanka wciąż wracała do życia. Wyglądało to, jak gdyby miała do przekazania jakąś prawdę, jakieś zadanie do wypełnienia, i nie zamierzała pozwolić, by taki drobiazg jak śmierć przeszkodził jej w dokonaniu tego.

- Bransoletka została podłożona. Jej rzeczy są wciąż w namiocie w obozie bazowym. Każdy mógł je stamtąd zabrać. Musicie ustalić, z kim spotkał się Xie w gompie Sarma. Dlaczego był tam sam?

- Dostał wiadomość przez radio, po czym odesłał swych asystentów. To bez wątpienia podstęp tej Amerykanki.

- Powiedziałem wam, że znajdę prawdziwych zabójców. Dajcie mi czas.

- Blefujecie, żeby nakłonić mnie do zatrzymania Tana na miejscu. Ale co do tego też mieliście rację, towarzyszu Shan. Potrzebuję go tutaj. Dzięki przełomowi, jakim stało się dla nas męczeństwo Xie, będziemy mogli przeprowadzić proces już za kilka dni. - Cao wskazał urządzenie podsłuchowe podłączone do celi Tana. - Sami słyszeliście, jak sprawnie to idzie. W tym tempie jestem pewny, że milczący pułkownik odzyska mowę, kiedy posadzimy go na ławie oskarżonych.

- Nie rozumiecie go. Tan jest gotów dać się rozstrzelać nie dlatego, że odczuł skruchę. Dla niego to będzie odkupienie.

W oczach Cao na chwilę pojawiła się konsternacja, nie podjął jednak tematu.

- Trzech ostatnich mnichów. Dostanę ich i Amerykankę.

być może wystarczy, żeby ci mnisi zeznali, iż byli narzędziami w rękach Tana i tej kobiety. Jeśli to zrobią, możemy okazać im wielkoduszność, oszczędzić im egzekucji.

- W zamian za co? Za dwadzieścia, trzydzieści lat obozu pracy? - Tak właśnie, uświadomił sobie Shan, przejawiała się nowa polityka wobec Tybetu. Rząd starał się uniknąć wrażenia, że Tybetańczycy traktowani są z przesadną surowością. A niewątpliwie łatwiejsze do przełknięcia było uwięzienie Ich jako pospolitych przestępców, nie z powodów politycznych.

Cao wzruszył ramionami. Byli współnikami dwóch morderstw.

- Nie zrobili nic poza tym, że wsiedli do autobusu. Mówiłem wam już. Spójrzcie na kule, które wyjęto w klinice z ciała Szerpy. One burzą waszą argumentację.

Cao uśmiechnął się. W dniu, w którym wykradziono zwłoki tego Szerpy, towarzyszu, w klinice miało miejsce pewne niezwykle zdarzenie. Duch zaatakował pielęgniarza i ukradł mu identyfikator. Nikt nie potrafi podać dokładnego opisu tego ducha. Pielęgniarz pamięta jedynie kolejnego niepoczytalnego pacjenta w białym. A klinika nie otrzymała niestety wystarczających funduszy, by zainstalować kamery wideo. W zeszłym roku zainwestowała lednak w nowy system elektronicznych zamków. Rejestruje on każdy przypadek otwarcia drzwi z użyciem identyfikatora. Cała klinika stała przed duchem otworem. Mógł wynieść leki, sprzęt laboratoryjny, narzędzia chirurgiczne. On jednak wszedł tylko do jednego pomieszczenia. Zajrzałem dziś znów do kliniki, by porozmawiać z tamtejszą ochroną. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy pokazano mi nazwiska pacjentów z tamtej sali. - Cao zaciągnął się długo papierosem i spuścił wzrok. - Dostanę tę kobietę i mnichów, Shan.

Shan miał wrażenie, że język zdrętwiał mu jak kołek.

- On nie jest wcale... - wymamrotał, nim rozpacz odebrała mu mowę.

- Nie jest waszym synem? Oczywiście, że jest - odparł triumfalnie Cao. - Potwierdzają to dokumenty. Shan Ko. Podobieństwo rysów nie jest uderzające, ale jego akta są identyczną kopią akt ojca. Wichrzyciel, nie uznający żadnych autorytetów, zbyt inteligentny, by mogło mu to wyjść na zdrowie. Rozpaczliwie potrzebujący resocjalizacji.

- On wcale nie jest chory. - Słowa wydobyły się z gardła Shana ochryplym szeptem. - Tan wysłał go tam za karę.

Cao parsknął śmiechem.

- Nie mam pojęcia, gdzie są ci mnisi. Sądzicie, że zaufaliby Chińczykowi? - ciągnął Shan.

Cao sięgnął na drugą stronę biurka i podniósł małą stertę papierów.

- Dzielni lekarze z naszej kliniki przecierają szlaki w chirurgii doświadczalnej. - Upuścił kartkę z wierzchu sterty na kolana Shana. - Jak dotąd okazywała się ona niezwykle skuteczna w terapii zachowań antyspołecznych.

Czarny robak wpełzł w serce Shana, gdy czytał dokument, sporządzony w fabryce yeti raport dla agencji badań medycznych w Pekinie. Procedura nosiła nazwę pasteryzacji mózgowej. Polegała na wywierceniu w czaszce kilkunastu otworów i wprowadzeniu w nie rozgrzanych do czerwoności drutów, by wypalić skupiska komórek mózgowych.

- Termin zabiegu waszego syna wyznaczono za czterdzieści osiem godzin - oznajmił Cao. - Sprowadźcie mi mnichów -ciągnął, patrząc zimnym jak lód wzrokiem - albo w imię socjalistycznego postępu wygotujemy mu mózg.

Shan szedł w ciemnościach, nie zdając sobie sprawy, dokąd idzie, nic nie widząc, kierowany jakąś wewnętrzną siłą do swego mieszkania, gdzie wszedł po to tylko, by zdjąć z koł-

ka w ścianie sfatygowany worek, i ruszył dalej, na niespełna kilometrową ścieżkę ku skalnej półce ponad miastem, gdzie czasem medytował. Usiadł na ziemi, zwrócony na południe, gdzie na horyzoncie lśniły w świetle księżyca wyniosłe szczyty Himalajów.

Był oddychającą skorupą. W jego wnętrzu nie pozostało nic poza czarną pustką. Wszystko, co robił, robił dla swego syna, ale każdy z jego czynów nieuchronnie, nieubłaganie skazywał Ko na śmierć za życia. Ani trochę nie zbliżył się do odkrycia zabójcy, nie zdołał położyć kresu morderstwom, nie był ani odrobinę bliższy zrozumienia osobliwego dramatu, w którym uczestniczyli Amerykanie. Podburzył Urząd Bezpieczeństwa przeciwko mieszkańcom wioski, a zachęcając mnichów do ucieczki z autobusu, być może doprowadził ich tylko do zguby. Spoglądał z dziwnym uczuciem lęku w stronę Kverestu, mając wrażenie, że utknął w jakimś miejscu kaźni, gdzie na spływający z wyżyn gniew góry nakładał się skierowany z dołu gniew bezpieki.

Nie uświadamiał sobie, że wydaje swym ręką polecenia, przyglądał się tylko, jak rozpalają małe ognisko z drewna, którego zapas tam trzymał, po czym wyciągają z worka wiązkę sfatygowanych patyczków z krwawnika. Przez chwilę gapił się na przekazywane w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie patyczki wróżebne, służące do rozmyślań nad wersami tao, po czym spróbował siłą woli zmusić się do zebrania ich w kupki, do zatracenia się, jak uczył go ojciec, w pradawnym rytuale, odsuwając od siebie wszelkie rozpraszające myśli, wszelki ból. Wciąż jednak coś przedzierało się poprzez tao. Po głowie krążyły mu inne wersy, słowa dawnych chińskich poetów, jak gdyby jego ojciec próbował skontaktować się z nim, by udzielić mu odmiennej lekcji.

Su Dongpo, urzędnik z czasów dynastii Song wygnany za obrażenie cesarskiego majestatu, poświęcił się poezji i buddy-

zmowi. Przed tysiącem lat Su napisał na murze już wówczas wiekowej świątyni Xilin wiersz o górach. Spoglądając na połyskujące szczyty Himalajów, Shan wyrecytował go, po czym ze ściśniętym gardłem powtórzył raz jeszcze. Nieomal słyszał wtórujący mu głos ojca.

*Widziany z jednej strony –
cały łańcuch, z innej - samotny szczyt.
Odległe, bliskie, wyższe i niższe wierzchołki,
z których każdy jest inny.
Jeśli prawdziwy obraz góry pozostaje zagadką,
To dlatego, że patrzący stoi nazbyt blisko.*

Zamknął oczy, powtarzając te słowa raz po raz, bardzo powoli. W końcu wyzwoliły wspomnienie dnia sprzed wielu, wielu lat, w którym ojciec po raz pierwszy zaczął uczyć go o tao i poetach słowami: „Porozmawiajmy o naturze świata”, a potem innego, gdy łamiąc obowiązujące w obozie reedu-kacyjnym przepisy, siedzieli po godzinie policyjnej na grobli poletka ryżowego, obserwując zimowe gwiazdy. Ojciec opowiedział mu o swym znajomym mnichu, który - w osobliwej mieszance taoizmu i buddyźmu wyznawanej przez znaczną część Chińczyków - wierzył w reinkarnację, twierdząc jednak, że odbywa się ona zarówno w przód, jak i wstecz, tak że odrodzenie może nastąpić w przeszłości. Leżąc pod nocnym niebem, snuli z ojcem fantazje o tym, w jakie postaci z przeszłości chcieliby się wcielić, zwykle decydując się na uczonych pustelników albo zbuntowanych poetów z dynastii Song. W więzieniu przeleżał wiele nocy w ciemnościach, ko-

nając z głodu, pogrążony w wizjach siebie samego i swego ojca w innym wcieleniu.

Ojciec czekał na niego na stoku góry, przed wygodną chatką z drewna i kamienia, wykańczając obraz przedstawiający niezwykle szczegółowo oddaloną kępę bambusów, w której śpiewał drozd. Wypiwszy łyk wody z drewnianej chochli, stary uczonec uniósł wzrok i spojrzał wyczekująco w głąb spowitej mgłą ścieżki.

Shan sięgnął do kieszeni i wyciągnął papier i pióro.

Zmierzamy do naszego domu z czasów dynastii Song, Ojcze, napisał. Ko niesie nowe pędzle, a ja koszyk owoców liczy, już niedługo zrzucimy te okowy. Przygotuj gorącą herbatę. Xiao Shan, podpisał. Mały Shan.

Wpatrywał się w list, walcząc z powracającym wciąż poczuciem winy, że pisząc do ojca, nigdy nie wyjawiał mu wszystkich szczegółów swego uwięzienia z obawy, iż sprawiłby staremu uczonecemu zawód. Znów sięgnął po pióro, ale zamiast pisać, narysował na marginesie małą, prostą mandalę, po czym złożył kolejną kartkę papieru w kopertę, do której wsunął list i napisał na niej imię swego ojca. Zbudował w ognisku małą kwadratową wieżę z ułożonych jedne na drugich patyczków i położył na niej list. Przyglądał się, jak płonie, obserwował iskry wznoszące się wysoko w górę i płynące z dziwnie łagodnym wiatrem w stronę Czomolungmy.

Dużo później wyciągnął następną kartkę, tym razem adresując ją imionami dwóch Tybetańczyków, których życie było mu droższe niż własne. Co tydzień wysyłał list do Genduna

i Lokesh, których pozostawił w ukrytej pustelni w Lhadrung, a teraz, nie zastanawiając się nad tym, pisał tybetańskim pismem, którego go nauczyli, o wydarzeniach z minionych dziesięciu dni, pisał o wszystkim, wyjaśniając, jak najpierw Szerpa, a potem Amerykanka zostali zabici, a jednak, choć martwi, odgrywali wciąż aktywne role w najdziwniejszym z dramatów. Napisał, że zaczyna wierzyć, iż bogini gór istotnie posługuje się nimi, choć on sam nie umie dociec, w jakim celu. Zapomniałem, jak dochodzi się prawdy, napisał na koniec. Nauczcie mnie tego raz jeszcze.

Trzymał list w dłoniach, przekonany bardziej niż kiedykolwiek, że starzy Tybetańczycy poprzez rozdzielające ich setki kilometrów usłyszą jego wołanie o pomoc w odkryciu prawdy.

Prawda nie istnieje jednak, słyszał nieomal, jak mówią jego przyjaciele, w każdym razie nie taka, jaką da się wypowiedzieć, istnieje tylko konkretne dobro, rezonujące w duszy każdego człowieka, a postać, w jakiej przejawia się u poszczególnych ludzi, jest niepowtarzalna jak chmury na niebie.

Po spaleniu drugiego listu siedział przez długi czas, wpatrując się w dogasający ogień i usuwając świat z umysłu, tak jak nauczyli go tego Gendun i Lokesh. W końcu podszedł na skraj wysokiej skalnej półki, ułożył dłonie w mudrę Najwyższej Mądrości i skupił się, spoglądając na uśpione miasto i ośnieżonych strażników na horyzoncie. Po godzinie znalazł w swym wnętrzu spokojne miejsce. Po kolejnej godzinie zaczął wpuszczać tam poszczególne fakty, obracając je, wyginając, popychając, aż w końcu znalazł żarzący się na samym dnie węgielek.

Shan, ubrany w swe najlepsze rzeczy, pojawił się przed wejściem do Biblioteki Publicznej Okręgu Tingri tuż po godzinie otwarcia, z szacunkiem uklonił się chińskiej matronie, która zarządzała zbiorami, i ruszył w stronę długiego rzędu regałów

pod bocznym oknem. Był to zwarty, przysadzisty budynek, świeżo pomalowany i mieszczący księgozbiór bogatszy, niż uzasadniałaby to wielkość miasta, co świadczyło o hojności lokalnego komitetu partii.

Książki, którymi zajął się Shan, były identycznie oprawione, a wielkie złote ideogramy na okładkach głosiły: *Doroczny raport okręgowego sekretariatu Komunistycznej Partii Chin, Okręg Tingri*. Wybrał tomy z początków lat sześćdziesiątych i zaczął je pospiesznie wertować. Zawierały niemal wyłącznie zarządzenia Pekinu, jedyną miejscową treść stanowiły uwagi na temat trwającej kampanii przeciwko lokalnej klasie obszarników, z wykazami stanu majątkowego wyszczególniającymi nawet liczbę owiec i jaków. Była to znajoma historia, w której lokalne spółdzielnie, tworzone przez, jak określał to Pekin, klasę chłopską, stopniowo odciskały coraz głębsze piętno na strukturze społecznej.

- Czy mogę w czymś pomóc? - usłyszał nad sobą rozdrażniony głos. Z uśmiechem odwrócił się do bibliotekarki.

- Fascynuje mnie ten wczesny okres asymilacji socjalistycznej. Kiedy byłem młodszy, spędzałem całe dnie w pekińskich archiwach. - To jedno przynajmniej było prawdą. - W każdym regionie przebiegało to zupełnie inaczej.

Kobieta podeszła bliżej. Pachniała silnym mydłem i olejem arachidowym,

- Żeby korzystać z księgozbioru podręcznego, trzeba wpisać się na listę - upomniała go, podsuwając mu podkładkę z klipsem.

Shan przeprosił i szybko dopisał swe nazwisko u dołu listy.

- Pekin? - zapytała łagodniejszym tonem.

- Tam mieszkam.

Oczy kobiety rozszerzyły się.

- Ja jestem z Tianjinu! To prawie po sąsiedzku!

- Prawie po sąsiedzku - przytaknął Shan. Spojrzał na nią znacząco. - Z pewnością podczas transformacji tego regionu nie obeszło się bez dramatów. Jest tak odludny. Tak blisko granicy. Tak wielu miejscowych trwa uparcie przy dawnych zwyczajach. Bywałem czasem w Tianjinie - dodał. - Przyglądałem się statkom.

Kobieta wydała radosny okrzyk i Shan przez kilka minut słuchał cierpliwie jej wspomnień o wycieczkach do doków, na jakie rodzice zabierali ją w dzieciństwie, o wujku, który opłynął na frachtowcach całą Azję. W końcu wstała, przyniosła stółek i zaczęła przeszukiwać półkę nad oknem, skąd wyciągnęła zakurzony tom i podała mu go z zadowoloną z siebie miną.

- Tak wielu ludzi przychodzi tu po prostu poczytać o yeti albo o cudzoziemcach, którzy zmarli na naszej górze. A kiedy przyjechałam tu rok temu, księgozbiór był tak niekompletny, że potrzebowałam miesięcy, by w ogóle się zorientować, na czym ona skończyła.

-Kto?

- Moja poprzedniczka. Biedna kobieta mieszkała tu przez piętnaście lat i nigdy nie wybrała się do bazy pod Czomolung-mą. A kiedy w końcu postanowiła tam pojechać, samochód odmówił jej posłuszeństwa.

Shan pochylił się naprzód.

- Zabiła się?

Bibliotekarka, otworzywszy szeroko oczy, westchnęła melodramatycznie.

- Wsiadły jej hamulce. Spadła z urwiska.

- I po jej śmierci poginęły książki? Były tu kiedyś i zostały skradzione?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Skradzione, zgubione. Stanowiły część zbioru wszelkich publikacji dotyczących lokalnej historii Chińskiej Republiki

Ludowej, który kompletowała. Żeby zdobyć ten egzemplarz, jedyny w tym okręgu, jak sądzę, musiałam wydzwaniać do Xigaze. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło u nas nie być pracy absolutnie najważniejszej dla ludzi zainteresowanych tym tematem.

Książka, wydana przez partię w limitowanym nakładzie, nosiła tytuł *Bohaterowie himalajskiej rewolucji*. Przerzuciwszy kilka stron partyjnych frazesów, Shan dotarł do suchej, napisanej urzędniczym stylem kroniki, która rozpoczynała się od stwierdzenia, iż walka o wyzwolenie tego regionu spod ucisku obszarników wymagała zaangażowania środków większych niż gdziekolwiek indziej - w języku partyjnym oznaczało to, że napotkano autentyczny opór ze strony miejscowej ludności. Przewertował stronicę z dalszymi wykazami obszarników, coraz liczniejszymi, w miarę jak zapał reformatorski zaczął obejmować nie tylko wielkich posiadaczy ziemskich, ale coraz mniejsze gospodarstwa. Tych, którzy posiadali pięćdziesiąt owiec, potem tych, którzy mieli ich dziesięć. Tych, którzy posiadali jaka i psa. Gdy komitety reform, na których czele stali wiodący przedstawiciele klasy chłopskiej posłuszni ustalonym przez Pekin wytycznym, zaczęły ponownie rozdzielać majątki, „górcy chuligani” usiłowali do tego nie dopuścić. Sprowadzono kompanię piechoty. Brygadę. Batalion. Było to ze strony oficjalnego kronikarza równoznaczne przyznaniu, że istnieje silny zbrojny opór przeciwko Chińczykom. Kampanie mające na celu likwidację chuliganów podejmowano wzdłuż granicy z Nepalem, na wzgórzach ponad Shogo, w dolinie poniżej wsi Tumkot.

Jednak prawdziwe reformy rozpoczęły się dopiero wówczas, gdy Mao wysłał do akcji swoje brygady młodzieżowe, Czerwoną Gwardię. Niewiele osób z pokolenia Shana skłonnych było mówić otwarcie o „rewolucji kulturalnej”, jak eufemistycznie określano lata, w których Czerwona Gwardia siała

w całym kraju chaos i terror. W wielu regionach młodzi zapaleńcy, często zaledwie nastoletni, ustanawiali się faktycznymi władcami, przejmując nawet kontrolę nad jednostkami armii. Dopiero gdy Czerwona Gwardia zadomowiła się w Tybecie, rozpoczęło się systematyczne niszczenie klasztorów i świątyń.

Dalszą część książki wypełniały przedruki artykułów z gazet, włącznie ze zdjęciami. Pod nagłówkiem **BOHATEROWIE BRONIĄ OJCZYZNY** następował opis akcji czerwonogwardzistów przeciwko małym klasztorom, z kwiecistym ustępem na temat Dzieci Mao, jednego z licznych określeń Czerwonej Gwardii, atakujących członków reakcyjnej bandy Dalajlamy w fortecach zwanych przez nich klasztorami. Tekstowi towarzyszyły kiepskiej jakości, ziarniste fotografie przedstawiające prowadzonych przez miasto łamów ubranych w stożkowate czapki z oślimi uszami, jakie nakładano często obwinionym podczas politycznych sesji krytyki, **PRZYWÓDCY KLASY WYZYSKIWACZY NARESZCIE POKONANI PRZEZ 117. BRYGADĘ MŁODZIEŻOWĄ**, głosił podpis pod jednym ze zdjęć. Na innym widniała flaga Pekinu skrzyżowana z inną, z emblematem nieczytelnym z powodu wiatru. Inne ukazywały ruiny górskich gomp, stosy broni zdobytej na niedobitkach wyzyskiwaczy, dymiące zgliszcza domostw domniemanych rebeliantów. Na jednym ze zdjęć członkowie brygady pozowali z bronią jak żołnierze, obwieszeni pasami na naboje, wymachując nad głowami ciężkimi pistoletami automatycznymi. W końcu Shan dotarł do dużej, starannie upozowanej fotografii przedstawiającej kolejną grupę starych Tybetańczyków w stożkowych czapkach, siedzących na sesji krytyki przed ustawionym na podwyższeniu stołem rewolucyjnych inkwizytorów na dziedzińcu starej gompy. Z przodu stołu rozwieszony był sztandar brygady młodzieżowej, na którym na ciemnym tle widniał młot skrzyżowany z błyskawicą. Centralne miejsce za stołem zajmowała atrakcyjna dziewczyna o znajomych

rysach. Podpis pod zdjęciem mówił: **NIEZMORDOWANA KOMENDANTKA WU PROWADZI KOLEJNĄ SESJĘ KRYTYKI W SHOGO.**

Dalej następowały relacje z przemówień, z obchodów świąt państwowych i wizyt dygnitarzy partyjnych, a wreszcie artykuł zatytułowany *Ostatnia góraska kampania przeciwko zdrajcom*, krótki opis ostatecznego rozprawienia się brygady „Młot i Błyskawica” z ostatnimi pozostałościami oporu przez wystrzelanie z karabinów maszynowych wszystkich stad i zrównanie z ziemią większości górskich wiosek.

Książka kończyła się raptownie bez żadnego podsumowania, żadnego końcowego rozdziału opiewającego zwycięstwo Pekinu. Shan zamknął ją i spojrzał na bibliotekarkę, która przyglądała mu się z zadowoloną miną.

- Ta historia urywa się dość nagle - zauważył.

Kobieta westchnęła i pokazała mu mały znaczek u dołu grzbietu. Tom pierwszy.

- Mogę zobaczyć następny?

- Niestety nie. Po wszystkich trudach, jakie w ubiegłym roku zadałam sobie, żeby go zdobyć, niedawno gdzieś przepadł.

Shan zamyślił się nad jej słowami.

- Kiedy konkretnie?

- Tydzień temu, może dwa. Księgozbiór podręczny nie jest wypożyczany do domów. Ktoś - oświadczyła zboląłym głosem - ukradł tę książkę.

- Czyli została skradziona po raz drugi? Kobieta zmarszczyła brwi, po czym skinęła głową.

- Ale chyba da się ustalić, kto dopuścił się tak karygodnego czynu?

- Zwykle nie mamy tu tłoku, ale podczas sezonu kręci się tu wielu ludzi.

Podczas sezonu? Macie na myśli cudzoziemców?

- Właśnie dlatego mamy odmalowane ściany, nowy dach, więcej funduszy niż jakakolwiek inna biblioteka tej wielkości w okręgu. Kiedy pogoda nie pozwala na wycieczki w góry, turyści szukają innego zajęcia. W sąsiedniej sali mamy wystawę miejscowego rękodzieła.

- Czyżby cudzoziemcy prowadzili badania archiwalne? -zapytał Shan, starając się nadać swemu głosowi swobodne brzmienie.

- Nieliczni. Niewielu potrafi czytać po chińsku.

- Ale chyba każecie im wpisywać się na listę? Pracuję dla Tsipona - dodał szybko poufnym tonem. - Mógłbym popytać w zagranicznych grupach wspinaczkowych.

Kobieta przyglądała mu się przez chwilę, po czym odeszła szybkim krokiem do biura na tyłach głównej sali. Gdy tylko zniknęła mu z oczu, otworzył książkę na zdjęciu z komendantką Wu i zerkając ze wstydem w stronę biura, wydarł je i wsunął za koszulę. Chwilę później kobieta pojawiła się znowu. Idąc, wertowała kilka kartek identycznych z tą, którą podpisał Shan. Wpisy z ostatnich czterech tygodni obejmowały ponad trzy tuziny nazwisk, kilka niemieckich, parę japońskich, jedno francuskie. Tylko jedna osoba odwiedziła bibliotekę więcej niż raz. Megan Ross zaczęła studiować księgozbiór niemal miesiąc wcześniej i była w bibliotece dzień przed swoją śmiercią.

Rozdział 12

Ochodząc pospiesznie po stromej drabinie do mrocznych sal starej gomy, Shan o mały włos nie nadepnął na bezwładną postać. Gyalo leżał bez ruchu, bardziej martwy niż żywy. Shan czym prędzej zapalił kolejne lampki od tej, którą przyniósł *i* góry, i uklęknął u boku starca. Opuszki jego palców były poobcierane do krwi. Drapał klapę w suficie, uświadomił sobie Shan, niczym zamknięte w klatce dzikie zwierzę.

Stary Tybetańczyk nie dał po sobie poznać, że go widzi, ale nie opierał się, gdy Shan na pół zaciągnął go, na pół zaniósł z powrotem na posłanie. Oddech miał ciężki i chrapliwy. Koszula przykleiła mu się do ciała plackami czerwieni w miejscach, gdzie kilka ran otworzyło się ponownie. Shan w milczeniu zdjął mu koszulę, przemył rany, delikatnie odsuwając dłoń, która próbowała go powstrzymać. Nie zwracał uwagi na szeptane po chińsku i tybetańsku przekleństwa, stopniowo jednak uświadamiał sobie, że złorzeczenia zastąpił rozwlekły monolog złożony z urywków pijackich piosenek, pasterskich ballad i mantr do tybetańskich bogów.

Kiedy skończył i Gyalo miał na sobie jedną z jego starych koszul, Shan usiadł na podłodze kilka kroków od niego i słuchał, wpatrując się w płomyk najbliższej lampki, aż w końcu sam zaczął powtarzać mantrę, modlitwę do Bodhisattwy Współczucia. Nie zauważył, kiedy rytm słów starego człowieka zmienił się, ale uświadomił sobie, że Gyalo siedzi wy-

prostowany pod ścianą, nucąc unisono z nim, ze wzrokiem utkwionym w ten sam płomień. Shan zniżył głos. Gyalo nucił dalej, przerywając co jakiś czas, by spojrzeć w cienie i wtrącić głośniejsze wyrazy wdzięczności dla rinpocze. Stary Tybetańczyk, jak uświadomił sobie Shan, był znów w świątyni swej młodości, śpiewając wraz z nowicjuszami, podczas gdy lama udzielał im nauk.

Po kilku minutach Gyalo zamrugał. Gdy uniósł wzrok i dostrzegł Shana, zająknął się, poczerwieniał z zażenowania i umilkł.

Shan wyjął zdjęcie, które zabrał z biblioteki, i pokazał mu je, trzymając kilkanaście centymetrów od jego twarzy.

Zabrało sporo czasu, nim Gyalo zorientował się, na co patrzy. Gdy wreszcie to pojął, wstrząsnął nim głuchy jęk. Zwiesił ramiona i przygarbił się.

- Oni tu byli - powiedział Shan. - Ludzie z brygady „Młot i Błyskawica” mieszkali w twojej gompie, zanim ją zniszczyli. Ale co oni robili w górach?

- Umierali. - Gyalo mówił tak cichym szeptem, że Shan nie był pewien, czy się nie przesłyszał. - Płakali jak dzieci i umierali. - Tybetańczyk wyjął mu zdjęcie z ręki i przybliżył je do lampki, wpatrując się w nie okrągłymi oczyma.

- To oni - powiedział Shan - to ci, którzy... - rozpaczliwie szukał odpowiednich słów - ...którzy odebrali ci szatę.

Nim zdążył zareagować, Gyalo zaczął rozdzierać zdjęcie. Zanim mu odebrał, oddał od niego długi pasek pięć centymetrów od lewego brzegu. Tybetańczyk wyrwał mu się, po czym odwrócił się wolno i ustawił pasek pionowo w szczelince w skalnej ścianie, która w zamierzeniu mieścić miała posążek jakiegoś bóstwa. Wpatrywał się w oddarty skrawek z twarzą przepelnioną uczuciami, jakich Shan nigdy tam nie widział, uczuciami, których nie umiał określić.

Shan uniósł lampkę i przysunął ją bliżej. Na pasku, który

oderwał Gyalo, znajdowała się tylko jedna postać, krepa, nieładna młoda Chinka w wojskowej bluzie.

Dopiero po chwili zrozumiał, a wtedy, zawstydzony, odwrócił wzrok. Gyalo zachował zdjęcie chińskiej żony, którą narzuciono mu, by zniszczyć go jako mnicha.

Posterunkowy Jin siedział z nogami na biurku, tak zaabsorbowany wymiętym zachodnim czasopismem podróżniczym, które trzymał na kolanach, że zauważył Shana dopiero gdy ten położył rękę na jego telefonie. Zaklął pod nosem i opuścił nogi na podłogę.

- Muszę zadzwonić w prywatnej sprawie - oznajmił Shan. Nie możesz tak po prostu...

- Ktoś próbował zabić Gyalo. Jego syn jest przekonany, że to Urząd Bezpieczeństwa.

Jin wzruszył ramionami. Zamordowano dwójkę dygnitarzy.

- To nie byli pałkarze. Ci ludzie nie zadawali mu żadnych pytań na temat zabójstw. Nie zależało im na aresztowaniu go. Zostawili go na śmierć w dole, po czym przetrząsnęli jego zbiór staroci. Przedmiotów z czasów pierwszego powstania.

Posterunkowy rzucił czasopismo na biurko, otwarte na zdjęciu młodych ludzi surfujących wzdłuż białej, piaszczystej plaży, nad którą pochylały się palmy.

|-eden z tych zachodnich alpinistów przeczytał mi ten artykuł w bazie - oświadczył, patrząc na zdjęcie. - Tu jest napisane, że niektórzy znawcy wyobrażają sobie, że woda to śnieg i że zjeżdżają ze stoku góry. Też bym tak potrafił - ciągnął dziwnie rozmarzonym tonem. - Umiem zjeżdżać na sankach.

Shan zamknął czasopismo.

Jiu nie zwrócił na to uwagi. Mam kuzyna, któremu udało się przedostać przez grani-

cę, nie obrywając kulki. Dostał pracę w Tajlandii, w restauracji. Mówi, że tam się to robi, tę jazdę po wodzie.

- Surfing.

- Ten surfing. Mówi, że może mi też załatwić pracę, jeśli tylko dostanę pozwolenie na wyjazd z kraju.

Shan zakrył czasopismo dłonią.

- Jak powiedziałeś, zamordowano dwójkę dygnitarzy. Dlaczego nie jesteś w terenie?

- Pytałem Tsipona, czy mógłbym dostać wizę, żeby się przenieść do Tajlandii albo może do Indii - ciągnął głuchym głosem Jin. - Roześmiał się tylko. Powiedział, że nikomu z organów bezpieczeństwa nie daje się zezwolenia na emigrację, bo znamy zbyt wiele tajemnic państwowych. Powiedz, że to nieprawda.

- Współpracowałeś z Amerykanką Megan Ross - oświadczył Shan, przybierając ton prokuratora rządowego. - Zdradziłeś jej, że górską szosa będzie zamknięta na czas przejazdu towarzyszki minister, że ona będzie jechała samotnie samochodem przed autobusem więziennym. Myślę, że dałoby się znaleźć świadka, który przypomni sobie, że widział, jak noc wcześniej podwiozłeś ją do hotelu.

Z twarzy Jina odpłynęła cała krew.

- Ujawnienie sekretu o istotnym znaczeniu dla bezpieczeństwa państwa, i do tego obcokrajowcowi.

- To nie było tak... - wymamrotał posterunkowy. - Ja nie... - Spojrzał ze smutkiem na czasopismo.

- W tym kraju - ciągnął Shan - funkcjonariusze organów ochrony porządku publicznego, którzy narażają na szwank bezpieczeństwo państwa, karani są śmiercią. Kiedy Megan Ross wróci ze swej wyprawy, lepiej weź nogi za pas. - Skoro nie mógł wykorzystać śmierci Amerykanki do odkrycia prawdy, to może sam również powinien zacząć udawać, że ona żyje.

- Mogę cię zaarrestować, Shan. Mogę cię wydalić.

Shan uśmiechnął się i nie groził mu więcej. Nie chciał sparaliżować Jina strachem, tylko skłonić go do skupienia się na ich wspólnym problemie.

- Gyalo został zaatakowany przez dwóch mężczyzn w czarnych ubraniach. W kapturach na głowach. Obcych. Kim oni byli?

- Od czasu ostatniego powstania Urząd Bezpieczeństwa zmienił swe metody. Nadal nie ma oporów przed wywiezieniem całej wioski lub gromady. Ale jeśli trzeba się zająć poszczególnymi osobami, robi to po cichu.

- Ale za co miałyby karać Gyalo?

Jin najwyraźniej dostrzegł w jego słowach nadzieję dla siebie.

- W zeszłym tygodniu, po zamachu na Wu, on się upił, tak na całego, jak świnia. Wszedłem do szynku i zobaczyłem, jak paraduje żołnierskim krokiem po barze, a potem udaje, że został zastrzelony i umiera, i znów od nowa, gdy klienci rzucali mu monety. Próbowałem go powstrzymać, bo wiedziałem, że wojsko przybędzie do miasta lada moment. Śmiał się, kiedy ściągałem go z baru, mówił, że nie chciałby teraz być żołnierzem w górach, kiedy wszystkie duchy wychodzą na świat.

- Duchy?

- Mówił, że jedynymi demonami, jakie kiedykolwiek przerażały Chińczyków, były te sprzed czterdziestu lat, te, które były umarłe przez cały ten czas. Powiedział, że nadciągną tłumnie z gór, jadąc na grzbietach yeti.

Shan poczuł dochodzącą od Jina woń spalenizny. Dopiero lei az spostrzegł smugi sadzy na ramieniu jego munduru. Nie powiedziałaś, gdzie byłaś.

Był pożar. Nic wielkiego. Ta chatka, którą Tsipon wynajmuje zagranicznym alpinistom. Uratowaliśmy budynek, ale większość sprzętu spłonęła.

Czyj to był sprzęt?

- Nowi amerykańscy klienci Tsipona korzystali z niej, kiedy nocowali w mieście.

Shan podszedł do okna. Znał jednoizbową chatkę za składem Tsipona, kilka razy pomagał ją sprzątać. Przybliżył twarz do szyby, by lepiej widzieć wielki budynek na południowym skraju miasta. Faktycznie wznosił się zza niego cienki słup dymu.

- Kto to zrobił?

- Wolno nam zgłosić tylko określoną liczbę przestępstw, tak więc uznaliśmy to za wypadek. Ci wspinacze bywają bezmyślni, trzymają razem zapalki i pojemniki z paliwem.

- Kto to zrobił? - naciskał Shan.

- Mówiłem ci. Nikt. Ale powiem ci coś zabawnego. Na widok ognia wszyscy wybiegli z magazynu na pomoc. Wszyscy oprócz Kypo. On pobiegł do jednego z samochodów i odjechał na pełnym gazie.

- W stronę Tumkot?

- Jest po prostu dobrym synem.

- Co to ma wspólnego z Amą Apte?

- Nic. Jak mówiłem, uznaliśmy to za wypadek. Shan nachylił się nad posterunkowym.

- Dlaczego - zapytał, wolno cedząc słowa - wiążesz to z wróżbitką?

- Ona ma coś do niektórych obcokrajowców. Parę lat temu był tu jakiś amerykański pisarz, poszukujący śladów kontaktów tego regionu z Zachodem na przestrzeni ubiegłego wieku. Znamy wspaniałe opowieści o szpiegach, których Brytyjczycy wysyłali przez granicę w przebraniu mnichów lub pielgrzymów.

-Ico?

- Przyłapałem ją, jak wrzucała ziemię do baku jego samochodu.

Shan zastanawiał się chwilę nad słowami Jina.

- Ale wypuściłeś ją.

- Zgadza się, cholera. Zagroziła, że przepowie mi przyszłość.

Gdy wzrok Shana zatrzymał się na koszyku lśniących metalowych przedmiotów na biurku, Jin wstał i zerknął niespokojnie w stronę drzwi.

- Powiedziałaś, że musisz zadzwonić.

Shan wziął do ręki stalowy karabinek, jeden z kilku w koszyku.

- Co znajdujesz na wzgórzach? -Nic.

- Karabinki miały podobno doprowadzić cię do mnichów. Jin wzruszył ramionami.

- Ta Amerykanka najwyraźniej rozdaje je dzieciom jak cukierki. Karabinki z paciorkami modlitewnymi.

- Z paciorkami?

- Każdy karabinek, jaki zostawia, jest opleciony bransoletką z paciorków modlitewnych. Jak gdyby była jakąś wędrowną mniszką.

Posterunkowy zrobił niepewny krok w stronę drzwi.

- Wszystko się zmieniło, Jin. Oficjalnie nazwą to aferą przestępczą. Za zamkniętymi drzwiami, co się naprawdę liczy, określa to jako kolejne powstanie. Zlikwidowane zostaną następne gompy. Mnisi zostaną uznani za zagrożenie dla bezpieczeństwa granic. Nie sądzisz chyba, że pozwolą, by miejscowi tybetańczycy nadal pełnili służbę w organach bezpieczeństwa, będziesz zamiatać ulice w Shogo. Oczywiście zakładając, że Cao nie dowie się, że to ty umożliwiłeś wszystkie te przestępstwa, zdradzając Ross tajemnicę państwową.

Rozpacz w oczach posterunkowego powiedziała mu, że Jin zrozumiał doskonale. Tybetańczyk zerknął tęsknie w stronę błyszczącego zdjęcia surferów na białej, piaszczystej plaży, po czym zamknął drzwi.

Tamtego dnia widziałem na ścieżce dwóch mężczyzn

w ciemnych sportowych bluzach, z kapturami na głowach -powiedział. - Zbiegali w dół, w stronę miejsca zbrodni. Potężnie zbudowani, silni, cuchnący cebulą. Z początku sądziłem, że są z Urzędu Bezpieczeństwa - dodał ze skrucą w głosie. -Gdybym zobaczył ich na targowisku, tak właśnie bym pomyślał.

- Ale nie było sensu umieszczać tajniaków na ścieżce.

- Nie widziałem ich twarzy.

- I biegli w stronę, gdzie dokonano zamachu. Co oznacza, że jeśli to nie byli pałkarze, prawdopodobnie byli to współsprawcy.

Jin skrzywił się. Otworzył drzwi. Shan podniósł słuchawkę telefonu. Twarz posterunkowego zachmurzyła się.

- Są inne aparaty.

- Mam uzasadnioną pewność, że w tym Urząd Bezpieczeństwa nie założył podsłuchu.

Jin rzucił mu kwaśne spojrzenie i wyszedł pośpiesznie.

Shan podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Uzyskanie połączenia z telefonami satelitarnymi, jakich używali alpiniści, zazwyczaj trwało dość długo. Jednak już po kilku sekundach rozległ się krótki dzwonek i odezwał się głos Yatesa.

- Musi pan ostrożniej obchodzić się z zapalkami - zaczął Shan po angielsku.

- Nawet nie zbliżyłem się do tej chatki - warknął Amerykanin. - Teraz nie mam gdzie spać, chyba że tu, na górze. Odnoszę wrażenie, jakby ktoś chciał mnie przegonić.

- Czy Megan Ross trzymała tam swój sprzęt?

- Jasne, przynajmniej część. Tam właśnie nocowała, dopóki noc przed śmiercią nie przeniosła się do hotelu.

- Musimy przerzucić gdzie indziej tych nadliczbowych tragarzy - powiedział Shan. - Niech im pan da jakieś grube górskie stroje i spotka się ze mną na szosie do bazy.

Minęła chwila, nim Amerykanin pojął, o co mu chodzi.

- Ich już nie ma. Poodsuwali tylne pudła i uciekli. Jakby nagle zaczęli się mnie bać. Ktokolwiek im pomógł, chce przepędzić mnie z Chin.

- Co pan ma na myśli?

- Mamy pozwolenie na palenie śmieci w beczce za terenem bazy. Kiedy to robiłem, jakiś funkcjonariusz bezpieczeństwa podszedł i zaczął pstrykać zdjęcia.

- Co konkretnie pan palił?

- Nic poza śmieciami, jak sądziłem. Ale w pudle, które właśnie wrzucałem do ognia, znaleźli mnisią szatę. Zabrali mnie do środka, żeby przeszukać moją sypialnię. Pod moim łóżkiem znaleźli pudło z karabinkami oplecionymi sznurkami paciorków modlitewnych. Jeden z funkcjonariuszy bawił się pałką. Gdyby nie działo się to w obecności mnóstwa obcokrajowców, miałbym pewnie teraz pękniętą czaszkę.

- Muszę się z panem zobaczyć.

- Dzisiaj czekam na zamówiony sprzęt z bazy. Jutro rano mogę się z panem spotkać w mieście.

- Nie jutro. Nie w mieście. W Tumkot, za godzinę.

Shan wsiadał właśnie do starego jiefanga w składzie Tsipona, kiedy zza rogu wyszło dwóch pracowników magazynu, usmolonych, z wiadrami w rękach. Przystanął, zaczekał, aż znikną we wnętrzu budynku, po czym chyłkiem przemknął za róg. Choć konstrukcja chatki pozostała nienaruszona, z otwartych drzwi wciąż wydobywał się dym. Obejrzał się przez ramię i upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wpadł do środka. Gęsty dym gromadził się pod sufitem. Gryząca woń spalonego nylonu i plastiku mieszała się ze swądem przypalonego pierza. Na szczątkach łóżka pod oknem w ścianie naprzeciw drzwi piętrzyła się slerta osmalonych ubrań, zwęglonych czasopism i gazet. Tsipon,

zawsze niechętnie widzący obcych na swym terenie, prawdopodobnie przedwcześnie odesłał straż pożarną. Przy większym dopływie tlenu łóżko najpewniej stanęłoby w płomieniach.

Shan znalazł na podłodze T-shirt, przycisnął go do ust i nosa i zaczął przeszukiwać zgliszcza pokoju. Nylonowy plecak, w większej części stopiony w miękką niebieską bryłę. Kilka powieści po angielsku. Trzy długie metalowe pręty, kijki trekkingowe chętnie używane przez zagranicznych turystów. Porozrzucone ubrania, niektóre ewidentnie należące do kobiety. Mała komoda pod oknem w bocznej ścianie, z pootwieranymi wszystkimi szufladami. Dwa puste worki marynarskie. Cztery kartonowe pudła, oryginalnie zamknięte, z nalepkami **YATES EVEREST EXPEDITION**. Wrócił do wejścia i omiół wzrokiem całe pomieszczenie. Przed pożarem ktoś tu szperał, szukając czegoś, co należało do Amerykanów. Zastanawiał się, gdzie sam ukryłby coś w tak prostej, otwartej przestrzeni, po czym przeszedł wzdłuż ścian, zaglądając za nieliczne meble, pod szuflady. Niemal dusząc się dymem, uchylił okno w bocznej ścianie i gdy powietrze oczyściło się nieco, obejrzał dokładnie sufit. Wszedł na krzesło, potem na komodę pod oknem, przyglądając się belkowaniu pod skośnym dachem. W końcu w kącie przy drzwiach dostrzegł ciemniejszy skrawek cienia. Chwycił jeden z kijków trekkingowych i dźgnął w to miejsce, a gdy wyczuł opór, zaczął manewrować kijkiem, aż w końcu wyłuskał nieduży, szary plecak.

Pospiesznie przeszukał zapinane na zamki błyskawiczne przegródki. W jednej z nich natrafił na mały notes ozdobiony ołówkowymi rysunkami kwiatów, gór i ptaków. Otwierał właśnie wewnętrzną okładkę, kiedy szyba tylnego okna się rozprysnęła. Na łóżko upadły jeden po drugim trzy małe metalowe pojemniki z paliwem. Nagły dopływ tlenu spowodował zapłon tłących się szczątków łóżka i w tym samym momencie drzwi zostały zatrzaśnięte od zewnątrz.

Shan, wciąż stojąc na komodzie, kopniakiem wybił okno, gdy drugi koniec pomieszczenia stanął w płomieniach. Przeciskał się właśnie przez otwór, gdy eksplodował pierwszy z kartuszy.

Nagle znalazł się na ziemi trzy metry od chatki, z twarzą w pyłe. Dzwoniło mu w uszach, w obolałych palcach kurczowo ścisnął notes Amerykanki. Chatka była już kulą ognia. Gdyby nie znajdował się tuż przy oknie, w pozycji, w której łatwo mu było je wybić, pierwsza eksplozja pozbawiłaby go przytomności, druga i trzecia by go zabiły.

Z ogromnym wysiłkiem dźwignął się na nogi, schował notes pod koszulę i ruszył przed siebie chwiejnym krokiem, gdy pierwszy z robotników wybiegł z za rogu magazynu.

- Ten głupek Tsipon odesłał straż pożarną - burknął mężczyzna, po czym zaczął wołać o wiadra wody.

Shan, wiedząc, że przy tak wielu świadkach jego ukryty napastnik będzie miał związane ręce, nie mógł oprzeć się pokusie przejrzenia notesu. Nim uruchomił starą ciężarówkę, przewertował pierwsze kartki. Na wewnętrznej stronie okładki widniało wypisane schludnymi, drukowanymi literami nazwisko Amerykanki, pod nim zaś lista gór otoczona małymi rysunczkami mnichów i młynków modlitewnych. Większość stron zawierała wpisy o charakterze terminarza oraz rozsiane tu i ówdzie techniczne zapiski na temat wspinaczki, niektóre ujęte w ramki, inne napisane bokiem lub nawet do góry nogami. Towarzyszyły im kolejne szkice ołówkiem, w większości tybetańskie widoki i scenki, choć niektóre, jak łoś lub krowa z wielkim dzwonkiem na szyi, pochodziły z innych kontynentów. Shana interesowały jednak notatki w typie dziennika. Pierwsze z nich, opatrzone datami sprzed trzech lat, pisane były w Katmandu, wkrótce po nich nastąpiły jednak wpisy z południowej bazy po nepalskiej stronie Everestu. Były tam szkice tras wspinaczkowych, mapki z lokalizacją obozów

wysokościowych, urywki wierszy, transkrypcje haiku, nawet imiona Szerpów z uwagami na temat ich kwalifikacji oraz zapisane wielkimi, czarnymi literami zdanie: *Gdziekolwiek są ludzie, tam znajdziesz muchy i buddów.*

Gdy wyjeżdżał z parkingu, myśli przemykały mu przez głowę szybciej niż pędzący w stronę magazynu wóz strażacki. Jednym z pierwszych nazwisk wymienionych na liście Szerpów Megan Ross był Tenzin Nuru.

Shan zostawił starą ciężarówkę na polanie niespełna kilometr od Tumkot, a gdy od wioski dzieliło go już tylko parę minut marszu, dogoniła go czerwona terenówka Yatesa. Gestem kazał Amerykaninowi zaparkować wóz w cieniu między dwiema szopami na skraju wioski.

- Czy coś to panu mówi? - zapytał, zwijając w rulon zabraną ze swego warsztatu stronicę z pechy i podając ją Amerykaninowi. - Modlitwa zwinięta w taki sposób?

Yates wziął pergaminowy rulonik do ręki, rozwinął go, po czym zwinął ponownie.

- Może po prostu tak się je przechowuje? A może tak łatwiej wsunąć je między kamienie mani albo do środka tych małych posążków - dodał.

Sprawiał wrażenie bezbrzeżnie zafascynowanego zrolowanym arkusikiem. Shan pozwolił mu zatrzymać go, gdy szli niebrukowaną ulicą, a potem w dół, po wytartych kamiennych stopniach prowadzących na główny plac.

W domu Kypo nie zastali żywego ducha. Dom Amy Apte również był pusty. Shan zabrał ławkę stojącą przed progiem wróżbitki i ustawił ją w środku, w cieniu tuż poza skrajem kałuży światła wpadającego przez otwarte drzwi. Yates, nerwowy jak zawsze, krążył między pogrążonymi w półmroku przegrodami dla zwierząt, pytając Shana o tybetańskie nazwy tych czy

innych sprzętów lub znaczenie symboli narysowanych przez wróżbitkę na ścianie po wewnętrznej stronie drzwi. Potknął się o coś leżącego w ciemności i koza zerwała się na nogi, mecząc z zaskoczeniem. Z początku wystraszona, uspokoiła się, gdy Amerykanin zaczął głaskać ją po grzbiecie. Shan dostrzegł wezbrane wymię zwierzęcia, znalazł blaszane wiadro, które wróżbitka trzymała przy drzwiach, i zabrał się do dojenia, podczas gdy Yates śpiewał kozie piosenkę o koniu wyścigowym imieniem Stewball.

Siedzieli tak niczym dwóch samotnych pasterzy, kiedy Ama Apte stanęła w progu wraz z Kypo i swoją wnuczką. Choć znać było po nich, że mają za sobą długą wędrówkę i wyglądali na wyczerpanych, syn Amy Apte z urazą w oczach ruszył w ich stronę, jakby zamierzał przepędzić ich z domu.

- Nie jesteśmy twoimi wrogami, Kypo - powiedział Shan, kładąc dłoń na ramieniu Yatesa, który zaczął się podnosić.

- Nie jesteście Tybetańczykami. - W miarę jak mówił, głos Kypo stawał się coraz bardziej zapalczywy. - Zawsze jest tak samo. Wy, cudzoziemcy, mieszacie się w nasze sprawy, jakby chodziło o jakąś zabawę, a potem znikacie i to my ponosimy karę.

- Tybet powinien być dla Tybetańczyków - oświadczył Shan. - Gdyby moje odejście zwiększyło szanse Tybetańczyków na odzyskanie własnego kraju, już jutro spakowałbym manatki.

Po tych słowach zapadła cisza. Kypo, nerwowo obserwując matkę, stanął przed swą córką, jakby chciał ją chronić.

- Łatwo ci tak mówić - odparła Ama Apte. - To tylko słowa.

Shan odwzajemnił twarde spojrzenie kobiety, po czym spuścił wzrok, walcząc z nieoczekiwanym przyływem melancholii.

- Mój syn - oświadczył, wrywając z siebie każde słowo

niczym spazm bólu - jest więźniem w fabryce yeti. Jeśli do pojutra nie odkryję prawdy o zabójstwach, na jego mózgu zostanie przeprowadzony eksperyment medyczny. Nawet koza się nie poruszyła.

- Jezu, Shan - jęknął Yates. - Nigdy pan nie... - Głos odmówił mu posłuszeństwa.

Kypó zaklął pod nosem. Córeczka uchwyciła się kurczowo jego nogi, wtulając głowę w jego biodro.

- Pora ujawnić prawdę - powiedział Shan, spoglądając znacząco na Amę Apte. - Pora ujawnić całą prawdę. Żadnego wróżbiarstwa. Żadnego rzucania kości. Żadnego zasłaniania się przyszłością albo losem. To ty szperałaś w namiocie Megan Ross w bazie. Nie znalazłaś tego, czego szukałaś.

-Skąd możesz wiedzieć? - zaprotestowała łamiącym się głosem kobieta.

Shan sięgnął pod koszulę, wyciągnął notes i rzucił go na pusty stółek.

- To jest to, czego szukałaś.

Ama Apte westchnęła, patrząc rozszerzonymi oczyma na dziennik Megan Ross.

- Napijmy się herbaty.

Gdy wróżbitka podeszła do drzwi, by zająć się ubijakiem, Shan przejrzał kilka ostatnich wpisów w notesie. Dało się w nich wyczuć niecierpliwość, wręcz podniecenie, poczynając od wizyty na pewnym zakręcie górskiej szosy.

„Nathan mówi, że to zbyt niebezpieczne, ale pokazał mi, jak przygotować to miejsce, tak żeby nikt nie musiał tam siedzieć. Uważa mnie chyba za jakiegoś sapersa. Zaczynam wytyczać nową trasę z Przełęczy Północnej. Nathan życzy sobie osobnej trasy, żebyśmy nie wpadali wciąż na inne ekspedycje. Kiedy Tenzin tu dotrze, zaczniemy się rozglądać”.

Po tym następował wiersz o górach w blasku księżyca, porównanych do srebrnych schodów do nieba, dalej szkice

ptaków i siedzącej włochatej postaci, być może medytującego yeti. Następny dzień przyniósł wzmiankę o szosie oraz powód, dla którego Ama Apte chciała zdobyć ten notes.

„Przeszliśmy się dziś z Amą Apte po zboczach. Pocziwa, mówi, żebym się nie martwiła, że ona robi to dla mnie i dla góry, a także dla mnichów, że księżyc będzie dość jasny, by mogła przygotować wszystko noc wcześniej". Potem, po rysunku rytualnego sztyletu, krótkie „Przybył Tenzin!" oraz rzeczowe notatki na temat nowej trasy powyżej obozu bazowego, wraz z obliczeniem liczby butli z tlenem potrzebnych dla pierwszej wyprawy, zakończone słowami: „Postanowiliśmy z Nathanem, że wszystkie butle zostaną zniesione z powrotem i że żaden klient, który zostawi śmieci na szczycie, nie będzie już nigdy wspinał się z nami!"

Ostatni wpis był krótki. „Wspinaczka na inspekcję pierwszego obozu wysokościowego. Zostałam tam Tenzina samego, rozłączonego z pozostałymi przez silną wicherę na wyższych partiach stoku. Zgadza się na cały plan, skrzyknie Szerpów, żeby wystawili transparent popierający Kartę podczas pikniku minister w Rongphu. Przed świtem musiałam zostawić go, żeby złapać okazję do miasta. Muszę zapytać Tsipona, dlaczego umieszczamy tak znaczne sumy na kontach w Hongkongu. Powiedziałam Arnie Apte, że napiszemy na nowo przyszłość Czomolungmy!" To były ostatnie słowa.

Kiedy uniósł wzrok, Ama Apte wpatrywała się w niego, trzymając kociołek z wrzątkiem.

- Ona powiedziała Tenzinowi - wyjaśniła. - Powiedziała mu wszystko. Dlatego go zabili.

Oczy zaszły jej łzami.

- Ale on nie miał z tym nic wspólnego. Jedyne, co miał zrobić, to trzymać transparent.

Wyjaśnienia udzielił Yates.

- Był ktoś jeszcze, wtajemniczony w sprawę, ktoś niewi-

działny, kto nie mógł pozwolić, by Tenzin żył i mógł wyjawić, że plan Megan został wykorzystany jako kamuflaż dla morderstwa.

Wróżbitka nie odezwała się więcej, dopóki nie wręczyła każdemu z gości kubka z herbatą.

- Chodźmy do fabryki yeti - zaproponowała. - Spróbujmy uratować twojego syna.

Shan odpowiedział słabym, smutnym uśmiechem.

- Dziękuję, ale nie. To jest coś, co mogę zrobić tylko ja jeden.

- Oni są nowymi bogami, wiesz - powiedziała do swego kubka. - To, co piszą tysiące kilometrów stąd, staje się naszą prawdą, tak jak dawni lamowie napisali niegdyś nasze sutry. Na gmachu władz miejskich wisi nowe hasło. „Partia jest naszym Buddą”.

Kypo nachylił się ku córce, wskazując ręką drzwi.

- Nie - oświadczyła jego matka, kładąc dłoń na ramieniu dziewczynki. - Ona musi to słyszeć. Czy tego chce, czy nie, będzie żyć z nowymi bogami. Nie ma powrotu. Dawnym bogom i dawnym Tybetańczykom pozostało jedynie odejść z godnością.

Kypo pobladł. Uklęknął i mocno objął córkę, jakby teraz sam był przerażony.

- Więc o to w tym wszystkim chodzi, ciociu Amo? - zapytał obojętnym głosem Shan, podnosząc się z miejsca. - To jest twój sposób na odejście?

Po wyrazistej, ładnej twarzy Amy Apte spłynęła łza. Pochyliła się nad kociołkiem i dołała gościom herbaty.

- Zeszłego lata, pod koniec sezonu - powiedziała - Megan przyszła do mnie i zapytała, czy mogłaby spędzić zimę u mnie. To nielegalne, powiedziałam jej. Byłoby to niebezpieczne dla Kypo, bo władze uznałyby, że jako miejscowy kierownik obsługi wypraw miał z tym coś wspólnego. Nie

upierała się, poprosiła tylko, żebym wybrała się z nią na jedną z jej gór. Ciężka wspinaczka, ale nie taka, do której potrzebne są liny. Zajęło nam to pięć dni. Ostatniej nocy godzinami wpatrywała się w gwiazdy, jakby medytowała. Powiedziała, że w Tybecie wszechświat wygląda inaczej. Powiedziała, że znów lulaj umrze.

Znów? - zdziwił się Yates. A ma Apte uśmiechnęła się smutno.

Też o to zapytałam. Odparła, że podczas swej ostatniej wyprawy na Czomolungmę, stojąc na szczycie, uświadomiła sobie nagle, że żyła tu w innym wcieleniu.

Próbujesz przedstawić to tak, jakbym razem z nią maczał palce w tej zasadzce - odezwał się Yates po kolejnej długiej chwili ciszy.

Nie. Tylko ja maczałam w tym palce, z niewielką pomocą widma tarczoka - wyznała Ama Apte, zerkając na notatnik. Nie patrząc na Yatesa, utkwiała wzrok w jednej z migoczących lampek przy kociołku.

Próbowałaś doprowadzić do tego, by bezpieka mnie aresztowała - ciągnął Yates - podkładając mnisią szatę do moich śmieci i te karabinki z paciorkami pod moje łóżko.

Nie do aresztowania - sprostował Shan. - Tylko do deportacji.

Ama Apte przygryzała wargę jak przyłapana na gorącym uczynku dziewczynka.

Nigdy nie zrobiłem ci nic złego - powiedział Yates.

Nie rozumiesz - odparła wróżbitka, nie odrywając wzroku od płomienia. - Nie mógłbyś zrozumieć. Przyjmij po prostu do wiadomości, że na górze trwa teraz sezon na zabijanie. Wracaj do domu. Nawet jeśli spróbujesz wejść na szczyt, góra cię zepchnie.

Bez alpinistów - odezwał się niemal szeptem Kypo - nie zdołam wyżywić rodziny.

Jedyną odpowiedzią Amy Apte było spojrzenie o smutnym, melancholijnym wyrazie, jaki Shan widywał u starych łamów, spojrzenie mówiące, że jedynymi istotnymi odpowiedziami są te, które każdy znajduje sam dla siebie.

Przyglądając się jej, Shan nabrał odczucia, że kluczem do wszystkich zagadek, wszystkich niewiadomych w kwestii zabójstw, do osobliwego zachowania tak wielu Tybetańczyków była odpowiedź na pytanie, kim naprawdę jest Ama Apte.

- Zjedzmy coś - odezwała się Tybetanka z nowym ożywieniem w głosie i klasnęła w dłonie, by wyrwać wszystkich z transu.

Nastrój natychmiast uległ zmianie, gdy wróżbitka wróciła do roli matki i babki, posyłając Kypo po większe naczynie na żar, wnuczkę po wodę, Shana i Yatesa z kozłami i deskami na podwórko za domem, gdzie mieli zmontować prowizoryczny stół. Jedząc gruby makaron *thanthuk* i baraninę, prowadzili cichą, swobodną rozmowę, aż w końcu Kypo i Yates rozłożyli na stole mapę Czomolungmy, by omówić zawsze skomplikowane zadanie rozmieszczenia zapasów w obozach wysokościowych.

Córka Kypo pochyliła się nad stołem wraz z dwoma mężczyznami, słuchając uważnie, z oczyma rozszerzonymi przeczuciem przygody. Po kilku minutach Yates zaczął szperać po kieszeniach i wyciągnąwszy metalowy długopis, dał go w prezencie dziewczynce. Zarumieniona przyjęła go z podziękowaniami.

- Na razie połowa tlenu w obozie pierwszym, a połowa tam - powiedział, wskazując symbol oznaczający obóz II. W tym momencie Ama Apte wydała stłumiony okrzyk, upuszczając jedno z naczyń, które zbierała ze stołu. Ze zszokowaną miną patrzyła na dłoń Yatesa. Amerykanin w roztargnieniu trzymał w ręce wyjętą z kieszeni zrolowaną stronicę pechy, używając jej jako wskaźnika.

Niespodziewanie Tybetanka

przyskoczyła do niego, wyrwała mu rulonik i uderzyła go w twarz.

Oszołomiony Amerykanin zatoczył się w tył. W oczach Amy Apte wezbrały łzy. Opadła ciężko na stołek i rozszlochała się, kryjąc twarz w dłoniach. Kypo, Shan i Yates wymienili osłupiałe spojrzenia. Kypo ukląkł obok matki i położył jej dłoń na ramieniu. Gdy Shan chciał podejść bliżej, Tybetańczyk pokręcił głową i wskazał mu ulicę. Ama Apte zaczęła płakać. Wydawała się niepoczyszona.

Parę minut później Shan i Yates stali przy samochodzie Amerykanina, oglądając się niepewnie w stronę domu wróżbitki.

Wygląda na to, że puściły jej nerwy - powiedział ze smutkiem Yates. - Cały ten stres. Skończy się na tym, że ją zaarrestują. Powinna trzymać się od nich z daleka.

Shan uświadomił sobie, że Amerykanin mówi o mnichach i że obaj doszli do tego samego wniosku. Ama Apte wyprowadziła mnichów z bazy alpinistycznej i ukrywała ich gdzieś na zakazanej górze ponad wioską.

- Zbiegłych mnichów uznano za zamachowców i zdrajców - zauważył. - Ludzie przyłapani na udzielaniu im pomocy zostaną potraktowani w ten sam sposób.

Chce pan powiedzieć, że czeka ich pluton egzekucyjny?

A jeśli spróbują przekroczyć granicę, na przełęczach rozstawieni są snajperzy. Dwa lata temu zastrzelono z dalekosiężnych karabinów mniszki usiłujące zbiec do Nepalu.

Ktoś musi jej to powiedzieć.

Nie posłucha. Przypuszczam, że wróżbitka widzi własny los i uznała, że nie da się go zmienić.

Yates oparł się o maskę samochodu i ukrył głowę w dłoniach.

Jestem wykończony. - Sprawiał wrażenie dziwnie znużonego, jak gdyby dopiero co wrócił ze wspinaczki bez tle-

nu. - Żal mi jej. Żal mi Megan. Żal mi pańskiego syna. Ale mam dość. Nie dam się wciągnąć w kolejne zabójstwa. Niech mnie pan zostawi w spokoju. Idziemy różnymi drogami. Proszę nie wlec mnie więcej na własną. Zabieram swoich klientów na szczyt najszybciej, jak tylko się da, a potem wracam do domu. Ona miała rację. To sezon na zabijanie.

- W takim razie to ja winien jestem panu przeprosiny -odparł Shan. Podszedł do okna od strony kierowcy i palcem zaczął rysować w skorupie brudu na szybie.

- O czym pan, u diabła, mó... - Gdy Yates uniósł głowę, słowa zamarły mu na ustach. Z zapartym tchem wpatrywał się w narysowany przez Shana symbol. - Skąd pan to... - Głos znów odmówił mu posłuszeństwa. Wodził palcem po nieudolnym, ale wiernym rysunku skrzyżowanego młota i błyskawicy.

- Próbowałem to panu wytłumaczyć, Yates. Obu nam chodzi o to samo. Obaj tropimy coś, co wydarzyło się dziesiątki lat temu.

Amerikanin zerknął na niego niepewnie, po czym jego wzrok powędrował znów ku symbolowi na szybie.

- Kypa mówi, że działa pan na pałkarzy jak magnes. Nie mogę pozwolić sobie na dalsze kłopoty.

- Niech się pan po prostu przejdzie ze mną.

- Dokąd?

- Na górę, na spotkanie z pańskim ojcem.

Nie rozmawiali, wspinając się na wierzchołek wysokiego grzbietu obiegającego łukiem Tumkot. Obaj pamiętali swe ostatnie spotkanie na tym szlaku i bójkę w świetle księżyca, kiedy Yates schodził w dół z workiem bogów.

Gdy zbliżyli się do zrujnowanego sanktuarium, Amerikanin zwolnił kroku. Shan kilkakrotnie przystawał i oglądał się za siebie, i za każdym razem widział, że Yates spogląda tęsknie w stronę rysującego się w oddali szczytu Everestu. Gdy dotarł

do sanktuarium, uklękawszy przy rozsypującym się murze z pokrytych porostami kamieni mani, odbudował i wyrównał **yy**. Amerykanin tymczasem zbliżył się niepewnym krokiem. Na jego twarzy malowała się ostrożność, może nawet strach, ale także cień wstydu, który się pojawił, gdy zerknął na ołtarz, skąd zabrał prastare figurki.

Odniosę je - powiedział. - Od początku miałem zamiar ic zwrócić.

Uklękął obok Shana i w milczeniu zajął się wraz z nim kamieniami, oczyszczając pokryte modlitwami powierzchnie i podając mu je, by dodał je do muru.

Po kilku minutach Shan wstał. Znam Tybetańczyków, którzy w tych sanktuariach zmieniają sposób mówienia. Zwracają się do dawnych bogów słowami, których większość młodszych Tybetańczyków nawet nie zna, mają specjalne modlitwy, specjalne pokłony. Z początku czułem się niezręcznie, odwiedzając takie miejsca, jak intruz albo gorzej, jak jeden ze sprawców ich zniszczenia. Ale teraz pewien mnich zaprowadził mnie do kępy kwiatów przywalonych kamieniami, które odpadły od kruszącego się ołtarza. Kazał mi podnieść te kamienie i umieścić je z powrotem na ołtarzu. Kiedy kwiaty wyprostowały główki, powiedział: „Teraz cześć, jaką tu oddałeś, połączyła się z czcią wszystkich, którzy byli tu przed tobą, co czyni to sanktuarium tak samo t woim, jak i moim”.

Yates spojrzał badawczo w jego twarz, jakby nie do końca rozumiejąc, po czym uklękął i dołożył do muru jeszcze kilka kamieni mani. Shan tymczasem skierował się ku ołtarzowi poza nawisem skalnym.

To miejsce nie ma nic wspólnego z moim ojcem - oświadczył Amerykanin z wyzwaniem w głosie. - Jeśli myśli pan, że uda się panu podstępem skłonić mnie do... - Urwał w pół słowa, gdy podążył wzrokiem za palcem Shana, wskazującym

koniec ołtarza. Krucyfiks leżał wciąż w kurzu tam, gdzie Shan zostawił go przed paroma dniami.

Yates nagłym ruchem sięgnął po srebrny krzyż, potem jednak zawahał się i jego ręka zastygła w powietrzu. W jego oczach nie było pytania, jedynie burza emocji. Gdy w końcu podniósł krzyż, zamknął go w obu dłoniach, jakby się bał, że rozsypie się w proch. Wyniósł go na światło dzienne i usiadłszy na szczątkach kamiennej ławy, przyglądał mu się w milczeniu.

- Widziałem go na fotografii - wyjaśnił ze wzruszeniem w głosie. - W ostatnim roku, który spędził w domu, kiedy miałem dwa lata, zrobiono nam zdjęcie. On trzyma mnie w ramionach, a ja ściskam rączką łańcuszek, na którym wisiał ten krzyżyk. - Uniósł wzrok i z uwagą rozejrzał się po placyku. - Nie wiem, co to oznacza, że się tu znalazł. Ktoś mógł po prostu podłożyć go tu przed tygodniem.

- Nie - odparł Shan. - On leżał tutaj od dziesiątków lat. Widzi pan jego zarys w warstwach kurzu. Był tutaj wcześniej niż większość posążków Jamy.

- Niemożliwe - mruknął Yates. Ale toczył spór sam ze sobą, nie z Shanem. Obracał krzyż w dłoni, oglądając go uważnie ze wszystkich stron, jakby oczekiwał, że lada moment zdradzi mu swój sekret. I tak też się stało, chwilę później bowiem wskazał drobne literki na odwrocie krzyża. - SRY - przeczytał łamiącym się ze wzruszenia głosem, pokazując je Shanowi. - Inicjały mojego ojca. Miał na imię Samuel. - Zamilkł na długą chwilę. - *Tuchaychay* - podziękował po tybetańsku. - Mam wobec pana dług wdzięczności.

- Niech go pan spłaci prawdą.

Gdy Yates nie odpowiedział, Shan wstał i wskazał posążki na ołtarzu.

- Jest to pan dłużny także im. Musi pan wyjaśnić tym bogom prawdziwy powód, dla którego przyszedł pan do nich jak

złodziej nocą, dlaczego jeden z nich musiał zginąć, spadając w przepaść. - Wyciągnął do niego otwartą dłoń. - W ich obecności można mówić jedynie prawdę.

Amerykanin zrozumiał. Upuścił krucyfiks na jego dłoń, zerknął niepewnie w stronę ołtarza i obszedł w milczeniu placyk, przystając, by oczyścić i ułożyć jeszcze parę kamieni mani. Przez cały ten czas Shan czekał przy starej ławie. W końcu Yates wstał i usiadł przed ołtarzem, spoglądając na każdego z bogów po kolei, jak gdyby pozdrawiał ich bez słów.

- Układałem razem z ciotką i wujkiem, którzy mnie wychowali, puzzle ze średniowiecznymi malowidłami - zaczął. - Setki elementów w odcieniach szarości i brązu, z rozsianymi tu i ówdzie plamkami żywych barw. Miały sens tylko wówczas, gdy układając je, wciąż miało się w głowie kompletny obraz. Mój ojciec zawsze był dla mnie czymś takim. Miałem tylko fragmenty do poskładania, lecz brakowało mi obrazu człowieka jako całości. Ciocia i wujek, mówiąc o nim, używali stale tych samych, niezmiennych zwrotów. Dobry, uczciwy człowiek. Świetny sportowiec. Kochający wolność. Fantastyczny pilot.

- Nie naukowiec - zauważył Shan.

- Nie naukowiec - przyznał Yates. - Kiedyś słyszałem, jak ciocia z wujkiem rozmawiają o nim z moim starszym kuzynem. Byli źli na niego, mówili, że mógł wrócić i zrobić niezłą karierę jako pilot w liniach lotniczych. Nic z tego nie było w stanie sprawić, by dla mnie ożył. Chciałem wiedzieć, jak brzmiał jego śmiech, chciałem wiedzieć, co nosił w sercu, jakie słowa mówiłby mi na dobranoc, gdyby kiedykolwiek wrócił. Ukrywali coś na jego temat, wiedziałem to. Raz, kiedy miałem dziewięć lat, pod ich nieobecność odkryłem w ich szafce w sypialni pudełko po butach, wypełnione listami i zdjęciami. Hyl tam szmaciany woreczek ze zrolowanymi karteluszkami, zaledwie trzycentymetrowej szerokości, każdy przewiązany

rzemykiem. Nie miałem pojęcia, co to takiego, po prostu jakaś dziwna rzecz ze świata dorosłych. Nie wiedzieć czemu, przerażały mnie. Pachniały czymś kojarzącym się ze Wschodem, kadzidłem, jak dowiedziałem się później. Papier był dziwny, jakby ręcznej roboty, odręcznie zapisany drobnym maczkiem. Pierwsze listy, te normalne, adresowane były w większości do mojej matki. Wyglądały, jakby nigdy ich nie dotknęła. Nie sądzę, by kiedykolwiek trafiły do jej rąk, bo rozwiodła się z moim ojcem, kiedy miałem roczek i ciocia z wujkiem nie utrzymywali z nią kontaktów. Zabrałem kilka z nich i ukryłem pod swoim materacem, czytając je wciąż na nowo. Pisał do niej o ukrytym w jakichś górach miejscu zwanym Camp Hale. Cokolwiek robił, było to wielką tajemnicą. Wciąż powtarzał, że to bardzo ważne i że któregoś dnia wyjaśni wszystko. Z tego, co pisał, wynikało, że był jakimś wykładowcą. Moi uczniowie robią nadspodziewanie szybkie postępy, pisał, zakończyliśmy pierwszy semestr i wszyscy zdali śpiewająco. Ale to była jakaś dziwna szkoła. Czasem wydawało się, że on sam był uczniem, kiedy mówił, że ukończył kurs zimowego survivalu i przechodzi do nawigacji i języka. Im więcej pytałem, tym mniej ciocia z wujkiem chcieli o nim mówić, jakby był jakąś pomyłką, co oznaczało, że i ja muszę być pomyłką. Zaczęli mnie złościć. Wykradłem to pudło z ich pokoju i schowałem na strychu. Zabrałem zrolowane kartki do swej tajemnej kryjówki na stoku ponad domem i przeczytałem wszystkie. Ojciec pisał w nich, że jest w Himalajach, gdzie spotyka wspaniałych ludzi. Rysował na marginesach małe obrazki. Niektóre przedstawiały dziwne kościoły o wieżach przypominających odwrócone rożki lodów. Kudłate krowy z długimi rogami. Rozwijalem następną, i następną. W każdym liście pytał o mnie, powtarzał, że misja przebiega pomyślnie. Nic z tego nie rozumiałem. Te świstki przerażały mnie. W końcu zebrałem się na odwagę

i rzuciłem jeden na stół podczas obiadu. Ciotka bardzo się roz-

gniewała i nie chciała odpowiedzieć na moje pytania. Stwierdziła, że nie ma potrzeby wywlekać tej parszywej historii. Wujek po prostu posmutniał. Później powiedział mi, że jego brat, mój ojciec, wysłał list nadany przez inną osobę z jednego z miast w Indiach. Pisał w nim, że znalazł bezpieczny sposób na przesyłanie wiadomości, że będzie wysyłał brązowe posążki boga zwanego Jamą, że ich wytwórcy umieszczali w ich pustym wnętrzu modlitwy i różne przedmioty. Po otrzymaniu posążka wujek miał rozciąć podstawę albo roztopić lut i wyjąć ze środka listy, zwinięte jak modlitwy, które zwykle tam wkładano. Ojciec mówił, że wysyła je, ponieważ gdyby coś mu się przytrafiło, chciał, by jego syn wiedział o słusznej sprawie, dla jakiej pracuje, o tym, jak ważna jest ona dla świata. Mówił, że będzie wysyłał posążek co parę miesięcy, bo wolno mu było wysyłać do domu prezenty, ale listy były zawsze cenzurowane. Nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Brzmiało to tak, jakby ojciec był więźniem w Indiach. Słyszałem, jak c iocia mówiła komuś, że mój ojciec popadł w uzależnienie od narkotyków, jakie się tam uprawia, i stoczył się na dno, aż w końcu zmarł w jakimś zaułku w Kalkucie. Wujek zdenerwował się na nią i powiedział, że mój ojciec nie był żadnym narkomanem, tylko dobrym żołnierzem. - Yates na chwilę spuścił wzrok, sprawiając wrażenie zatopionego we wspomnieniach.

Shan oddał mu krucyfiks, a on zamknął go w dłoni i przycisnął do serca.

- Niech pan więc wyobrazi sobie mnie, jedenastolatka, z kompletnym mętlikiem w głowie. Mój ojciec był nałogowcem, żołnierzem, pilotem, wykładowcą, więźniem, alpinistą. Śnił mi się po nocach, zawsze jednak skrywał go cień. Wujek powiedział mi, że pierwszy posążek, jaki przysłał, był zarazem ostatnim. Ale dał mi coś jeszcze, list, który dowództwo wysłało do niego jako najbliższego krewnego. Mój ojciec zginął w służbie dla kraju, stwierdzono tam, i został odznaczony

medalem za męstwo. Okoliczności jego śmierci nie pozwoliły na odzyskanie ciała. Nie miałem pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić, gdzie dociekać prawdy. Włożyłem list do pudełka po butach i zajrzałem tam dopiero wiele lat po studiach. To wtedy właśnie zauważyłem w tym liście z dowództwa nadruk u góry strony: Wydział Operacji Specjalnych. Zacząłem sam pisać listy do władz. Trwało to długo. Miałem interesy, o które musiałem się troszczyć, najpierw sklep z artykułami sportowymi, potem agencję turystyczną i alpinistyczną. Ożeniłem się i rozwiódłem. Ale wciąż pisałem listy, do armii, do senatorów, do związku weteranów. Te nieliczne odpowiedzi, jakie otrzymałem, mówiły, że wszystkie dokumenty na ten temat są poufne, ściśle tajne. W końcu dowiedziałem się, że Camp Hale znajdował się w górach w stanie Kolorado, i pojechałem tam, w każdym razie do najbliższej miejscowości. Mieszkańcy twierdzili, że prowadzono tam próby z bronią atomową, więc wszyscy trzymali się od niego z daleka. Ale pięć lat temu akta zostały odtajnione i udostępnione ogółowi.

- Camp Hale nie miał nic wspólnego z bronią atomową -domyślił się Shan.

- Camp Hale był jedynym obiektem wojskowym położonym w terenie przypominającym środowisko himalajskie. W czasie drugiej wojny światowej służył jako obóz szkoleniowy górskich komandosów. Armia udostępniła go Wydziałowi Operacji Specjalnych, który później przekształcił się w CIA. W amerykańskim rządzie utworzono niewielką grupę na rzecz wspierania niepodległości Tybetu. Sprowadzono tybetańskich bojowników ruchu oporu, by uczyć ich angielskiego, sztuki przetrwania, nawigacji, obsługi radia, skoków ze spadochronem. Było to tak tajne, że Tybetańczycy nie wiedzieli nawet, gdzie są. Tym właśnie zajmował się mój ojciec, szkoleniem ruchu oporu. Ostatecznie w Nepalu, przy granicy z Tybetem, założono bazę armii powstańczej. W końcu otrzymałem do-

kumentację przebiegu służby ojca. Wynikało z niej, że po roku w Hale poprosił o przeniesienie do Nepalu, wraz z bojownikami, których szkolił.

Amerikanin wstał i zaczął chodzić wzdłuż ołtarza.

- Od tego momentu wszystko staje się mętne. Oficjalnie Amerykanie nigdy nie przekroczyli granicy, jeśli nie liczyć nocnych misji powietrznych, dokonujących zrzutów Tybetańczyków i dostaw, niekiedy setki kilometrów w głąb Tybetu. Oficjalnie ojciec przez cały ten czas stacjonował w bazie w Nepalu. Oficjalnie odbywał lot samolotem, który nigdy nie wrócił. W końcu jednak dotarłem do innych Amerykanów, którzy brali udział w tym projekcie, dziś już starych ludzi, samych emerytów. Wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że nie utracono ani jednego samolotu, a kilku z nich znało mojego ojca, mówiło, że był znakomitym alpinistą, że żarliwie wierzył w to, co robili dla Tybetańczyków. Nikt nie chciał powiedzieć, co się z nim stało. Ale kiedy jeden z nich, pilot, który wciąż miał na ścianie mapę Tybetu, dowiedział się, że prowadzę wyprawy wspinaczkowe na Everest, otworzył stary segregator i wypisał mi z niego ciągi liczb.

- Współrzędne geograficzne - domyślił się Shan w nagłym olśnieniu. Bezwiednie dotknął kieszeni z kartką, na której przepisał liczby ukrywane przez Yatesa w nodze od łóżka.

- Wszystkie w promieniu stu kilometrów od Everestu. Najkorzystniejsza lokalizacja, gdyż chińskie bazy lotnicze znajdowały się daleko od tego obszaru, a chińskie samoloty źle radziły sobie z gwałtownym górskim wiatrem. - Yates umilkł i ponownie spojrzał na rząd milczących Jamów, jak gdyby oczekując, że przemówią.

- Myśli pan, że wbrew rozkazom przekroczył granicę i zeskoczył na spadochronie wraz z tybetańskimi bojownikami.

Yates skinął głową.

- Jestem tego pewny. Wiem to w głębi serca. A teraz pan udowodnił to tym krzyżem.

- Megan Ross wiedziała o pańskim ojcu.

- Byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Kiedyś nawet czymś więcej. Zastała mnie z tymi starymi listami i zaczęliśmy rozmawiać. Ona uwielbiała intrygi. Zajęła się tym poważnie. Pomogła mi zlokalizować niektóre miejsca zrzutów. - Sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął małe urządzenie. Telefon komórkowy, pomyślał w pierwszej chwili Shan. - Odbiornik GPS. Kiedy w górze przelatuje odpowiedni satelita, ten aparat podaje dokładną długość i szerokość geograficzną.

Shan przypomniał sobie szczątki urządzenia, które znalazł na miejscu zamachu.

- Megan miała taki sam - odgadł. - A pan chodził z tym po polu jęczmienia.

Yates zaczerwienił się zakłopotany.

- Nie chciałem narobić szkody.

- Co spodziewał się pan znaleźć w miejscach zrzutów?

- Nie wiem. Cokolwiek. Może zabili się podczas skoku, może znalazłbym kości. Możliwe w którymś z tych miejsc pozostało coś po moim ojcu, jakaś jego część. Ta lista współrzędnych była jedynym solidnym dowodem, jakim dysponowałem.

- Nie licząc symbolu młota i błyskawicy. Yates znów skinął głową.

- Był narysowany na jednym z tych zrolowanych liścików ojca, w którym pisał o zjawieniu się nowego wroga. Parę tygodni temu pokazałem go Megan, a ona przerysowała go, powiedziała, że zapyta o to paru starych Tybetańczyków.

- Przypuśćmy, że faktycznie to zrobiła. Wkrótce potem wsiadła do samochodu z minister Wu.

- Z pewnością jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

- Pan niech mi to powie. Pan wie, dlaczego pojechała tamtego dnia z minister.

- Nie. Tak. Nie wiem. Mieliliśmy się spotkać, zaczekać razem przy szosie i zatrzymać samochód Wu, żeby móc porozmawiać z nią prywatnie na temat jej planów rozwoju. Ale Megan się nie zjawiła tego ranka. Uznałem, że znalazła sobie inny transport.

- Nie, znalazła książkę - odparł Shan. - Książkę, którą ukradła z miejskiej biblioteki.

- Książkę?

- Były w niej fotografie przywódców jednostki Czerwonej Gwardii, która zniszczyła wszystkie tutejsze świątynie i gompy oraz wymordowała miejscowych mnichów.

Shan wyciągnął zdjęcie, które zabrał z biblioteki, i podał Amerykaninowi. Na widok skrzyżowanej błyskawicy i młota Yates wydał stłumiony okrzyk; zdumiał się, gdy Shan wskazał kobietę pośrodku stołu.

- Niemożliwe!

- Megan pomagała panu w poszukiwaniach, ale realizowała też własny projekt, który był dla niej jeszcze ważniejszy, swą Kartę Himalajską. To zdjęcie, albo podobne, dało jej do ręki broń, jakiej potrzebowała. Ta książka dawno temu zniknęła z biblioteki, może nawet stała się przyczyną śmierci poprzedniej bibliotekarki. Ale nowa bibliotekarka jest fanatyczką, jeśli chodzi o kompletność zbiorów. W tym roku udało jej się zdobyć być może jedyny zachowany egzemplarz. Megan dzień przed zamachem odwiedziła bibliotekę i czytała go. To właśnie wtedy odkryła, że minister Wu była komendantką brygady „Młot i Błyskawica”.

Twarz Yatesa pociemniała z rozpacz.

- Idiotka. Powinna była mi powiedzieć.

- Wu to popularne nazwisko. Ludzie nie mieli powodu, by łączyć minister z dawną czerwonogwardzistką z Shogo. Gdyby miejscowi się dowiedzieli, że Wu stała na czele brygady, byłaby kompletnie zdyskredytowana w tym regionie, straciłaby szacunek międzynarodowej społeczności, którą chciała przy-

ciągnąć. To była karta przetargowa Megan. Megan nie wiedziała jednak, że minister ma pistolet. Wu pozostała równie twarda jak czterdzieści lat temu. Megan sądziła, że przekona ją do zmiany nastawienia do jej nowej kampanii. Ale Wu zdawała sobie sprawę, że oznacza to kres jej kariery.

- Ale chyba minister nie zabiła Megan?

- Nie było śladów walki, ze strony żadnej z nich. Myślę, że Wu nie protestowała, kiedy zastrzelono Megan, może zrobiła to sama. Ale był tam ktoś jeszcze, ktoś, komu oddała pistolet.

- Oddała?

- Nie było śladów walki - powtórzył Shan. - Minister podała pistolet tej trzeciej osobie, która z miejsca zastrzeliła także ją. Moim zdaniem obie zginęły z powodu tego zdjęcia.

- Ale co ma mój ojciec... - zaczął Yates, wyraźnie zbity z tropu.

- Megan poszła do biblioteki z powodu pańskiego ojca, sądziła, że dowie się czegoś o tutejszym ruchu oporu. Nie spodziewała się, że znajdzie to zdjęcie. Ale kiedy natknęła się na nie, wszystko się zmieniło. Niewątpliwie zamierzała przekazać je panu, ale najpierw chciała użyć go przeciwko Wu.

Siedzieli przez długi czas bez słowa, Yates wpatrzony w ołtarz, obracający w palcach krzyżyk swego ojca, Shan na zewnętrznym skraju placu, nad urwiskiem. On także nie do końca przetrwał prawdę. Pozwolił, by niosący woń lodu wiatr smagał go, porywając z sobą jego mylne wyobrażenia o zamachu. Zdarzenia, powiedział mu kiedyś jego stary przyjaciel Lokesh, nie kryją żadnej tajemnicy z wyjątkiem tajemnic uczestniczących w nich ludzi. Podobnie jak wielu Chińczyków, każdy znany mu Tybetańczyk otoczył wspomnienia „rewolucji kulturalnej”, lat, w których Chińczycy wykorzeniali na tych ziemiach wszelki opór, twardą, nieprzeniknioną skorupą. Ale Shan wiedział już, że właśnie w tym czarnym, niedostępnym miejscu odkryta zostanie prawda.

Rozdział 13

Yates nie zamierzał opuścić świątyni, nie przeszukawszy każdego skrawka terenu w nadziei, że natrafi na kolejne ślady ojca. Shan pomagał mu przez kilka minut, po czym usiadł na kamiennej ławie, wyciągnął z kieszeni notatnik i zaczął spisywać wydarzenia i daty, każde w osobnej linijce, po angielsku: *Pożar w siedzibie Urzędu do spraw Wyznań, zamordowanie Tczzina w obozie wysokościowym, Tan traci pistolet, zamach na minister Wu, zabójstwo dyrektora Xie, napaść na Gyalo w Shogo*. Gdy Yates, zakończywszy daremne poszukiwania, stanął obok niego, Shan podsunął mu notes. - Co to jest? - zapytał Amerykanin. Pewien mądry człowiek powiedział kiedyś, że jeśli prawdziwy obraz góry pozostaje zagadką, powodem jest to, że patrzący stoi nazbyt blisko. Proponuję wymianę: to, co ja wiem, za to, co pan wie. Chcę, żeby rzucił pan okiem na to, co wiem, bo ja sam patrzę ze zbyt bliskiej odległości.

Yates spojrzał na niego z powątpiewaniem, wzruszył ramionami, po czym podszedł do swego plecaka i wydobyl z niego podarty nylonowy worek. Przyjąwszy notatnik od Shana, wysypał zawartość worka na ławę. Kilka starych listów, zdjęcia, które Shan widział w bazie, mapa, kserokopie stron z jakiejś książki, drukowany formularz.

Siedzieli przez kilka minut w milczeniu. Yates - wertując notes Shana i pisząc własne notatki, Shan - czytając formu-

larz, urzędowy zapis przebiegu służby wojskowej kapitana Samuela Yatesa, potem listy, które odnotowywały więcej niż to, co przedstawił on sam. Skserowane strony zawierały opis Camp Hale z jakiejś kroniki zimnej wojny, mówiący o tym, jak elitarna grupa tajnych agentów wywiadu i specjalistów wojskowych stworzyła w Górach Skalistych miniaturowy świat dla tybetańskich uczniów, w którym poznawali historię Zachodu, uczyli się jeść hot dogi i hamburgery. Tekstowi towarzyszyły zdjęcia przedstawiające Amerykanów w mundurach bez insygniów, niektórych z fajkami lub cygarami w ustach, innych z zawiązanymi na szyi białymi khatami, szalami ofiarnymi, jakie tradycyjnie wręcza się w Tybecie na znak przyjaźni. Było tam też parę wypowiedzi uczestników, zarejestrowanych wiele lat później i odzwierciedlających ich głęboki podziw dla Tybetańczyków. Shan zatrzymał się nad jednym ustępem, czytając go dwukrotnie:

Miłość ojczyzny i buddyjska wiara płonęły w sercach wielu uczniów silnym ogniem. Poruszyło to amerykańskich instruktorów do tego stopnia, że kilku z nich wystąpiło z prośbą, z miejsca odrzuconą, by po zakończeniu szkolenia wysłano ich wraz z nimi do Tybetu; inni prosili o przeniesienie do wysuniętej bazy w północnych Indiach, by móc uczestniczyć w zrzutach i wsparciu radiowym dla misji.

Z dreszczem podniecenia rozłożył mapę. Było to niezwykle szczegółowe odwzorowanie okolic Everestu, z angielskimi opisami. Rozprostował ją, przyciskając rogi kamieniami, i zaczął ją dokładnie studiować. Dostrzegłszy zaciekawione spojrzenie Yatesa, podał mu własną, chińską mapę.

- Słyszałem angielskie określenie „mapa polityczna” - powiedział. - Co ono oznacza?

- To mapa, na której przedstawione są miejscowości i drogi, sztuczne obiekty terenowe - wyjaśnił Yates.

- W Chinach wszystkie mapy są polityczne - odparł Shan i wskazał rozkładany właśnie przez Amerykanina arkusz. -Rząd kontroluje ich treść. Nie zaznacza się na nich żadnych baz wojskowych, a do tego w ważnych strategicznie obszarach wprowadza się przekłamania.

Amerykanin wykrzyknął zaskoczony, wskazując rozbieżności między obiema mapami. Na chińskiej mapie wielkie przestrzenie wzdłuż granicy były po prostu plamami bieli, oznaczającymi rozległe pola lodowe. Większość obszarów przygranicznych nie zawierała nic poza ogólnymi zarysami terenu. Shan wskazał amerykańską mapę.

- U pana wygląda to jak zupełnie inna okolica - stwierdził. Położył czubek palca na Tumkot. Na chińskiej mapie obszar ponad osadą, niewidoczny z dołu płaskowyż, całkowicie pokrywało pole lodowe, oznaczone jako niedostępne, zgodnie z tym, co twierdzili mieszkańcy wioski. Amerykańska mapa jednak ukazywała znacznie węższy lodowiec, poniżej zaś pas nierównego, stromego, ale otwartego terenu.

Shan ołówkiem zrobił znaczek na szosie prowadzącej do bazy alpinistycznej.

- Miejsce zamachu - powiedział.

- Do czego pan zmierza?

- Ama Apte przyznała, że pomogła Megan Ross przy lawinie, która zatrzymała autobus, nie wyjaśniła jednak, jak udało jej się zrobić to tak ukradkiem. Nikt, kto wchodziłby lub schodził szosą, nie zdołałby uniknąć patroli. Gdyby ktoś z Tumkot próbował się tam dostać, musiałby iść kilka godzin szosą, i zostałby dostrzeżony i zatrzymany. Ale ktoś znający te ścieżki mógł przejść na drugą stronę grzbietu górą. To trudna trasa, sądząc po warstwicach, ale nie niemożliwa dla wytrawnego łazika. - Dopiero teraz dostrzegł cztery inne, lekko na-

rysowane kółka, oddalone od siebie o parę kilometrów, trzy z nich z ukośnym krzyżykiem w środku. - Nie odwiedził pan tej strefy zrzutów? - zapytał Amerykanina, wskazując kółko na płaskowyżu nad Tumkot.

- Musiałem się pomylić, przepisując współrzędne. Tam nie da się wejść. Megan mówiła, że próbowała i nie dała rady. Jedyna możliwa trasa to same urwiska i lód.

Shan jeszcze raz przyjrzał się mapie i po chwili dostrzegł kropkowaną linię biegnącą do Nepalu przez wysokogórską przełęcz, która na chińskiej mapie oznaczona była jako niedostępna. Uświadomił sobie, że patrzy na szlak, z którego korzystali Szerpowie, by niepostrzeżenie przechodzić w tę i z powrotem przez granicę. Strażnicy graniczni bez wątpienia wiedzieli o nim, ale warunki pogodowe były na tej wysokości tak nieprzyjazne, że nie utrzymywali tam żadnego stałego posterunku.

- A pan? - zapytał w końcu, wskazując swój notes. - Co przeoczyłem?

- To wszystko wciąż jest dla mnie łamigłówką - przyznał Amerykanin. - Możemy przy następnym spotkaniu zapytać wróżbitkę o ukryte znaczenie dwójek.

- Dwójek?

Yates otworzył notes na jednej z pierwszych stron i wskazał zapisane po angielsku słowa.

- Pożar w siedzibie Urzędu do spraw Wyznań - przeczytał i narysował poniżej kreskę ciągnącą się poza te słowa. - Zamordowanie Tenzina - powiedział, kreśląc kolejną linię. - Zamach na minister Wu. - Następna kreska. - Zabójstwo dyrektora Xie i tego samego dnia napaść na Gyalo - zakończył, dodając jeszcze jedną kreskę. Szpicem ołówka pospiesznie wpisał w przestrzeniach między kreskami liczby. - Dwa dni, dwa dni, cztery dni. Same dwójki lub wielokrotność dwójek. Ama Apte powiedziałyby pewnie, że góra przez jeden dzień

robi wdech, a przez następny wydech. - Wzruszył ramionami. - Niech pan nie zwraca na mnie uwagi. Mam bzika na punkcie matematyki. Jednak - dodał zaintrygowany - od ostatniego aktu przemocy minęły właśnie dwa dni.

Shan wstał, dziwnie zaniepokojony jego słowami, spoglądając to na mapę, to na narysowane przez Amerykanina liczby i kreski. Podeszedł na skraj urwiska; wystawiając twarz na smagnięcia zimnego wiatru, rozważał prawidłowości rządzące życiem świata dolin. Nagle odwrócił się i podbiegł do Yatesa.

- Jest takie miejsce - oświadczył, pospiesznie pakując rozłożone na ławie przedmioty - które żyje dwudniowym rytmem. Jeśli się pospieszymy, możemy być tam przed zachodem słońca.

Tym, co odkrył Yates, nie był rytm góry, wyjaśnił Shan, gdy wjeżdżali czerwoną terenówką Amerykanina na pylisty parking dla ciężarówek, ale puls Szosy Przyjaźni. Shogo leżało w strategicznym punkcie na trasie pomiędzy granicą nepalską a Lhasą.

- To naturalny punkt postojowy. Kierowcy mogą się najeść i zatankować, a potem przespać w ciężarówkach albo wykupić łóżko na zapleczu herbaciarni. O świcie ruszają w dalszą drogę i przed zmrokiem docierają do miejsca przeznaczenia. Kierowcy odbywający regularne kursy następnego ranka wracają tą samą trasą.

- Tak więc pojawiają się tutaj co drugi dzień - skwitował Yates.

- Gyalo powiedział, że mężczyźni, którzy go napadli, nie byli tutejsi. On zna niemal każdego w mieście. Wszyscy inni są przekonani, że zrobili to funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Ale jeśli to nie byli pałkarze - stwierdził Shan - to musieli być przejezdni.

- Więc teraz szukamy morderców wśród kierowców ciężarówek? Jak wiele teorii zamierza pan wysunąć, nim się pan przyzna do porażki?

- Gyallo powiedział, że kiedy go bito, ktoś przyglądał się z cienia. Zabójca Wu miał pomocników. Dwóch mężczyzn w czarnych bluzach z kapturem. Większość kierowców ciężarówek poradziłaby sobie z obsługą spychacza, mogłaby też, nie wzbudzając podejrzeń, przyjechać do bazy alpinistycznej samochodem dostawczym. Wielu z nich ma za sobą karierę w wojsku.

Stali na czatach do zmierzchu i przyglądali się każdej wjeżdżającej na parking ciężarówce, wypatrując tych nielicznych, które miały dwóch kierowców, po czym, gdy Yates wygrzebał wiatrówkę z kapturem, by zasłonić twarz, postanowili wejść do środka. Gdy tylko otworzyli drzwi baru, owionęła ich dusząca woń tłuszczu, kapusty, papierosów, oleju silnikowego i palonego ryżu. Amerykanin zakaszał, po czym poszedł za Shanem do stolika w kącie w głębi, gdzie odsunęli na bok brudne talerze i usiedli plecami do ściany.

Zamówili zupę z makaronem, która nie była tak zła, jak Shan się spodziewał, i momo, które sprawiały wrażenie zrobionych z tektury.

- To jest pański plan? - mruknął Yates. - Siedzieć i czekać, aż dwaj kierowcy wejdą i przyznają się do zbrodni? - Dźgnął twarde jak kamień momo na swym talerzu. - Oczywiście mogą uznać, że więzienie jest lepsze od tych klusek.

- Plan - odparł Shan, dostrzegając wychodzącą z baru znajomą postać - jest taki, żeby przestał pan mówić po angielsku i siedział tutaj. - Zabrał gazetę z pustego stolika i rzucił ją Yate-sowi przed nos. - Niech pan udaje, że czyta pan po chińsku. Zaraz wrócę.

Trzymając się w cieniu, wyszedł z budynku i ruszył ścieżką prowadzącą do latryny na tyłach, po czym przekradając się

między ciężarówkami, dotarł do warsztatu na drugim końcu kompleksu. Człowiek schylony pod maską małej ciężarówki był tak pogrążony w pracy, że nie zauważył, jak Shan wszedł i oparł się o stół za jego plecami.

- Kiedy ostatni raz go widziałem - powiedział głośno - twój ojciec spał. Myślę, że wyjdzie z tego.

Jomo poderwał głowę tak gwałtownie, że uderzył nią o podniesioną maskę samochodu.

- Obcym nie wolno wchodzić do warsztatu - burknął, wyciągając z kieszeni zatłuszczoną szmatę, żeby wytrzeć ręce.

- Kiedy powiedziałem, że to nie Urząd Bezpieczeństwa napadł na twojego ojca, nie sprawiałeś wrażenia zaskoczonego.

- Nie mogę pozwolić sobie na kłopoty. Za młodu miałem rok odsiadki. To mimo wszystko mogli być pałkarze. Czasami wynajmują ludzi.

- Jako informatorów, owszem. Ale nie do takich zadań. Przyjmijmy czysto teoretycznie, że to nie byli tutejsi, jak mówi! twój ojciec. Tutaj jest, że tak powiem, lokalny rynek na nietutejszych, pełen nowych koczowników Tybetu. Szukających dodatkowego zarobku ludzi, których nikt tu nie zna.

- Zeszłej wiosny, kiedy lawina zasypała jedną z dróg, wywiesili tu ogłoszenie i w krótkim czasie najęli na parę dni dwudziestu kierowców.

Shan skinął głową.

- Za co siedziałeś w kiciu?

- Za sprzeciw w sprawie nieba.

- Nieba?

- Przez całe życie chodziłem nocami po mieście i oglądałem gwiazdy, siadywałem na miejskim placu i liczyłem meteoryty. Potem ktoś postanowił zainstalować latarnie uliczne, te ohydne pomarańczowe lampy sodowe. Skończyły się gwiazdy. Kiedy byłem mały, spędzałem lato wśród pasterzy. Zawsze byłem dobry w rzucaniu kamieniami.

- Duma obywatelska - przyznał Shan - może przybierać różne formy.

Jomo w odpowiedzi rzucił mu wymuszony, niepewny uśmiech.

- Co, gdybym miał specjalną robotę, z zagwarantowaną dyskrecją? Gdybym potrzebował dwóch mężczyzn w czarnych bluzach z kapturem, nie obawiających się łamania przepisów?

Tybetańczyk odwrócił się w stronę stołu i zaczął przerzucać stertę kluczy.

- Jesteś jedynym człowiekiem w mieście, któremu zależy na ratowaniu tego chińskiego pułkownika.

- Ten chiński pułkownik nie zabił Tenzina ani dyrektora Xie.

Jomo wzruszył ramionami.

- Tenzin był z Nepalu. A nikt nie płacze po biurokratach z Urzędu do spraw Wyznań.

- Kiedy prawdziwy zabójca się dowie, że twój ojciec wciąż żyje, prawdopodobnie znów wyśle tych dwóch ludzi. Jeśli nie uda im się go znaleźć, zaczną od ciebie.

Tybetańczyk wziął do ręki jeden z kluczy i spojrzał na Shana, jakby się zastanawiał, czy użyć go na niego, czy do maszyny.

- Jestem zajęty - mruknął, po czym znów pochylił się nad silnikiem.

- Jeśli nie zdecydujesz, po której stronie stoisz - przestrzegł go Shan - inni zdecydują za ciebie. - Odszedł, jednak tylko za dwa stojące w zatokach pojazdy, skąd ukryty w cieniu obserwował Jomo.

Po kilku minutach Tybetańczyk przerwał pracę i wyprostował się, spoglądając w stronę parkingu. Rozejrzał się po warsztacie, po czym zniknął za zbitymi z surowych desek drzwiami, za którymi mieścił się zapewne składzik narzędzi. Shan odczekał minutę, po czym ruszył za nim.

Drzwi składziku były uchylone. Wsunął w szczelinę zgięty palec i otworzył je bezgłośnie. Jomo stał między dwiema ścianami, na których wisiały narzędzia, zwrócony twarzą do małego, opróżnionego z narzędzi stołu. Ustawiony był na nim mały Budda, tani stalowy odlew ze smugami oleju na twarzy. Tybetańczyk układał przed Buddą ofiarę z ciastek.

- Kiedy zaczęła działać Czerwona Gwardia, byłem jeszcze małym chłopcem - powiedział Shan do jego pleców. Na dźwięk jego głosu Jomo gwałtownie wstrzymał oddech, ale się nie poruszył. - Przyszli do mojej szkoły i kazali uczniom przynieść wszystkie obcojęzyczne książki. Kazali nam ułożyć je w wielką stertę na podwórku i powiedzieli, że następnego dnia rozpalimy piękny, oczyszczający ogień. Tamtej nocy wróciłem do szkoły. Wyciągnąłem ze stosu dwadzieścia książek o historii i poezji i podłożyłem na ich miejsce dwadzieścia tomów dzieł Przewodniczącego, które wyniosłem z klas.

- Odkryli to? - zapytał szeptem Jomo.

- Nie. Ale wiele lat później, kiedy wróciliśmy z wiejskiego obozu reedukacyjnego, przyłapali mojego ojca z zachodnimi książkami, które trzymał w ukryciu. Były wśród nich i te, które ocaliłem tamtego dnia. Pobili go za to na śmierć. Umarł, trzymając mnie za rękę i uśmiechając się do mnie. Zawsze czułem się w jakiś sposób winny.

- Skąd można wiedzieć, co jest słuszne? - powiedział Jomo, zwracając się do Buddy. - Skąd można wiedzieć, jak być?

Shan czekał na resztę zdania, póki nie uświadomił sobie, że żaden ciąg dalszy nie nastąpi.

- Skąd można wiedzieć...? - przyznał.

- Pewien stary pasterz znał mojego ojca - ciągnął Jomo - zanim... zanim stało się to, co się stało. W dzieciństwie uciekałem raz na miesiąc lub dwa, kiedy ojciec upił się porządnie, bo mnie bił, a ten pasterz przygarniał mnie. Opowiadał mi o moim ojcu jako mnichu, mówił, że to był dobry człowiek,

który każdej wiosny odwiedzał pasterskie obozowiska, by pobłogosławić nowo narodzone jagnięta. Siadał z nimi przy ognisku i godzinami recytował sutry i stare wiersze, a potem śpiewał piosenki z rodzinami pasterzy. Powiedział, że bez względu na to, co robił mój ojciec, takiego właśnie powinienem widzieć go w myślach, że był świętym człowiekiem, z czasem zostałby pewnie opatem, tyle że ten święty człowiek po prostu zagubił się gdzieś w nim samym.

- Mam przyjaciela lamę - szepnął Shan. - On twierdzi, że święte rzeczy nadal są wszędzie, tyle że trudniej je zobaczyć. Radzi, by traktować to jako sprawdzian.

Wpatrywali się w małego stalowego Buddę. Shan znalazł w kieszeni orzech włoski i dołożył go do pozostałych ofiar.

- To zielona ciężarówka - odezwał się nagle Jomo. - Jedna z tych wielkich i ciężkich. Często, kiedy jest dwóch kierowców, jadą przez całą noc, prowadząc na zmianę. Ale kiedy ci dwaj zatrzymują się na tankowanie, zwykle parkują wraz z ciężarówkami, które spędzają tu noc. Czasami płacą za kobiety na zapleczu, gdzie są łóżka. Czasami idą szosą, jak gdyby mieli się z kimś spotkać. Czasem ich ciężarówka stoi tu przez całą dobę. Powinni się zjawić tej nocy.

- Skąd wiedzą, kiedy mają iść się z kimś spotkać?

- Myślę, że mają jakiś sygnał. Czasami tuż przed zmrokiem widzę na poboczu, sto metrów przed zjazdem, odwrócone do góry nogami żółte wiadro. Zawsze są wściekli, często pijani. Prędzej zadźgaliby cię nożem, niż spojrzeli na ciebie. - Odwrócił się w stronę prowizorycznego ołtarza, dotknął głowy Buddy, jak gdyby chcąc uzyskać błogosławieństwo, i nie odezwał się więcej.

Yates, niecierpliwy jak zawsze, nie potrzebował nowin Shana. Gdy tylko Shan minął ciężarówkę, która stała najbliżej wejścia do baru, Amerykanin odciągnął go w cień i milcząc, wskazał na dystrybutory paliwa. Dwóch wysokich, barczy-

stych mężczyzn w czarnych bluzach z kapturami tankowało i czyściło kabinę dużej zielonej ciężarówki.

- Chryste, ależ oni są wielcy - mruknął.

- Mandżurowie - domyślił się Shan. Jeden z mężczyzn szedł wzdłuż wozu, uderzając drewnianą pałką w opony.

- I co teraz? - zapytał Yates. - Przeprowadzimy areszt obywatelski? Będziemy stać przed ich ciężarówką, dopóki nie przyznają się do winy?

- Pan tu zaczeka, a ja wejdę do środka - odparł Shan. - A kiedy wrócę, zasłoni pan twarz, pójdzie za mną i będzie milczał jak ryba.

Mężczyzna z pałką wskoczył na stopień i ciężarówka ruszyła, ostrożnie wjeżdżając między rzędy zaparkowanych na noc pojazdów.

Yates nie oponował. Nie spuszczał oka z wysiadających z ciężarówki mężczyzn, podczas gdy Shan ruszył pędem do herbaciarni. Zerknął przez okno, by sprawdzić, czy Amerykanin jest wciąż tam, gdzie go zostawił, po czym zapytał o telefon. Pięć minut później obaj szli w stronę zielonej ciężarówki. Shan nie skierował się jednak do samochodu, ale do dwóch nieznanomych, którzy siedzieli przy betonowym stoliku na skraju zwirowego parkingu, grając w madżonga przy świetle lampy. Wszedł w krąg światła.

- Mamy dobre zabytki - powiedział głośno. - Autentyki. W Xigaze lub Lhasie możecie dostać za nie trzy razy tyle.

Mężczyźni przy stoliku zaskoczeni unieśli wzrok, po czym zerknęli niespokojnie w stronę zielonej ciężarówki.

- Autentyki - powtórzył Shan. - Kontrolujemy handel zabytkami w tym mieście. - Spojrzał na ciężarówkę. W spowijającym ją cieniu dostrzegł jakiś ruch. Gdy znów odwrócił głowę, mężczyźni, z którymi rozmawiał, zniknęli, zostawiając na stole kostki do madżonga i lampę.

Nim jego oczy wyłowiły z mroku zmierzający ku nie-

mu czarny kształt, dobiegł go szorstki, kipiący wściekłością głos.

- Gównu macie - prychnął mężczyzna. - Nie macie nic do sprzedania!

Z ciemności wynurzyła się kolejna postać, bawiąc się pałką do opon.

- Wszystko jest na sprzedaż - odparł Shan. - Okazje same pchają się do rąk, za jedno żółte wiadro. Jaka jest cena za wprasowanie człowieka w kamienną ścianę?

Skoczyli do ataku jak koty, wymachując pałkami. Shan uchylił się przed pierwszym ciosem, a Yates z rozpędu uderzył drugiego mężczyznę barkiem w pierś, przewracając go na ziemię. Pałki tłukły jednak niezmordowanie. Cios w potylicę powalił Yatesa na kolana. Na każdy zamach, przed którym Shan robił unik, przypadał inny, spadający mu na ramiona lub grzbiet. Yates leżał na ziemi, a jego przeciwnik stał nad nim okrakiem, unosząc pałkę do gruchoczącego kości ciosu, gdy reflektory przejeżdżającego pojazdu oświetliły nie osłoniętą już przez kaptur głowę Amerykanina.

- *Bar ren!* - syknął mężczyzna. Cudzoziemiec!

Pałka zastygła w powietrzu, jego kompan zaklął pod nosem i obaj zniknęli równie szybko, jak się pojawili.

Shan i Yates, otepiali po tej bójkę, siedzieli na żwirze, Amerykanin ze strużką krwi spływającą mu po policzku, gdy zielona ciężarówka, z odczepioną przyczepą, zawarczała i zaczęła wyjeżdżać ze stanowiska.

- To się udało - stwierdził cierpko Yates po angielsku, masując sobie głowę.

Shan, unosząc wzrok, zapisawszy sobie na przedramieniu numer rejestracyjny ciężarówki, miał właśnie powiedzieć mu, że niczego więcej nie należało się spodziewać, gdy zobaczył, że zielona ciężarówka się zatrzymuje. Kierowca zaczął rozmawiać z mężczyzną przy dystrybutorach. Ktoś stanął

przed Shanem, zasłaniając mu widok. Był to Jomo, z przerażoną miną, na przemian otwierający i zamykający usta, jakby nie mógł znaleźć słów, które zamierzał powiedzieć.

- Chryste! Nie! - krzyknął Yates i wstał, słaniając się, gdy zielona ciężarówka zawróciła i zaczęła pędzić na wstecznym biegu w stronę jego terenówki. Shan zerwał się na nogi i chwycił go za ramię, gdy ten zrobił krok naprzód. Opór Yatesa trwał tylko chwilę. Stali jak sparaliżowani, gdy ciężarówka, uderzywszy tyłem w pojazd Amerykanina, zgmiotła błotnik, odbiła w przód i znów się cofnęła, by wepchnąć go na stojący za nim głaz. Nagle wóz Yatesa stanął w ogniu. Zielona ciężarówka skręciła gwałtownie i skierowała się w ich stronę, nabierając coraz większej szybkości i trąbiąc, kiedy uskoczyli na bok. Minawszy ich z rykiem silnika, wyjechała na szosę.

Amerykanin zrobił krok w stronę swego płonącego samochodu.

- Yates, niech pan zaczeka! - krzyknął Shan.

- Na co? - odpalił Amerykanin. - Mam tam rzeczy. Muszę... - Słowa protestu zamarły mu na ustach, gdy usłyszał dobiegające od strony szosy z miasta syreny.

- Niech naoczni świadkowie opowiedzą im, co tu zaszło - powiedział Shan.

- Co, u diabła, robił pan w barze? - warknął Yates. - Niemożliwe, żeby tak szybko ich zawiadomiono.

Jego pytanie doczekało się odpowiedzi już chwilę później. Na parking wjechały na pełnym gazie dwa czarne pojazdy terenowe z migającymi światłami na dachach. Żwir pryskał spod kół, gdy zahamowały gwałtownie, i z pierwszego z nich wysypali się funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Z drugiego wysiadł major Cao i drobna towarzyszka Zheng. Shan przyglądał się, jak jakiś świadek rozmawia z ożywieniem z Cao, po czym wskazuje na niego i Yatesa.

- Chyba panu życie niemiłe - mruknął Amerykanin, gdy major wolnym krokiem ruszył w ich stronę.

Shan nie odezwał się słowem, kiedy Cao wybuchnął, pytając go, co zrobił, nie zareagował, kiedy pałkarz wymierzył mu policzek. Pokazał mu tylko przedramię z zanotowanym numerem rejestracyjnym.

- Zielona ciężarówka odjechała stąd parę minut temu. Znajdziecie w niej ludzi, którzy zabili dyrektora Xie.

- Idiota! - warknął Cao. - Myślicie, że nie widzę, że robicie wszystko, żeby odciągnąć mnie od prawdy?

- Więc dlaczego, waszym zdaniem, zniszczyli samochód Amerykanina? - zapytał spokojnym głosem Shan.

Towarzyszka Zheng stanęła za plecami Cao, patrząc w stronę płonącego samochodu. Jeden z funkcjonariuszy podbiegł do niej z fragmentem połamanego zderzaka, na którym znajdowała się nalepka z napisem, po angielsku, *Skaty wspinaczkowe*. Utkwiła w niej wzrok, jakby był to rozstrzygający dowód, i wciąż wpatrywała się w nią, gdy pomiędzy ciężarówek wyszli dwaj pałkarze, wlokąc bezwładną postać.

- Próbowali uszkodzić także dystrybutory - oświadczył jeden z nich.

Serce podeszło Shanowi do gardła, gdy rozpoznał Jomo, z twarzą posiniaczoną i zalaną krwią, z ciemną plamą na przodzie koszuli. Pałkarze również mieli pałki.

- Kto jeszcze jest z tobą? - zapytał ostro funkcjonariusz, zamierzając się pałką na mechanika.

Shan rzucił się naprzód i zasłaniając Tybetańczyka własnym ciałem, przyjął cios na bark.

- To nie było tak! - krzyknął Jomo, podczas gdy pałkarze próbowali odciągnąć Shana. - Człowiek ze stacji benzynowej pchnął mnie na dystrybutor. Rzuciłem w niego puszką z olejem, a ona się otworzyła. - Shan dostrzegł teraz, że plama na jego koszuli istotnie była z oleju. - Chciałem go tylko powstrzymać.

- Powstrzymać przed czym? - zapytał Shan, klękając przy Tybetańczyku.

Jomo wyciągnął zza pazuchy kilka kartek papieru.

- Zapłacił mi, żebym narysował mu mapę dróg między tym parkingiem a Everestem, z zaznaczonymi wioskami i starymi sanktuariami. Myślałem, że chce złożyć ofiary. - Mówił tylko do Shana, z twarzą wykrzywioną nie bólem, lecz wstydem. - Potem jednak przyłapałem go, jak sprzedawał jej kopie kierowcom ciężarówek. Rzuciłem mu z powrotem jego pieniądze, zażądałem, żeby oddał mi mapy.

Cao zrobił krok naprzód, po czym przystanął, gdy spostrzegł, jak uważnie przysłuchuje się temu towarzyszką Zheng.

- Dlaczego? - zapytał Shan. - Komu są potrzebne mapy?

- Chodzi o tych mnichów. Kierowcy w noclegowni są podnieceni. Wśród takich ludzi wieści rozchodzą się szybko. Ktoś wypłaca nagrody za zbiegłych mnichów albo za ich gau, te wyjątkowe, z kwiatami lotosu, z gompą Sarma.

- Dlaczego gau?

- Dlatego, że mnisi nigdy nie oddaliby ich dobrowolnie. Jeśli ktoś przyniesie jedno z nich, będzie to znaczyło, że mnich nie żyje. To dowód potrzebny do odebrania nagrody.

Pałkarze stracili chęć do bitki. Patrzyli na majora Cao, gdy Shan uwalniał Jomo z ich rąk. Ale to nie major się odezwał.

Milcząca towarzyszką Zheng przemówiła w końcu, chłodnym, stanowczym głosem kobiety przywykłej do tego, że jej polecenia wykonywane są bez dyskusji.

- Ten Amerykanin krwawi, towarzyszu majorze. Proszę przynieść apteczkę.

Cao spiorunował Shana wzrokiem i zdawało się, że lada chwila spoliczkuje go raz jeszcze, odszedł jednak, gdy towarzyszką Zheng stanęła u jego boku.

Shan, patrząc, jak Cao oddala się truchtem, odezwał się rzeczowym tonem do wysłanniczki z Pekinu.

- Chcę zobaczyć się z pułkownikiem Tanem - oświadczył. - Natychmiast. Chcę, żeby dostał obiad, porządny obiad, w jednym z gabinetów od frontu z oknem wychodzącym na ulicę. - Zheng, milcząc, przyglądała mu się z uwagą. - Chcę, żeby major stał na zewnątrz pod oknem, pod latarnią, tak by Tan mógł go widzieć.

Rozdział 14

Tan nie od razu zauważył Shana, gdy wprowadzono go do gabinetu, umytego i przebranego w podniszczony, ale czysty więzienny drelich. Choć strażnicy zdjęli mu kajdany z nóg, wszedł do pokoju drobnymi kroczkami więźnia przyzwyczajonego do chodzenia w pętach. Przystanął, patrząc w ziemię, po czym zobaczył Shana. Poczzerwieniał i odwrócił wzrok.

- Dziś przyszedł fryzjer - oznajmił beznamiętnym tonem, gdy dotarł do okna i zgodnie z oczekiwaniami Shana, wzorem wszystkich więźniów, którzy spędzili wiele dni w celi, spojrzął w niebo. Po chwili wskazał gestem talerz i parujące kartoniki z jedzeniem na biurku. - Sądziłem, że będę mógł sam wybrać sobie swój ostatni posiłek.

- Proszę uważać to za próbę kostiumową - odparł Shan. Przyjrzał się uważnie pułkownikowi. Choć stał niemal

prosto, ból pleców nie pozwalał mu uzyskać jego zwykłej, wyprężonej jak struna postawy. Jeden z palców ujęty był w łubki i owinięty taśmą. Koniuszki czterech innych spowijały bandaże. Lewa strona twarzy była szarozielona od starych sińców.

Tan usiadł ceremonialnie, pozwalając, by Shan nałożył mu jedzenie, podczas gdy sam lewą ręką ścisnął prawą, by powstrzymać drgawki. Shan przyglądał mu się, jak je, świadomy tego, że jego słowa mogą wyzwolić instynktowną urazę pułkownika. Po kilku minutach łapczywego pałaszowania kur-

czaka, makaronu i sajgonek warzywnych Tan przerwał i nie patrząc na Shana, przesunął w jego stronę pojemnik z resztką sajgonek. Shan bez słowa podniósł naczynie i zaczął jeść.

Kiedy w końcu przerwał milczenie, przemówił do pustego pojemnika.

- Byłem jeszcze małym chłopcem, kiedy po raz pierwszy pojawili się czerwonogwardziści - powiedział cicho. - Na początku krążyli po ulicach tymi samochodami z megafonami, wykrzykując cytaty z Przewodniczącego lub zwołując ludzi na szkolenia polityczne. Czasami żądali, by wszyscy oddawali różne rzeczy. Książki. Wszelkie zagraniczne wyroby. Wszelką korespondencję z zagranicą. Zdjęcia obcokrajowców. Pamiętam staruszkę mieszkającą przy tym samym korytarzu, który miał drewnianą figurkę konia, może dwudziestocentymetrowej wysokości, swoją dumę i radość, prezent od krewnego, który przeniósł się do Ameryki. Wytoczyli temu konikowi proces na ulicy, skazali go jako reakcjonistę i ścięli mu łeb siekierą. Chciało mi się śmiać, ale moja matka płakała. Zasłoniła mi usta dłonią. Od tamtej pory, ilekroć nadjeżdżały samochody z megafonami, wybuchała płaczem.

Dłoń Tana machinalnie powędrowała do kieszeni koszuli i wróciła pusta. Shan podszedł do drzwi, porozmawiał ze strażnikiem i chwilę później na biurko rzucono paczkę papierosów oraz zapalki.

- Nie miałem zostać jednym z nich - odezwał się pułkownik, zapaliwszy papierosa. - Byłem żołnierzem, kapralem na jednym z nowych poligonów do prób z bronią jądrową na skraju pustyni na północ od Tybetu. Oni przeciągali tamtędy całymi konwojami, z rozkazami z Pekinu, by jechać na południe i budować nowy socjalistyczny ład w kraju Buddy. Można było pomyśleć, że wybierają się na przedłużone wakacje, przyjęcie na kółkach. Śpiewali pieśni o Przewodniczącym, organizowali wielogodzinne wiece. Oficerowie bali się ich

jak ognia, ale Przewodniczący osobiście rozkazał nam z nimi współpracować. Dostawali wszystko, czego chcieli. Jedzenie. Koce. Broń i ludzi, którzy umieli się nią posługiwać. Kazano mi eskortować ich do Lhasy. Po drodze robili postoje w mijanych miastach, gdzie organizowali procesje starszych ludzi i zachęcali ich dzieci i wnuki, by obrzucały ich jajkami. Zapędzali mieszkańców na plac i nadawali wszystkim ich dzieciom chińskie imiona albo urządzali samosądy obszarników. Kiedy w Lhasie zacząłem się zbierać w drogę powrotną, ich dowódcy powiedzieli mi, że wojsko jest dla starych dziadków, że mogę opowiedzieć się za przeszłością albo za przyszłością, że jeśli zechcę, mogę się stać jednym z pomazańców Mao. - Odwrócił się w stronę okna, wciąż mówiąc bezbarwnym głosem. - W tym czasie byli już bardziej zorganizowani, z podziałem na brygady i strukturą dowództwa. Komendantka mojej brygady zażądała najtrudniejszego zadania, żebyśmy mogli dać dowód naszej miłości do Wielkiego Sternika. - Dłoń Tana znów zaczęła drgać, rozsypując popiół na szklanke.

- Okręg Tingri. Tan skinał głowę.

- To było pustkowie, dzikie pogranicze. Żadnych map. Żadnych władz z prawdziwego zdarzenia. Krwiożercze yeti i pantery śnieżne, które, jeśli wierzyć opowieściom, połykały ludzi żywcem. Za każdą skałą reakcjonista z karabinem. Miasto nie wyglądało tak jak teraz - ciągnął, wskazując gestem ulicę. - Był tu w zasadzie sam klasztor i parę sklepików. Czasem przechodziły tędy patrole wojskowe, często z rannymi, niekiedy z ciężarówkami wyładowanymi trupami, ofiarami zasadzek. Nie zatrzymywali się tutaj. Nasza Brygada Młodzieżowa przerażała ich nie mniej niż reakcjniści. Osiedliliśmy się, zajęliśmy główne pomieszczenia klasztoru. Ale nie tykaliśmy mnichów, nie od razu. Nasza komendantka była na to zbyt sprytna. Gdybyśmy zaczęli od ataku na główny klasztor,

miejscowi zmiotliby nas z powierzchni ziemi. Ona wiedziała, że musimy działać stopniowo. Zniszcz drobne rybki, a wielkie nie będą miały czym się żywić, mawiała. Ruszyliśmy w góry. - Tan przerwał, skubiąc wystrzępiony mankiet swej drelichowej bluzy. - Zdawało mi się, że mówiliście, że na koniec oddadzą mi mundur.

Shan wiedział, że Tan mówi tylko z jednego powodu. Był pewien, że umrze.

- Poszedł do pralni. Tan skinał głową.

- Więc komendantka Wu zaczęła walczyć z rebeliantami - podsunął Shan.

- Nie przypominam sobie, żebym mówił, że to była Wu.

- Przeglądałem stare raporty, pułkownika. Tan wzruszył ramionami.

- Po pierwszym roku dostaliśmy więcej sprzętu, przydzielono nam oddziały wojska. Nikt by jej nie odmówił. Miała werwę tygrysicy, była inteligentna, była piękna. Awansowała mnie na porucznika, powierzyła mi kierowanie jej operacjami wojskowymi, zwabiła mnie do swego łóżka. Szliśmy w góry i zmuszaliśmy tamtejszych mieszkańców, by burzyli swe budowle religijne, każdą świątynię, każdy klasztor, zakładaliśmy nowe spółdzielnie, urządzaliśmy sesje krytyki z udziałem najwyższych rangą mnichów i obszarników, karaliśmy wszystkich, którzy stawiali opór. Byliśmy bogami, mawiała do mnie nocą, kiedy leżeliśmy razem.

Tan zaciągnął się długo papierosem i wolno wypuścił powietrze.

- Byliśmy dziećmi - powiedział szeptem. Wyjrzał przez okno, zatrzymując wzrok na postaci majora Cao, który stał oparty o samochód po drugiej stronie ulicy. Uwagi Shana nie uszło subtelne rozluźnienie mięśni zuchwy, reakcja, jakiej się spodziewał, kiedy Tan ujrzy, że jego oprawca jest poza budyn-

kiem. - Kto by pomyślał, że oboje wrócimy tu po tylu latach, żeby umrzeć?

- Czy w górach byli cudzoziemcy? - zapytał Shan. Tan znów wzruszył ramionami.

- Zagraniczny sprzęt. Wciąż krążyły plotki, że Amerykanie przybywają, że Amerykanie wycofują się z Wietnamu i wkrótce opadną z powietrza na każdą górę. Ona zdobyła filmowy reportaż o wojnie w Wietnamie i kazała nam oglądać go w kółko, żebyśmy poznali imperialistycznego wroga. - Zaciągnął się głęboko papierosem, po czym wypuścił dym w stronę stojącego za oknem Cao. - Ja sam nie widziałem żadnego cudzoziemca. Dość kłopotu było z samymi rebeliantami. Byli wspaniali. Swoją armię nazwali „Cztery Rzeki, Sześć Gór”. Byli jak orły pikujące z góry, by rozpedzić stada wron. Znikali w swych sekretnych górskich gniazdach. Wspinali się niczym górskie kozły. Wynurzali się ze śnieżycy jak duchy. Ale my mogliśmy zawsze wezwać więcej wojsk, rozstrzelać kolejnych Tybetańczyków pod zarzutem współpracy. Orzeł może pokonać pierwszą setkę wron, potem następną, ale kiedy wrony wciąż napływają setkami, wkrótce będą rozdziobywać jego kości.

- A wy byliście władcą wron.

- Zastępcą władcy wron - sprostował Tan i zapalił kolejnego papierosa.

- Wtedy paliliście inne papierosy - napomknął Shan, gdy pułkownik wypuścił z ust kłąb dymu.

Tan skrzywił się.

- Ona nazywała to symbolem walki klasowej. Na jednej z sesji krytyki z udziałem starych mnichów zrolowała modlitwy i zmusiła ich, by palili je jak cygara. Po jakimś czasie stało się to swego rodzaju nałogiem. Rozdawała je wszystkim członkom trybunału.

- Kiedy przybyliście do hotelu, ona nie przyjmowała żad-

nich gości, więc znaleźliście sposób, żeby wiedziała na pewno, że to wy. Dlaczego chcieliście się z nią spotkać? Tan wzruszył ramionami.

- Minęło ponad trzydzieści lat.

- Mogliście wybrać się razem na obiad. Wy jednak posłaliście jej zrolowaną kartkę z pechy i odwiedziliście ją w jej pokoju.

Tan odwrócił się do okna.

- Rok temu dostałem od niej list, w którym pisała, że nigdy nie wyszła za mąż, że oboje byliśmy poślubieni Chińskiej Republice Ludowej. Pomyślałem, że może zmieniła się, złagodniała. - Spojrzał znów na Shana. - Jeśli dobrze pamiętam, byliście kiedyś żonaci.

- Moja żona była łagodna z początku. Potem poślubiła rząd. - Shan dostrzegł zaczątek jednego z zimnych uśmiechów, jakie widywał często na twarzy Tana, ale zakończył się on grymasem.

- Owinęła nocną lampkę koszulą, jak jakaś nastolatka. Postawiła wino. Ona zawsze oczekiwała daniny. W ostatnim roku działalności brygady zaczęła żądać od wieśniaków zapłaty za oszczędzenie ich domostw. - Pułkownik znów wzruszył ramionami. - Ledwo wszedłem, zaczęła zasypywać mnie statystykami, liczbą pracowników, jaką zatrudnia jej ministerstwo, budżetem, jakim dysponuje, wpływami dewizowymi, jakie przynosi jej praca. Zaczęła pić, zachęcając mnie, żebym się do niej przyłączył. Rozpięła bluzkę. Powiedziała, że powinniśmy się zabawić jak za dawnych czasów, tak jak nauczyliśmy się tego w tym właśnie mieście. Powiedziałem jej, że jestem zmęczony długą jazdą. To właśnie wtedy zabrała mi pistolet, żeby się nim bawić. Nosila kiedyś jeden z tych ciężkich amerykańskich pistoletów, które zdobyliśmy na rebeliantach, używając go jako młotka sędziowskiego, gdy zasiadała w trybunale, i do egzekucji, ilekroć brygada „Młot i Błyskawica” wzięła jeńców.

Schowała go pod poduszkę i powiedziała, że będę musiał wrócić po niego następnej nocy, kiedy będę już wypoczęty. Tan przerwał i zaciągnął się głęboko papierosem.

- Dlaczego on to zrobił, tamten mnich w celi? Dlaczego rzucił się, żeby przyjąć cios przeznaczony dla mnie?

- Chciał w ten sposób dać świadectwo prawdzie. Wiedział, że nie zasłużyliście na to. I wątpił, byście byli w stanie znieść więcej ciosów.

Tan pokręcił głową.

- Głupek.

- Jak się to skończyło? - zapytał po długim milczeniu Shan. - W jaki sposób pokonano w końcu powstańców?

Tan odwrócił się znów w stronę okna. Jego twarz spochmurniała.

- Niech was diabli! Co wy ze mną robicie? Nie rozmawiam z ludźmi o tych sprawach.

- W obozie stałe rozmawialiśmy o śmierci, nie ze strachem, ale z ciekawością. Towarzyszyła nam nieustannie, niczym stary druh. Pewien pasterz w naszym baraku powiedział nam, że kiedy człowiek czuje zbliżającą się śmierć, w jego duszy otwierają się drzwi, uwalniając niezwykle niespodzianki, że stare, zapomniane prawdy mogą znów wydostać się na zewnątrz. Kiedy leżał, konając, wspominał wciąż o białym jaku, którego widział w dzieciństwie, mówił, że widzi go, jak sfruwa z obłoków, żeby go zabrać. Połowa baraku gapiała się w niebo, próbując go dostrzec.

Tan przyglądał się majorowi, krążącemu w tę i z powrotem po chodniku. Cao zaczął wrzeszczeć na zbliżającego się na rowerze tybetańskiego chłopca, każąc mu zjechać na jezdnię. Kiedy zdezorientowany chłopak nie usłuchał, Cao kopnął mijający go rower tak, że chłopiec wyleciał jak z procy ponad kierownicą, a rower uderzył w słup latarni. Chłopiec podniósł się, spojrzął na Cao przerażonym wzrokiem i odbiegł w noc.

Tan zacisnął szczękę.

- Nie chcę, żeby on potem dotykał moich zwłok.

- Nie sędzę, żebym miał szansę asystować przy tym wydarzeniu - zauważył Shan.

- Zwykle jest jakaś ekipa porządkowa - powiedział nieobecny głosem Tan. - Fotografuje ciało przed jego wyniesieniem. To zdjęcie jest ostatnią rzeczą, jaką włącza się do akt.

- Mógłbym zawiadomić waszą rodzinę. Brata? Jakichś krewnych? Starego sąsiada?

- Nie mam nikogo. Mam tylko was. - Spojrzał zażenowany na Shana. - Nie żebym uważał was za przyjaciela - dodał pośpiesznie. - Chodzi o to, że jesteście... wiarygodni. Honorowy wróg.

- Jak się to skończyło? - spróbował raz jeszcze Shan. -Gdzie ostatecznie pokonano rebeliantów?

- Wykończyliśmy ich. Amerykański rząd przestał ich zaopatrywać. Jeśli wioska popierała buntowników, równaliśmy ją z ziemią. Jeśli pasterz dawał im żywność, wybijaliśmy z karabinów maszynowych jego stado. Ten tybetański przywódca w Indiach wezwał ich do siebie, wysyłał im taśmę z orędziem, w którym prosił ich, by złożyli broń.

- Macie na myśli Dalajlamę - wtrącił Shan. Słowo to stanowiło tabu dla urzędników w Tybecie.

- Dalajlamę - przyznał Tan szeptem, po czym powtórzył ten tytuł z perwersyjną, dziwnie zadowoloną miną. Obaj wkraczali na nowe terytorium, na jakie żaden z nich dotąd się nie zapuszczał. - Pozostała jeszcze ostatnia grupa - ciągnął Tan -ich trzon, najlepsi bojownicy, dwudziestka, może trzydziestka mężczyzn i kobiet. Wu nienawidziła ich. Spieszyło jej się do ostatecznego zwycięstwa, do zniszczenia wielkiego klasztoru tu w mieście, ponieważ tamtejsi mnisi, wbrew jej zakazom, nie przestawali odprawiać publicznych obrzędów. Wciąż pytała mnie, kiedy dostarczę jej ich ciała, by mogła je wystawić

na miejskim placu. Ale oni zawsze wycofywali się wysoko w góry, do swych orlich gniazd. Mieli tajne miejsca, gdzie grzebali zwłoki swych towarzyszy, żebyśmy nie wiedzieli, na ile celne były nasze kule. Na ludzi z Brygady Młodzieżowej nie mogłem liczyć. Zaczynali się bać. Wiedzieli tak mało o prawdziwych walkach, że często ginęli w starciach z rebeliantami. W tym czasie jednak zaczęto rozlokowywać na tych terenach specjalne służby graniczne. Dostałem dwie kompanie prawdziwych żołnierzy. Koniec końców dosięgliśmy rebeliantów tylnymi drzwiami.

Po tych słowach zapadła cisza.

- Chcecie powiedzieć - zapytał Shan - że pojawił się zdrajca?

- Oficjalnie - odparł Tan - ktoś bohatersko nawrócił się na sprawę socjalistyczną.

Umysł Shana pracował jak szalony. Tu właśnie, jak sobie uświadomił, łączyły się ze sobą wszystkie elementy jego łamigłówki.

- Kto to był?

- Nie mam pojęcia. Tę sprawę załatwiła Wu. W tym czasie nie byliśmy już sobie tak bliscy. Odkąd w mieście stacjonowała piechota, zacząłem sypiać w koszarach. Wu podała mi wskazówki, gdzie możemy ich znaleźć, ze szczegółową odręczną mapką, ukazującą sekretną ścieżkę. W zamian mieliśmy oszczędzić pewną wioskę. Nie było łatwo znaleźć ich kryjówkę. Dwóch moich żołnierzy zginęło podczas wspinaczki. Ale zaskoczyliśmy ich przy śniadaniu, połowę wybiliśmy na miejscu, a większość pozostałych przepędziliśmy na drugą stronę granicy. Zostałem oficjalnie uznany za bohatera, przyjęty z powrotem do armii, awansowany na prawdziwego oficera.

- Jak się nazywała ta wioska?

- Tumkot. Mieliśmy jej nie ruszać, po prostu przejść przez nią bez słowa. Następnego ranka wysłaliśmy tam parę cięża-

rówek z żywnością, a po południu wytoczyliśmy haubice i zaczęliśmy burzyć gompę tu, w mieście.

- Jak gdyby dobito targu - podsunął po chwili Shan. - Wioska za gompę.

- Jak gdyby dobito targu - przyznał Tan. - Wu zamierzała zapędzić wszystkich mnichów do środka, by uwięzić ich tam, gdy zaczną spadać pociski. Ale sukinsyny ubiegły nas w tym. Była wściekła.

- Chcecie powiedzieć - domyślił się Shan - że nie potrzebowali takiego rozkazu.

- Otóż to. Większość z nich weszła do środka, gdy tylko zobaczyli, że ustawiamy działa. Później uświadomiłem sobie, że spodziewali się tego od miesięcy. Zaryglowali drzwi od wewnątrz, a gdy zaczęło się bombardowanie, jeden z mnichów wszedł na mur nad bramą i zrzucił klucz. Prawdopodobnie wszyscy zginęli już w ciągu pierwszej półgodziny, ale ona utrzymywała ostrzał przez pół dnia.

Siedzieli w milczeniu, obserwując gwiazdy nad miastem.

- Wrona dziobiąca kości zagłodzonych, wychudłych orłów - odezwał się niemal szeptem Tan.

- Słucham?

- Nie do czegoś takiego dążyłem.

Była to najbardziej niezwykła rzecz, jaką Shan kiedykolwiek od niego usłyszał. Do głowy cisnęły mu się dziesiątki odpowiedzi. Było to zaproszenie do rozmowy w rodzaju tych, jakie prowadził po nocach z lamami. Potem jednak przyjrzał się uważnie Tanowi i zmienił zamiar.

- Gdzie, towarzyszu pułkowniku, byliście w dniu, w którym zabito minister?

- Przyjechałem tu, do miasta. Chodziłem po starych koszarach i budynku szpitala. To właśnie tu w chłodniejsze dni Wu prowadziła swe sesje krytyki. Poszedłem posiedzieć nad żlebem, do którego zrzuciliśmy starą gompę.

- I ciała mnichów. Tan nie odpowiedział.

Shan wstał i pozbierał na talerz puste kartoniki po daniach.

- Co mam zrobić z waszymi zwłokami, pułkowniku, jeśli uda mi się je odebrać?

- Pochowajcie mnie za miastem.

- Macie na myśli ten grzbiet, z którego będziecie mieć widok na Everest?

- Nie. - Spokojny ton Tana przyprawił Shana o dreszcz. -Przy starej stajni u wylotu żlebu jest zejście, którym można dostać się na jego dno. Chciałbym, żebyście poszli tam w środku nocy. Kopcie tak długo, aż natraficie na kości, a wtedy wrzucicie mnie do tego dołu.

Rozdział 15

Oboje wiemy, że bez względu na to, co zostanie stwierdzone publicznie na temat zamachu, będziecie musieli przywieźć do Pekinu prawdę. - Shan odwzajemnił nieruchome spojrzenie towarzyski Zheng. Przyglądał się, jak strażnicy odprowadzają Tana, znów skutego kajdankami, nim ruszył w głąb korytarza. Wysłanniczka Pekinu czekała na niego w ostatnim z pokoi przy aparacie podsłuchowym. Jak Shan się spodziewał, śledziła ich rozmowę.

- Prawda zaczyna już prześwitywać - ciągnął. - Pistolet Tana miała towarzyska minister. Morderstwa były nie dwa, ale cztery.

- Te wielkie kule fascynują mnie - wtrąciła Zheng. Choć odzywała się rzadko, jej głos miał zawsze cichy, precyzyjny ton księgowej. - Nie są chińskiej produkcji. - Poszła za jego radą i zdobyła nieoficjalny raport z sekcji zwłok Tenzina. - Jeśli wasz amerykański przyjaciel jest w to zamieszany, będzie następną ofiarą.

- Jestem gotów podjąć to ryzyko. Dajcie mi cztery dni -odparł Shan - a dostarczę dowodu. Do tego czasu mój syn musi być pod ochroną.

Towarzyszka Zheng nie potrzebowała słów. Z lekkim skinieniem głowy uniosła dwa palce.

Wróciwszy do siebie, Shan znalazł Gyalo w kącie podziemnej sali, dżgającego drewnikiem zakurzoną figurkę, małego Buddę z brązu. Spojrzał na kopczyk świeżej ziemi w głębi pomieszczenia. Były lama odkopywał zasypany korytarz.

- Nie zdawałem sobie sprawy - odezwał się nagle Shan - że kiedy Brygada Młodzieżowa zburzyła gompe, niemal wszyscy mnisi zginęli w środku. Dlaczego z tobą było inaczej?

Gyalo odwrócił się do niego plecami. Shan okrążył go i usiadł wprost przed nim.

Tybetańczyk zmarszczył brwi, ale nie opierał się dłużej.

- Do tego czasu wiedziano już dobrze, że wszyscy woleliśmy taki właśnie los: umrzeć w świątyni. Nie było nam wolno stawiać oporu, po zniszczeniu świątyń nasze życie nie miałoby już sensu. Przy takiej śmierci, podczas modlitwy w świątyni, w jedności z Buddą, reinkarnacja nie była niczym przerażającym.

- Dla ciebie jednak była - zauważył Shan. Wstydził się swoich słów, wiedział jednak, że musi naciskać starca.

Twarz Gyalo zalała fala emocji. Minął długi czas, nim odezwał się znowu.

- Dla niektórych przeznaczono specjalną karę. Do tego czasu komendantka Wu zdążyła już nas zrozumieć. Dla niektórych szybka śmierć to było za mało. Nauczyła się, jak zniszczyć mnicha, i w tym życiu, i w następnym.

- Przeznaczono dla nich specjalną karę, ponieważ znieważyli brygadę „Młot i Błyskawica” - podsunął Shan. Kiedy Gyalo nie zaprzeczył, zgadywał dalej. - Ponieważ podejrzewano ich o sympatyzowanie z powstańcami.

Gyalo znów zaczął dżgać posążek.

- Muszę się napić. - Ręce trzęsły mu się w pijackich drgawkach.

- Jeśli byłeś jednym z dawnych powstańców, miałbyś wystarczający powód, żeby ją zabić.

- Miała dość rozsądku, by trzymać się z dala od miasta. Gdyby zapuściła się do Shogo, żyje jeszcze garstka ludzi, którzy mogliby ją rozpoznać. Trzymam za barem żelazną rurkę - stwierdził pozbawionym emocji głosem Gyalo. - Gdyby weszła, z przyjemnością rozwalilibym jej czaszkę.

- Albo zastrzelił ją?

Gyalo wymamrotał mantrę do bóstwa, po czym uniósł nieprzytomny wzrok.

- Widziałeś kiedyś demony opiekuńcze na starych thankach, te z girlandami z ludzkich skór na szyjach? Myślę, że one użyłyby rurki.

- Jak wielu powstańców przeżyło?

- Nikt nie wie, jak wielu zdołało przedrzeć się przez granicę.

- Chodzi mi o tych, którzy przeżyli i wciąż mieszkają tu, w tym okręgu.

Gyalo zrobił minę, jak gdyby ugryzł coś kwaśnego.

- Ludzie przeprowadzali się, zaczęli nowe życie. - Mówił do Buddy, jak gdyby ten go słuchał. - Gdyby ktoś z nich wszedł przypadkiem do mojego baru, udalibyśmy, że się nie znamy, nie zamienilibyśmy słowa na ten temat. Byliśmy wtedy innymi ludźmi. Każdy żyje, jak może, no nie?

- Jako szynkarze? Jako wróżbici?

- Nie wiesz, jak to było. Na polecenie opata roznosiłem wiadomości, a czasem też zapasy, do pustelni i małych gomp w górach. Widziałem, co robiła Brygada Młodzieżowa. Dalajlama kazał nam zaprzestać walki. Ale jak Tybetańczyk mógł nie walczyć, powiedziałem do swojego opata. Powiedział, że muszę powściągnąć emocje, zadał mi pokutę, dziesięć tysięcy mantr w pewnym sanktuarium na śniegu.

- Kiedy ostatni raz byłeś w górach? Szynkarzem wstrząsnął spazm bólu.

- Muszę się napić - zwrócił się błagalnie do Buddy.

- Dlaczego tak się boisz opuścić miasto?

- Nie znasz jej. Była jak tygrysica, należała do najlepszych bojowników. Poprzysięgła, że zabije mnie, jeśli jeszcze kiedyś zobaczy mnie na oczy. Powiedziała wszystkim, że zdradziłem ich, żeby ocalić życie.

- Ona ci pomogła, dziadku. Arna Apte złożyła ci rękę.

Były lama spojrzał ze zgrozą na łubki na swych połamanych kościach. Przez chwilę zdawało się, że zamierza je zerwać. Wyraźnie cierpiał teraz prawdziwą mękę. Chwycił się za brzuch, kołysząc głową w górę i w dół.

- Byle głupiec zorientowałby się, kto był zdrajcą. To mój dom, moje życie legły w gruzach. Jej wioska pozostała nietknięta. - Zapadł w milczenie, z twarzą zaciśniętą jak pięść.

Shan poruszył węgle w stojącym przy wejściu naczyniu na żar, by rozniecić ogień, i zaparzył czarną herbatę. Przycisnął gorący kubek do warg Gyalo, zmuszając go do wypicia.

- Czy byłeś kiedykolwiek w ich twierdzy, w ich ostatniej kryjówce? Gyalo wziął od niego kubek i skinął głową.

- Mieli tam broń, często popakowaną jeszcze w skrzynie, jak gdyby pojawiła się za sprawą czarów. Granaty, karabiny maszynowe, moździerze.

- Gdzie to było?

- Nie wiem. Zabierali mnie tam nocą ze starej pustelni w jaskini, do pomocy przy rannych, do pomocy przy zmarłych. Pamiętam, że szło się wzdłuż ściany urwiska. Pamiętam dziurę w ścieżce, przy wysokiej półce skalnej, gdzie wzięli mnie za rękę i powiedzieli, że jeśli nie będę szedł dokładnie po ich śladach, zginę. Potem wychodziło się na szczyt, szeroki i płaski, cały rozjarzony bielą, otwarty w stronę matki gór. To było stare miejsce.

- Stare?

- Powstańcy nie byli pierwszymi, którzy z niego korzystali.

Były tam pokryte porostami kopce ze strzępami bardzo starych flag modlitewnych. Było to jedno z prastarych sanktuariów matki gór, jakie stawiano, by ją udobruchać, by zakotwiczyć ją w naszym świecie. Dziś nikt się już o nią nie troszczy. - Tybetańczyk wzruszył ramionami. - Całe stoki zasłane śmieciami i trupami. Nic dziwnego, że tak się nam odpłaca.

- Jak długo trwała wspinaczka z pustelni?

- Dwie godziny, może trzy.

Nalewając mu kolejny kubek herbaty, Shan zastanawiał się nad jego słowami.

- Co miałeś na myśli, mówiąc, że pomagałeś przy zmarłych? Odprawiałeś obrzędy pogrzebowe?

- Oni zawsze wynosili ciała poległych. Prosił mnie, bym odprawił rytuały pośmiertne, bym przemówił do ich dusz, prosząc je o wybaczenie, aby nie poczuły się obrażone.

- Obrażone?

- Powstańcy nie mogli ryzykować palenia zwłok na stosie albo niesienia ich do rozcinaczy ciał. Było pewne miejsce, głęboki żleb, do którego zrzucali je, jak podczas pochówku na morzu.

Yates czekał na niego w cieniu przy składzie Tsipona.

- Potrzebujemy lin - powiedział Shan. - Potrzebujemy sprzętu wspinaczkowego. - Nacisnął kłamkę u drzwi. Były zamknięte.

- Jest środek nocy, Shan - zaprotestował Amerykanin.

- Nie mamy czasu. Wszystkie odpowiedzi kryją się w ostatniej strefie zrzutów, w ostatniej kryjówce rebeliantów - oświadczył i wyjaśnił, czego dowiedział się od Tana i Gyalo.

Gdy skończył, Yates przyjrzał się piętrowemu budynkowi.

- Czy na dachu jest właz techniczny?

Ledwo Shan zdążył skinąć głową, Amerykanin przysko-

czył do ściany budynku. Wspinając się, znajdował to wystający gwóźdź, to wąskie nadproże, to maleńki występ dający oparcie dla stóp. W niespełna dwie minuty był już na górze, a jeszcze mniej czasu zajęło mu otwarcie drzwi od środka.

Wybrali sprzęt przy świetle latarek, niemal kompletnie wypełniając dwa plecaki, nim Shan przerwał i powiódł snopem światła po półkach pod ścianami.

- Niech pan poszuka dwóch plandek - powiedział. - I liny do ich powiązania.

Yates zaczął rozglądać się po półkach, po czym zamarł i spojrzał na niego, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie jego słów.

- Boże, nie. Nie mogę tego zrobić. Niech mnie pan nie prosi, żebym zniósł jej zwłoki - jęknął udreńczonym głosem.

- To ostatnia szansa, jaką mamy - odparł Shan. - Prawdziwa autopsja, wykonana przez prawdziwego specjalistę, wykaże, że umarła od kul wystrzelonych z tego samego pistoletu co Wu, w tym samym czasie co ona. Krew na koszuli, którą miałem na sobie tamtego dnia, będzie odpowiadała jej krwi. Nie będą mogli zaprzeczyć prawdzie.

- Widziałem ciała w górnych partiach stoków. Nie mógłbym na nią patrzeć. Nie mógłbym jej dotknąć.

Shan sięgnął na górną półkę i zdjął z niej dwie wodoodporne maty.

- Nigdy jej pan nie znajdzie - stwierdził Amerykanin, jak gdyby spierał się sam ze sobą.

- Nie dam rady zrobić tego sam, Yates - powiedział Shan. - Jeśli nie przyniosę z gór prawdy, mnichów w tym regionie czeka koniec. Niewinny człowiek zostanie stracony.

- A pański syn... - wyszeptał Amerykanin.

Shanem wstrząsnął dreszcz przerażenia. Godzinami zmagał się, by wyprzeć ze świadomości obraz swego syna na stole operacyjnym, a teraz powracająca wizja sparaliżowała go.

Amerykanin wyjął mu plandeki z rąk i zapakował je do plecaka.

Żółtoszara zapowiedź świtu rozjaśniała wschodni horyzont, gdy wyjechali poobijanym starym jiefangiem na górską szosę, rozpoczynając długi, nieustanny podjazd ku masywowi Himalajów. Minęli miejsce zamachu na minister, zatrzymując się raz po raz, by spojrzeć na amerykańską mapę w świetle wschodzącego słońca.

- Zapomnijmy o mapie - powiedział w końcu Shan. - Rozglądajmy się za kopczykiem kamieni sześć metrów od szosy.

- Zdawało mi się, że mówił pan, że szlak do Tumkot jest ukryty, a nie oznaczony.

- Bo nie jest, ściśle rzecz biorąc. - Shan zatrzymał ledwo zipiącą ciężarówkę, wysiadł i ruszył drogą, oglądając badawczo najpierw teren na zachodzie, gdzie potężny masyw góry nad Tumkot dominował w zarysie szczytów na tle nieba, potem przebyty właśnie odcinek szosy, którym złowieszczą sunął w ich stronę obłok pyłu. Miał właśnie poprosić Amerykanina o lornetkę, gdy wydawszy cichy, gniewny pomruk Yates przemknął obok niego i wskoczył do ładowni ciężarówki. Rzucił się na stertę płóciennych plandek i zaklął, gdy połowa sterty rozwinęła się i uniosła.

- Jomo! - wykrzyknął zaskoczony Shan. Mechanik odwzajemnił jego spojrzenie z dziwnym cieniem wyzwania w oczach. - Co ty tu... - zaczął Shan, po czym zmienił pytanie. - Dlaczego jesteś tak ubrany? - Jomo miał na sobie obszarpany, długi do kostek płaszcz przeciwdeszczowy.

- Jadą tu, wiesz? - odparł Tybetańczyk. - Pałkarze. Myślałeś, że udało ci się zawrzeć z nimi układ, ale im nie można ufać.

- Widziałem ich.

- Nie - stwierdził Jomo. - Ta grupa w dole to łowcy nagród. Pałkarze są za nimi.

- Więc zatrzymają łowców nagród.

- Nie. Naprawiałem ciężarówkę w wojskowym garażu. Cao wszedł, żeby osobiście wydać rozkazy. Nie wiedział, że pracuję w głębi. Oni sądzą, że nie rozumiem po chińsku. Ten cały Cao jest na ciebie wściekły. Powiedział im, że będziesz z mnichami wysoko w górach. Powiedział, że będziesz pomagał im w ucieczce i że wiedzą, jak postępować ze zdrajcami. Wydaje mi się - dodał, patrząc na niego niespokojnie - że bardziej zależy mu na zniszczeniu ciebie niż na rozwiązaniu tej sprawy.

- Ale przecież nie zastrzeliliby Shana tak po prostu - wtrącił Yates.

- Oczywiście, że zrobiliby to - odparł niecierpliwie Jomo, kierując ich gestem w górę szosy. - Zastrzelą was obu i będą się cieszyć, że pozbyli się zagranicznej plagi. - Zdawało się, że chce, by Shan i Yates odeszli.

Shan pozwolił Amerykaninowi odciągnąć się, spoglądając na Tybetańczyka z zakłopotaniem. Po długiej chwili wziął lornetkę Yatesa i przejrzał drogę przed sobą, dostrzegając niespełna sto metrów dalej świeżą kupkę kamieni, którą ułożył nad grobem psa. Rozglądał się właśnie za miejscem, gdzie mogliby ukryć ciężarówkę, kiedy szalony okrzyk Yatesa sprawił, że obrócił się na pięcie. Jomo stał na skalnym występie ponad szosą. Zdjął płaszcz. Pod spodem miał na sobie bordową szatę, zapewne jedną z tych, które Shan znalazł w starej podziemnej kaplicy. Yates zrzucił plecak z grzbietu i puścił się biegiem.

Nim dopadł do niego, Jomo wykonywał dziwny taniec, najpierw w stronę opadającej szosy, by przyciągnąć uwagę nadjeżdżających, potem w stronę Amerykanina, by uniknąć jego rozpaczliwych wysiłków ściągnięcia go w dół. Gdy Shan dotarł do Tybetańczyka, od gładów na prawo i na lewo od nich odprysnęły odłamki skał.

- Idiota! - krzyknął Yates po angielsku, chwytając Jomo za ramię. - On chce, żeby wzięli go za jednego z tych mnichów! - Gdy Jomo wyrwał się z jego uścisku, Amerykanin pochylił bark i rzucił się na niego całym ciałem, powalając go i przyduszając do ziemi. Shan podniósł lornetkę i wyrzucił ostrożnie poza skraj występu. Niespełna kilometr od nich szosę blokowały dwie ciężkie ciężarówki bez przyczep. Przynajmniej dwóch ze stojących przy nich mężczyzn trzymało karabiny. Ich uwagę przykuwały skały, gdzie pojawił się Jomo. Nie zauważyli jeszcze drugiej chmury pyłu za nimi. Nawet jeśli pałkarze mieli rozkaz odszukać Shana, nie mogliby zignorować ludzi z nielegalną bronią palną.

Shan zerknął za siebie, na ukochanego starego jiefanga Jomo, potem na prosty odcinek szosy przed zakrętem, na którym stały ciężarówki, ponad jednym z licznych ciągnących się wzdłuż drogi urwisk, i wreszcie na Jomo, który siedział na skalnej półce z wykręconymi w tył ramionami, trzymany mocno przez Amerykanina.

- Oni cię zabiją, Jomo. Zabiją cię bez namysłu, jak natrętną muchę. A kiedy zobaczą, że nie masz właściwego gau, kopną twoje zwłoki i pójda szukać dalej.

- Wcześniej będą musieli mnie złapać - odpalił Jomo.

- Potrafisz biec szybciej niż kula? - zapytał Shan. Przeszedł wzdłuż jiefanga, przesuwając dłonią po karoserii, po czym spojrzał na prosty odcinek drogi wycięty w litej skale, tak że na znacznym fragmencie po obu jego stronach wznosiły się kamienne ściany. - Potrzebuję twojej pomocy - odezwał się do mechanika.

Jomo patrzył przez chwilę zdezorientowany, po czym podążył wzrokiem za jego spojrzeniem, gdy Shan odwrócił się znów w stronę ciężarówki.

- Neeeeee-eeee! - krzyknął żałosnym tonem. - Nie ona!

- Chcesz pomóc mnichom? - zapytał Shan.

Gdy Tybetańczyk skinął głową, Yates rozluźnił chwyt i obaj wysłuchali planu Shana.

Jomo ściągnął mnisią szatę, po czym przestawił ciężarówkę w stronę spadku stoku. Shan i Yates tymczasem pośpiesznie gromadzili szmaty, plandeki, a nawet kępy wrzosów, po czym rozdarli szatę Jomo na trzy części, podczas gdy on sam owijał linę wokół kierownicy. Szybko zrobili trzy kukły, które posadzili w kabinie, z ramionami okrytymi mnisimi szatami bordowej barwy i naciągniętymi głęboko kapeluszami. Gdyby plan Shana się powiódł, nikt w dole nie miałby czasu na więcej niż przelotny rzut oka. Zobaczyliby to, po co przyszli: trójkę mnichów podejmujących ostatnią, rozpaczliwą próbę ucieczki. Skinąwszy z zadowoleniem głową, odwrócił się do mechanika, który ocierał łzy z policzków.

- Mówiłeś, że to była dzonka bojowa - przypomniał mu. - Taka właśnie była ich rola, taranowanie nieprzyjacielskich okrętów.

- Ona nigdy nas nie zawiodła - powiedział łamiącym się głosem Jomo, kładąc dłoń na zardzewiałym błotniku.

- Nigdy nas nie zawiodła - powtórzył za nim Shan. Pogrzebawszy w kieszeni, wyjął stożek kadzidła, który zapalił i umieścił na desce rozdzielczej. - Duchy ją odnajdą - powiedział, gdy kłęby dymu spowiły kierownicę i dzwignię zmiany biegów.

Jomo uparł się, że osobiście uruchomi silnik, który stęknął i zacharczał po raz ostatni, nim w końcu zaskoczył. Mechanik unieruchomił pedał gazu kamieniem i wyskoczył, gdy ciężarówka zaczęła się staczać w dół.

Gdy mężczyźni w dole wypadli na szosę, unosząc karabiny do strzału, by zatrzymać jadący w ich stronę pojazd, najpierw jeden, potem drugi obrócili się na pięcie. Za nimi pojawili się pałkarze.

Stara ciężarówka szybko nabierała prędkości, strzelając z rury wydechowej jak na wiwat. Widząc, że nie zwalnia, łow-

cy nagród i pałkarze rozbiegli się na boki. Uderzyła w pierwszą półkabinę wśród zgrzytu metalu i szkła, przewracając ją na bok, aż posypały się iskry, gdy oba pojazdy, sczepione zderzakami, wpadły ukosem na drugą ciężarówkę, spychając ją poniżej zakrętu. Na zakręcie pierwsza ciężarówka skosiła kamienie oddzielające drogę od przepaści w dole i zniknęła za krawędzią urwiska. Stary jiefang Jomo zdawał się wahać, jak gdyby przeczuwając swój los. Potem ciężar pierwszej ciężarówki, wciąż zahaczonej o jego zderzak, szarpnął go naprzód i stara niebieska dżonka pożeglowała w pustkę.

Nikt się nie poruszył, nawet na odgłos eksplozji, dopóki gęsty słup dymu nie wzniósł się ponad krawędź urwiska. Oszołomieni łowcy nagród nie stawiali oporu, gdy pałkarze odbierali im broń. Shan przyjrzał się krótkiej kolumnie odprowadzanych mężczyzn. Dwóch wysokich Mandżurów nie było wśród nich.

Gdy Shan i Yates nałożyli plecaki, Jomo z żalną miną wciąż wpatrywał się w dym.

- Ona się odrodzi - pocieszył go Shan. - Myślę - dodał po chwili zastanowienia - że będzie samolotem odrzutowym.

Słowa te wyrwały mechanika z melancholii. Wolno skinął głową i odwrócił się do niego ze smutnym uśmiechem.

- Nie możesz wrócić, Shan - ostrzegł. - Wczoraj widziałem, jak towarzyszka Zheng czekała na Tsipona, siedząc przy jego biurku.

- Czekala?

- Nie było go tam. Chyba przyszedł później. Oni coś przeciwko nam knują.

Shan przystanął, by przetrwać tę nowinę. Trudno było uwierzyć, by Zheng szukała w jakiegokolwiek sprawie porady Tsipona.

- Lepiej, żebyś ty też nie wracał - odparł. - Przynajmniej bez nas. Idź do bazy pod Czomolungmą.

- W moim namiocie magazynowym - podsunął Yates - jest łóżko polowe, z którego możesz skorzystać. Przenocuj tam.

- Pójdę z wami - zaproponował Jomo.

- Nie - odparł Shan. - Idź do bazy. Trzymaj się z dala od pałkarzy, którzy będą dzisiaj na szosie.

Yates wyciągnął z plecaka koszulkę z nazwą swej agencji alpinistycznej.

- Masz. Jesteś jednym z moich Szerpów.

- Ale jutro rano - dodał Shan - trzeba będzie podwieźć nas z powrotem do miasta. Czekaj przy tych dużych skałach przed nami.

W głosie Jomo nie było śladu wahania.

- Będę tam przed wschodem słońca z jedną z firmowych terenówek. Prześpię się w niej, jeśli będzie trzeba.

Przez kilka straszliwych chwil Shan sądził, że musiał się omylić, zakładając, iż Dakpo obserwował go z tajemnej ścieżki, kiedy grzebał psa, potem jednak dostrzegł pochodzący sprzed kilku dni ślad kopyta, później następny i jeszcze jeden skierowany w górę. Szlak początkowo był ledwo rozpoznawalny, tak nikły, że Shan kierował się w równym stopniu wyczuciem, jak fizycznymi znakami. Po półgodzinie nieustannego pięcia się w górę dotarli na mały, osłonięty przed wiatrem płaskowyż, gdzie nagromadziła się ziemia, dając życie kępom trawy i wrzosu. Szli wolno jego skrajem, aż w końcu Yates wskazał wielki odcisk kopyta, być może sprzed tygodnia, zostawiony przez zwierzę idące pod górę. Shan, ukłękawszy, rozpoznał go natychmiast.

- Muł - powiedział i nie oglądając się za siebie, szybko podążył tropem drugiego, a potem trzeciego śladu do ciasnego przejścia między dwoma wysokimi nawisami skalnymi.

Wkrótce ścieżka poszerzyła się, była wyraźniej wydeptana. Spłoszyli wylegające się na kamieniach stado górskich owiec, po czym przystanęli, by podziwiać wyblakłe demony opiekuńcze wymalowane na ociosanych głazach, którymi, jak domyślił się Shan, oznaczono skrzyżowanie ze szlakiem pielgrzymkowym.

Po godzinie mozolnej wspinaczki wijącą się zakosami ścieżką znaleźli się na szczycie północnej odnogi stromej góry, wysokiej równi z rozsianymi tu i ówdzie łatami śniegu. Po dalszych czterystu metrach dotarli do przeciwległego stoku i daleko w dole ujrzeli Tumkot. Shan wskazał rozwidlenie na szlaku i gestem skierował Yatesa na wyższą ścieżkę, która wiodła w dmący z gór przenikliwy wiatr, niosący woń lodu.

Pół godziny później Shan położył plecak na ziemi przy wejściu do wielkiej pieczary; po jego obu stronach widniały kolejne wyblakłe malowidła bóstw. Ze złymi przeczuciami przyglądał się ziemi przed pieczarą, poznaczonej śladami tak wielu butów, że nie był w stanie policzyć, ilu ludzi kręciło się tam ostatnio.

Weszli do jaskini z latarkami w rękach, podążając za ledwo wyczuwalnym zapachem kadzidła, nasilającym się z każdym krokiem. Gdy w końcu dotarli do głównej komory, latarki okazały się niepotrzebne. Pieczara, w której siedział Dakpo, oświetlona była snopami światła słonecznego, padającymi ukośnie przez długą, wąską szczelinę w zewnętrznej ścianie. Pustelnik nie modlił się, ale sprzątał, zwijając trzy używane materace. Przywitał ich z uśmiechem zaskoczenia.

- Czasami przez miesiące nie mam żadnego gościa - powiedział - a teraz w moim domu jest ruch jak na targowisku. -W milczeniu przyjął pomoc Shana w rolowaniu materaców i układaniu przy desce, na której stały trzy pary znoszonych sandałów.

- Musisz pochować to wszystko - ostrzegł Shan starego

Tybetańczyka. - Ludzie mogą przyjść ich szukać. - Pustelnik w roztargnieniu skinął głową, patrząc z rozbawioną miną na coś za jego plecami. Shan odwrócił się i ujrzał Yatesa, który stał jak wryty przed czymś, co wyglądało jak ustawiony w mrocznym kącie ołtarz. Ale to nie był ołtarz, zorientował się, kiedy podszedł bliżej, tylko niski stół z ułożonych na kamieniach desek. Spoczywał na nim nakryty kocem prostokątny przedmiot, z którego wychodził przewód elektryczny w wystrzępionym oplocie z przędzy, prowadzący do osobliwej drewnianej skrzynki z dwiema sterującymi z boków korbami. Yates oświetlił latarką angielskie słowa widoczne na boku skrzynki i wydał stłumiony okrzyk, us **ARMY**, głosiły czarne, wymalowane od szablonu litery.

Amerykanin ściągnął koc, odsłaniając urządzenie z kilkoma tarczami i wskaźnikami z przodu.

- Niemożliwe! - wykrzyknął w osłupieniu i powtarzał to słowo raz po raz, gdy uklęknął, oglądając je uważnie w świetle latarki.

Dakpo, siedząc na małym trójnożnym stołku do dojenia, uśmiechał się dziwnie zadowolony.

- Wuj Amy Apte - odgadł Shan. - To dlatego wciąż tu przychodził. Pustelnik skinął głową.

- Kundu i ja byliśmy dobrymi przyjaciółmi na długo, nim przybrał postać muła. Wychodziliśmy przed pieczarę, na zwrócony na południe występ skalny. Amerykanie nauczyli go, jak wysuwać antenę w określony sposób. Z początku byłem zbyt przerażony, by obracać te korbki, bo na końcach drutów przeskakiwały małe błyskawice, ale on pokazał mi, jak robić to bezpiecznie, tak jak uczyli go Amerykanie.

- Jeden z powstańców wciąż nadawał - wspominał szeptem Yates. Jego palce zawisły w powietrzu przed tarczami, ale zdawał się mieć opory przed dotknięciem ich. - Wciąż nada-

wał przez lata po zakończeniu programu, mimo że nikt nie odpowiadał.

- Nasz świat przestał istnieć - oświadczył pustelnik słabym, udęczonym głosem. - Musieliśmy jakoś sobie radzić.

Słowa te wyrwały Yatesa z transu.

- Przestał istnieć?

- W dolinach byli Chińczycy, którzy niszczyli wszystko, co tybetańskie. Po drugiej stronie gór byli ci wszyscy, którzy zrezygnowali z walki, stając się nowymi Tybetańczykami. Hinduskimi Tybetańczykami, nepalskimi Tybetańczykami. Jeśli chcieliśmy pozostać tym, kim byliśmy, musieliśmy się stać niewidzialni. - Dakpo wstał i z czią stał szmatą kurz z radia. W dniu, kiedy oni... w ostatnim dniu walk wiedzieliśmy, że nasz świat się skończył. Każdy z nas musiał radzić sobie, jak mógł. Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć staremu Kundu, że Amerykanie odeszli i już nie wrócą, że powinien przestać nadawać.

Yates dotknął palcami wytartych korb przenośnego generatora.

- Ale on wciąż to robił? - zapytał.

- Przez całe lata.

- Co mówił - zapytał po długiej chwili ciszy Shan - kiedy nadawał przez radio?

- Przez pierwszych kilka lat wciąż żył w biegu, sypiając w śpiworze, który dostał od Amerykanów, twierdząc, że jego misją jest teraz wywiad, cokolwiek to oznaczało. Obserwował szosę, obserwował chińską armię, po czym przychodził i meldował o ich ruchach, zupełnie jak w dniach walk. Przez jakiś czas sądził, że Amerykanie zmienili kody albo częstotliwości, tak więc obracał tarcze i powtarzał swój numer, informując raz po raz, że jest sierżantem tybetańskich wojsk partyzanckich. Na koniec opowiadał o pogodzie albo czytał sutry.

- Sutry? - zdziwił się Shan.

- W końcu uświadomił sobie, że to nie z Amerykanami usiłował się skontaktować. Powiedział, że nawet jeśli Amerykanie przestali słuchać, niebiosa usłyszą zawsze.

Yates wyciągnął jedno ze swych starych zdjęć, przedstawiające stojących rzędem Tybetańczyków ze spadochronami i plecakami, gotowych do skoku, i wskazał swojego ojca, stojącego wraz z załogą samolotu.

Dakpo zareagował z miejsca.

- Twój ojciec to był dobry człowiek. Kundu, w dwunożnej postaci, był z nim w tym obozie w Ameryce.

Yatesowi na moment zapało dech w piersiach.

- Skąd... skąd wiedziałeś, że to mój ojciec?

- Kiedy pierwszy raz zdjąłeś kapelusz w Tybecie, góra cię poznała - odparł enigmatycznie Dakpo. Potem z nowym entuzjazmem wziął zdjęcie i zaczął wskazywać ludzi, wymieniając po kolei ich imiona. Dopiero gdy skończył i uniósł wzrok, dostrzegł uśmiech Amerykanina.

- Kiedyś, pod koniec waszego roku, w naszym jedenastym miesiącu, twój ojciec nauczył nas paru waszych świątecznych piosenek po angielsku i śpiewaliśmy je przy ognisku, jedząc ciastka, które gdzieś przechował. Piosenki o śniegowych bałwanach i dzwonkach, i o narodzinach jego lamy z tego krzyża. „Jingle bells, jingle bells”, śpiewaliśmy. Twój ojciec dużo się śmiał. Dawał nam siłę.

- Jak wielu was tam było? - zapytał Shan. - Ostatnich niedobitków?

- Kilkoro - odparł ostrożnie Dakpo.

- Powiedziałeś, że każdy znalazł własny sposób na przetrwanie. Nie wszyscy zostali pustelnikami.

Dakpo skinął głową.

- Byłem nowicjuszem w jednym z małych klasztorów, które spalono w czasie pierwszej kampanii. Uratowałem większość starych ksiąg, przyniosłem je tutaj i próbowałem skupić się na nich tak, jak uczyli mnie moi nauczyciele, zanim ich zabito.

W końcu jednak uświadomiłem sobie, że nim będę mógł studiować, najpierw muszę walczyć.

- Gyalo wrócił do miasta - stwierdził Shan. - Arna Apte wróciła do wioski i została wróżbitką.

- Nie bardzo mogła pozwolić sobie na pozostanie w górach. Musiała być przy rodzinie.

- Czy to któreś z nich zdradziło powstańców?

- Prędzej czy później ktoś musiał to zrobić. Tak właśnie działali Chińczycy.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Każde z nich sądzi, że zdradziło to drugie. Nie wiem. Od tamtego dnia nikt już nikomu nie ufał. Myślałem o tym, myślałem przez całe lata. Wielu ludzi mogło pomóc Chińczykom. Pasterze, którzy nas znali. Może ktoś spośród nas, komu udało się przedostać przez granicę. Któż może wiedzieć, co sprawia, że ptak budzi się i postanawia zaśpiewać inaczej? Było zapisane, że nasz świat ulegnie zmianie, i tak też się stało.

Shan zdjął kawałek filcu zakrywający stołek obok radia, odsłaniając więcej wojskowego sprzętu: kompas, bagnet, małą lornetkę. Przystanął i obejrzał się na stosy starych ksiąg w drugim końcu jaskini. Zarówno sprzęt, jak i księgi były dobrze utrzymane.

Dakpo dostrzegł wypisane na jego twarzy pytanie.

- Im lepiej rozumie się świat - stwierdził - tym trudniej jest osiągnąć stan buddy.

Yates zaczął zarzucać go pytaniami na temat swego ojca. Po chwili Shan uniósł dłoń.

- Nie ma czasu. Stoki roją się od ludzi szukających mnichów. - Odwrócił się do pustelnika. - Możesz nas tam zabrać? Do kryjówki, do której oni idą?

Dakpo wskazał swoje sandały.

- W tym nie. Jedyne buty, jakie tu miałem, oddałem mnichom. Mogę jednak - dodał, wstając ze stołka - poprowadzić

was przez pierwszą godzinę i pokazać drogę stamtąd. Jest trudna - ostrzegł. - Nawet dzikie kozy nie są w stanie jej przebyć.

Przystawali co kwadrans, by rozejrzeć się po stokach przez lornetkę Yatesa. Gdy pędzili w górę stromymi zakosami, Shan zauważył, że Yates ogląda się z niepokojem za siebie, w stronę widocznego teraz ponad grzbietem dymu z kominów Tumkot, wioski ocalałej w wyniku targu, który sprzedał rebeliantów. Pustelnik właściwie nie zaprzeczył, że zdr aj czynią była Arna Apte. Wróżbitka zaś, która potajemnie starała się doprowadzić do wydalenia Yatesa z kraju, rozmyślnie zataiła fakt, że знаła jego ojca.

Pustelnik prowadził ich w niemal szaleńczym tempie na pierwszy stromy stok, przez ciasne korytarze skalne, pod wąskim wodospadem, wokół pól związanego śniegiem, najeżonego odłamkami skał rumowiska, przez kilka lodowatych strumyków wezbranych wodą z topniejących lodowców. Gdy przemierzali ukształtowany przez lodowiec krajobraz, popękaną ścianę granitu po jednej stronie ścieżki, zdradliwą pionową przepaść po drugiej, Dakpo zatrzymał się nagle.

- Jeśli będziecie się uważnie przyglądać, tam jest stara ścieżka - oświadczył - a w każdym razie jej ślad. Kiedy trzeba dokonać wyboru, zawsze idźcie w górę.

Yates i Shan spojrzeli po sobie z zakłopotaniem. Pustelnik odsunął się na bok, ukazując szeroką na pół metra wyrwę w półce skalnej, po której szli, nie różniącą się niczym od tuzina innych, które minęli po drodze. Tyle że ponad tą na skale namalowany był ledwo dostrzegalny znak, mantra do matki opiekunki. Shan zdjął plecak i opuścił się w głąb, ufając, że znajdzie w głębokim cieniu w dole oparcie dla nóg, i w istocie wymacał wykute w skale niczym drabinka szczeliny schodzące aż do płaskiego kamiennego podłoża dwa i pół metra niżej. Chwilę później dołączył do niego Yates.

- *Lha gyal lo!* - zawołał Dakpo, podając im z góry plecaki.

Znajdowali się w krętym kamiennym korytarzu, który wkrótce otworzył się na stromy, osłonięty stok upstrzony wrzosem i polnymi kwiatami. Granitowa ściana, którą brali za wierzchołek góry, okazała się potężną sterczącą skałą, która zasłaniała górną partię stoku i ścieżkę. Szli w milczeniu, dostrzegając na trafiających się z rzadka spłachciach ziemi świeże ślady butów; na każdym rozwidleniu ścieżek kierowali się radą pustelnika, by wybierać trudniejszą, bardziej stromą trasę, wspinając się po wykutych w kamieniu wąskich półkach tworzących rodzaj schodów. Yates parł naprzód z coraz większą niecierpliwością, nie wahając się ani chwili, gdy dotarli do wysokiego komina, nim chwycił wklinowane między kamienne ściany cienkie drażki ze starego drewna jałowca. Mijając rząd kamiennych kolumn, wspięli się na kolejny stromy stok, na którym połyskiwały placki śniegu, po czym zatrzymali się przy ścieżce wiodącej na drugą stronę wysokiej ściany, oznakowanej rozsypującym się kopcem kamieni.

Ścieżka wyprowadziła ich na obszerną, niemal płaską półkę skalną ponadpięćdziesięciometrowej szerokości i czterystumetrowej długości. Na południe od niej aż po horyzont ciągnął się lodowiec. Na południowym wschodzie otwierał się rozległy widok na Everest oraz jego bliźniacze szczyty, Lhoce i Makalu. Na północy, w cieniu potężnej granitowej skały, wznosiło się kilka prymitywnych budowli z układanego bez zaprawy kamienia. Yates zrobił krok naprzód i spowodował dziwny brzęk. Potrącił i poluzował kilka długich, mosiężnych cylindrów pokrytych zieloną patyną starości. Łuski pocisków.

Nie było śladu żywego ducha, choć na niektórych płatach śniegu Shan dostrzegł więcej świeżych odcisków butów. Wysiłkiem woli zmusił się, by nie podążyć za nimi, by zamiast tego przejść ku poszarpanej krawędzi głębokiej szczeliny lodowej, ciągnącej się wzdłuż wschodniej krawędzi małego płaskowyzu.

- Przyszliśmy szukać dowodów - przypomniał Yatesowi, który uparł się, by przeszukać każdą z prymitywnych, walących się konstrukcji, nim dołączył do niego na skraju szczeliny. Leżąc na brzegu, trzymany przez Amerykanina za nogi, Shan obejrzał przez lornetkę wewnątrz szczeliny, studiując dokładnie rumowisko potrzaskanych skalnych płyt i głazów, które zalegało na położonym niemal sześćdziesiąt metrów niżej dnie. Znaczną jego część spowijał cień, jednak na końcu szczeliny, tam, gdzie wyginała się ona na południowy wschód, wiele odłamków skał oświetlało słońce. Znikomą szansę odnalezienia Megan Ross pomniejszywały dodatkowo liczne szpary między skalnym gruzem, w które z łatwością mogły wpaść zrzucone z góry zwłoki. Nie dostrzegłszy niczego, Shan wstał i przeszedł wolno po półce, przyglądając się ziemi. W końcu, niespełna piętnaście metrów od miejsca, gdzie szczelina lodowa otwierała się na stok góry, znalazł na spłachciu śniegu starsze ślady, niewyraźne już od wielokrotnego zamarzania i topnienia. Było tam coś jeszcze: długie wyżłobienie, którym wleczono coś ciężkiego na krawędź szczeliny. Ponownie wychylił się poza krawędź i natychmiast dostrzegł w dole plamę czerwieni, kolor wiatrówki, którą kobieta miała na sobie w chwili śmierci.

- Pan jest jakimś jasnowidzem, Shan - odezwał się głuchym głosem Amerykanin, stając za jego plecami. - Tyle setek kilometrów pustkowi, a pan trafia prosto na nią.

Shan odsunął się od brzegu szczeliny i wstał.

- Zabójca od początku starał się urządzić to tak, by wyglądało na to, że zbrodnie popełnił jeden z dawnych powstańców. Gdyby kiedykolwiek musiał dowieść tego solidniej, postarałby się, żeby pałkarze znaleźli to miejsce, dopilnowałby, żeby wiedzieli, że to właśnie tu powstańcy potajemnie grzebali swych zmarłych, że tylko jeden z nich wiedziałby, jak tu trafić.

Yates opróżnił swój plecak, wysypując mu pod nogi sprzęt wspinaczkowy.

- Nie potrafię schodzić na linach - zaprotestował Shan. - Nigdy tego nie robiłem.

- A ja nie mogę zrobić tego, co jest do zrobienia tam w dole - powiedział ponuro Yates.

Shan, przepelniony nową zgrozą, spuścił głowę i wysłuchał pouczeń Amerykanina, podczas gdy ten wyciągnął dwie uprząże i zaczął mocować liny do wielkiego głazu blisko krawędzi.

Leżała na boku, jak gdyby śpiąc, z twarzą niemal równie błądą jak śnieg, na którym spoczywała, z jedną ręką sterczącą spod głowy pod nienaturalnym kątem. Zimne, suche powietrze zakonserwowało Megan Ross tak samo, jak martwych alpinistów na Evereście, choć nie była tam aż tak długo, by trwale przymarznąć do skały. Shan wziął się w garść, powtarzając sobie, by nie patrzeć w jej otwarte oczy, po czym obrócił zwłoki, wyprostowując jej rękę wzdłuż ciała. Przez cały czas jednak zdawało mu się, że czuje na sobie jej spojrzenie, a kiedy w końcu spojrzał w jej twarz, dostrzegł tam konsternację i tęsknotę, które malowały się na niej w chwili śmierci, ale także coś jeszcze, dziwnie błagalną minę. Zerknął na Yatesa, który siedział odwrócony tyłem, starannie unikając patrzenia na swą martwą przyjaciółkę, i miał właśnie zacząć rozwijać linę, którą przyniósł obwiązaną wokół talii, by zrobić uprząż na zwłoki, gdy dostrzegł plamy krwi wzdłuż zapięcia jej koszuli, nikłe, ale wyraźnie rozpoznawalne odciski palców. Wzdrygnąwszy się, rozpiął guziki, odsłaniając małe srebrne gau, pudełko na amulet Megan Ross, również noszące na zatrzasku ślady jej zakrwawionych palców. W pamięci odtworzył tę okropną chwilę, gdy Amerykanka umarła na jego rękach. Niemal zapomniał, że uniosła gau w jego stronę, wówczas uznał po prostu, że chciała pokazać mu, iż jest buddystką. Teraz jednak

ślady palców powiedziały mu, że majstrowała przy zatrasku po otrzymaniu postrzału. Mogła ostatnim tchem zdradzić mu nazwisko swego zabójcy, mogła wyjaśnić wszystko, ale zamiast tego pokazała mu gau.

Obejrzawszy się w stronę Yatesa, który wycofał się na drugi koniec długiej płyty u wylotu szczeliny, Shan otworzył ozdobne pudełko. W środku znajdowały się zrolowane w tradycyjny sposób modlitwy, turkusowy kamyk oraz wydarta z jakiejś książki ziarnista fotografia. Przyjrzał się zdjęciu, czując, jak przechodzą go ciarki, po czym poskładał je na powrót i schował do zapinanej na guzik kieszonki koszuli.

Gdy Yates wrócił, Shan ponownie owijał sobie linę wokół pasa.

- Musi pan ją tym opleść - przypomniał mu Amerykanin. - Zrobić uprząż.

- Nie - odparł Shan. - Zmieniłem zamiar. Nie ma potrzeby, żeby wracała do świata.

Yates przyjrzał się badawczo jego twarzy, po czym wzruszył ramionami.

- Gdybyśmy znieśli ją na dół, jej ciało stałoby się główną atrakcją w międzynarodowym cyrku medialnym - stwierdził, wyraźnie wdzięczny, że nie będzie musiał godzinami dźwigać zwłok swej martwej przyjaciółki. - Nie miała żadnej bliskiej rodziny - dodał, jakby próbując przekonać sam siebie. - Zawsze przeczuwała, że umrze gdzieś w górach.

- W Himalajach - zauważył Shan - co drugi zmarły pozostaje na szczycie na zawsze.

- Zawiadomię jej przyjaciół, że umarła tak, jak tego pragnęła, na dachu świata, robiąc coś, czego nie zrobił nikt przed nią, ustanawiając własne reguły. - Yates uśmiechnął się smutno. Wziął się w garść i podszedł wraz z Shanem do zwłok kobiety. Wyciągnął z kieszeni wełnianą czapkę i nałożył jej na głowę, po czym przytulił dłoń do jej zimnego policzka. - Chcę, żeby

miała wygodniej niż teraz - oświadczył. - Chcę, żeby matka gór wiedziała, że ona tu jest.

Znieśli ją na płaską płytę od południowego wschodu i oparli plecami o inną skałę, układając jej ręce na podołku, nogi, sztywne od mrozu, podginając pod korpus najdokładniej, jak tylko się dało. Yates cofnął się o krok, wrócił, by poprawić jej wełnianą czapkę, po czym skinął głową. Megan Ross siedziała zwrócona twarzą w stronę Everestu, medytując, jak robiła często przed wyczerpującą wspinaczką. Shan pomyślał o dziwnym łańcuchu wydarzeń, który zaprowadził ich do zwłok tej kobiety, o tym, jak stała mu się bliska po śmierci. Ama Apte miała rację, uświadomił sobie. Odkąd Amerykanka umarła, matka gór posługiwała się nią. Promienne światło jej śmierci doprowadziło go do prawdy, której tak rozpaczliwie potrzebował.

Pół godziny później, z ramionami obolałymi od powrotnej wspinaczki na płaskowyż, Shan uklęknął w jednym ze starych skalnych schronisk, rozpalając tłący się kopczyk suszonego koziego łajna, by zagotować herbatę. Gdy uniósł wzrok, ujrzał Yatesa zagląającego do wnętrza innej z rozsypujących się budowli, grzebiącego w stercie gruzu, z której wyciągnął kilka osmalonych patyków. Amerykanin przyniósł je ze sobą, przyjrzał się im w zadumie, aż w końcu rzucił je na ziemię przy dymiącym ognisku. To nie były patyki, ale nadpalone szczątki drewnianej skrzynki. Na jednym, wciąż widoczne po tylu dziesiątkach lat, widniało wymalowane po angielsku:

UWAGA! AMUNICJA!

Gdy Shan znów spojrział w górę, Yates zdążył już odejść. Obchodził teraz teren ze wzrokiem wbitym w ziemię, szukając dalszych dowodów. Nagle poderwał głowę i przywarł płasko do głazu, obserwując czujnie szczelinę w skałach po drugiej

stronie płaskowyżu. Podchodząc do niego, Shan usłyszał głosy, a potem następujące po sobie trzy dźwięczne uderzenia, w których rozpoznał odgłos młotka wbijającego w skałę metalowy hak.

Przecisnąwszy się ostrożnie przez szczelinę, zobaczyli cztery postacie pracowicie wznoszące pod skalną ścianą kolibę z kamieni i płótna. Mniejszy placyk, na którym pracował Kypo z trójką mężczyzn w czerwono-żółtych alpinistycznych kurtkach, osłonięty był z trzech stron przez ściany i wysokie wychodnie skalne. Był tu też płytki basen, w którym gromadziła się woda z roztopionego śniegu, spływająca strużką ze szczytu urwiska. Tu właśnie znajdował się niegdyś wewnętrzny obóz, uświadomił sobie Shan na widok ruin kilku dalszych kamiennych schronisk, wyobrażając sobie tę scenerię przed dziesiątkami lat, kiedy była tajną kwaterą główną powstańców. Zachowały się jeszcze ślady tamtych czasów, lina z jaczego włosia zwisająca luźno z żelaznego haka wbitego w rysę w skalnej ścianie, wyblakłe plamy farby na płaskim glazie, układające się we flagę wolnego Tybetu.

Nagle Kypo przerwał wbijanie haków do mocowania lin. Obrócił się gwałtownie i wciąż z młotkiem w dłoni ruszył szybkim krokiem w stronę Shana i Yatesa. Jego trzech towarzysze skulili się za jednym ze starych murów, jakby chcieli się ukryć. Shanowi mignęła w przelocie czerwień mnisich szat, jakie mieli na sobie pod kurtkami z logo firmy alpinistycznej Tsipona.

- Chcę z nimi porozmawiać - powiedział.

- Nie. Ona mówi, że musimy trzymać się od was z daleka. Od was obu.

Shan podążył za niespokojnym spojrzeniem Tybetańczyka w stronę skraju płaskowyżu, skąd rozpościerał się widok na piętrzące się wzdłuż granicy ku wschodowi Himalaje. Wróżbitka z Tumkot siedziała nad krawędzią, z dłonią opartą na

niskim kopcu kamieni i ziemi, na którym kwitło kilka polnych kwiatów. Gdy uniosła ku niemu wzrok, na twarzy Amy Apte malowało się dziwne zadowolenie.

- Kiedyś było to najbardziej sekretne miejsce w całym Tybecie - powiedziała. - Teraz przychodzi tu cały świat.

Shan zamierzał właśnie usiąść spokojnie obok wróżbitki, kiedy usłyszał za sobą chrzęst żwiru.

- Odkąd przyjechałem, próbujesz mnie przepędzić! - rozległ się gniewny głos. Yates stanął nad Amą Apte z taką wściekłością na twarzy, że Shan się przygotował, na wypadek gdyby Amerykanin spróbował uderzyć kobietę.

- Dowiedziałaś się od Megan, co robię! Wiedziałaś, że próbuję odszukać ojca, i zniszczyłaś ślady! Ukradłaś mój sprzęt, podłożyłaś dowody, które miały doprowadzić do mojej deportacji. A teraz znajduję cię tutaj. To wystarczy za przyznanie się do winy! Zdradziłaś mnie, bo wcześniej zdradziłaś mego ojca!

- Gdyby nie ja, twój ojciec wciąż by żył - przyznała ściśniętym głosem Tybetanka, znów patrząc w dal.

Jej słowa najwyraźniej zbiły Yatesa z tropu.

- Więc przyznajesz to - odparł spokojniejszym, choć wciąż ostrym tonem.

- Zawsze miałam wrażenie, że go zdradziłam - przytaknęła Arna Apte.

- Jak możesz z tym żyć? - warknął Yates.

- Sądzę - wtrącił Shan, walcząc z ogarniającą go nieoczekiwanie melancholią - że ona tylko próbowała chronić pana, pomóc panu. - Dostrzegł spływające po policzkach Amy Apte łzy. - Przyszedł pan tu, żeby odszukać ojca, prawda?

Amerykanin spojrzał na niego zdezorientowany.

- O czym pan mówi?

- Nie słuchał pan - odparł Shan. - Stary pustelnik powiedział nam, że Arna Apte nie mogła uciec przez lodowiec, że

musiała wrócić do rodziny w wiosce. Pan sam wyznał mi, że nie mógł pojąć, jaka siła trzymała pańskiego ojca po tej stronie granicy, kiedy miał setki okazji do ucieczki, kiedy jego własna jednostka rozkazywała mu, błagała go, żeby wracał. - Odwrócił się do Kypo, który stał teraz z zalęknioną miną obok matki. - Zawsze nosisz na dworze okulary przeciwsłoneczne, jak wielu Tybetańczyków, bo słońce w rozrzedzonym powietrzu często powoduje zaćmę. Ale w pomieszczeniach jest inaczej. W pomieszczeniach, jako jedyny znany mi Tybetańczyk, nosisz szkła kontaktowe, których kupno musiało cię pewnie kosztować połowę rocznego zarobku.

- Jego oczy są zbyt wrażliwe na światło - odparła drewnianym tonem Arna Apte. - Potrzebuje specjalnej ochrony albo grozi mu zaćma od całej tej wspinaczki na dużych wysokościach. Tak więc znaleźliśmy specjalnego lekarza w Xi-gaze.

- Wydaje mi się, że okulary przeciwsłoneczne nosisz tylko wtedy, kiedy nie masz szkieł kontaktowych, Kypo - powiedział Shan. - Zdejmij je.

Tybetańczyk cofnął się o krok, zerkając w stronę przejścia między skałami, jakby się zastanawiał, czy się nie rzucić do ucieczki.

Yates w zakłopotaniu spoglądał to na wysokiego Tybetańczyka, to na Shana.

- Do czego pan właściwie zmierza, Shan? - mruknął zrzędlawie. - Kypo nie ma nic wspólnego z... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy Ama Apte skinęła głową i Tybetańczyk zsunął swe ciemne okulary. Zrobił niepewnie krok w jego stronę, patrząc mu w oczy, przez długą chwilę niezdolny wykrztusić słowa. - Jezu! - jęknął w końcu. - O Chryste. - Przysunął się do niego z niedowierzaniem.

Oczy Kypo były niebieskie.

Ama Apte przygarbiła się, wstrząsana łkaniem. Zrobiła

ruch, jakby zamierzała wstać, ale zabrakło jej sił. Wszyscy milczeli. Zdawało się, że nie ma słów, które można by powiedzieć.

- Zawsze czuliśmy się tu bezpieczni - odezwała się w końcu wróżbitka. - Miesiącami nasz oddział powtarzał sobie wciąż, że jeśli sprawy potoczą się źle, zawsze możemy uciec stąd bezpiecznie na drugą stronę granicy. Nawet gdy nieprzyjacielskie wojska stały się lepiej zorganizowane, dostały lepszy sprzęt i zaczęły wspinać się wyżej, ten masyw był dla nich niedostępny. Nie mieli wtedy helikopterów, a powstańcy przemieszczali się tak szybko, ukrywali się tak łatwo, że nikt nie brał pod uwagę tego grzbietu jako możliwej kryjówki, gdyż wszyscy byli pewni, że wspinaczka na niego wymagałaby lin i wielu godzin pracy. Tylko nasi przyjaciele wiedzieli o sekretnym przejściu. Na koniec zostało nas około dwudziestu. Amerykanie zwijali interes. Samuel powiedział, że gdyby wrócił, odesłaliby go do Ameryki, mówił, że tylko to, że został po tej stronie gór, sprawia, że Amerykanie nie porzucili nas jeszcze. - Arna Apte przerywała kilkakrotnie, by otrzeć łzy z policzków. - Żartowaliśmy, że zbudujemy sobie domek z kamieni i belek w jakiejś nieznannej ludzom dolinie i w święta będziemy wydawać przyjęcia dla yeti. - Urwała i gwałtownym ruchem szarpnęła zielsko wyrastające z jednej z kęp wrzosów obok niej. - Żołnierze przyszli, kiedy kończyliśmy śniadanie. Zabili pięciu naszych, zanim się zorientowaliśmy, co się dzieje. Niektórzy uciekli w górę, na pole lodowe. Zabiliśmy większość tych z pierwszej fali, ale wciąż nadchodzili następni, pełna kompania albo więcej. Krzyknęłam do Samuela, żeby uciekł na lodowiec i ukrył się, a on chwycił mnie za rękę i pobiegliśmy ścieżką. Ale dostałam postrzał w nogę, a padając, uderzyłam się w głowę i straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, było już późne popołudnie, a wokół same trupy. Twarz miałam zalaną krwią. Musieli uznać, że ja też nie żyję. Samuel leżał obok mnie, po-

dziurawiony kulami. Odrzucił karabin, bo magazynek był pusty. W ręce miał pusty pistolet.

- Niewiarygodne - mruknął Yates głosem wciąż pełnym niedowierzania.

Ama Apte wolno rozpięła koszulę pod szyją i wyciągnęła swe gau.

- Przez wszystkie te lata - powiedziała - tylko Kypo widział, co jest w środku. - Ale teraz, osłaniając je dłońmi od wiatru, otworzyła je na oczach Shana i Yatesa. Było tam kilka zrolowanych karteluszek, tradycyjnych modlitw. Na nich jednak leżały dwa pożółkłe zdjęcia. Pierwsze przedstawiało młodego Dalajlamę. Drugie, poszarpane od częstego dotykania, przedstawiało uśmiechniętego Samuela Yatesa obejmującego młodą, piękną Amę Apte, z wyniosłym szczytem Everestu za plecami.

Rozdział 16

Unosząc wzrok w stronę Czomolungmy, Shan dostrzegł wielki blok śniegu i lodu, zsuwający się ze stoku góry. Pod ich stopami ścierały się płyty tektoniczne. To było miejsce, gdzie świat drżał w posadach.

- Nigdy nie sądziliśmy, że to się tak skończy - powiedziała Arna Apte, patrząc na Yatesa mokrymi od łez oczyma. - To przeze mnie zginął.

- Myślę - wtrącił Kypo - że to było przeze mnie. - Domyślił się, że to ciąża spowolniła ją, uniemożliwiła jej ucieczkę z Samuelem Yatesem.

Jego matka ścisnęła go za rękę.

- Nigdy! Byłeś jedyną dobrą rzeczą, jaka z tego wynikła.

- Wujek - odezwał się Yates, również ocierając oczy - powiedział mi, że w ostatnich listach mego ojca dało się wyczuć dziwną radość. - Odwrócił się i objął Kypo. Tybetańczyk, zażenowany z początku, nieśmiało odwzajemnił uścisk. Yates spojrział znów na Amę Apte. - Ale gdzie on jest?

- Dwóch ludzi wróciło z kryjówki na polu lodowym - wyjaśniła Tybetanka. - Powiedziałam im, że w kraju Samuela postępuje się ze zwłokami inaczej niż u nas. Pomogli mi wygrzebać dół, przynieśli żwir i trochę ziemi z podstawy lodowca. Posadziłam wrzosa, chociaż zawsze z trudem tu rosną.

Yates jak gdyby dopiero teraz dostrzegł obłożony kamieniami kopiec u swych stóp. Opadł na kolana i wyciąg-

nął dłoń ku jednemu z wyrastających z niego rachitycznych kwiatków.

- On jest tutaj? - zapytał zdławionym głosem. Przeciągnął rękoma po grobie. - On jest tutaj. Znałaś go - szepnął do kobiety. - Znałaś go lepiej niż ktokolwiek inny. Ale próbowałaś przepędzić mnie z Tybetu - dodał zakłopotany.

- Megan nie powiedziała mi wszystkiego, tylko to, że szukasz śladów dawnego ruchu oporu - odparła wróżbitka. - Myślałam, że jesteś jednym z tych reporterów, którzy zjawiają się od czasu do czasu, by wywlekać sprawy z przeszłości, pisać coś, co jedynie rozbudza na nowo ból. Chciałam, żebyś stąd zniknął. Ale potem, w obozie, po raz pierwszy zobaczyłam z bliska twoją twarz i zdawało mi się, że patrzę na twego ojca. Wtedy stało się jeszcze ważniejsze, żebyś opuścił te strony, bo jeśli choć trochę wdałeś się w ojca, nie zaprzestałbyś, dopóki nie dotarłbyś do uczestników tamtych wydarzeń, i dopiero poniewczasie przekonałbyś się, jak są niebezpieczni.

- To ty położyłaś jego krzyżyk na tamym ołtarzu - domyślił się Yates.

Arna Apte skinęła głową.

- Oboje chodziliśmy tam czasem co siódmy dzień, w jego niedzielę. Ja modliłam się po swojemu, a on po swojemu.

Amerykanin położył dłonie na kopcu.

- Nie spodziewałem się czegoś takiego.

- A czego się spodziewałaś, Na-than? - zapytała nieśmiało Ama Apte. Wymówiła jego imię niepewnie, z przerwą między sylabami, jakby sprawdzała, czy pasuje.

Yates wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Chciałem się pożegnać, móc powiedzieć, że go zrozumiałem. Czułem go zawsze za swoimi plecami, unoszącego się jak duch, jakbyśmy mieli jakieś niedokończone sprawy.

- I zaprowadził pana do swych niedokończonych spraw - wtrącił Shan, wskazując dwoje Tybetańczyków.

Yates odpowiedział słabym, smutnym uśmiechem.

- Przez wszystkie te lata, gdybym tylko wiedział, mogłem...

Wystrzały rozległy się jako dwa szybko następujące po sobie trzaski, odbijające się echem od skalnej ściany. Kypó chwycił matkę, próbując pchnąć ją na kopiec, ona jednak wywinęła się z jego uścisku, zerwała się na nogi i pobiegła w stronę skał. Shan pędził trzy kroki za nią.

Rozdarte kurtki trzech mnichów odsłaniały podkasane bordowe szaty. Posterunkowy Jin ze zwycięskim uśmiechem przechadzał się przed mnichami, którzy stali w rzędzie między dwoma kierowcami ciężarówki, którzy zaatakowali Shana i Yatesa. Ama Apte, zbliżywszy się, zwolniła kroku, po czym zatrzymała się i bez słowa usłuchała, kiedy Jin wymierzył do niej z pistoletu i gestem skierował ją w stronę skalnej ściany za mnichami.

Posterunkowy powitał Shana entuzjastycznym skinieniem głowy.

- Towarzyszu Shan! Wyobraźcie sobie tylko! Kilka godzin poszukiwań w górach i trafiam na żyłą złota!

Większy z Mandżurów, z siwymi pasmami włosów wystającymi mu spod wełnianej czapki, spojrzał wściekle na Shana, podczas gdy jego młodszy towarzysz wyglodniałym wzrokiem wpatrywał się w pistolet w dłoni Jina.

- Ci ludzie są poszukiwani jako świadkowie zamachu na minister Wu - odezwał się Shan. - Bez wątpienia dostaniecie pochwałę za doprowadzenie ich przed oblicze majora Cao.

Jin zareagował, jak gdyby Shan powiedział świetny żart.

- Mam z moimi nowymi przyjaciółmi bardziej komercyjne podejście. Słyszałem, że żyjemy dziś w gospodarce wolnorynkowej.

- Twoi nowi przyjaciele - odpalił Shan - zabili dyrektora Xie z Urzędu do spraw Wyznań.

- Oficjalny pogląd - zaripostował Jin - głosi, że tej zbrodni winni są ci mnisi.

Shan podszedł do posterunkowego.

- To niezwykle, Jin, że kiedy w sprawie takiej jak ta prawda zaczyna wychodzić na jaw, wąski strumyczek nagle staje się wezbraną rzeką. W mgnieniu oka wszystko ulega zmianie.

- Co chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że Urząd Bezpieczeństwa dysponuje wszystkimi niezbędnymi dowodami - skłamał Shan. - Wkrótce dotrze do prawdy o tych dwóch kierowcach. Kiedy zostaną aresztowani, będą śpiewać jak z nut, a ty staniesz się po prostu jeszcze jednym spiskowcem. Co gorsza, funkcjonariuszem organów bezpieczeństwa, który popadł w korupcję. - Shan ułożył dłoń na kształt pistoletu, przystawił go sobie do głowy i nacisnął spust.

- Zastrzel go! - warknął starszy Mandżur. - Zastrzel go i zrzuć razem z tamtą.

- Z tamtą? - powtórzył Shan. - Więc jednak pomagałeś usunąć zwłoki Amerykanki.

- Megan Ross jest na jakiejś wyprawie - odparł niepewnym tonem Jin.

- Została zamordowana razem z minister. Jest w żlebie za tobą.

Jin cofnął się o krok, mierząc z pistoletu to do Shana, to do mnichów. Dopiero teraz zaczął wyglądać na zaniepokojonego.

- Daj mi pistolet, ty głupcze! - warknął starszy kierowca. W tej samej chwili jego towarzysz wyszarpnął z kieszeni

coś błyszczącego i wykonał szybki ruch ręką. Parę centymetrów od twarzy Shana pojawiło się długie, wąskie ostrze. Nóż sprężynowy.

- Wszystko, czego nam trzeba, to gau - burknął Mandżur z nożem.

- Nie - odparł Jin. - Oni nie oddadzą ich dobrowolnie. Najstarszy z mnichów skinął głową.

- Mamy błogosławieństwa. Mandżurowie zarechotali.

- Nie zdołacie nas zmusić - ciągnął mnich.

- Zmusimy was kulką w łeb - warknął starszy mężczyzna.

- Nie - odparł spokojnie mnich. - Myślę, że nie zrozumiałeś.

Najmłodszy z mnichów sięgnął pod ubranie i wyciągnął dużą, ozdobioną kwiatami lotosu kasetkę, którą Shan widział w bazie pod Everestem, otwierając ją pod kurtką, by osłonić od wiatru. Wyjął z niej przewiązany czerwoną jedwabną tasiemką rulonik papieru, który rozwinął i pokazał wszystkim. Widniał na nim rysunek skorpiona, z zapisanymi tybetańskim alfabetem świętymi słowami biegnącymi wzdłuż kończyn.

- Co to jest, u diabła? - zapytał drwiąco jeden z kierowców.

- Zakłęcie ochronne - rozległ się głos Amy Apte. Znowu podeszła do Jina, stając niespełna metr za jego plecami.

- Nocą przed przyjściem tych policjantów - wyjaśnił poważnym tonem młody mnich - nasz opat poszedł do swojej izby i zrobił to, wypowiadając nad tym potężne słowa. Zdażył wykonać tylko trzy. Gdyby zrobił więcej, pozostali byłiby teraz bezpieczni.

- Co ty, do diabła, bredzisz? - zapytał starszy kierowca.

- Zakłęcie - wyjaśnił złowróbnym tonem Shan - chroni przed skrzywdzeniem przez demony. - Przypomniał sobie swe pierwsze spotkanie z mnichami w namiocie magazynowym, ich przerażenie, sposób, w jaki ściskali swe gau.

Jin z pobrużdżonym czołem wpatrywał się w czar.

- Pierdolisz! - warknął młody Mandżur i rzucił się, by wyrwać policjantowi broń.

Jin się uchylił. W tym samym momencie Arna Apte przy-

skoczyła do kierowcy, spychając jego ramię w dół. Zaatakowany obrócił się gwałtownie, uderzając ją pięścią w bark. Tybetanka upadła. Złapała go za nogi, po czym, dziwnie osłabiona, puściła go. Na chwilę wszyscy zamarli, dopóki nie obróciła się, trzymając się ręką za bark, i zobaczyli wbity w jej ciało nóż.

Kypo, stojący najbliżej mężczyzny, który zadał jej cios, przykucnął, szykując się do skoku, jednak ubiegł go Yates; rzucił się na Mandżura, okładając go pięściami, wbijając mu kolano w brzuch, aż ten zgiął się wpół, po czym uderzył go w głowę złączonymi rękoma, dopóki mężczyzna nie zwałił się na ziemię. Shan przygotowywał się właśnie do odparcia ataku jego towarzysza, gdy nagle Jin wziął starszego Mandżura na muszkę.

- Jestem tutejszym posterunkowym, do cholery! - wrzasnął niepewnym tonem. - Dostyc tego! - Machnął znów pistoletem w stronę Shana i Yatesa. - Ale tych mnichów zabieramy ze sobą.

- Nie - odparł Shan. - Twoi nowi przyjaciele właśnie wyjeżdżają. Zostały im niecałe dwadzieścia cztery godziny.

- Dwadzieścia cztery godziny? - zdziwił się Jin, podczas gdy starszy kierowca pomagał swemu rozpaczliwie łapiącemu powietrze towarzyszowi podnieść się na nogi.

- Jedź z nimi i spróbuj odebrać nagrodę, a zostaniesz aresztowany. Urząd Bezpieczeństwa wie o żółtym wiadrze, które stanowi dla nich sygnał, i ma numer rejestracyjny ich ciężarówki. Organy ścigania nie działają tak sprawnie, jak się ludziom wydaje. Ustalenie właściciela i kierowców komercyjnego pojazdu zajmuje około dwudziestu czterech godzin. Major Cao wysłał informację zapewne z samego rana. Jutro o tej porze każdy posterunek graniczny, każdy policjant w Tybecie będzie wypatrywał tej ciężarówki. - Zwrócił się teraz do Mandżurów. - Wasza jedyna szansa to opuszczenie Tybetu wcześniej. To będzie ostra jazda, ale może wam się udać. Opuśćcie

Tybet i nie zatrzymujcie się. W Mongolii zawsze jest zapotrzebowanie na ciężarówkę.

- Najpierw weźmiemy to, po co przyszliśmy! - warknął starszy mężczyzna.

- Kiedy was złapią - ciągnął spokojnym głosem Shan -rozdziela was. Jeden z was ma gwarantowaną kulkę w łeb.

- Jeden? - zapytał młodszy kierowca.

- Zajmą się wami obydwoma, osobno, drutami, nożami, narzędziami mechanicznymi, później chemikaliami. Ten, który zacznie mówić pierwszy, zeznając przeciwko drugiemu, dostanie piętnaście albo dwadzieścia lat ciężkich robót. Drugi zostanie stracony przed upływem dwóch tygodni. Jeden z was zacznie mówić, rzecz tylko w tym który. - Shan utkwiał w mężczyźnie znaczące spojrzenie. - Jesteś jeszcze młody, po piętnastu latach możesz zacząć nowe życie.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie. Shan zerknął na słońce.

- Oczywiście zanim wrócicie do swej ciężarówce, zostanie wam może ze dwadzieścia godzin.

- Pieprz się - warknął starszy mężczyzna.

Shan nie powiedział nic, wskazał tylko ręką jego towarzysza, który puścił się biegiem w stronę wiodącego w dół stoku skalnego korytarza.

Gdy przyglądał się, jak drugi mężczyzna znika między skałami, usłyszał obok siebie jęk przerażenia. Jin także śledził wzrokiem uciekających Mandżurów, nie zwracając uwagi na leżącą na ziemi tuż przy nim Amę Apte. Tybetanka, z długą plamą krwi na rękawie, z wysiłkiem podniosła się na nogi. Niespodziewanie znalazła się za plecami Jina i przyłożyła mu nóż do gardła. Odebrała przerażonemu posterunkowemu pistolet i rzuciła go Kypo. Jej syn pospiesznie wyjął magazynek, podszedł na skraj żlebu i rzucił go w głąb, po czym cisnął pistolet między skały u wylotu tunelu. Twarz Jina wykrzywił

grymas zażenowania, gdy Ama Apte puściła go. Spojrzał na mnichów, potem na Shana, jak gdyby szukając pomocy.

- Ta wróżbitka jest szalona! - wydyszał.

- Zanim została wróżbitką - zauważył Shan - była bojowniczką Dalajlamy.

Ama Apte uśmiechnęła się i rozluźniła chwyt, pozwalając Jinowi czmychnąć.

- Szykujemy posiłek - oświadczył Shan przygnębionemu posterunkowemu, gestem zapraszając swych towarzyszy do tłącego się ogniska z koziego łajna i desek ze starej skrzynki.

Jin zaklął rozdrażniony i ruszył w przeciwną stronę.

- Nie mogę uwierzyć, że pozwolił pan tym Mandżurom uciec w taki sposób - powiedział z wyrzutem Yates, gdy pozostali podeszli do ogniska.

- Powiedziałem im, że dotarcie do papierów ich ciężarówki zajmie dwadzieścia cztery godziny. W rzeczywistości potrzeba będzie najwyżej dwunastu. Zostaną schwytani parę godzin jazdy na północ od Lhasy, nie więcej.

Jedli w pełnym napięcia milczeniu. Kypo opatrywał ranę swej matki, która zaczęła obficie krwawić.

- Trzeba sprowadzić ją na niższą wysokość, do wioski - stwierdził Yates.

Shan przytaknął skinieniem głowy, po czym bez słowa zaczął oglądać podeszwy butów mnichów.

- Co pan robi? - zapytał Amerykanin.

- Ją trzeba sprowadzić na dół - odparł Shan. - Ale ich nie.

Yates, krzywiąc się, spojrział na nierówny, skutym lodem teren ponad nimi, po czym zerknął na sprzęt wspinaczkowy, który zostawili przy żlebie.

- Tam można umrzeć na sto sposobów.

- Szlak na pańskiej mapie prowadzi aż na drugą stronę - pizypomniał mu Shan, spoglądając wyczekująco na Kypo.

Tybetańczyk skinął głową.

- To jest trasa Szerpów, którzy przekraczają granicę bez dokumentów. Tenzin przeszedł nią miesiąc temu. Po nepalskiej stronie jest urwisko, ale schodzi po nim niewidoczna kozia ścieżka.

- Są patrole graniczne - protestował Yates. - Helikoptery, które zrzucają snajperów.

- Jest też mgła, silne wiatry i zamiecie śnieżne. My znosimy pogodę lepiej niż oni.

- Ci mnisi nie mają pojęcia o wspinaczce - stwierdził Yates, przechodząc na angielski.

- Najwyraźniej jednak - odparł Shan - mają niezłe pojęcie o sztuce przetrwania. Muszą wyruszyć natychmiast. Następni przyjdą ich szukać.

Ama Apte, siedząca na skale, odezwała się, wyraźnie zmagając się z bólem w rannym barku.

- Matka gór czuwa. Ona was ochroni.

Yates przez długą chwilę wpatrywał się bez słowa w Tybetankę, wreszcie podszedł i objął ją. Odwrócił się w stronę Shana.

- Matka gór nas ochroni - powtórzył, po czym wyciągnął mapę. - Ale nie wiem, jak to daleko. A ta przełęcz ma wysokość prawie sześciu tysięcy metrów. Nie mamy tlenu.

- Przeszedłem tamtędy - oświadczył najmłodszy mnich -wiele lat temu. Urodziłem się w Nepalu. Stąd to może cztery godziny drogi, nie więcej.

Shan, pełen złych przeczuć, przyglądał się wyniosłemu lodowcowi. Było to pole śmierci, ze szczelinami ukrytymi pod kruchą, nawianą przez wiatr skorupą, poszarpanymi lodowymi iglicami, połąciami zdradliwego, luźnego rumoszu. Najpierw odpocznijmy, miał już powiedzieć, kiedy jego wzrok padł na Jina, stojącego na jednej z płaskich skał na skraju małego płaskowyżu. Posterunkowy wyciągnął swe znienawidzone radio i nadawał przez nie. Wydanie mnichów w ręce Urzę-

du Bezpieczeństwa nie przyniosłoby mu wprawdzie nagrody, ale okryłoby go chwałą wystarczającą, by zapewnić mu awans i przeniesienie, którego tak rozpaczliwie pragnął.

- Ruszajcie! - krzyknął Shan do mnichów, pociągając najmłodszego na nogi i wskazując odległą przełęcz. - On wzywa żołnierzy!

Do czasu, nim Yates i Shan popędzili Kypo i Amę Apte do tunelu i zebrali swój sprzęt, mnisi zdążyli już przebyć krętą żwirową ścieżkę prowadzącą ku lodom i weszli na sam lodowiec. Shan zerknął niespokojnie na Kypo i jego matkę, po czym rzucił się pędem, by dogonić mnichów, obawiając się, że któryś z nich upadnie i złamie kość, co zniweczy wszelkie szanse ucieczki. Dopędził ich i zaczął tłumaczyć, w jaki sposób powinni powiązać się linami, gdy rozrzedzone, mroźne powietrze rozdarł huk wystrzału.

Odwróciwszy się, zobaczyli u wylotu ścieżki Jina krzyczącego coś, czego nie byli w stanie dosłyszeć. Nie było jednak wątpliwości co do znaczenia gestu jego wzniesionej pięści ani przedmiotu, który trzymał w drugiej ręce. Odszukał swój pistolet i wygrzebał z plecaka zapas amunicji. Gdy tak patrzyli, ruszył z karkołomną szybkością w pościg za ich małą gromadką.

Posuwali się w morderczym tempie, biegnąc, ilekroć mogli oprzeć stopy nieco pewniej na zwałach żwiru, przez które prowadził czasem ich szlak, zwalniając, gdy trzeba było okrążyć pojawiające się zniecka szczeliny, przystając, by rzucić okiem na mapę Yatesa i kompas, kiedy młody mnich, ich jedyny przewodnik, wahał się w wyborze trasy.

Wspinali się wciąż w górę, noga za nogą, mrużąc oczy w oślepiającym świetle, zmagając się z podmuchami wiatru tak gwałtownymi, że raz po raz spychały ich w tył. Wiosenne

ciepło miejscami niebezpiecznie podtopiło lód, gdzie indziej odsłoniło pasy nagiego żwiru. Przez pierwszą godzinę mnisi cicho nucili ledwo słyszalną mantrę. W końcu jednak brak tlenu dał im się we znaki i oszczędzali oddech.

Krótkie i nagłe zamiecie śnieżne siekły ich nieosłonięte twarze kryształkami lodu i śniegu. Shan i Yates spojrzeli po sobie z udręką w oczach, gdy dwóch starszych mnichów zaczęło słyszalnie rzezić, wiedząc, że w każdej chwili któryś z nich może chwycić się za głowę z jękami bólu, które sygnalizowały obrzęk mózgu. Często przystawali, wypatrując Jina i spoglądając na mapę Yatesa, odkąd młody mnich przerażonym głosem oświadczył, że nie ma już pojęcia, gdzie są.

Trzy godziny później zatrzymali się wyczerpani, z trudem łapiąc w płuca rozrzedzone powietrze. Przekazywali sobie wzajem butelkę wody Yatesa, jedyną, jaka im została, i nabierali garściami rodzynki z torebki, którą Amerykanin wcisnął do swego plecaka w składzie Tsipona. Serce Shana waliło jak młotem, gdy ruszyli dalej, nie tylko z powodu wysokości, ale także świadomości, że dotarli do granic swoich możliwości, że zmuszają swe organizmy do wysiłku ponad wytrzymałość, a takie postępowanie kosztowało życie wielu alpinistów. Mieli ze sobą tylko dwie pary rękawic, którymi się wymieniali, i palce zaczęły sztywnieć mu z zimna. A najtrudniejsza, najwyższa część drogi była wciąż przed nimi.

Nie odzywali się, wchodząc wciąż wyżej. Niekiedy osuwali się w dół, dopóki nie wyciągnęła się na pomoc czyjaś ręka; nie mogli utrzymać równego tempa więcej niż kilka kroków, a czasem czołgali się wzdłuż skraju szczelin lodowych, nie wiedząc, czy krawędź nie załamie się pod ich ciężarem.

Gdy wiatr przycichł i chmury się rozstały, ich oczy przykuł widok wierzchołka matki gór, Czomolungmy, tak bliskiej, że zdawało się, iż mogliby dotknąć jej wyciągniętą ręką. Tak przyzwyczaili się do jęków i trzasków lodowca, że tylko Shan

obejrzał się w stronę szczególnie donośnego odgłosu za ich plecami.

Co niewiarygodne, posterunkowy Jin znajdował się niespełna kilometr od nich, znów wymachując rękami, nie do nich, lecz w stronę matki gór, jak gdyby miał jej coś do powiedzenia. Potem Shan usłyszał niski, metaliczny łomot, który budził grozę w wielu Tybetańczykach.

- Padnij! - krzyknął odruchowo, nim uświadomił sobie, że helikopter, wznoszący się znad północnej przełęczy pod Everestem, był zbyt daleko, by ich dostrzec. Odwrócił się, by pożyczyć od Amerykanina lornetkę, ale Yates skierował ją już na Jina.

- Zgubił plecak - oznajmił. - Nie ma radiotelefonu.

- Musimy ruszać! - ponaglił mnichów Shan. - I to szybciej niż dotąd!

Kiedy załoga helikoptera zrezygnuje z rozległych poszukiwań, najprawdopodobniej polecą nad przełęcz i zaczną posuwać się wzdłuż lodowca. Jaskrawe kurtki mnichów będą niczym latarnie morskie na białej powierzchni.

Biegli, potykając się, ślizgając, padając i znów gramoląc na nogi. Jin ścigał ich niezmordowanie, skacząc lekkomyślnie po sterczących odłamkach lodu i ześlizgując się po niskich stokach. Ilekroć widział, że przystają, zwiększał tempo. Shan przestał się oglądać za siebie, przestał nasłuchiwać helikoptera, siłą woli zmuszając siebie i innych do marszu. Coraz bardziej zniechęcony próbował odgadnąć, czy następne obniżenie na polu lodowym oznacza koniec przełęczy, czy po prostu kolejną nierówność lodowca.

Nagle było po wszystkim. Najstarszy z mnichów potknął się, pośliznął na lodzie i skręcił sobie kostkę. Krzyknął z bólu. Shan i Yates pochylili się nad nim, oglądając nogę, po czym Yates oddał Shanowi swój plecak, by móc wziąć mnicha na plecy.

- Jesteście aresztowani w imieniu Chińskiej Republiki Lu-

dowej - rozległ się zdyszany głos za ich plecami. Jin stał trzy metry od nich, mierząc do nich z pistoletu.

Yates posadził mnicha na głazie, na płacie odsłoniętego żwiru.

Resztki ostatnich nadziei Shana uleciały z przenikliwym wiatrem. To był już koniec. Mając mnichów w areszcie, Cao wymusi zeznania potrzebne mu do tego, by skazać Tana na śmierć. Shan zadrzał, ujrawszy oczyma wyobraźni siebie samego, jak ściska rękoma druciane ogrodzenie fabryki yeti i woła po imieniu swego syna, podczas gdy Ko patrzy tępym wzrokiem w okno.

- Pić - wydyszał Jin do Yatesa. - Dajcie mi wody. - Dygotał z zimna. Jego gruby płaszcz od munduru był rozdarty w kilku miejscach.

Zamiast tego Amerykanin wyciągnął ogryzek ołówka i skrawek papieru. Oparł nogę na innym głazie i zaczął pisać, po czym podał kartkę Jinowi.

- Tego potrzeba ci bardziej - oświadczył. - Daj mi swój pistolet i możesz to wziąć.

- Nie sądzisz, że ich zastrzelę? - zapytał Jin. Był półprzytomny ze zmęczenia.

- Przecież chronią ich czary - zauważył swobodnym tonem Yates. Shan spojrzał na niego badawczo, zaczynając podejrzewać, że Amerykanin także doznaje skutków przebywania na dużej wysokości.

Jin skierował pistolet w stronę mnichów i strzelił na oślep. Od skały, na której siedział ranny mnich, odprysnął odłamek.

- Widzisz? - powiedział Amerykanin, wzruszając ramionami. Uniósł rękę z kartką. - Ja daję ci innego rodzaju czar, i dorzucę do tego swoją kurtkę. W zamian za pistolet i twój płaszcz.

- Mój płaszcz? - Jin potarł czoło, wpatrując się w Amerykanina zdziwiony.

- Znam ich. Z moim listem pomogą ci. Ale idąc tam w chińskim mundurze, narażasz się na chłodne przyjęcie. A zanim dotrzesz na dół, postaraj się, żeby ci mnisi stali się twoimi najlepszymi przyjaciółmi.

Jin odwrócił się, podążając wzrokiem za spojrzeniem Amerykanina. Spoglądał oszołomiony to na Yatesa, to na dolinę w dole, gdzie kilometr od nich widać było skupisko barwnych namiotów, od których rozchodziły się sznury flag modlitewnych. Na jego twarzy pojawił się błysk radości i Jin zaczął ściągać płaszcz. Znajdowali się nad nepalską bazą alpinistyczną. Przekroczyli chińską granicę.

Wskazówki Amerykanina dla mnichów zagłuszyły wkrótce głośne okrzyki najmłodszego mnicha, który pospiesznie wyjaśniał, gdzie są, tłumaczył, że zna wielu Szerpów, że jest klasztor oddalony zaledwie o dzień marszu od miejsca, gdzie stoją. Chwilę później Jin zamienił się okryciami z Yatesem i podał mu pistolet, który Amerykanin odrzucił.

Jin pomógł kontuzjowanemu mnichowi wstać, po czym podszedł do Shana.

- Tamtego dnia na ścieżce widziałem Mandzurów dwukrotnie. Gdy ich minąłem, wrócili na górę, kazali mi jechać, odszukać muła ze zwłokami i przyprowadzić go, zagrozili, że jeśli nie zapomnę tego, co widziałem, znajdą mnie i zabiją. -Zerknął na mnichów i zniżył głos. - To właśnie oni zabili wtedy mnicha. Wyszedł z za skał i próbował przeszkodzić im w zabraniu zwłok z muła. W tym czasie schodziłem już na dół, nie byłem w stanie nic zrobić. – Posterunkowy przeproszając wzruszył ramionami, po czym odszedł ku swemu nowemu życiu.

- Powinniśmy iść z nimi - powiedział zatroskanym głosem Yates, gdy przyglądali się, jak pozostali schodzą w stronę ukrytej wąskiej koziej ścieżki, która miała doprowadzić ich do nepalskiej bazy. Ranny mnich szedł wsparty na ramieniu

Tina. - Jeśli zawrócimy teraz, znajdziemy się na lodowcu po zmroku. - Przez chwilę wpatrywał się w twarz Shana. - Niech pan schodzi, Shan - nalegał. - To będzie oznaczało dla pana wolność, szansę na nowy początek.

Shan bez słowa zaciągnął sznurowadła butów i zaczął biec truchtem zdradziecką ścieżką w górę.

Godzinę po wschodzie słońca następnego dnia spotkali się z Jomo, czekającym w jednej z ciężarówek Tsipona. Na ich twarzach malowała się ponura determinacja. Spędzili nerwową noc na siennikach w pieczarze pustelnika, do której dotarli po zachodzie słońca. Żaden z nich nie wypowiedział na głos tego, czego byli coraz bardziej pewni, że nim wrócą do miasta, Tan będzie już osądzony, a Kypo i Ama Apte zostaną schwytani przez pałkarzy jako współsprawcy i wywiezieni do obozu pracy.

Gdy zjechali na szosę, Yates utkwiał wzrok w wyniosłym masywie. Do pieczary dowlekli się śmiertelnie zmęczeni, ledwo trzymając się na nogach, ale Dakpo przyrządził im prażony jęczmień i herbatę, budząc ich, kiedy padli na posłania, żeby mogli zjeść. Potem wręczył Yatesowi mały, przewiązany sznurkiem woreczek.

- Kiedy usłyszałem, że ktoś kradnie Jamów, a potem zwraca ich rozpruty - powiedział niepewnym tonem - wiedziałem, że to ma coś wspólnego z Samuelem. Jako chłopiec uczyłem się zawodu u rzemieślnika z gompy i znałem się na tych posążkach. - Stary Tybetańczyk wydawał się dziwnie nerwowy. Dolał sobie herbaty, nim zaczął mówić dalej. - Spędziliśmy z Samuelem wiele godzin, siedząc na skalnych półkach nad szosą i licząc wojskowe ciężarówki. Mówił mi, że ma problem z wysyłaniem listów do kraju. To wtedy właśnie wpadliśmy na ten pomysł. Wysłaliśmy jeden posążek i mieliśmy dość listów,

by wypełnić następny, kiedy... kiedy świat się skończył. Trzymałem je przez rok, po czym zamknąłem je w starym posążku Jamy i przez te wszystkie lata miałem go przy sobie. Potem, po zamachu, wyniosłem go do świątyni Jamy na wypadek, gdyby żołnierze przeszukujący góry znaleźli mnie tutaj. Wczoraj wróciłem po niego i rozprułem spód.

- Przepraszam, Dakpo - wtrącił Yates - za to, co robiłem Jamom.

Pustelnik uśmiechnął się.

- Modliłem się z nimi. Ozdrowieją.

Yates, wzruszony, odwrócił woreczek do góry nogami. Ze środka wysypały się listy sprzed czterdziestu lat, trzydzieści lub więcej zrolowanych i złożonych stronic.

Shan przyglądał się w milczeniu, jak Amerykanin, z szeroko otwartymi oczyma, rozwija listy i zaczyna je czytać. Wkrótce jednak, ulegając zmęczeniu, opadł na posłanie i przyjął zaproponowany mu przez pustelnika gruby filcowy koc. Raz po raz budził się z niespokojnego snu. Milkliwy pustelnik był tej nocy niezwykle rozmowny i leżąc w przytulnym ciepłe posłania, Shan przysłuchiwał się opowieściom o energicznym Amerykaninie, który uczył Tybetańczyków tańczyć i śpiewać, o Samuelu Yatesie kierującym tajnymi misjami dla ratowania zabytków z kilku gomp w przededniu ich zniszczenia przez Brygadę Młodzieżową, o tygodniu chwilowego spokoju podczas walk, kiedy to Samuel i Ama Apte z kilkoma innymi wybrali się na poszukiwanie yeti, o głębokim uczuciu łączącym Samuela i Amę Apte, które na swój sposób dodawało sił ich szczupłemu oddziałowi, kiedy żyli na głodowych racjach.

Gdy żar dogasał już, a ich twarze oświetlała jedynie nikła lampka maślana, pustelnik nachylił się ku Yatesowi, przybierając ton mądrego starego wujka.

- Siedzieliśmy kiedyś przez całą noc, strzegąc przełęczy, którą ciągnął długi szereg mnichów. Uciekali ze skarbami ze

swych świątyń na południe, ku wolności. Nigdy tego nie zapomnę. Księżyc był w pełni, ziemia pokryta śniegiem, mnisi tulący w ramionach jak niemowlęta bogów z brązu, jaki dźwigające większe posagi... długi sznur czerwonych szat i jaków ciągnący się przez połacie śniegu. Gdy ostatni z nich zniknął, matka gór zaczęła się jarzyć blaskiem odległego świtu, mimo że w górze świeciły jeszcze gwiazdy. Samuel wypowiedział ku niej parę słów, jak gdyby składał jej ślubowanie. Powiedział, że kiedy to się skończy, kiedy na świecie wszystko znów będzie jak należy, sprowadzi tu swego syna, bo chce, żeby jego dusza wypełniła się potęgą tego miejsca.

Rozdział 17

W Shogo panował ponury nastrój. Mieszkańcy chodzili po świeżo zamiecionych ulicach z poważnymi, nerwowymi minami, patrząc wprost przed siebie. Przy budynku władz miejskich stały trzy lśniące czarne limuzyny, nieomylny ślad obecności dygnitarzy, którzy przybyli na proces.

Shan wśliznął się do reprezentacyjnej sali w centrum budynku wraz z pracownikami, którzy wnosili do środka stoły i krzesła. Na podwyższeniu na końcu pomieszczenia stał spowity czernią stół, a za nim trzy wielkie drewniane krzesła, z dodatkowym krzesłem dla świadków po jednej stronie i stojakiem, na którym zawieszono mapę regionu, po drugiej. Na ścianie za stołem sędziowskim powieszono wielki przenośny portret Mao na grubym płótnie. Kilku pracowników poprawiało ciężarki u dołu, by go rozprostować, podczas gdy inni odkurzali go szczotkami. Przed stołem ustawiono w dwóch rzędach niespełna trzy tuziny krzeseł. Proces, zgodnie z przewidywaniami Shana, miał być kameralną imprezą.

Otworzyły się boczne drzwi, wpuszczając grupkę dobrze ubranych dygnitarzy prowadzonych przez kroczącego dumnie majora Cao, który gestykulował i wskazywał to jedną rzecz, to drugą, odgrywając rolę przewodnika dla gości. Urwał w pół zdania, kiedy ujrzał Shana stojącego tam w obszarpanym, zabłoconym ubraniu, z twarzą pokrytą pyłem po ciężkiej podróży. Shan nie drgnął nawet, nie zmienił wyrazu twarzy,

mimo że z drugiego końca sali wyczuwał żar wściekłości majora.

Cao odwrócił się do swego asystenta i zamierzał niewątpliwie kazać wyrzucić Shana, kiedy od grupy dygnitarzy odłączyła się drobna, elegancka postać w prostym czarnym kostiumie. Towarzyszka Zheng zbliżyła się bez słowa powitania, ale poszła za Shanem, gdy ten odwrócił się i wyszedł na korytarz.

Trzy postacie weszły po cichu do szpitala, nie budząc jak zwykle śpiącej przy drzwiach rejestratorki. Shan skierował się wprost do łóżka w głębi sali, gdzie kierowca autobusu leżał wciąż, z plastrami zamiast warstw gazy, bawiąc się grą elektroniczną. Jomo znalazł miotłę i zaczął zamiatać podłogę przy łóżku pogrążonej we śnie niemłodej kobiety z maską tlenową na twarzy. Towarzyszka Zheng, zgodnie z wcześniejszymi instrukcjami Shana, podniosła leżącą przy wejściu tacę z bandażami i lekami i zaniósła ją na stół pod tylną ścianą, po czym zdjęła kartę chorobową z łóżka żołnierza.

Pacjent na widok Shana zaniepokoił się wyraźnie. Schował grę elektroniczną pod koc i wcisnął plecy w poduszkę, jak gdyby spodziewał się bicia.

- Pora stąd wyjść - zauważył Shan.

- Jutro albo pojutrze - przyznał gorliwie kapral. - W koszarach wiedzą już, że tu jestem. Dzwoniłem tam parę dni temu.

- Uznaliśmy, że przyda wam się trochę gimnastyki. Krótka przejażdżka, mały spacer, pogawędka.

- Pogawędka?

- O zwłokach, które widzieliście tamtego dnia.

- Towarzyszki minister?

- Tych drugich.

- To znaczy tej blondynki - uściślił żołnierz.

Zheng pochyliła się do przodu, zezując w jego stronę.

- Cudzoziemki - dodał Shan.

- Tej, która zniknęła. Ducha.

- My, kapralu - oświadczył Shan, podając mu ubranie z kołka przy jego łóżku - mocno wierzymy w duchy.

Kwadrans później Shan z towarzyszką Zheng stali przy garażu na tyłach składu Tsipona. Jomo tymczasem wprowadził do środka długą zieloną limuzynę, po czym zamknął bramę. Nie minęły nawet dwie minuty, nim z bocznych drzwi wypadła rozjuszona postać w garniturze i krawacie.

- Idiota! - ryknął Tsipon. - Ten samochód jest mi potrzebny! Proces zaraz się zacznie!

Jomo pomachał kluczykami w dłoni, po czym przeszedł na drugą stronę samochodu.

- To wy wysłaliście ludzi, żeby zabili mojego ojca.

- Nie bądź śmieszny. Wsiadaj do samochodu. Zawieziesz mnie.

- To byli dwaj kierowcy ciężarówki, nietutejsi. Płaciliście im za usługi, nielegalne usługi. - Jomo przystanął przy bagażniku limuzyny.

Tsipon spojrział na zegarek.

- Bredzisz, Jomo. Jestem twoim pracodawcą. Jestem szefem twojego ojca.

Gdy Jomo otworzył bagażnik, twarz Tsipona pociemniała. Z gniewnym warknięciem rzucił się w stronę mechanika, po czym zatrzymał się nagle, gdy Jomo cisnął w niego pękaty przedmiot. Wielkie, żółte wiadro.

Shan, wciąż pozostając w cieniu, przesunął się do przodu. Jomo miał tylko powiedzieć Tsiponowi, że wie o żółtym wiadrze.

- Zastanawiałem się, jak miały zostać wypłacone nagrody oferowane za mnichów. Kierowcy, których pytałem, mówili, że kierownikowi postoju ciężarówek należało pokazać

gau. Wczoraj w nocy pogawędziłem sobie z nim do późna w zamkniętym warsztacie. Po namowach zdradził mi, że obejrzawszy gau, miał zostawić wiadomość w żółtym wiadrze przy szosie. Nie musiałem pytać, do kogo należy wiadro. Najpierw mój ojciec, potem mnisi. Nastawanie na życie świątobliwych ludzi wyraźnie wchodzi w nałóg.

- Twój ojciec od lat sam się prosił o śmierć - odparł łamiącym się głosem Tsipon. - Jest niezrównoważony. Jedynym powodem, dla którego dotąd nie trafił do fabryki yeti, jest to, że ja go chronię.

Shan zrobił kolejny krok naprzód, gdy w oczach Jomo zapłonął ogień.

- Pamiętam, jak byłem mały. Wyciągnąłeś nas z rynsztoka. Przynosiłeś nam różne rzeczy. Jedzenie. Koce. A on zawsze miał pieniądze na prowadzenie szynku, nawet kiedy nie był w stanie płacić ci czynszu. Myślałem, że to życzliwość.

Tsipon najwyraźniej wziął się w garść. Poprawił sobie krawat.

- Miałem możliwość mu pomóc. Ty odmówiłbyś przysługi? Jako najwyższy rangą tybetański członek partii w tym okręgu byłem zobowiązany dopomóc w jego rehabilitacji.

- Pomoc nigdy nie pochodziła od spółdzielni ani od kolektywu, ani z okręgowego wydziału spraw socjalnych. Pochodziła od ciebie. I za każdym razem towarzyszyła jej butelka alkoholu.

- On bardzo cierpiał. Musiał wymazać tak wiele wspomnień z przeszłości.

Jomo zajrzał do bagażnika, wyciągnął ze środka łyżkę do opon i zatrzasnął klapę.

- Robota czeka, Jomo - przypomniał mu Tsipon. - Zawieź mnie na proces i wróć, żeby zrobić inwentaryzację.

- Ludzie nigdy nie wspominają o członkach ruchu oporu. Zupełnie jakby byli dawnymi demonami, których imion nie

wolno wymawiać. Pamiętam malowidła z tymi demonami. Mój ojciec trzymał kilka w kufrze. Wszędzie wokół dużych demonów były małe demonki. Ty byłeś jednym z takich małych demonków.

- Bzdura. Rebelianci byli przestępcami. Mało tego, zdrajcami.

- Pochodzisz z pasterskiej rodziny z wysokich gór, gdzie pastwiska zostały zamknięte przez straż graniczną. Nie wiesz jednak, że niektórzy z tych pasterzy przenieśli swe stada w doliny na zachód stąd, za starym miastem Tingri. Wybrałem się tam wczoraj, kiedy byłeś w swoim nowym hotelu. Pytałem o ciebie tamtejszą starszyznę. Znalazłem staruszkę, która знаła twoją rodzinę. Wszyscy są w Indiach, tak jak mówiłeś. Wszyscy uciekli, kiedy zgnieciono ostatnich powstańców. Ale ty zostałeś. Przybyłeś do miasta. Postawiono cię na czele spółdzielni rolniczej. Nastolatek szefem spółdzielni. Kto cię mianował?

- Oszalałeś. Nie mamy czasu...

Jednym potężnym zamachem łyżki Jomo rozbił tylne okno wozu.

- Kto cię mianował?

Shan zrobił kolejny niepewny krok w stronę kałuży światła przy samochodzie. Jomo odchodził daleko od uzgodnionego scenariusza.

- Nim dzień się skończy, mogę wpakować cię z powrotem do rynsztoka! - warknął Tsipon.

Jomo przesunął się ostrożnie naprzód, znów uniósł łyżkę i rozbił tylne okno od strony pasażera.

- Kto cię mianował?

Tsipon wycofał się w stronę drzwi, jakby zamierzał uciec, kiedy z ciemności wysunął się długi żelazny pręt - jeden z rupieci, jakie Jomo trzymał na wszelki wypadek - wbił mu się w brzuch.

- Pamiętam twoją rodzinę - rozległ się zachrypły głos. Z cienia wyszedł Gyalo, podpierając się prętem jak laską.

Tsipon pobałdł.

- Miałeś nie żyć! - wydyszał.

Shan zrobił jeszcze jeden krok naprzód, gotów rzucić się między Gyalo a Tsipona. Jomo wysadził Shana przy budynku władz miejskich, a potem miał się z nim spotkać przed szpitalem, najwyraźniej jednak wyczuł jego zamiary i zboczył po drodze do stajni. Shan nigdy w życiu nie przypuszczałby, że Gyalo ma dość sił, by dotrzeć do składu, ale słowa Jomo wyraźnie przywróciły mu życie.

- Dobrzy, prości ludzie - ciągnął były lama, ściskając oburącz pręt. - Pielęgowali rannych, dzielili się z nami mlekiem i mięsem, kiedy tylko mogli. Mieli chłopców, dwóch już dorosłych i nastolatka, o ile dobrze pamiętam, i wszyscy oni pomagali nam, nawet przy przenoszeniu zwłok poległych do kryjówki pod lodowcem, gdzie przygotowywałem je do następnego życia. - Stary Tybetańczyk wyprostował się. Zdawało się, że ubyło mu kilka lat.

- Byłeś po prostu żebrakiem z małym synkiem, kiedy cię znalazłem - odparł Tsipon. - Obaj umieraliście z zimna. Dałem ci życie.

Ochrypły śmiech Gyalo zakończył się suchym kaszlem.

- Byłem dla ciebie świetną inwestycją. Potrzebowałeś programu rozrywkowego, klauna, który przyciągałby klientów do twojej nowej knajpy.

Gdy Tsipon zrobił kolejny krok w stronę drzwi, żelazny pręt uderzył go w nogę, tak że mało nie upadł.

- Tylko jedna osoba dzierżyła polityczną władzę w tym okręgu, kiedy objąłeś kierownictwo spółdzielni - stwierdził starzec. - Robiłeś interesy nawet wtedy, nawet gdy twoja własna rodzina uciekała, by być z Dalajlamą. Wydałeś Wu bojowników ruchu oporu, a ona w zamian dała ci prestiżowe stanowisko.

- Mówiłem ci, że to Ama Apte. Kupiła ubezpieczenie swojej wioski za... - Kłamstwo zamarło Tsiponowi na ustach, gdy Shan w końcu wyszedł z cieni.

- Niewykluczone - odezwał się - że człowiek o twoich szczególnych talentach zdoła ująć całość, nawet gdy mieszkańcy okręgu dowiedzą się wreszcie, kto zdradził ich tamtego dnia. Zawsze możesz wymyślić kolejne kłamstwo, zaoferować więcej miejsc pracy, żeby ich ugłaskać.

- Otóż to - odparł Tsipon, jak gdyby Shan ofiarował się do roli rozjemcy. - Ty rozumiesz te sprawy, Shan, jesteś z Pekinu. Wy tłumacz im. Od początku wiadomo było, że Brygada Młodzieżowa zwycięży. Nie miałem niczego. Było już po wszystkim. Dlaczego nie miałbym próbować się ratować? Każdy musiał pozbierać, co się dało, i żyć dalej.

- Wszyscy inni pomagali swoim rodzinom i mnichom - zauważył Jomo. - Ty pomogłeś Brygadzie Młodzieżowej.

Tsipon spojrział niepewnie na mechanika, po czym odwrócił się do Shana, jakby szukał pomocy.

- Jak powiedział Gyalo, ty we wszystkim widziałeś interes - powiedział Shan. - I wtedy, i w dniu śmierci minister Wu.

Tsipon cofał się wolno w stronę drzwi.

- Ta sprawa jest już skończona. Złapali mordercę. Występuję jako świadek, wiesz o tym. Zatrzymanie świadka jest przestępstwem.

- Nie mogłem zrozumieć, skąd wiedziałeś, że Megan Ross zamierza zabrać się tym samochodem z minister, że chce ujawnić swe odkrycie, iż minister Wu i komendantka Wu z brygady „Młot i Błyskawica” to jedna i ta sama osoba, gdyby Wu nie zgodziła się zastopować swego planu rozwoju. Potem jednak uświadomiłem sobie, że Ross sama powiedziała ci o tym. Któregoś wieczora byłeś z Tenzinem i Ross w obozie bazowym i wtedy wyjawiała ci swój plan. Ufała ci, bo pomagałeś

jej przy potajemnych wyprawach. Tyle że nie miała pojęcia o twoich powiązaniach z brygadą „Młot i Błyskawica”, nie miała pojęcia, że zdemaskowanie Wu będzie najprawdopodobniej oznaczało zdemaskowanie także ciebie. A niezależnie od tego zorientowałeś się, że Ross zmierza do unicestwienia twoich planów biznesowych. Gdyby prawda wyszła na jaw, międzynarodowa społeczność nie chciałaby robić żadnych interesów z minister Wu. Byłaby skończona jako minister turystyki, musiałaby podać się do dymisji. Karta Himalajska zyskałaby natychmiastową wiarygodność. Nie tylko straciłbyś swoją pekińską protektorkę, ale musiałbyś też zapomnieć o rozbudowie hotelu, prawdopodobnie musiałbyś zamknąć firmę z powodu zmniejszonej liczby wypraw wspinaczkowych. Ross musiała rozmawiać z Wu w twoim hotelu, być może pokazała jej jedno z tych starych zdjęć, które próbowałeś usunąć z biblioteki, żeby przekonać ją, by zabrała ją ze sobą na górę. Ale minister nie od razu wsiadła do samochodu. Najpierw pobiegła do swego pokoju. Musiała wziąć pistolet, który pożyczyła poprzedniej nocy, by zakpić sobie ze swego dawnego kochanka, pułkownika Tana. Zamierzała zabić Ross. Ale ponieważ ty tam byłeś, kazała zrobić to tobie.

- Mnie? Dlaczego miałbym tam być?

- Dlatego, że miałeś do omówienia z Wu własne sprawy. Musiałeś porozmawiać z nią o jej tajnym udziale w twoim hotelu, o tym, że miała blokować wszelkie podania o zezwolenie na nowe hotele i przyznać ci wyłączną licencję na obsługę grup alpinistycznych.

- Pobyt na dużych wysokościach w końcu wysuszył ci mózg, Shan.

- Megan Ross nie rozumiała, że wszystko, co robiłeś, wiązało się z biznesem. Nie pomagałeś jej dlatego, że była piękną Amerykanką, robiłeś to, bo mogła pomóc ci w interesach. Przekazywała do Chin i z Chin pieniądze na potrzeby wypraw,

dla których pracowała. Prosiłeś ją, żeby część z nich zostawiła poza Chinami, w Hongkongu, na specjalnym koncju. Wspomniała o tym w swoim dzienniku, w dniu przed swoją śmiercią. Zamierzała zagadnąć cię o powód tej prośby. Być może odkryła już - zaryzykował Shan - że właścicielką tego konta jest minister Wu. Wystarczyłby do tego jeden telefon do Hongkongu.

- Ona nie powiedziała Wu nic...

- Więc jednak byłeś tam. Ona nie miała czasu powiedzieć niczego, bo Wu zdecydowała już, że Megan musi umrzeć za zdemaskowanie jej roli w Czerwonej Gwardii. Ale gdy tylko pociągnąłeś za spust, uświadomiłeś sobie, że zmuszając cię do zabicia Amerykanki, Wu uczyniła cię swoim niewolnikiem, nie współnikiem. Wiedziałeś, że śmierć Amerykanki w obecności minister sprowokuje trudne pytania. Gdyby pytania stały się zbyt dociekliwe, ona wydałaby cię jako zabójcę, zdemaskowałaby cię jako zdrajcę bojowników Dalajlamy.

Tsipon się skurczył. Spojrzał na Shana, jak gdyby był on jedynym człowiekiem zdolnym go zrozumieć.

- Ona zawsze chciała więcej. Najpierw miało to być dziesięć procent z mojego nowego hotelu w zamian za zezwolenie, potem, kiedy tu przyjechała, żądała już dwudziestu procent z hotelu po rozbudowie. Zawsze była generałem, a wszyscy inni szeregowymi żołnierzami. Pracowałem nad tym hotelem przez lata. Ale tamtego ranka powiedziała o nim: mój hotel. -Tsipon wyglądał na zrozpaczonego, lecz nie pobitego. Spojrzał na zegarek. - Na mnie już czas. Proces zaraz się zacznie.

- Proces już się zaczął, Tsipon.

- O czym ty mówisz?

- Proces prawdziwego mordercy minister Wu i człowieka, który zlecił zamordowanie dyrektora Xie z Urzędu do spraw Wyznań.

Tsipon zrobił szybki krok w stronę drzwi, porwał z warsz-

tatu duży klucz i uderzył nim w zagrażający mu drogę pręt Gyalo. Dotarł do drzwi, otworzył je gwałtownie i zamarł. W wejściu stało dwóch funkcjonariuszy bezpieczeństwa.

Obejrzał się w stronę Shana. Na jego twarzy pojawił się autentyczny niepokój.

- Co ty kombinujesz, Shan? Nie masz żadnej władzy.

Shan podszedł do wyłącznika przy drzwiach garażu i oświetlił wnętrze. Tsipon zbladł jak płótno, gdy ujrzał drobną kobietę siedzącą na krześle pod tylną ścianą.

- Myślę, że znasz towarzyszkę Zheng - powiedział Shan. - Z pewnością ktoś z partii powiadomił cię, że ona jest prezesem trybunału? Wiedziałaś, że odwiedzała pod twoją nieobecność twoje biuro, przeglądając twoje zapiski?

Tsipon zawahał się chwilę. Nie był już w stanie ukryć strachu.

- Nie macie żadnych dowodów - warknął na Shana.

- Mamy twoje własne słowa, wyjaśniające motywy, jakimi się kierowałeś.

- Niczego nie powiedziałem! - Tsipon zerknął niepewnie na Jomo. - Daj mi kluczyki! Sam poprowadzę.

Jomo nawet nie drgnął.

- Przestrzelenie piersi Tenzina, na wzór ran Ross - ciągnął Shan - musiało zdawać ci się w swoim czasie genialną sztuczką. Skoro podmieniałeś zwłoki, nową ofiarę trzeba było postrzelić, gdyż pałkarze zameldowali już o dwóch trupach z ranami od kul. Ale nim spotkałeś muła na szlaku, zdążyłeś już wyrzucić pistolet Tana. Dziury, które zrobiłeś w piersi Tenzina, były wielkie, nie pasujące do żadnej znanej Urzędowi Bezpieczeństwa broni. Kaliber czterdzieści pięć, jak nazywają te kule Amerykanie, wystarczająco duży, by powalić konia. Albo muła. Nikt tutaj nie mógł mieć takiej broni. Było to niemożliwością, którą Cao postanowił zignorować, byle dopiąć swego. Ale Megan Ross wyjaśniła mi to wszystko.

Tsipon pobladł.

- Jej już nie ma. Nigdy z nią nie rozmawiałeś.

Shan sięgnął do kieszonki koszuli i wyciągnął złożone w czworo zdjęcie, które zabrał z gau Amerykanki.

- Wzięła to ze sobą, by udowodnić, że miałeś powiązania z Wu, jako kartę przetargową, która miała skłonić was oboje do wysłuchania i przystania na jej warunki. Nie wiedziała, że dzięki niemu doprowadzi przed sąd własnego mordercę.

Uniósł zdjęcie, by Tsipon mógł je zobaczyć. Tybetańczyk zatoczył się w tył, jakby stracił równowagę.

Shan rzucił zdjęcie na maskę samochodu. „Naród świętuje ostateczne zwycięstwo w Shogo”, głosił podpis. Niżej wydrukowano nazwiska. Na zdjęciu widniał znacznie młodszy Tsipon, Wu i dwaj inni oficerowie. Wszyscy zwracali twarze w górę, strzelając w niebo. Każde z nich miało ciężki pistolet, kaliber czterdzieści pięć, zdobyty z amerykańskich zapasów.

- Nie udowodnisz, że byłem tam z Wu!

Shan skinął ręką w stronę cienia, z którego wynurzył się młody pacjent szpitala.

- Sądziłeś, że wszyscy pałkarze uczestniczący w wydarzeniach tamtego dnia zostali przeniesieni, że znaleźli się poza zasięgiem. O jednym jednak zapomniano, gdyż został skierowany na leczenie. Ten kapral był kierowcą autobusu i mimo ran dzielnie udał się na miejsce zamachu. Widział wiele tamtego dnia. Było niedopatrzaniem z twojej strony, że nie dopilnowałeś także jego przeniesienia.

Shan uprzedził żołnierza, by milczał, aby wzbudzić w Tsiponie przekonanie, że może on zaświadczyć nie tylko, iż ofiarą była Megan Ross, ale także że widział go na miejscu przestępstwa.

- Nie wolno nam też zapominać o tym koncju, które założyłeś dla minister.

- To tylko domysły. Nie masz pojęcia...

- Przypuszczam, że nie zdawałeś sobie sprawy, iż mamy specjalne układy anty korupcyjne ze wszystkimi bankami w Hongkongu. Powinieneś być wybrać Singapur. Już jutro towarzyszka Zheng będzie miała listę nazwisk właścicieli kont.

- Dla Wu i jej podobnych to był chleb powszedni - zaprotestował Tsipon. - Znasz Pekin, tam wszyscy... - Słowa zamarły mu na ustach, gdy spojrzał na towarzyszkę Zheng, specjalną wysłanniczkę Pekinu.

Coś poruszyło się za jego plecami. Dwaj pałkarze stanęli teraz u jego boku. Jeden z nich zerknął na towarzyszkę Zheng, która skinęła głową, po czym zaczął mocować kajdanki na nadgarstkach Tsipona.

- Zabiłeś je - powiedział Shan - zabiłeś je obie i pozwoliłeś, żeby zrzucano całą winę na mnie.

- Jesteś tylko byłym więźniem - mruknął Tsipon. - Bezwartościowym elementem społeczeństwa. Zawsze było pewne, że za coś cię zgarną.

Co dziwne, Tsipon sprawdził kajdanki, naciągając mocno ich krótki łańcuch, jak gdyby powątpiewał, czy są prawdziwe. Gdy uniósł wzrok na Shana, na jego twarzy malował się nie gniew, ale szok i niedowierzanie.

- Nie dadzą rady obsłużyć góry beze mnie - powiedział głuchym głosem.

- Negocjuj, Tsipon - poradził mu Shan. - Nie przestawaj negocjować. Priorytetem rządu jest tropienie wszelkich śladów korupcji, zwłaszcza na najwyższych szczeblach. Nowy proces o morderstwo byłby śliską sprawą, gdyż teraz trzeba by uwzględnić w nim Amerykanów. Towarzyszka Zheng przyjechała tu nie z powodu zamachu, ale z powodu śledztwa w sprawie korupcji przeciwko minister Wu. Kto wie? Może uda ci się uniknąć kuli, jeśli będziesz współpracować przy zarzutach korupcji i przedstawiś dowody przeciwko tym kierowcom ciężarówki.

- Niegdyś każdy Tybetańczyk w tym okręgu pragnął jej śmierci - mruknął Tsipon do podłogi. - Ustawialiby się w kolejce, by pociągnąć za spust.

Przybyli kolejni funkcjonariusze, z bronią w pogotowiu, spoglądając podejrzliwie na Tybetańczyków. Na krótki rozkaz towarzyszek Zheng opuścili broń, po czym otoczyli Tsipona i obrócili go w stronę drzwi.

- Nie dadzą rady obsłużyć góry beze mnie - powtórzył żalonym tonem, gdy wyprowadzano go na zewnątrz. Były to ostatnie słowa, jakie Shan usłyszał z jego ust.

Shan odwrócił się, by porozmawiać z towarzyszką Zheng, ale jej już nie było. Czekala na niego w limuzynie z otwartymi tylnymi drzwiami.

- Potrzebuję od was raportu - oświadczyła, kiedy wszedł i samochód ruszył z miejsca. - Takiego, jaki napisalibyście dziesięć lat temu.

- Za pisanie takich raportów trafiłem do obozu pracy. Przyjrzała mu się.

- Nic więcej nie możemy dla was zrobić. - Po raz pierwszy Shan dostrzegł ślad uśmiechu na jej twarzy.

- Cao nie będzie tym zachwycony.

- Major Cao przed upływem godziny będzie w drodze do Lhasy.

Shan wyjrzał przez okno i przemyślał jej prośbę.

- Potrzebuję lekarzy, prawdziwych lekarzy - oświadczył. - Jeden niech pojedzie do wsi Tumkot, by zająć się pewną ranną kobietą. Drugi niech uda się do fabryki yeti. Dam wam nazwisko pacjenta. I mnisi z gompy Sarma. Proszę, żeby ich wszystkich zwolniono.

Towarzyszka Zheng wyjęła mały bloczek i zaczęła notować.

Rozdział 18

Słońce wylaniało się właśnie zza gór, kiedy Tan i Shan przyjęci zostali w holu wejściowym fabryki yeti przez najstarszego dyżurnego oficera placówki, pulchnego chińskiego pałkarza w mundurze wciąż jeszcze obsypanym okruchami ze śniadania.

- Przyszliśmy po jednego z waszych pacjentów - oświadczył Tan.
- Będę potrzebował rozkazów.
- Nazywa się Shan Ko - dodał niecierpliwie Tan.
- Ten? - odparł funkcjonariusz z szyderczym uśmieszkiem. - On jest w izolatce. Nie mógłbym go wypuścić, choćbym nawet chciał.

Opór mężczyzny podziałał jak balsam na rany Tana. Shan widział, jak w oczach pułkownika zapłonął znów znajomy ogień. Przez chwilę miał zamiar zainterweniować, by oszczędzić funkcjonariuszowi gromów, jakie miały posypać się na jego głowę, ten jednak rzucił mu lekceważące, aroganckie spojrzenie, i Shan cofnął się, dając Tanowi wolną rękę.

Niczym ptak rozprostowujący złamane niegdyś skrzydło, Tan uniósł ramię i z perwersyjnym zapalem skierował funkcjonariusza do pustego pokoju biurowego, po czym zamknął drzwi. Shan nie dosłyszał większości słów, jakie tam padały, ale ton pałkarza nie pozostawiał żadnych wątpliwości, przechodząc szybko od rozdrażnienia poprzez gniew do strachu. Gdy Tan wyszedł z pokoju, funkcjonariusz siedział za biur-

kiem, mamrocząc przez telefon polecenia. Wyglądał, jakby potrafiła go ciężarówka.

Pięć minut później przywieziono im Ko na szpitalnym wózku, z kartonowym pudłem z jego dobytkiem u stóp. Shan zdrewniał ze zgrozy, widząc, że połowa jego czaszki została ogolona na łyso. Pobieżne oględziny ujawniły jednak, że nie wykonano żadnych nacięć. Oczy chłopaka były zamknięte, oddech płytki, na czole perliły się krople potu. Nie zareagował, gdy Shan wyszeptał jego imię i potrząsnął go za ramię.

Stali sami w holu, gdyż wściekłość Tana przepędziła stąd nawet wartowników. Po chwili pułkownik wskazał gestem tabliczkę z napisem REJESTRACJA i pomógł poprowadzić wózek korytarzem. Izba przyjęć znajdowała się tuż obok dwuskrzydłowych szklanych drzwi prowadzących na parking, gdzie stały dwie karetki. Ich kierowcy, oparci o jedną z nich, palili papierosy.

Tan znalazł jedyne umundurowanego człowieka w biurze, młodszego oficera, który sprawiał wrażenie dyżurnego.

- Potrzebuję karetki z kierowcą, natychmiast. Z pełnym bakiem.

- Nie wolno zabierać karetek poza okręg - zaprotestował pałkarz, zastępując mu drogę.

- Dostaniecie ją z powrotem, kiedy nie będzie mi już potrzebna - warknął Tan, przygważdżając mężczyznę lodowatym spojrzeniem. - Jestem pułkownik Tan, zarządca wojskowy okręgu Lhadrung. Jeszcze jedno słowo i zabiorę was ze sobą.

Mężczyzna przełknął z wysiłkiem, zerkając z zakłopotaniem na Shana i wózek. Nie protestował, gdy Tan odepchnął go na bok.

Parę minut później pędzili już szosą na wschód, Tan na przednim fotelu pasażera, Shan na metalowej ławce obok wąskiego łóżka Ko w tylnym przedziale. Czekala ich kilkugodzinna jazda do Lhadrung.

Shan patrzył, jak wysokie szczyty nikną w oddali, nie mogąc oderwać oczu od wcięcia w ich zarysie na tle nieba, wyznaczającego dolinę, w której leżało Tumkot. Poprzedniego wieczoru jadł tam kolację, spokojny, kameralny posiłek w towarzystwie Amy Apte, Yatesa, Kypo i jego córki. Yates podarował swej nowej bratanicy kompas i buty wspinaczkowe, Kypo i Shan tymczasem pomogli Arnie Apte, mającej rękę na temblaku, nakryć do stołu. Gdy zaczęli zajmować miejsca, Arna Apte ustawiła na stole dwa dodatkowe talerze i jakby na dany sygnał w drzwiach pojawiła się postać. Jomo z niepewną miną wszedł do środka, gospodyni zaś, ignorując jego nieśmiałe protesty, w milczeniu zaprowadziła go na miejsce obok Kypo. Potem podeszła do drzwi i wciągnęła do izby kogoś jeszcze, postać, która z początku stawiała opór, w końcu jednak pozwoliła, kulejąc, poprowadzić się do stołu. Gyalo, umyty, świeżo obandażowany i osobliwie pogodny, miał na sobie mnisią szatę.

- Czas, byście poznali nowego lamę Tumkot - oświadczyła Arna Apte, sadzając Gyalo obok siebie na ławie.

Po godzinie jazdy Tan polecił kierowcy się zatrzymać. Skinął na Shana, by wysiadł i wspiął się wraz z nim na mały pagórek przy szosie. Shan przyglądał się skonsternowany, jak Tan zbiera na kupkę wyschniętą trawę i gałązki. Pułkownik zapalił papierosa, po czym tą samą zapałką podpalił małe ognisko i wydobyl spod munduru znajomą teczkę z oślimi uszami.

- Zabrali to z mojego biura bez mojego pozwolenia - oświadczył beznamiętnym głosem. Wyrwał pierwszą stronę wpiętych do środka dokumentów, opis ostatniego postępowania dyscyplinarnego przeciwko Shanowi w Shogo, i wrzucił ją w płomienie. Resztę akt podał mu niczym uroczystą ofiarę.

Shan ujął teczkę drżącą dłonią i wpatrywał się w nią w milczeniu.

- Czy macie długopis? - zapytał w końcu.

Na twarzy Tana odmalowało się bezgłośnie pytanie, ale wręczył mu długopis bez słowa.

Shan usiadł na skale z teczką na kolanach. Starannie napisał na okładce imię swego ojca i zagiął rogi w kopertę, nim zapalił mały stożek kadzidła.

Tan zrozumiał.

- Wiadomość dla zmarłego. Shan skinął głową.

- Nie byłem do końca uczciwy wobec swego ojca, kiedy wysyłałem mu wiadomości. Myśli, że przez te wszystkie lata odbywałem jakąś pielgrzymkę ze starymi Tybetańczykami. Pora, by poznał prawdę.

Tan nie odpowiedział. Zebrał po prostu więcej drewna, by rozbudować ognisko, nim Shan wrzucił tam teczkę.

- Gratulacje - powiedział pułkownik, gdy śledzili wzrokiem ostatnie popioły ulatujące z wiatrem w stronę gór. - Oficjalnie staliście się nikim.

Gdy wrócili do karetki, Tan zajął miejsce obok Shana. Wygładził okrywający jego syna koc, po czym ścisnął mocno swą wciąż drgającą dłoń. Shan wiedział, że pułkownik jeszcze tygodniami będzie odczuwać skutki tortur. Z zakłopotaniem patrzyli na siebie nawzajem, po czym wyrzeli przez małe okienko na niknące na horyzoncie szczyty Himalajów.

- Co do ekip drogowych - odezwał się długi czas później Tan, wyraźnie zmagając się, by wydobyć z siebie każde słowo - pozwolenie robotnikom na noszenie mali i gau nie będzie miało ujemnego wpływu na ich pracę.

Shan powtarzał w myślach te słowa dłuższą chwilę, by pojąć ich sens. Tan mówił o więźniach podległego mu obozu pracy w Lhadrung i o paciorkach modlitewnych oraz

amuletach, których zawsze zakazywano tybetańskim więźniom.

- Nie - przytaknął zduszonym głosem. - Nie będzie miało wpływu.

Tan, z pozbawioną emocji twarzą, skinął głową.

- Po powrocie wydam odpowiedni rozkaz. - Jego wzrok powędrował znów w stronę Ko. - I załatwię dla niego miejsce w więziennym szpitalu.

- Nie - odparł Shan. - On musi być w moim dawnym baraku.

- To znaczy ze starymi lamami.

- Tymi, którzy jeszcze są.

Pułkownik z powagą skinął głową na znak zgody.

Rozłożyli na ławce koce jako poduszki, po czym rozsiedli się wygodnie. Shan co kilka minut spoglądał na Ko z coraz cięższym sercem, gdy nie dostrzegał żadnej zmiany, żadnej oznaki, że jego syn wyjdzie ze śpiączki. W końcu zmęczenie wzięło górę i zapadł w niespokojny sen, przerywany wizjami Ko do końca życia spoglądającego pustymi oczyma w dal. Gdy się obudził, Himalaje były jedynie cieniami na horyzoncie, a przy nim leżał stosik wilgotnych bandaży z gazy, którymi Tan ocierał czoło jego syna.

- Jeszcze trzy, może cztery godziny - powiedział pułkownik. - Możemy zrobić sobie postój na herbatę i... - Urwał nagle.

Shan obrócił się w ślad za jego spojrzeniem, w którym malowało się zaskoczenie, w stronę łóżka i napotkał słaby, ale spokojny wzrok Ko, rozświetlony słabym uśmiechem. Z niewypowiedzianą radością przyglądał się, jak dłoń jego syna unosi się i zaciska na jego własnej.

Od Autora

W lipcu 1942 roku rozpoczęła się jedna z najbardziej awanturniczych misji zaplanowanych przez prezydenta czasów wojny, kiedy to Franklin Roosevelt wysłał wnuka Lwa Tołstoja, Ilię, w roczną podróż do Tybetu, by zbadał możliwości wytyczenia tras zaopatrzeniowych oraz zainicjował dialog między Stanami Zjednoczonymi i Dalajlamą. W imieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych Ilia Tołstoj przekazał Dalajlamie zarówno złoty chronometr - którego podobno używa on do dzisiaj - jak i propozycję wsparcia na wypadek, gdyby działania wojenne dotarły na dach świata. Do czasu, nim dziesięć lat później Chińczycy wkroczyli do Tybetu, sytuacja geopolityczna zmieniła się diametralnie, ale propozycja nie została zapomniana. Starsi bracia Dalajlamy, Gyalo Thondup i Thubten Norbu, podjęli nowy dialog z Waszyngtonem. Gdy Chińczycy rozpoczęli otwarte działania wojenne, zaowocował on tajnymi misjami, które stanowią kanwę fabuły tej powieści.

Nie ma nic dziwnego w tym, że podręczniki historii milczą o owym powiązaniu Stanów Zjednoczonych z tybetańskim ruchem oporu - zasłona tajemnicy, która je spowijała, była tak szczelna, że pierwsi tybetańscy kursanci, którzy przybyli do Camp Hale w Górach Skalistych w stanie Kolorado, nie wiedzieli nawet, na jakim są kontynencie. Fakty o tej misji przeciekały do wiadomości publicznej przez kilkadziesiąt lat, lecz dopiero niedawno, gdy dokumenty zostały w końcu odtajnione, znany stał się jej pełen zakres. Dziesiątki Tybe-

tańczyków przeszły w Ameryce szkolenie w zakresie obsługi broni, szyfrów, radia i spadochronów, po czym zostały zrzucone na teren swego ojczystego kraju z amerykańskich samolotów cywilnych, które zapuszczały się niekiedy setki kilometrów w głąb Tybetu. Podczas gdy te zrzuty trwały przez pięć lat, amerykańskie wsparcie utrzymało się przez siedemnaście, podczas których tajne tybetańskie ekipy radiowe zapewniały Amerykanom łączność z armią powstańczą o nazwie „Cztery Rzeki, Sześć Gór”. Ostatnie niedobitki tej nieregularnej armii, znacznie słabszej liczebnie i stale uciekającej przed chińskimi wojskami, złożyły broń dopiero w roku 1971, kiedy to Dalajlama przesłał w końcu nagrane na taśmę orędzie, w którym prosił ich, by przestali oddawać życie za daremną sprawę. Ci, którzy pragną dokładniej prześledzić drogi tych bojowników o wolność i cudzoziemców, którzy im pomagali, znajdą wspaniałą relację z tej intrygującej, tragicznej i koniec końców inspirującej historii w *Orphans of the Cold War: America and the Tibetan Struggle for Survival* Johna Kennetha Knausa [wyd. polskie: *Ofiary zimnej wojny*, przeł. Katarzyna Bażyńska-Chojnacka, Warszawa 2000].

Region Everestu był jednym z kilku obszarów działania powstańców i nietrudno wyobrazić sobie, że niejednokrotnie ci, którzy wtopili się w miejscową ludność, zetknęli się później z nowym gatunkiem cudzoziemców, przybywającym, by wspinać się na Himalaje. Stoki góry, którą Tybetańczycy nazywają Czomolungmą, oraz inne okoliczne szczyty stały się scenerią osobnego dramatu, przejmującego nie tylko za sprawą śmiałych wyczynów alpinistów pośród majestatycznego krajobrazu oraz bez trudu widocznych pod szczytem makabrycznych szczątków wspinaczy, ale i przez zestawienie bogatych obcokrajowców, którzy corocznie oblegają górę, z miejscowymi Tybetańczykami, których roczny dochód nie wystarczyłby na kupno nawet jednego z ich butów.

Represje ze strony Czerwonej Gwardii oraz chińskiej armii były na tych terenach szczególnie brutalne z powodu zarówno aktywnego oporu, jak i szczególnego duchowego znaczenia tego regionu dla Tybetańczyków. Święty poeta Milarepa, jedna z najbardziej czczonych postaci Tybetu, tam właśnie przed tysiącem lat spędził ostatni okres swego życia. I na tych też stokach Tybetańczycy po raz pierwszy poznali najważniejsze nauki buddyjskie z ust hinduskiego lamy Padampy Sangye. Przez całe wieki życie w tym regionie koncentrowało się wokół jego licznych świątyń, klasztorów i pustelni, z których niemal wszystkie zostały zniszczone.

Jak wiele części współczesnego Tybetu, region Czomolung-my tkwi w głębokiej nierównowadze. Nic dziwnego, że jego rodowici mieszkańcy z obawą wchodzą w dwudziesty pierwszy wiek, skoro ich kontakt z gospodarką globalną i Zachodem sprowadza się do zalewu obcokrajowców płacących Pekinowi wysokie sumy za prawo do wspinania się na ich świętą górę. Choć chiński rząd zrobił krok w dobrym kierunku, zakładając pod Czomolungmą rezerwat dla ochrony tamtejszej dzikiej przyrody, znacznie większego wysiłku wymaga zatroszczenie się o potrzeby ludzkiej populacji tego regionu.

Jak we wszystkich moich powieściach o Shanie, bardzo starałem się uniknąć przesady w przedstawianiu ciężkiej sytuacji politycznej i społecznej Tybetańczyków. Systematyczne niszczenie tybetańskiej kultury, rozpoczęte przez Pekin przed pięćdziesięciu laty, w ostatnim dziesięcioleciu nabrało szybszego tempa. Obozy ciężkich robót licznie wypełniają tybetańscy dysydenci polityczni i mnisi; system ten obejmuje także szpitale specjalizujące się w terapii „zaburzeń” przestępczych. Od mnichów oczekuje się uległości wobec politycznych komisarzy Urzędu do spraw Wyznań, na klasztory istotnie przeprowadzane są naloty lojalnościowe, a Tybetańczycy nauczyli się już, że bezpieczne są jedynie te święte miejsca, o których

władze nie mają pojęcia. Gdy po ostatnich wybuchach protestów po Tybecie grasowali autentyczni młynkoburcy, przyszłość przewidzianą dla tych pokojowo nastawionych, życzliwych i głęboko uduchowionych ludzi pewien wysoko postawiony członek rządu, który najechał ich kraj dwa pokolenia temu, podsumował następującymi słowami: „Tybetańczycy -oświadczył - muszą pogodzić się z faktem, że Komunistyczna Partia Chin jest ich nowym Buddą". Ale jak Tybetańczycy heroicznie dowiedli, ani ich przyszłość, ani ich duchowi przywódcy nie dają się podporządkować rządowemu dekretoowi.

Eliot Pattison